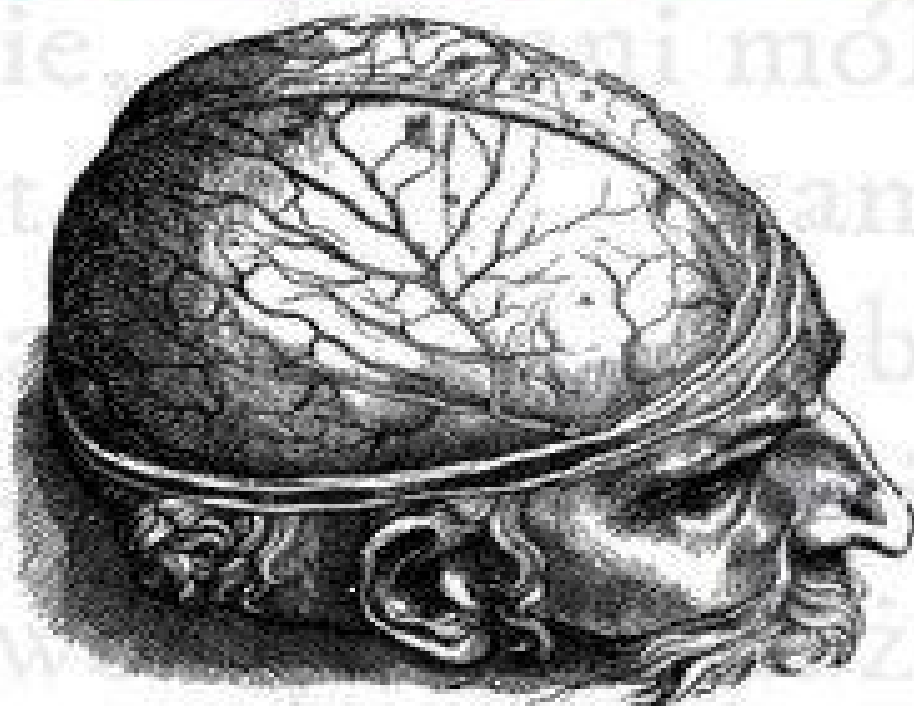


ABC



**PAWEŁ POLLAK**

**gdzie mól i rdza**



*Oficynka*

u, którzy p... tam zawar  
J **ABC** bowiem... ebażycie  
cz jeśli nie p... czycie ludz  
ościcie, nie... cie posepn  
a, że poszczą... prawdę, po  
aść sobie głowę i umyć twarz



## PAWEŁ POLLAK

gdzie mól i rdza



nie... ni mól, ani i  
nie jest... am będz  
owe, c... będzie  
emno... atło, k  
roże dw... zyc. Bo  
nym będzie trzymał *Osteynka* gi  
n wam: Nie troszczcie się zby

POLLAK PAWEŁ

Gdzie mól i rdza

# Prolog

Napięta cięciwa drgała niedostrzegalnie przed wypuszczeniem śmiertelnej strzały. Mężczyzna, którego miała zabić, wpatrywał się z rosnącym przerażeniem w grot. Szarpnął się. Nie chciał umierać. Jeszcze nie. Mówią, że kiedy człowiek się starzeje, godzi się z myślą o śmierci, ale to nieprawda. Może innych jego śmierć nie wzrusza, uważają, że swoje przeżył, ale stary czepia się życia tak samo jak młody, też oczekuje, że przyniesie mu w przyszłości coś, czego do-tych nie zaznał.

Szarpnięcie się nic nie dało. Sznur wpił się tylko dotkliwiej w przeguby dłoni i kostki nóg. Próbował się przewrócić, żeby zejść z linii strzału, ale fotel, do którego został przywiązany, był na to za stabilny. Może by się udało, gdyby zabójca posadził go na krześle...

Zabójca?! Dlaczego tak o nim myśli?! Przecież wciąż żyje.

Może to tylko błąd. Albo głupi kawał. Bardzo głupi kawał.

Albo potworny eksperyment. Czytał gdzieś, że hitlerowcy tak eksperymentowali na Żydach. Wsadzali ofiarę do wanny, wią-

zali ręce z tyłu, przesuwali czymś ostrym po przegubach, sugerując przecięcie żył, po czym powoli wpuszczali do wody czerwoną farbę. I Żyd, choć cały i zdrowy, umierał.

Może ten łobuz bawi się w coś podobnego. Powiedział, że grot jest posmarowany kurarą, bo chce sprawdzić, jak zadzia-

ła taka odwrotność placebo. To stąd cały ten cyrk z wiązaniem i odwlekaniem strzału — żeby uwierzył w jego mordercze intencje, żeby naprawdę zaczął się bać. W rzeczywistości strzała nie wyrządzi mu najmniejszej krzywdy, tylko zadraśnięcie bez dalszych konsekwencji, żadna trucizna nie dostanie się do jego krwiobiegu. Tak, nie może dać się nabrać, bo wtedy umrze jak ten Żyd w wannie, po prostu ze strachu. Za wszelką cenę musi zachować spokój.

Wbrew temu postanowieniu z jego gardła wydobył się dziki krzyk o ratunek. Stłumiony natychmiast przez knebel we-pchnięty do ust i zabezpieczony szeroką taśmą klejącą. Znowu się szarpnął, ale efekt był taki sam jak poprzednio.

Wbił wzrok w strzałę i zaczął się modlić; nie wiedział, czy do niej, czy do Boga — do Boga nie modlił się, odkąd trzydzie-

ści lat temu zabrał mu córkę. Żeby chybiła, przeleciała obok niego, wbiła się w szafę za plecami. Modlitwa nie dodała mu otuchy, ale przypomniał sobie coś innego. Umierającemu człowiekowi przesuwały się przed oczami obrazy z jego życia.

Gdyby rzeczywiście miał umrzeć, widziałby je teraz w miejsce tego grotu. To najlepszy dowód, że jeszcze nie wybiła jego godzina. Jeszcze będzie mu dane cieszyć się życiem!

I w chwili, gdy to pomyślał, zwolniona cięciwa wypuściła strzałę, świst przeciął powietrze. Mężczyzna poczuł ostry ból w okolicach przepony. Ze zdumieniem spojrzął na pręt zakończony piórami wystający z jego brzucha. Zdążył jeszcze tylko się napomnieć, że nie wolno mu uwierzyć, jakoby strzała niosła truciznę. Potem zwiotczały mu mięśnie, klatka piersiowa nie zdołała unieść się w oddechu i nie minęło pół minuty, jak się udusił.

## Część: I

„A imię jego czterdzieści i cztery”.

Komisarz Marek Przygodny z wydziału zabójstw, czy jak to się oficjalnie nazywało — sekcji do walki z przestępczością przeciwko życiu i zdrowiu, odchylił się na krześle przy swoim biurku w Komendzie Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. Skoń-

czył czterdzieści cztery lata, wczoraj miał urodziny. I przeżywał to. Po raz pierwszy w życiu. Kiedy kończył trzydzieści lat, ze zdumieniem słuchał kolegów pytających, czy nie żał mu młodości i czy zdaje sobie sprawę, że właściwie połowę ma już za sobą, na minięcie wieku chrystusowego w ogóle nie zwrócił

uwagi, czterdziestka zbiegła się z awansem na komisarza, więc cieszył się z prestiżu i podwyżki, zamiast roztrząsać fakt, któ-

rego i tak nie mógł zmienić, że lata mijają. Refleksje nad rzeczami, na które nie miał wpływu, nie leżały zresztą w jego charakterze. Inaczej nie wytrzymałby psychicznie swojej pracy.

„Filozofowie” rozmyślający o bezsensie śmierci ofiar zabijanych dla kilku złotych, dla rozrywki czy w ogóle bez powodu błyskawicznie się wypalali i prosili o przeniesienie do włamań i kradzieży albo do przestępczości gospodarczej.

Na dodatek żona zapomniała o jego urodzinach. Też po raz pierwszy. W ostatnich latach wprowadzie życzenia składa-

ła bardzo zdawkowe, a podarkiem był nieodmiennie krawat

— dawno minęły czasy, kiedy z tej okazji kupowała sobie zwiewny peniuar i seksowną bieliznę, które stanowiły opakowanie jego prezentu — ale jednak pamiętała. A wczoraj zapomniała. I bynajmniej nie to przeżywał, że zapomniała, ale to, że gdyby nie dzieci, które zadzwoniły z życzeniami, w ogóle nie zwróciłby na to jej zapomnienie uwagi. Uświadomił sobie, że żona jest mu obojętna.

Zastanawiał się od kiedy. Chyba od dosyć dawna. Dopóki Michał z Asią mieszkali w domu, nie mogło to mieć żadnych praktycznych skutków. Ale Michał wyjechał do Angli do pracy i najwyraźniej nie zamierzał już wracać, a dwa miesiące temu córka wyprowadziła się do swojego chłopaka, mimo ich protestów, że jest za młoda, że ma dopiero dwadzieścia lat, że najpierw powinna skończyć studia. Odrzuciła je argumentem, że kiedy oni się pobierali, byli dokładnie w tym samym wieku.

— To co innego, musieliśmy się pobrać, bo Michał był

w drodze — wyjaśniła Gabi.

Ten rozbrat z logiką, który na początku uważał u żony za czarujący, a ostatnio za irytujący, Asia zdemaskowała natychmiast:

— Dobre sobie! Nieodpowiedzialność uzasadnia wspólne zamieszkanie, a świadoma decyzja nie?

Gabi miała nadzieję, że —jak to ujęła — Asia się opamięta i wróci do domu, ale on wiedział, że tak się nie stanie. Córka była nad wiek dojrzała, poza tym wrodziła się w niego i nie podejmowała decyzji pochopnie, tylko po dogłębnym namyśle, a podjętych — konsekwentnie się trzymała. Trudno też było się spodziewać, że rozpadnie się jej związek ze Stefanem. Chodzili ze sobą już długo, a Stefan był od niej o dziewięć lat starszy i wyraźnie myślał o swej przyszłości z Asią bardzo poważnie.

Ta różnica wieku była powodem, że z początku Stefana nie akceptowali. Asia oczywiście nie dała sobie niczego zakazać, więc w domu na przemian wybuchały awantury i zapada-

ły ciche dni, podczas których Gabi popłakiwała po kątach. On pierwszy pogodził się z tym, że Asia znalazła sobie dużo starszego chłopaka. Jakby uświadomił sobie, że właśnie to rokuje dłuższą trwający związek. Bo czy nie wtedy zaczął dostrzegać, że ich małżeństwo z Gabi staje się pustą formą na użytek zewnętrznego świata bez interesującej go treści? Patrząc na tyjącą bez umiaru żonę, z żalem myślał, jak atrakcyjną kobietą była jeszcze dziesięć lat wcześniej, po cichu zazdrościł

kolegom znajdującym sobie kochanki młodsze o dwadzieścia kilogramów.

Pamiętał, jak ciotka Zofia zapytała go, czy nie lepiej, żeby znalazł sobie młodszą dziewczynę, bo za dwadzieścia lat Gabi będzie dla niego za stara. Miał wtedy naście lat, był zakochany po uszy, tego, że są z Gabi równolatkami, nie uznawał za żadną przeszkodę, przeciwnie, uważał za najwłaściwszą relację wiekową między chłopakiem a dziewczyną. Pytanie ciotki Zofii uznał za absurd, ekstrawagancję osoby, której styl życia daleko odbiegał od wyobrażeń jego rodziny, co przystoi, a co nie.

Nic nie mogło zachwiać jego przekonaniem, że będzie kochał

Gabi do końca życia. A teraz skłonny był przyznać, że doszło wówczas do klasycznej konfrontacji młodzieńczego idealizmu z życiowym doświadczeniem. Przegranej zawsze dla obu stron.

Młodzieńczy idealizm nigdy nie ulegnie życiowemu doświadczeniu, póki sam się w nie nie przerodzi, ale jest to proces bezużyteczny, bo żaden młody nie będzie chciał zeń skorzystać.

Komisarz westchnął i odsunął od siebie te myśli. Spojrzał

na akta leżące na biurku. Był w pracy i musiał skupić się na swoich obowiązkach. Wiedział, że ucieka w ten sposób przed problemem, że odłożenie go w czasie nie przyniesie rozwiązania, a tylko pogłębi, ale czuł się usprawiedliwiony. Nie płacono mu za rozmyślanie o swoim małżeństwie, tylko

za łapanie morderców.

Sięgnął po akta sprawy, praktycznie już zamkniętej — za-bójcę od wczoraj mieli pod kluczem — ale wymagającej jeszcze formalnych uzupełnień, kiedy drzwi do pokoju otworzyły się i pojawił się w nich Robert Gajda, trzydziestodwuletni aspirant, asystent Przygodnego. W polskiej policji system partnerstwa nie istniał — dwójka policjantów nie chodziła zawsze i wszędzie razem jak na amerykańskich filmach — a nawet gdyby istniał, komisarz i tak by go nie stosował. Przynajmniej gdyby jego partnerem miał być Gajda. W sumie go cenił, ale uważał, że właściwa relacja między nimi to przełożony i podwładny. Z powodu różnicy wieku i doświadczenia, ale też braku u Gajdy tego szóstego zmysłu, zwanego w policji nosem, który naprowadzał na właściwy trop, gdy brakło kierunkow-skazu w postaci faktów. Aspirant był doskonałym policyjnym rzemieślnikiem, ale nie wirtuozem.

— Co masz? — zapytał Przygodny, widząc zaaferowaną minę Gajdy.

— Zadzwoiła dzisiaj rano staruszka z Wrońskiego, że jej samotnie mieszkającemu sąsiadowi coś się stało, bo nie wyszedł

jak zwykle rano po gazetę, co nie zdarzyło mu się od blisko dziewiętnastu lat. Wyobraża pan sobie? On przez dziewięć-naście lat dzień w dzień o szóstej trzydzieści wychodzi po gazetę, a ona przez dziewięćnaście lat dzień w dzień się temu przygląda. — Gajda podrapał się po krótkiej bródce, jakby ten gest miał mu pomóc w przełknięciu spostrzeżenia, że ludzka egzystencja jest najczęściej niesłychanie monotonna. — Oczywi-

ście dyżurny chciał ją splawić, tłumacząc, że facet pewnie zasnął, gdzieś wyjechał albo ponieważ doszedł do wniosku, że w gazetach tak naprawdę zmienia się tylko data i ich czytanie nie ma większego sensu, ale staruszka była uparta. Powiedziała, że nie wyjechał, na pewno by to zauważyła, a dzwoniła do jego drzwi i nikt nie otwiera.

— Może rzeczywiście dostał zawału albo wylewu. Tylko co nam do tego? Niech jakiś posterunkowy pojedzie to sprawdzić.

Komisarz doskonale wiedział, że zawał i wylew zostały już wykluczone, że „dużo im do tego, inaczej Gajda nie opowiadałby mu całej historii, ale chciał skłonić aspiranta, mającego predylekcję do długich wstępów, żeby przeszedł do sedna.

— Tak dyżurny zaordynował, poprosił Wójcika i Wojtkiewicza z patrolu, żeby podjechali. Też byli sceptyczni, ostatecznie minęły dopiero dwie godziny, a nie kilka dni, jak facet się nie pokazał tam, gdzie miał być, ale staruszka ich zaszantażowała.

Zagroziła, że jak odjadą bez interwencji, a okaże się, że sąsiad umrze, bo nie udzielono mu pomocy, albo będzie martwy leżał

kilka dni, pójdzie do dziennikarzy, którzy rozpisują się o spo-

łecznej znieczulicy, i powie, że żadnej znieczulicy społecznej nie ma, tylko urzędnicza, bo nawet jak

człowiek reaguje na niepokojące sygnały, to nie ma się do kogo zwrócić. Wójcik z Wojtkiewiczem wyważyli więc drzwi... — Gajda zamilkł, tknięty jakąś myślą. — Chciałbym mieć taką sąsiadkę, jeśli na starość przyjdzie mi czekać na śmierć w samotności.

Przygodny się zniecierpliwił.

— Albo mi natychmiast powiesz, co się stało, albo wyleję cię z policji i będziesz ubiegał się o pracę jako scenarzysta filmów kryminalnych, skoro tak lubisz stopniować napięcie.

Gajda spojrział na komisarza zdziwiony, nie rozumiejąc, skąd te pretensje — przecież właśnie zmierzał do rzeczy.

— Dziadek siedział martwy w fotelu, ale to małe piwo.

Wójcik z Wojtkiewiczem jeszcze czegoś takiego nie widzieli, zresztą nie wydaje mi się, żeby komukolwiek z cegielni — mó-

więc „cegielnia”, aspirant miał na myśli wrocławską policję, określenie pochodziło od wyglądu budynku komendy — trafił się taki obrazek.

— Gajda!

— Został zabity strzałą z łuku. I oskalpowany!

— Niemożliwe. — Komisarz, choć jeszcze przed chwilą sam miał ochotę oskalpować podwładnego, nie potrafił ukryć zdumienia. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że we Wrocławiu grasuje grupa Siuksów?

— Szczep, szefie, szczep.

— Co?

— Indianie łączą się w szczepy, nie w grupy. Czytałem Karola Maya, to wiem.

Przygodnego dopadało czasami nieodparte wrażenie, że jego asystent książki Karola Maya czytywał jeszcze całkiem niedawno.

— Wrońskiego? Gdzie to jest? Nie kojarzę.

— Taka mała uliczka równoległa do Wybrzeża Wyspiańskiego, zaraz za mostem Grunwaldzkim.

— Patolog, technicy, prokurator?

— Wszystkich powiadomiłem.

Komisarz sięgnął do wieszaka po kurtkę i zaczekał, aż Gajda weźmie swoją z krzesła, gdzie miał zwyczaj ją wieszać.

Zeszli na dół. Obaj nie uznawali windy, wychodząc z założenia, że ten w sumie niewielki wysiłek fizyczny, jakim było po-konywanie schodów, skumulowany, dłużej pozwoli zachować dobrą kondycję. Poza tym grali w piłkę, co trzy, cztery tygodnie rozgrywali mecz przeciwko któremuś z innych wydziałów.

Przygodny grał w pomocy, Gajda w ataku. W ostatnim meczu, przeciwko drogówce, nie spisał się, przestrzelił dwie stupro-centowe sytuacje i jedyna bramka zdobyta przez drużynę z Hubskiej dała jej zwycięstwo.

Na dworze panowała poranna marcowa szarówka. Trudno było twierdzić, że czuło się w powietrzu nadchodzącą wio-snę, skoro zima w tym roku w ogóle się nie pojawiła. Gajda pomyślał, że musi zmienić opony na letnie, i postanowił wię-

cej nie zakładać zimowych. Zbędny wydatek, skoro klimat w Polsce przeradzał się w podzwrotnikowy, lepiej kupić za to dziecku zabawkę. Aspirant miał czteroletniego synka.

Komisarz na pogodę nie zwrócił uwagi, z wysokich schodów przed komendą ogarnął wzrokiem plac Wolności, rozcią-

gający się za miejską fosą. Na tym placu zaproponował Gabi chodzenie. Odprowadzał ją po szkole do domu — byli w tej samej klasie w IX LO. Czuł, że jest mu przychylna, że lubi jego towarzystwo, o czym świadczył choćby fakt, że pozwalała mu się odprowadzać, że wracali na piechotę, chociaż tramwajem byłoby szybciej, ajednak potwornie się denerwował. Przymierzał się do pytania przez kilka ulic, aż w końcu na placu, za Operą, zebrał się na odwagę:

— Czy chciałabyś... bo tego... bardzo cię lubię... i podo-basz mi się... i chciałbym z tobą chodzić... to znaczy, jeśli ty byś też chciała...

Czerwony, spocony, przerażony nieskładnością swojej propozycji, uznał, że jeśli wcześniej miał jakieś szanse, to teraz dokumentnie je pogrzebał. Nie dostrzegł szczęśliwego uśmiechu Gabi, bo zacisnął powieki, oczekując jak ciosu od-mownej odpowiedzi.

— Tak, bardzo.

— Naprawdę? — Nie mógł uwierzyć, że spotyka go takie szczęście.

— Naprawdę. — Tym razem zobaczył jej czarujący uśmiech na ślicznej twarzyczce okolonej blond lokami.

Wymarzył sobie tę jej zgodę, po cichu na nią liczył, ale jakby nie do końca wierzył, że Gabi rzeczywiście się zgodzi, i teraz nie wiedział, co ma zrobić. Nie przygotował sobie żadnego scenariusza na tak pomyślny wypadek. Jak należy zareagować, kiedy dziewczyna zgadza się na chodzenie? Nie wiedział, Gabi była pierwszą, w której się zakochał, której złożył taką propozycję. I ostatnią.



Odwrócił się i po prostu poszedł dalej. Po kilku krokach uświadomił sobie, że wybrał najgorsze możliwe rozwiązanie, spojrzał z ukosa na Gabi, zrozpaczony, że skoro jej nie pocałował, ona z pewnością się wycofa, kiedy poczuł, jak wsuwa swoją dłoń w jego. Wszystko było dobrze.

I bardzo długo ją potem odprowadzał. A na koniec poca-

łował pod bramą. Czy mężczyzna może przeżyć szczęśliwszą chwilę w życiu niż tę, kiedy mając siedemnaście lat, dowiaduje się, że ukochana odwzajemnia jego uczucie, po raz pierwszy idzie z nią za rękę i całuje, pocałunkiem jeszcze niezdatnym, niedoświadczonym, ale jakże słodkim? W jego przypadku odpowiedź brzmiała „nie”.

— Co się pan, szefie, tak zapatrzył w tę fosę? — wyrwał

go ze wspomnień aspirant. — Myśli pan pewnie o tych smar-kaczach, co zatłukli tu człowieka i wrzucili zwłoki do wody.

Kto takich wychowuje, że potrafią skatować człowieka na śmierć tylko dlatego, że krzywo na nich spojrzał, i to jeszcze pod samą komendą policji?!

Komisarz przypomniał sobie zdarzenie sprzed kilku miesięcy. Dwójka młodych ludzi siedziała już w areszcie, trzeciego zabójcy wciąż szukali. Jedna ze spraw, która tych o słabszej psychice, zakładających, że każde działanie — a tym bardziej zabicie człowieka — musi mieć racjonalne motywy, mocno dręczyła. Tymczasem wśród morderców, jak w każdej innej grupie, są różni ludzie: działający przemyślanie, mający uzasadniony powód do swoich poczynań, ale i tacy, którym wystarczy impuls, złe emocje, błahostka. A zabitemu nie robi przecież różnicy, czy zginął, bo ktoś chciał mu zabrać duże pieniądze albo zemścić się za doznaną krzywdę, czy dlatego, że uraził kogoś nieopatrznym słowem albo znalazł się w złym czasie w złym miejscu. Każda przedwczesna śmierć jest tak samo bezsensowna. Choć kiedy śmierć nie jest przedwczesna?

— Tak, przerażające.

Zeszli do służbowej vectry. Gajda był kierowcą, wstawił

koguta za szybę i srebrny opel ruszył na sygnale, przemknął

w stronę Świdnickiej pod prąd, bo drogę zablokował autobus, tam skręcił w lewo, mijając nowy pomnik Bolesława Chrobrego, i pognął dalej.

Przygodny kątem oka spoglądał na aspiranta, pewnie prowadzącego rozpędzony samochód. Trochę puciołowata twarz odejmowała mu ze dwa, trzy lata, bródka przywróciłaby równowagę, gdyby nie kręcone ciemne włosy, które współgrały z tą puciołowatością i sprawiały, że głowa jakby nie pasowała do atletycznego i umięśnionego korpusu. O sile Gajdy nieraz przekonali się przestępcy, tracący oddech w jego żelaznym uścisku.

Zjeżdżając z mostu Grunwaldzkiego, Gajda wyłączył syrenę, ale mimo to zignorował znak zakazu i wjechał bezpośrednio w jednokierunkową ulicę Wrońskiego. Komisarz nie upomniął go, że powinien zaczekać z wyłączeniem syreny. Choć jemu się to nie podobało, przyzwyczyił się już, że koledzy noto-rycznie łamali przepisy, poruszając się służbowymi samochodami. Poczucie, że są władzą, a nie służbą, mimo dziewiętnastu lat od upadku komuny i zmiany nazwy z milicji na policję, bynajmniej nie zanikło.

Ulica Wrońskiego zabudowana była tylko po prawej stronie, jeśli nie liczyć samotnej kamienicy naprzeciwko, za którą rozciągał się nieutwardzony parking. Mieszkanie ofiary mieści-

ło się w bardzo zniszczonym domu sąsiadującym ściana w ścianę z dużo nowszym, zadbanym budynkiem. Musiały należeć do innych spółdzielni. Ten stary był niższy, na parterze, usytuowanym na poziomie ulicy, miał częściowo zamurwane okna.

W środku zastali już patologa i uwijających się techników, prokurator jeszcze nie dotarł. Mundurowi, Wójcik z Wojtkiewiczem, stali w wyłamanych drzwiach, które najwyraźniej rozwalili kopniakami. Szczęście dla nich, że właściciel mieszkania nie żył, bo inaczej policja musiałaby płacić za tę dewastację, a komendant raczej nie wyłożyłby pieniędzy z budżetu, tylko obciążył pensje posterunkowych. Powinni byli wezwać ślusarza, a nie zachowywać się jak Rambo i Terminator.

Komisarz z ulgą zobaczył, że nad zwłokami pochyla się nowy lekarz, co oznaczało, że stary przeszedł wreszcie na emeryturę. Najwyższy czas, bo nie tylko wiek, ale i ilość wypitego w życiu alkoholu sprawiała, że nie nadawał się już do tej pracy. Ostatnim razem pomylił się o jeden dzień w określeniu czasu zgonu. To znaczy określił właściwie, tylko źle wpisał do raportu, przez co główny podejrzany miał murowane alibi i gdyby Przygodny nie był na sto procent przekonany, że ma sprawcę, i nie zweryfikował raportu, morderca uszedłby ka-ry. Złożył wprawdzie skargę na patologa, ale nie bardzo wierzył w jej skuteczność. Za fuszerkę można było wylecieć z prywatnej firmy — a i to pod warunkiem, że miała zagranicznego właściciela i panowały w niej zachodnie standardy — ale nie z państwowej instytucji. Wbrew pozorom nie świadczyło to o niewydolności tejże instytucji, tylko o instynkcie samozachowawczym, bo z miejsca trzeba by zwolnić połowę ludzi.

Niedbalstwo przetrwało upadek komuny tak samo jak poczucie władzy u policjantów. Stąd Przygodny nigdy nie oglądał ani nie czytał polskich kryminałów. Irytowało go, że w rzekomo realistycznie oddanym śledztwie jedyną przeszkodą w złapaniu przestępcy są zostawione przez niego mylne tropy i problemy z ustaleniem okoliczności przestępstwa, a nie to, z czym on sam stykał się na co dzień: niechlujne wykonywanie obowiązków przez ludzi tworzących organy ścigania.

Popatrzył na ofiarę, starszego człowieka, który zgodnie z zapowiedzią aspiranta siedział na fotelu przeszyty strzałą, a głowę miał pozbawioną włosów. Nie z powodu łysienia, tylko dlatego, że ktoś naciął skórę poniżej linii włosów i ją zerwał. Dokonał tak fachowego oskalpowania, jakby znajdowali się na innym kontynencie, w czasach kiedy skalpowanie stanowiło powszechny rytuał po zabiciu wroga.

Komisarz podszedł do lekarza i wyciągnął rękę, przedstawiając siebie i Gajdę.

— Józef Małecki — podał swoje nazwisko patolog, średniego wzrostu mężczyzna z dużym brzuchem, około pięćdziesiąt-ki, całkowicie łysy, w przeciwieństwie do ofiary. Przynajmniej jeśli założyć, że oskalpowanie łysiego nie ma sensu, bo samego skalpu nigdzie nie było widać. Morderca musiał zabrać go ze sobą, o ile nie schował gdzieś w mieszkaniu, ale sprawdzenie tego komisarz zlecił Gajdzie, a sam zwrócił się do patologa:

— Czas zgonu?

— A skąd mam wiedzieć? — odparł opryskliwie lekarz. —

Widzi pan, że technicy jeszcze fotografują, więc nie mogę go ruszać. Chyba że pan mi powie, jak wsadzić termometr w odbyt gościowi po 'exitus podex.

Przygodny spojrział na patologa, zdumiony jego agresją, ale ten inaczej wytłumaczył sobie zdziwienie komisarza.

— Nie wie pan, co to jest exitus podex? Zgon na dupie.

Przygodny pożałował, że ucieszył się z przejścia starego lekarza na emeryturę.

— Przyczyna zgonu?

Małecki zrobił taką minę, jakby mocno dokuczały mu he-moroidy.

— Utonął.

Choć odpowiedź wyraźnie kłóciła się z widokiem, jaki mieli przed oczami, komisarz niejednokrotnie w swojej karierze zetknął się z sytuacją, że prawdziwa przyczyna zgonu była diametralnie odmienna od tej, jaką jednoznacznie sugerowały wygląd ofiary czy miejsce znalezienia zwłok, nie zdziwił się więc, tylko upewnił:

— W wannie?

— Nie, w oceanie. Widział pan, żebym robił sekcję? Nie.

No to wiem tyle co i pan, że jest oskalpowany, od tego akurat się nie umiera, i ma strzałę w brzuchu. Może wykitował, bo mu rozerwała śledzionę, może była zatruta albo zwyczajnie dostał zawału, a wnuczek postanowił skorzystać z okazji i po-bawić się w Indian.

Choć Przygodny nie mógł nie przyznać, że zastrzeżenia lekarza były uzasadnione, i jak zwykle w takich przypadkach dążenie śledczych, by jak najszybciej poznać czas i przyczynę zgonu, ścierało się z oporem patologa, który wolał się nie wypowiadać, nie mając całkowitej pewności, to jednak ton Ma-

łeckiego na tyle już zirytował komisarza, że chciał swej irytacji dać upust. Przeszkodził mu w tym jednak Gajda, podchodząc z plastikowym prostokąciem w rękę.

— Znalazłem jego dowód... — Aspirant przeniósł wzrok na ofiarę i porównał z fotografią. — Tak, na pewno jego, choć na zdjęciu ma bujną czuprynę, w każdym razie bujną jak na sześćdziesiąt osiem lat, bo z daty urodzenia wynika, że właśnie tyle skończył w zeszłym miesiącu.

— Nazwisko?

— Mateusz Majewski — odczytał Gajda.

— Jakież inne dokumenty?

— Odcinki wypłat emerytury z ZUS-u, w SB nie był, niska ta emerytura, rachunki mieszkaniowe, prąd, gaz i tym podobne, na razie nic więcej.

— Skalp znalazłeś?

— Nie, ale przeszukałem dopiero ten pokój, chłopacy —

wskazał na krzątających się techników — też do drugiego jeszcze nie zagłądali.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi. Większy, ten, w którym stali koło zwłok, był pokojem przechodnim między mniejszym a kuchnią.

— No to zajrzyjmy tam.

Gajda skinął głową i ruszył za komisarzem, kiedy w drzwiach kuchni, do której wchodziło się z przedpokoju, pojawił się prokurator Jarosław Kania. Jako jedyny z obecnych przy oględzinach był w garniturze. Miał posturę drobnego, nerwowego człowieczka, co zwykle usypiało czujność przestępców i adwokatów, i w efekcie Kania uzyskiwał najsurowsze wyroki.

Oskarżany przez niego zabójca rzadko kiedy dostawał mniej niż dwadzieścia pięć lat.

— Co mamy, panowie?

Komisarz wprowadził go w szczegóły.

— Rabunek?

— Biorąc pod uwagę oprawę, raczej nie. Przy morderstwie na tle rabunkowym denat zwykle dostaje czymś cięż-

kim w głowę i po sprawie, złodzieje na ogół nie biorą skalpów.

Nie wygląda też na to, żeby cokolwiek zginęło. — Przygodny rozejrzał się po skromnym urządzeniu, doznając lekkiego déja vu. Jakby znowu znalazł się w domu swojego dzieciństwa.

Majewski albo nie zauważył zmiany ustroju, albo pensję miał

równie niską jak emeryturę i nie było go stać na wymianę mebli. Filmowcy mieliby tu gotową scenerię do nakręcenia filmu z akcją dziejącą się w latach siedemdziesiątych. — Inna sprawa, że stąd chyba nie bardzo miało co zginąć.

— Za to stąd! — zawołał Gajda, który przeszedł do drugiego pokoju. — Kino domowe klasy lux, staruszek musiał

wyłożyć niezłą kasę! — I dodał ciszej, widząc, że komisarz stanął koło niego: — Sama plazma jest warta z pięć tysiaków, ekran pięćdziesiątka. Chciałbym taką mieć.

Rzeczywiście płaski Samsung prezentował się imponująco.

Aspirant podszedł do stojaków na płyty DVD i już przy pierwszym jęknął.

— O nie! — Zademonstrował komisarzowi wyciągniętą płytkę — Porno.

Znalezienie filmów erotycznych oznaczało konieczność ich przejrzenia, żeby ustalić, czy nie zawierają dziecięcej pornografii. Pedofilia mogła bowiem być tropem prowadzącym do zabójcy.

Gajda sprawdził pozostałe stojaki.

— Same porno, przynajmniej z trzysta sztuk. Trzeba bę-

dzie jak zwykle dać jakiemuś nowemu. Całe szczęście, że żół-

todzioby nie wiedzą, co ich czeka, i się do tego garną. Ile pan stawia?

Komisarz przypomniał sobie o swoich wczorajszych urodzinach i powiedział:

— Czterdzieści cztery.

Aspirant aż gwizdnął.

— To będzie musiał pan trafić na jurnego byczka, żeby wygrać. Ja typuję — Gajda zakręcił trzymaną w ręku płytką, zastanawiając się, jaką liczbę podać — dwadzieścia trzy.

Zakład dotyczył liczby filmów, po których obejrzeniu no-wicjusz, najpierw przekonany, że złapał Pana Boga za nogi, skoro jego praca ma polegać na oglądaniu erotyków i państwo zamierza mu jeszcze za to płacić, poddawał się i ze łzami w oczach błagał, żeby mu dano inne zajęcie, choćby miało nim być kopanie rowu.

— Panowie — Gajda zwrócił się do techników, którzy skoń-

czyli pracę w pierwszym pokoju i przenosili się do drugiego

— mamy pornosy, zbieram zakłady, stawka bez zmian, dziesięć złotych, wygrywający bierze całą pulę.

Technicy zaczęli podawać swoje typy, które aspirant starannie odnotowywał w notesie.

— Dobra — komisarz odstąpił od szafek, nie znalazłszy w nich skalpu ani niczego, co przykułoby jego uwagę. — Nigdzie nie widziałem telefonu. Komórkę znaleźliście?

— Nie. Albo nie miał, albo morderca ją zabrał.

— Musiał mieć komórkę, skoro nie miał stacjonarnego —

uznał Przygodny. — Czas na sąsiadów. Najpierw ta, co wszczę-

ła alarm. Pod jakim numerem mieszka?

Aspirant zajął do tego samego notesu, w którym rejestrował zakłady.

— Zaraz naprzeciwko.

— Chodźmy.

W drodze do sąsiadki zatrzymali się jednak przy Majewskim, bo leżał na podłodze z opuszczonymi spodniami, a patolog oglądał właśnie termometr.

— Dwadzieścia dziewięć stopni — powiedział, widząc pytające spojrzenie Przygodnego. — Bierzemy wzorek, temperatura ciała minus odbyt plus trzy, wychodzi, że kopnął

w kalendarz jedenaście godzin temu, pod warunkiem że kiedy kopał ten kalendarz, zbytnio się nie wysiłał, bo od wysiłku rośnie temperatura ciała, a wtedy wzorek jest tak przydatny jak nóż rzeźnicki do operowania. Plamy opadowe się utwali-

ły, stężenie pośmiertne w pełni rozwinęło, więc przynajmniej temu wyliczeniu nie przeczą. Zakładając pewien margines, powiedziałbym, że delikwent zasilił szeregi umarłaków —

Małecki spojrzął na zegarek — wczoraj między dwudziestą drugą a dwudziestą czwartą.

— Plamy opadowe nie wskazują na przenoszenie zwłok?

— bardziej stwierdził, niż zapytał komisarz. Nie było żadnych poszlak, które sugerowałyby, że zabójstwa dokonano gdzie indziej. Mało kto wiąże trupa po przeniesieniu go w inne miejsce, a na pomysł transportowania zwłok w fotelu mógłby wpaść tylko morderca chcący koniecznie wzbudzić swoim postępkami sensację — tak trudne byłoby zrobienie tego dyskretnie. Zresztą fotel nie wyglądał na przyniesiony z zewnątrz, idealnie pasował do pozostałych mebli.

— Nie. Wycieczkę w zaświaty odbył z tego miejsca.

Policjanci z zadowoleniem skinęli głowami — mieli punkt zaczepienia przed rozmową z pierwszym świadkiem.

Okazało się, że do mieszkania naprzeciwko nie muszą dzwonić, bo sąsiadka, chuda staruszka w grubych okularach, stała przed drzwiami i wyciągając szyję, starała się coś dostrzec za przesłaniającymi jej widok Wójcikiem i Wojtkiewiczem.

— Dzień dobry, komisarz Przygodny z Komendy Wojewódzkiej. To pani nas powiadomiła o zdarzeniu? — upewnił

się komisarz, że właściwie założył, kim jest ciekawska kobieta.

— Tak, ja, straszne co...

— Pani się nazywa?

— Adela Sel ing z domu Kogutek.

Gajda omal nie parsknął śmiechem.

— Czy zaobserwowała pani coś niezwykłego wczoraj między dziesiątą a północą?

— Dziesiątą wieczorem? O nie, o tej porze to ja już dawno śpię. Zawsze byłam rannym ptaszkiem.

— Co może nam pani powiedzieć o zmar... o panu Majewskim?

Pani Sel ing spojrzała na komisarza tak, jakby zapytał ją, co może dobrego powiedzieć o papieżu.

— Bardzo porządny człowiek, spokojny, uprzejmy, zawsze mi się uklonił na schodach, choć rozmawiać za bardzo nie chciał, ale ja go rozumiem, po tej tragedii zamknięty się zrobił, straszna tragedia...

— Jaka tragedia? — wtrącił aspirant.

— Córka mu umarła, na białaczkę, osiem lat miała. Serce mi się krajało, jak widziałam ją z tą łysą główką, a taka ładna dziewczynka wcześniej była, i wesoła, ruchliwa, a tata, jaki był

z niej dumny, pamiętam, jak z wózcikiem chodził, wszyscy podziwiali, że taki troskliwy tatuś, a nie jak inni ojcowie, tylko wódka, a dzieckiem niech się matka zajmuje. No i jak Kasia, bo Kasia miała na imię, umarła, w domu, bo w szpitalu to jej już nawet leczyć nie chcieli, wtedy jego żona nie wytrzymała i do ośrodka trafiła, panowie wiedzą, dla psychicznych, i też z tej zgryzoty długo nie pożyła. On zaczął pić i stracił pracę. Potem jakoś z tego picia wyszedł, ale bardziej już się nie pozbierał i do pracy nie wrócił, tylko załatwił sobie rentę.

I później właściwie nie wychodził z domu.

— A wcześniej gdzie pracował?

— Urzędnikiem był, w magistracie.

— Kiedy wydarzyło się to z jego córką?

Pani Sel ing musiała chwilę pomyśleć.

— No będzie już ze trzydzieści lat. Tak, jeszcze za Gierka.

— Miał jakąś inną rodzinę? — przejął przesłuchanie komisarz.

— Nie, sam był na tym świecie jak palec.

— Ktoś go odwiedzał?

— Tylko pracownik z opieki społecznej. Bardzo miły młody człowiek. Jak spotkał mnie na schodach, zawsze zagadał, pomógł wnieść zakupy, no chyba że akurat niósł zakupy dla pana Mateusza, to wtedy nie.

— Wie pani, jak się nazywa?

Adela Sel ing pokręciła przecząco głową.

— Pan Piotrek, ale nazwiska nie znam.

— I mówi pani, że pan Majewski nigdzie nie wychodził?

— Nie, ostatnio miał już nawet trudności z chodzeniem, czasami tylko po południu po zakupy szedł, jak mu czegoś zabrakło, no i po gazetę zawsze sam wychodził, wcześniej gazet nie czytał, ale jak nastąpiła „Wyborcza”, codziennie kupował. —

Staruszce zaszklily się oczy, bo zwyczaj, dzięki któremu szybko znaleziono pana Mateusza, przypomniał jej, że sąsiad nie żyje. Zdjęła okulary, żeby je przetrzeć, i w trakcie tej czynno-

ści coś sobie skojarzyła. — Choć ostatnio w kościele, tu naprzeciwno, u Najświętszego Serca Jezusowego, grał na organach. Ale taki skromny był, że nic nie wspominał, a ja też nie zauważyłam, jak chodzi do tego kościoła, no ale przecież cią-

gle w oknie nie siedzę. — Pani Sel ing wyprostowała się z dumą, jakby chciała podkreślić, że ma szereg innych zajęć, a to, że sąsiad przez blisko dziewiętnaście lat nie zaniedbał ani razu wyjścia o wpół do siódmej rano po gazetę, zaobserwowała całkowicie przypadkiem. — Wiem stąd, bo ktoś mu napisał

na drzwiach czerwoną farbą „organista”.

— Organista? — Gajda nie był pewien, czy się nie przesłyszał. — Po co ktoś miałby to robić?

— Nie wiem. Ale pan Mateusz strasznie się zdenerwował, taki skromny był i nie chciał się chwalić.



Zaraz zmył napis, jak go zobaczył.

— A kiedy pojawił się ten napis?

— Ja wiem? Będzie z miesiąc temu.

— Czy pani sąsiad miał jakieś kontakty ze środowiskiem... indiańskim?

Aspirant usłyszał idiotyzm swojego pytania dopiero, kiedy je zadał.

— Ma pan na myśli prawdziwych Indian? Takich jak Winnetou? — Staruszka miała oczy okrągłe ze zdumienia.

Gajda zrobił się czerwony niczym prawdziwy Indianin, taki jak Winnetou, ale nie pozostawało mu nic innego, jak brnąć dalej.

— Tak.

— Nie, nie miał kontaktów ze środowiskiem indiańskim

— ton odpowiedzi zdradzał, że pani Adela Sel ing z domu Kogutek powzięła poważne wątpliwości, czy płacone przez nią na policję podatki są aby na pewno racjonalnie wydawane.

— Moglibyśmy porozmawiać z pani współlokatorami czy mieszka pani sama? — wybrnął z opresji Gajda.

— Sama mieszkam, odkąd zmarło się mojemu ślubnemu, świeć, Panie, nad jego duszą.

Policjanci podziękowali staruszce za wnikliwe obserwacje, bez ironii — wścibscy ludzie byli może zmorą sąsiadów, ale kiedy coś się stało, okazywali się bezcennymi świadkami.

— Trzeba ustalić tego pracownika opieki społecznej, zajmij się tym od razu — polecił Gajdzie komisarz — a ja przepytam następnego sąsiada.

Przygodny poszedł na górę i zadzwonił do mieszkania znajdującego się nad mieszkaniem denata. Ten lokator prę-

dziej mógł coś usłyszeć niż sąsiad z naprzeciwka.

— Kto tam? — odezwał się po dłuższym czasie zachrypnięty, starczy głos.

— Komisarz Przygodny z Komendy Wojewódzkiej. Proszę otworzyć, muszę zadać panu parę pytań.

Zgrzytnęła zasuwka i drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypieniem, jakby ostatni raz naoliwiono je za poprzedniego ustroju.

— Słucham.

Starzec za drzwiami silnie mrużył oczy, jakby raziło go światło. Musiał być krótkowidzem, ale widocznie zapodział

gdzieś okulary. Przygodny zaczął się zastanawiać, czy w tym domu trafi na młodszych mieszkańców.

— Jak się pan nazywa?

— Miecznik Radosław.

— Pana sąsiad z dołu... miał wypadek. — Stwierdzenie „został zabity” wywoływało zwykle przestrasz i wiele pytań, więc komisarz w miarę możliwości starał się go unikać. — Czy coś pan usłyszał wczoraj między dziesiątą a dwunastą wieczorem?

— Nie, spałem już.

No tak, jeśli mieszkali tutaj tylko starsi ludzie, którzy zwykle wcześniej się kładli, godziny przed północą były idealną porą na popełnienie morderstwa.

— A ktoś inny od pana?

— Kto inny? — zdziwił się Miecznik. — Mieszkam sam.

Powoli zakrawało to na scenariusz filmu grozy — stara kamienica zamieszkaana wyłącznie przez starych samotnych lokatorów.

— A generalnie zaobserwował pan coś niezwykłego w związku z panem Majewskim? Niekoniecznie wczoraj, mogło być wcześniej.

— Nie... — Miecznik się zawahał. — Chociaż wtedy, jak mu napisali na drzwiach „organista”, to chyba widziałem te-go, co to zrobił. Akurat wchodziłem do bramy, a on wypadł

jak wariat i mnie potrącił. O mało się nie przewróciłem, dlatego go zapamiętałem.

— Zapamiętał go pan? Jak wyglądał?

— Wysoki był, mniej więcej mojego wzrostu...

Komisarz patrząc na starca, doszedł do wniosku, że ten musiał albo wydatnie się skurczyć od czasu, kiedy uchodził

za wysokiego, albo przez całe życie pozostawał w błędnym przekonaniu, że przydomek Napoleona „Wielki” odnosił się do wzrostu cesarza Francuzów.

— ...młody...

Tym razem na szczęście nie padło „tak jak ja”. Przygodny wyczekiwał reszty rysopisu, ale przedłużające się zawieszenie głosu wskazywało, że dalszego ciągu nie będzie.

— Jak się stąd oddalił? Na piechotę, samochodem?

— Samochodem.

— Sam prowadził czy ktoś na niego czekał?

Miecznik zastanowił się.

— Wsiadł od lewej strony, więc musiał sam prowadzić.

— Jaki to był samochód? Kolor, marka...

— Kolor to jakiś ciemny, czarny albo granatowy. Tak.

Względnie ciemnozielony.

— A marka?

Miecznik jakby nie usłyszał pytania.

— Chociaż wie pan co, mózg płata nam często figle i jak mi się wydaje, że samochód był ciemny, to w rzeczywistości mogło być odwrotnie. Powiedziałbym więc, że raczej jasny, biały albo żółty.

— A może różowy?

Miecznik nie dostrzegł ironii, a komisarz zganił się za nią w duchu. Po dwudziestu latach w policji powinien już się nauczyć, że świadek dostarczający cennych informacji jest wyjątkiem, większość, nic nie zapamiętawszy, konfabuluje, plecie banialuki w przekonaniu, że mówi najszczerzą prawdę albo zwyczajnie kłamie.

— Nie, różowy nie, żółty.

— A jaka marka?

— Skoda Fabia.

— Jest pan pewien?

— Tak. Niech pan zaczeka.

Starzec zniknął w głębi mieszkania i po chwili wrócił

z kartką papieru i ołówkiem. Poślinił jego koniec, przyłożył

kartkę do drzwi i w skupieniu narysował logo... Volkswagena.

— Widzi pan? — zademonstrował Przygodnemu. — Taki znaczek miał na masce. W — Wagen, czyli samochód, V —

Fabia.

— Jak V, to byłoby raczej Wabia.

— V czyta się w niemieckim jak F — wyjaśnił niedouczono-nemu komisarzowi starzec.

— Ale Fabia jest czeskim samochodem.

Na pomarszczonej twarzy pojawił się wyraz zafrasowania, ale zaraz rozjaśnił ją radosny uśmiech.

— W czeskim V też czyta się jak F! — oznajmił triumfalnie Miecznik.

— Oczywiście. Bardzo panu dziękuję.

Przygodny odwrócił się, żeby zapukać do drzwi obok.

— Numer rejestracyjny DW czterysta pięćdziesiąt AM —

dobiegło go zza pleców.

Komisarz ponownie wykonał zwrot na pięcie.

— Co? Jakim cudem pan zapamiętał? — Był pewien, że usłyszy jakąś niestworzoną historię, ale nie mógł zignorować tak konkretnej informacji.

— Wie pan, w moim wieku trzeba ćwiczyć pamięć, intelektualna sprawność zapewnia dłuższe życie. No więc ćwiczę.

Między innymi zapamiętuję rejestracje samochodów. Bardzo prostym systemem. Do każdej cyfry od zera do dziewięciu trzeba przyporządkować jedną spółgłoskę. Ten układ będzie stanowił podstawę systemu, więc trzeba nauczyć się go na pamięć albo wymyślić taki, żeby łatwo dał się odtworzyć. Ja przyporządkowałem cyfrom kolejne spółgłoski z mojego nazwiska i imienia, bo jest ich równo dziesięć i się nie powtarzają. I tak zeru odpowiada M, jedyńce C, dwójce Z, trójce N...

— Dobrze, zrozumiałem — przerwał komisarz, bo starzec najwyraźniej zamierzał wymienić wszystkie dziesięć par.

— No i kiedy mam do zapamiętania kombinację cyfr, w tym przypadku czterysta pięćdziesiąt, tworzę ciąg odpowiadających im spółgłosek, przy czterysta pięćdziesiąt będzie to KRM, i uzupełniam samogłoskami, żeby powstało jakieś słowo, tutaj samo się nasuwa: KARMA. Czasami nie da się utworzyć jednego, wtedy trzeba utworzyć dwa, na przykład KARA MOJA. J jest spółgłoską spoza układu, więc nie przeszkadza. Słowo łatwiej zapamiętać niż ciąg przypadkowych cyfr. Kiedy trzeba odtworzyć numer, wystarczy wykonać odwrotną operację, do spółgłosek z utworzonego słowa podstawić odpowiadające im cyfry.

— A jak zapamiętuje pan litery? — zapytał naprawdę zaciekawiony komisarz. — Na numer rejestracyjny składają się też litery.

— Przymierzam sobie im nazwiska z jakiejś grupy, na przykład pisarzy czy polityków. Tutaj wybrałem kompozytorów. Kiedy więc zobaczyłem ten samochód parkujący pod bramą, ułożyłem sobie w myślach szereg: Donizetti, Wagner, Karłowicz, Akutagawa, Musorgski. Co po rozszyfrowaniu daje DW czterysta pięćdziesiąt AM.

Przygodny po raz pierwszy poczuł do rozmówcy szacunek, zwłaszcza że nigdy nie słyszał o kompozytorze nazwiskiem Akutagawa. Jednak coś było w tezie Przystanku Alaska, że każ-

dy człowiek ma jakieś zalety czy umiejętności, których często na pierwszy rzut oka nie widać. Przygodnego, jak wielu Polaków, zauroczył ten serial. Obejrzał go od pierwszego odcinka do ostatniego, a potem jeszcze powtórkę. Sam dla siebie, bo do Gabi Przystanek akurat nie trafił. Zwykle oglądali wspólnie to, co ona chciała, a preferowała romantyczne komedie i dramaty kostiumowe.

Mimo napływu szacunku komisarz nie do końca ufał pa-mięci Miecznika.

— Jest pan pewien? Ostatecznie było to dość dawno.

— Wcale nie tak dawno, góra dwa tygodnie temu.

Pani Seling mówiła wprawdzie o miesiącu, ale chociaż sprawiała wrażenie wiarygodniejszego świadka, mogła się mylić. Zwłaszcza że nie wydawała się pewna podawanej przez siebie daty, a pan Miecznik tak. Inna sprawa, że świadkowie wypowiadający się z pełnym przekonaniem mylili się częściej niż ci, którzy wahali się w zeznaniach.

Komisarz uznał, że na razie tej sprzeczności nie rozstrzygnie, zanotował numer, podziękował starcowi i sięgnął po komórkę, chwilowo rezygnując z przepytania sąsiada z naprzeciwka.

— Słucham pana, szefie — Gajda odebrał telefon po pierwszym sygnale.

— Znalazłeś tego pracownika opieki społecznej?

— Jestem właśnie w MOPS-ie, bo na telefon twierdzili, że żaden Mateusz Majewski z ich pomocy nie korzystał, a wiadomo, jak jest: nie chce im się dokładnie popatrzeć, to zbywają człowieka. Ale stoję tu nad nimi i niestety się potwierdza, nie mają go w bazie danych. Musiał korzystać z prywatnej opieki.

— Widziałeś jego mieszkanie i odcinek emerytury. Nie byłoby go stać.

— Zapomniał pan o plazmie, panie komisarzu. Skądś miał na ekstra wydatki.

Przygodny musiał przyznać aspirantowi rację.

— Słusznie. Pojedź teraz do Wydziału Komunikacji i dowiedz się, kto jest właścicielem volkswagena DW czterysta pięćdziesiąt AM. Granatowy w żółto-różowe ciapki.

— Jaki kolor?!

— Nieważne. Jak się dowiesz, sprawdź właściciela.

— Tak jest.

Komisarz rozłączył się bez pożegnania, zszedł na dół

i zwrócił się do pani Seling, która nadal czatowała pod wyłamanymi drzwiami, mając nadzieję, że zobaczy chociaż wynoszone zwłoki, skoro nie mogła wejść do środka.

— Ten pracownik z opieki społecznej przychodził jakoś regularnie?

— Tak. Raz na tydzień, we wtorki, około wpół do czwartej.

Mieli środę.

— Wczoraj też przyszedł?

— Tak.

— A po nim ktoś jeszcze odwiedził pana Majewskiego?

— Nie. W każdym razie ja nie widziałam.

Zamysł Przygodnego był taki, żeby kazać Wójcikowi i Wojtkiewiczowi poczekać na opiekuna w dniu, w którym ten przychodził. Stąd pytanie, czy przychodzi regularnie. Jeśli sam nie zamordował Majewskiego, powinien zjawić się jak zwykle, bo nie miał kto powiadomić go o śmierci chlebobawcy. Ale cały tydzień czekać nie mogli. Zwłaszcza że, jak się okazywało, ów młody człowiek był najprawdopodobniej ostatnią osobą poza mordercą, która widziała ofiarę przy życiu.

— Może zapamiętała pani coś więcej niż tylko imię tego opiekuna? Jakieś szczegóły, które pozwoliłyby go zidentyfikować?

— Niestety nie. — Staruszka rozłożyła ręce w wymownym geście, że z całego serca chciałaby pomóc policji, ale nawet ona nie może wiedzieć wszystkiego.

— Jakieś informacje, które pozwoliłyby się z nim skontaktować? — Przygodny nie poddawał się. — Może wspomniał, gdzie mieszka, jak rozmawialiście na schodach. Proszę się zastanowić, to bardzo ważne.

— Nie, nie mówił mi, gdzie mieszka — rozwiła nadzieje komisarza pani Seling. — Ale jeśli trzeba się z nim skontaktować, to wystarczy zadzwonić.

— Ma pani jego numer telefonu?! — Przygodny chyba po raz pierwszy w swojej karierze dał się wyprowadzić z równowagi świadkowi. Dotąd najwyżej udawał wściekłość — kiedy dostrzegał, że tylko w ten sposób wydobędzie odpowiedź —

zachowując w środku całkowity spokój. Uświadomił sobie, że wykruszyła się pierwsza cegła z muru

stoickiego opanowania, jakim odgradzał się od pytanych, i że kiedy wypadnie ostatnia, gołymi rękami udusi świadka pokroju pani Seling czy pana Miecznika. — Czemu pani od razu nie powiedziała?!

Staruszka wzruszyła ramionami.

— Przecież nikt mnie nie pytał. Pan Mateusz nie miał telefonu...

— W ogóle? Komórki też nie?

— Też nie. No i pan Piotrek zostawił mi do siebie numer, żebym zadzwoniła, gdyby panu Mateuszowi coś się stało albo chciał go wezwać.

— I zadzwoniła pani?

Adela Seling popatrzyła na komisarza, nie rozumiejąc, dlaczego zmarły miałby wzywać swojego opiekuna. Dopiero po chwili dotarł do niej sens pytania.

— Ale nie tak! Gdyby zachorował albo coś, przecież teraz pan Piotrek nic by nie pomógł.

Logika niejedno ma imię.

— Niech pani da mi ten numer.

Staruszka zniknęła w drzwiach swojego mieszkania. Nadzieje Przygodnego, że w miarę szybko wyłoni się z nich z powrotem, okazały się płonne. Odczekał kilka minut, a potem ruszył za nią, żeby ponaglić i przyspieszyć poszukiwania najwyraźniej zawieruszonego numeru, lecz zatrzymał go znajomy głos:

— Witam pana komisarza! Prasa się melduje.

Przygodny odwrócił się i zobaczył wchodzącego po schodach Jerzego Kuriatę.

— A, cześć!

Kuriata był dziennikarzem działu kryminalnego miejscowego „Kuriera”. Poznali się przy pierwszej sprawie Przygodnego, młodszy o cztery lata Kuriata wówczas również dopiero zdobywał reporterskie szlify. I ta sprawa połączyła ich przyjaź-

nią. Nie mogło być inaczej, kiedy dwóch żółtodziobów stanęło nagle w obliczu śmierci i uratowała ich pewna ręka jednego i trzeźwy umysł drugiego. Mieli świadomość, że gdyby w pu-

łapce znalazł się tylko jeden z nich, nie przeżyłby. Kuriata nie miał broni, nie umiał zresztą strzelać, a Przygodny musiał

skupić uwagę na wymianie ognia z przeważającymi liczebnie bandytami i nie był w stanie szukać drogi ucieczki, którą dziennikarz bardzo sprytnie zaaranżował z wydawałoby się pozbawionej wyjścia pułapki.

— Wróble ćwierkają, że macie morderstwo palce lizać, które podwoi nam nakład.

Przygodnego i Kuriatę połączyła nie tylko przyjaźń, ale i zawodowy układ. Komisarz udzielał dziennikarzowi informacji na wyłączność, ten rewanżował się wiedzą zdobytą swoimi kanałami. Współpraca miała jednak ograniczenia i obaj je respektowali: Przygodny zastrzegał, że nie wszystkie fakty są do druku, a Kuriata zachowywał dla siebie informacje, które mogłyby zdemaskować jego informatorów albo im zaszkodzić.

— Ofiara ze strzałą w brzuchu i oskalpowana.

Dziennikarz rozpromienił się w uśmiechu, który, zważywszy na okoliczności, ktoś mógłby uznać za niestosowny.

Przygodnego też na początku podobne reakcje przyjaciela rażyły, ale ten się bronił: „No co? taką mam pracę. Czy ty odczuwasz jakieś współczucie dla ofiary? Umiarkowane. Skupiasz się na swoich obowiązkach, sęk w tym, że ty masz szlachetne zadanie, złapać zabójcę, więc uchodzisz za prawego rycerza.

Moją rolą jest opisać zdarzenie ciekawe dla czytelnika, ale czytelnika nie ciekawi opis dnia pensjonarki, tylko gwałt na pensjonarce. Tymczasem to ja uchodzę za hienę, mimo że jedynie rzucam hienom padlinę. Ja jestem karmicielem hien, a karmiciel nie może podawać żarcia wedle własnego smaku, bo mu podopieczni padną z głodu. I kiedy masz wyżywić hieny, nie cieszysz się na widok zgrabnie biegnącej gazeli, tylko na widok tej samej gazeli z przegryzionym przez lwa gardłem”.

— Przyczyny zgonu jeszcze nie mamy, ale okoliczności nie wskazują na nic innego poza morderstwem. Ofiara była związana, a nawet jeśli strzała i oskalpowanie są tylko przedstawieniem, wątpię, by ktoś urządzał takie przedstawienie po wypadku, samobójstwie czy naturalnym zejściu.

— Rzeczywiście przedstawienie niewąskie, nie tylko podwoi nam nakład, ale może i wykończy konkurencję. — Kuriata uśmiechnął się ponownie, tym razem złośliwie. — Jest szansa, że „Wrocławskiej” to umknie, bo z tego, co wiem, wła-

śnie stracili informatora.

Przygodny nie byłby oficerem dochodzeniowym, gdyby nie potrafił dodać dwa do dwóch i stwierdzić, że owym informatorem musiał być stary patolog.

— Chciałbym znaleźć się na ich kolegium redakcyjnym, kiedy będą omawiać spady.

— Spady? Co to jest?

— Przeoczone tematy, o których napisała konkurencja.

Nasz naczelny jest zdrowo pierdolnięty na tym punkcie, ale ich jeszcze gorszy. Misiak — tak nazywał się redaktor naczelny

„Kuriera” — wszedł kiedyś na mnie, bo „Wrocławska” opisała morderstwo popełnione we



Wrocławiu w XVII wieku, a my nie.

Artykuł był ewidentną zapchajdziurą na sezon ogórkowy, a Misiak się piekli i każe mi drażyć temat, bo skoro jesteście spóź-

nieni z newsem, to mamy podać więcej faktów. Też mi news.

Truposzczak sprzed trzystu pięćdziesięciu lat, żeby jeszcze wy-ciągnięty gdzieś z rowu przez archeologów, ale nie, z archiwum. Olałem polecenie, za co Misiak polecał mi po premi .

Przygodny, zniecierpliwiony, spojrzął na zegarek, bo pa-ni Sel ing nadal szukała numeru telefonu. Doszedł jednak do wniosku, że stojąc nad nią, wcale tego szukania nie przyspieszy, a wręcz może opóźnić, bo starsi ludzie zwykle nie działają efektywnie pod presją.

— No i wyobraź sobie teraz naczelnego trzy razy bardziej pierdolniętego niż Misiak, czołówkę „Kuriera” „Komańcze grasują we Wrocławiu?” i pierwszą stronę „Wrocławskiej”

z lamentami, że radni zamknęli jakieś przedszkole czy żło-bek. Ciągłe zamykają, więc to jest taki news jak informacja, że w sylwestra odbywają się bale. Stawiam dolary przeciwko orzechom, że ich naczelny dostanie białej gorączki, piany na ustach i apopleksji, szef działu kryminalnego wyleci z hukiem, a dziennikarze zostaną przesunięci do redagowania repertu-aru kin. Zobaczyć Neapol, czyli jak ich sztorcuje, i umrzeć. —

Kuriata zaśmiał się. — No, wprowadź mnie w szczegóły, żebym mógł ich dokumentnie pograć.

Kiedy Przygodny zdawał Kuriacie dokładniejszą relację, zaznaczając, które fakty mogą zostać opublikowane, a które, przynajmniej na razie, objęte są tajemnicą, otworzyły się drzwi mieszkania pani Sel ing i ukazała się jego właścicielka, z dumą dzierząca w ręku karteczkę z numerem telefonu.

— Proszę — podała ją komisarzowi.

Ten przerwał relację w pół słowa, sięgnął po swoją nokię i wybrał zapisany numer. Mimo wielokrotnych sygnałów nikt nie odbierał i komisarz był już pewien, że odezwie się poczta głosowa albo próba połączenia zostanie przerwana, toteż lekko się wzdrygnął, kiedy usłyszał:

— Halo?

— Dzień dobry. Komisarz Przygodny z Komendy Wojewódzkiej. Do kogo się dodzwoniłem?

Przez chwilę nie było odpowiedzi, najwyraźniej opiekuna zaskoczył ten dziwny telefon i zastanawiał się, jak powinien zareagować.

— Piotr Ratajczyk. Coś przeskrobałem?

— Pan pomaga Mateuszowi Majewskiemu?

— Tak, coś mu się stało?

— Niestety, znaleźliśmy go martwego. Muszę prosić, żeby podjechał pan do Komendy Wojewódzkiej i złożył zeznania.

— Kiedy?

— Jak to kiedy? Od razu.

— Ale ja jestem w pracy! — sprzeciwił się Ratajczyk.

— Trudno, to nie może czekać, proszę dać mi do telefonu swojego szefa.

— Nie mam szefa, jestem u podopiecznego, będę musiał

go zostawić. No ale skoro pan mówi, że sprawa niecierpiąca zwłoki... Co się stało panu Majewskiemu? Dostał zawału? Mówi-

łem mu, żeby nie forsował się tym chodzeniem po gazetę, że też mu przyniosę, najwyżej przeczyta z kilkudniowym opóź-

nieniem, ale nie chciał mnie słuchać.

— Dowie się pan wszystkiego w komendzie.

— A gdzie jest ta komenda?

— Na Podwału, numer trzydzieści jeden, trzydzieści trzy.

Proszę zapytać na dole o komisarza Przygodnego lub aspiranta Gajdę. Jeśli nas jeszcze nie będzie, proszę poczekać.

Komisarz rozłączył się i natychmiast zadzwonił do Gajdy.

— No i jak, masz właściciela tego volkswagena?

— Jeszcze nie, walczę z biurokratami. Jak mi jakiś urzę-

das z Wydziału Komunikacji zgłosi, że padł ofiarą przestępstwa, będę bardzo starannie wypełniał wszystkie formalności i z pełną satysfakcją pozwolę przestępcy uciec.

Przygodny udał, że nie słyszał tej deklaracji.

— Namierzyłem opiekuna Majewskiego i muszę jechać do komendy, żeby go przesłuchać. To w tej chwili najważniejszy świadek, bo zdaje się, że ostatni widział ofiarę. Kiedy więc ustalisz właściciela, daj mi znać, ja sam go sprawdzę, a ty wróć tutaj i przesłuchaj resztę mieszkańców. Te-  
Selig i są-

siada z góry, nazywa się Miecznik, trzeba wziąć na komendę i zaprotokołować ich zeznania. No i

oczywiście dalszych lokatorów, jeśli powiedzą coś ciekawego.

— Jasne, szefie, nie robię tego pierwszy raz.

— Aha, wstąp przy okazji do kościoła i zapytaj, czy Majewski rzeczywiście grał tam na organach. Ten napis jest mocno podejrzany.

Wciskając klawisz z czerwoną słuchawką, dostrzegł, że Kuriata chce zapytać, o jaki napis chodzi.

— Sorry, Jurek — ubiegł go — ale teraz nie mam czasu, muszę lecieć, zadzwoń później.

— Nie ma sprawy — dziennikarz wiedział, że w przypadku Przygodnego nachalnością nic nie wskóra.

Ratajczyk nie dotarł jeszcze do komendy, więc komisarz zrobił sobie kawę. Po turecku, nie uznawał ekspresów, generalnie nie uznawał urządzeń, które automatyzowały czynno-

ści, jakie doskonale można było wykonać ręcznie. Krajalnica do chleba była dla człowieka władającego obiema rękami tak samo zbędna jak automatyczny podajnik w miejsce łyżki czy widelca. Wziął kubek z czarnym płynem i nim usiadł przy biurku, zdążył pociągnąć gorzki łyk — śmietanka i cukier zamieniały jego zdaniem prawdziwą kawę w napój kawopodobny.

Miał chwilę na pierwsze podsumowanie. Znaleźli zamordowanego we własnym mieszkaniu emeryta, w którego życiu i istotnie istotne wydarzenie nastąpiło przed trzema dekadami.

Wyglądało na to, że od tego czasu zamknął się w domu i jego jedyny kontakt ze światem stanowił opłacony opiekun. Nie miał telefonu, nawet z sąsiadami nie ucinał sobie pogawędek.

Odciąwszy się od świata, trudno narazić się komuś do tego stopnia, żeby paść ofiarą morderstwa. Jakiś wąty trop stanowiły wydatki na kino domowe i prywatnego opiekuna, znacznie przekraczające możliwości emeryta, byłego urzędnika i rencisty. Ale czy rzeczywiście? Przygodnemu przypomniawszy jego babcia. Z emerytury wywołującej uśmiech po-litowania potrafiła jeszcze odłożyć, a że odkładała przez lata, nagle dysponowała całkiem sporymi sumami. Pokolenie wojny miało oszczędzanie we krwi, bo wiedziało, co znaczy bieda i głód. Majewski urodził się dopiero w czterdziestym roku, ale na pewno wychowali go rodzice oglądający każdą złotówkę.

Skoro wpoili mu nawyk oszczędzania, bez trudu odłożyłby na sprzęt i opiekę, zwłaszcza jeśli nie miał innych dużych wydatków, a wnioskując ze stanu mebli, można było przyjąć takie założenie. Nie, motyw rabunku pieniędzy z potencjalnego dodatkowego źródła stanowił ślepią uliczkę.

Tym bardziej że nijak miał się do sposobu zabójstwa, do oskalpowania. A od tego trzeba było wyjść, bo żaden typowy motyw nie wyjaśniał, dlaczego morderca nie posłużył się pistoletem, nożem czy pałką. Mogła to wprawdzie być inscenizacja na użytek śledczych, mająca wprowadzić ich w błąd, skierować śledztwo na manowce — sam w rozmowie z Jurkiem użył określenia „przedstawienie” — ale jeśli miała słu-

żyć temu celowi, była właśnie zbyt teatralna; fałszywe tropy są dyskretniejsze, udają prawdziwe, a

nie zadziwiają swoją oryginalnością. Zabójca miał czas, żeby przemyśleć swoją strategię, nie popełnił mordu spontanicznie, nikt nie chodzi z łukiem po Wrocławiu, więc panika nie mogła mu podsunąć fatalnego pomysłu na zatuszowanie okoliczności morderstwa. Owszem, jeszcze nie ustalili oficjalnie przyczyny zgonu, ale jeśli nawet morderca udusił Majewskiego pod wpływem impulsu, to raczej nie miałby przy sobie łuku i strzał, żeby zaaranżować przedstawienie. A gdyby po nie poszedł, zdążył-

by po drodze ochłonać i wymyślić coś lepszego. Jeśli w ogóle potem chciałby wracać na miejsce zbrodni, musiałby przecież zdać sobie sprawę, jakie niesie to za sobą ryzyko.

Przygodny oderwał żółtą karteczkę z bloczka na biurku, napisał na niej: „Skąd miał łuk?” i przykleił na obramowaniu monitora. Potem uruchomił komputer, połączył się z inter-natem i wszedł na stronę Wikipedii. Do okienka wyszuki-warki wpisał hasło „skalp”. Otworzyła się strona ze zdjęciem indiańskiego wodza. „Skalp — przeczytał — trofeum wojen-ne znane wśród niektórych plemion Indian Ameryki Północ-nej”. Tyle wiedział. „Zwykle skrawek skóry głowy z włosami zerwany — poprzez nacięcie — z głowy pokonanego wroga”.

Niestety, miał okazję zobaczyć to na żywo. I choć opis nigdy nie dorówna obrazowi, w tym przypadku wolałby poprzestać na opisie. „Zdobycie skalpu miało często znaczenie kultowe i magiczne”. Może więc jakaś sekta, młodzieńcy, którym znudził się satanizm, więc sięgnęli do obyczajów indiańskich?

Niewykluczone. „Skalpowanie stało się zwyczajem, gdy władze kolonii brytyjskich zaczęły płacić za zabicie szczególnie zniechęconych Indian”. Skalp jako dowód, że dokonano zle-conego zabójstwa? Nie w czasach fotografii cyfrowej. „Skalpy zbierali nie tylko Indianie, ale i biali”. To rozszerzało krąg podejrzanych, mordercy należało szukać także poza środowiskiem indiańskim — komisarz uśmiechnął się na wspomnienie nieszczęśliwego pytania Gajdy.

Spojrzał na zegarek; gdzie podziewał się ten Ratajczyk, już dawno powinien był dotrzeć. Sięgnął po komórkę, żeby to ustalić, kiedy zadzwonił telefon na biurku.

— Panie komisarzu — rozpoznał głos dyżurnego — niejaki Piotr Ratajczyk do pana.

— Macie tam jakiegoś wolnego funkcjonariusza? Niech mi go przyprowadzi.

Osobom postronnym nie wolno było chodzić samopas po komendzie, policjant wzywający świadka powinien zaprowadzić go na górę, ale Przygodnemu zwykle się nie chciało.

— Zaraz kogoś znajdę — dyżurny nie był zadowolony, że ma dodatkową robotę, ale jako niższy stopniem nie mógł

wskazywać komisarzowi, że sam powinien przyjść po Ratajczyka. Służby mundurowe nie są klubem dyskusyjnym, a rozkazy zaproszeniem do debaty. Na rozkaz odpowiada się „tak jest” i zabiera do jego wykonania, a przełożonego nie obchodzi zdanie podwładnego w tej kwestii. Jak mu się rozkazy nie podobają, ma dwa wyjścia: awansować, żeby samemu je wydawać, albo przenieść się tam, gdzie decyzje zapadają na drodze konsensusu.

Przygodny zdążył dopić stygnącą już kawę, kiedy umundurowana policjantka wprowadziła do pokoju wysokiego, szczupłego chłopaka, trochę w typie skandynawskim, o blond włosach i niebieskich oczach, z których jedno było okolone siłą obwódka. Komisarzowi natychmiast zapaliła się lampka ostrzegawcza — przy sprawie o morderstwo człowiek posiniaczony, podrapany czy poraniony z miejsca staje się głównym kandydatem na podejrzanego, bo obrażenia mogą być wynikiem tego, że ofiara się broniła.

— Skąd pan to ma? — wskazał na podbite oko.

— A poszedłem wczoraj do pubu i wynikła różnica zdań między mną a jednym gościem, z tym że, jak pan widzi, on miał mocniejsze argumenty. — Ratajczyk skrzywił się na to najwyraźniej bolesne wspomnienie.

— Czego dotyczyła ta różnica zdań?

— A czego mogła dotyczyć? Kobiety.

Komisarz wskazał chłopakowi krzesło.

— Co się stało panu Majewskiemu? — zapytał Ratajczyk, gdy już usiadł. — W pierwszej chwili pomyślałem o zawale, ale przecież wtedy policja nie zajmowałaby się jego śmiercią.

— Prawdopodobnie został zamordowany.

— Zamordowany?! Przez kogo?!

— Właśnie to próbujemy ustalić.

— Nie, nie o to mi chodzi. Pan Majewski z nikim nie utrzymywał kontaktów, nigdzie się nie angażował. Jeśli dobrze poskładałem jego historię, bo nie był zbyt wylewny i tylko czasami coś wspomniał półsłówkiem, po śmierci córki i żony całkowicie odciął się od ludzi. Kto mógł zamordować człowieka, który nikomu nie wadził?

Dobre pytanie.

Komisarz otworzył plik z formularzem protokołu i wpisał

imię i nazwisko przesłuchiwanego.

— Będzie pan zeznawał w charakterze świadka. Pouczam, że za składanie fałszywych zeznań grozi odpowiedzialność kar-na. — Przygodny doskonale wiedział, że jest to czcza groźba.

Miał kiedyś sprawę, w której morderca o mało mu się nie wymknął przez łgarstwa świadka. Rozeźlony złożył zawiadomienie do prokuratury w Warszawie, bo świadek był stamtąd i przesłuchiwali go warszawscy policjanci. A potem zaczął się ja-kiś koszmarny sen. Prokuratura Rejonowa odmówiła wszczęcia śledztwa. Złożył zażalenie do Okręgowej. Zostało uwzględnione.

Rejonowa przeprowadziła postępowanie, skupiając się na po-bocznych wątkach i ignorując dowody, że świadek kłamał, po czym umorzyła śledztwo w związku „z niestwierdzeniem przestępstwa”. Złożył ponownie zażalenie do Okręgowej, ale tym razem Okręgowa też była ślepa na dowody i sprawa trafiła do sądu. Sąd nakazał podjąć śledztwo, w miążdzącym uzasadnieniu punktując wszystkie błędy prokuratury. Przygodny był już pewien zwycięstwa, ucieszony powiedział sobie „są jeszcze sądy w Warszawie”, kiedy jak obuchem w głowę dostał kolejne umorzenie śledztwa. Z uzasadnieniem żywcem przepisany z poprzedniego, jakby po drodze nie było sądowego orzeczenia.

I okazało się, że nic nie może zrobić.

Poskarżył się Jurkowi, który skargą przyjaciela specjalnie się nie przejął.

— Tak się żalisz, jakbyś pracował, nie wiem, w rzeźni, a nie w wymiarze sprawiedliwości. Prokuratura i policja no-torycznie nie chcą zajmować się sprawami, które uznają za duperele. Mam przynajmniej jeden telefon dziennie od czytelnika, że chciał zgłosić przestępstwo, a policjanci starali się go przekonać, żeby nie zgłaszał.

Przygodny był szczerze zdumiony.

— Nigdy nie odesłałem nikogo, kto chciał mi zgłosić przestępstwo.

— Bo pracujesz w wydziale zabójstw, zwłoki trudno zamieść pod dywan. Spróbuj jednak złożyć zawiadomienie, że ukradli ci rower albo wybili szybę w samochodzie. Najpierw poproszą cię, żebyś się dobrze zastanowił, czy roweru aby na pewno nie zgubiłeś, a szyby nie wybił kamień, który wyleciał

spod kół. Ja już nie mówię, żebyś próbował zgłaszać wykroczenia, na przykład przeklinanie w miejscu publicznym czy kradzież kilku jabłek z ogrodu, wtedy od razu odwieźliby cię do czubków. Tu nie Nowy Jork, panie komisarzu, u nas obowiązuje zasada „sto procent tolerancji”.

— Ale to była poważna sprawa! Przez te fałszywe zeznania o mało nie wymknął się morderca!

— Może więc najpierw uznali za duperele, nie przeczytali dokładnie, o co chodzi, i potem podeszli do tego ambicjonalnie: nie będzie im jakiś prowincjonalny gliniarz udowadniał, że się pomylili. Albo zwyczajnie ktoś wziął w łapę.

— Przecież nawet sąd nakazał im się tym zająć. Jeśli można ignorować nakazy sądu, to system nie funkcjonuje!

— No i spadły ci łuski z oczu.

Nawet jednak pozbawiony złudzeń, komisarz musiał odpowiednio pouczyć świadka.

— Pana adres? — zadawał kolejne formalne pytania Rataj czy ko wi.

— Inowrocławska pięćdziesiąt dwa mieszkania dwanaście.

— Kod pocztowy?

— Pięćdziesiąt trzy, sześćset czterdzieści osiem.

— Mieszka pan z rodzicami?

— Nie, sam, rodzice cztery lata temu wyjechali do pracy do Szwecji, są lekarzami.

— Ile ma pan lat?

— Dwadzieścia trzy.

— Zawód?

— Jeszcze studiuję.

— Co?

— Analitykę medyczną. No i zarabiam na studia jako pielęgniarz, ukończyłem studium pielęgniarstwa, opiekuję się starszymi ludźmi.

— I opiekował się pan też Mateuszem Majewskim?

— Tak, chociaż pan Majewski w zasadzie pomocy za bardzo nie potrzebował, miał trochę słabe serce, ale generalnie radził

sobie sam. Myślę, że jednak na starość zaczął mu doskwierać brak kontaktu z ludźmi i dlatego mnie zatrudnił. W każdym razie, kiedy sprzątałem, chodził za mną po mieszkaniu i wciągał

mnie w rozmowę, głównie na temat aktualnych spraw, tego, co przeczytał w gazecie. O sobie rzadko coś mówił.

— Sprzątał pan u niego? — Przygodny był zaskoczony.

- Może feministki mnie zabijają, ale do sprzątania zwykle zatrudnia się kobiety.

— Pytałem go o to, powiedział, że młodej dziewczyny nie chce, bo ciągle zastanawiałby się, jak wyglądałaby w tym wieku jego córka, a stare baby rażą jego poczucie estetyki.

Ratajczyk obejrzał się, jakby chciał się upewnić, że za krzesłem nie przystanęła żadna wojownicza feministka.

Komisarz zastanowił się nad kolejnym pytaniem z palcami nad klawiaturą.

— Wczoraj odwiedził go pan jak zwykle około wpół do czwartej? — Znał wprawdzie odpowiedź, ale musiał ten fakt mieć wpisany do protokołu.

— Tak — potwierdził przesłuchiwany.

— Czy dostrzegł pan coś niezwykłego w zachowaniu pa-na Majewskiego? Może był zdenerwowany, zaniepokojony, czymś przestraszony?

— Nie, nic z tych rzeczy. Zachowywał się zupełnie normalnie.

— Czy kogoś jeszcze tego dnia oczekiwał?

— Jeśli nawet, to nic mi o tym nie wspomniał. Ale nie są-

dzę, nie wydaje mi się, żeby wpuszczał do swojego mieszkania kogokolwiek poza mną.

— O której pan wyszedł?

— Jak zwykle, około wpół do szóstej.

— I już więcej pan nie wracał?

Ratajczyk zrobił zdumioną minę.

— Nie, po co?

— Gdzie pan był między...

Pytanie przerwała melodia piosenki *Miasto budzi się*.

Przygodny sięgnął po komórkę, którą położył na biurku, i zobaczył, że dzwoni Gajda.

— Słucham cię.

— Mam w końcu właściciela volkswagena. Passata, na-wiasem mówiąc. Nazywa się Roman Kozłowski. Zamieszkały ulica Chorwacka czterdzieści pięć przez trzy, Wrocław. Jadę teraz na Wrońskiego.

— Dobra.

Rozłączył się i wstał.

— Proszę chwilę poczekać — polecił Ratajczykowi.

Wyszedł na korytarz i wybrał numer do podinspektora Zielińskiego. Dariusz Zieliński miał romans z referentką punktu informacyjnego Krajowego Rejestru Karnego, a przez to dostęp do informacji poza oficjalną procedurą, co było bardzo przydatne, bo choć punkt mieścił się przy Sądzie Okręgowym, czyli dwie przecznice dalej, przesłanie danych trwało nieraz ty-le, jakby szły ze Szczecina albo z Zamościa. Ponieważ żona Zielińskiego i Gabi były przyjaciółkami, podinspektorowi zależało, by Przygodnemu nic się nie wymknęło na temat romansu, o którym dowiedział się przez nieuwagę samego Zielińskiego.



Dostał kiedyś od niego bardzo czuły e-mail z podziękowaniami za upojną noc, miłosnymi wyznaniem i planami wspólnej przyszłości. Najpierw się zdziwił, bo jako żywo z Zielińskim ani nie spędzał upojnych nocy, ani nie planował z nim wspólnej przyszłości, ale szybko się zorientował, dlaczego dostał tego maila. Flama Zielińskiego miała na imię Maria i imię musiało być w jej adresie poczty elektronicznej. Zieliński wpisał w polu adresat „mar”, program automatycznie uzupełnił resztę, ale jako „marek.przygodny”, bo alfabetycznie „Marek” był przed

„Marią”. Zieliński nie spojrzał na uzupełnienie względnie nie zarejestrował, że w tej chwili pisze do innego adresata, i wy-słał e-maila. Sam Przygodny zostawiłby sprawę bez dalszego ciągu, nie zwykł wtrącać się w prywatne życie innych ludzi ani wyciągać korzyści z wiedzy na ich temat, ale Zieliński, chcąc mieć pewność, że kolega nie podzieli się tą wiedzą ze swoją żoną, poprosił go o dyskrecję, a jako wyraz wdzięczności zaproponował pomoc przy szybszym uzyskiwaniu informacji z KRK.

— Halo? — odebrał Zieliński. Podinspektor, jak wiele innych osób, nie potrafił dopasować odzywki po odebraniu telefonu do faktu, że na wyświetlaczu widniała informacja, kto dzwoni. Technika rozwijała się tak szybko, że język nie nadą-

żał za zmianami.

— Cześć, tu Marek. Dowiedziałbyś mi się o jednego goś-

cia w KRK? Oficjalnie nie ma sensu, bo na razie jest na marginesie sprawy, ale jakby coś na niego było, może bym go powiązał albo łatwiej przycisnął.

— Jasne. Dawaj namiary.

Komisarz podyktował nazwisko i adres.

— Kozłowski, mówisz? Roman Kozłowski? Czekaj, ja go skądś znam.

Przez parę sekund Przygodny słyszał w słuchawce sapanie, będące zapewne objawem intensywnego wysiłku myślowego.

— Nie, nie przypomnę sobie. Dobra, poproszę Marysię, żeby przygotowała ci dane.

Zakończyli rozmowę i komisarz wrócił do Ratajczyka.

— Na czym to skończyliśmy...? — spojrzał na ekran monitora. — Ach tak, gdzie pan był wczoraj między dwudziestą drugą a dwudziestą czwartą?

— W pubie, gdzie to się stało — przesłuchiwany przypominającym gestem pokazał na swoje podbite oko.

— Jak nazywa się ten pub?

— Guinness, na placu Solnym.

— W jakich godzinach pan tam był?

— No właśnie między dwudziestą drugą a dwudziestą czwartą.

— Dokładnie? — zdziwił się komisarz.

— No może nie co do minuty, ale poszedłem około dziesiątej, chciałem wyrwać jakąś dupę i zwykle daję sobie na polowanie dwie godziny, jak się nie uda, wracam do domu.

Wczoraj się nie udało, zresztą zdziwiłbym się, gdybym z taką facjatą — znowu pokazał na swoje oko — wyrwał jakiś towar.

— Ktoś może potwierdzić, że był pan w tym pubie? Miał

pan jakieś towarzystwo?

— Towarzystwo? Do podrywu? Nie, nie przepadam za grupowymi układami. Ale personel pewnie zapamiętał awanturę, była dosyć głośna, nawet chcieli wzywać policję, kiedy ten gość mnie znokautował, ale się nie zgodziłem. Ostatecznie chodziło o sprawę honorową: ja mu próbowałem odbić la-skę, a on się sprzeciwił.

— Będziemy musieli potwierdzić pańskie alibi. Proszę się nie ruszać.

Przygodny wziął komórkę i zrobił zaskoczonemu Ratajczykowi zdjęcie.

— Alibi? Jestem podejrzany? Dlaczego miałbym zabijać pana Majewskiego?

— Nie jest pan podejrzany, ale skoro wedle własnych słów, był pan jedyną osobą, która łączyła Majewskiego ze światem zewnętrznym, musimy pana wykluczyć. Z tego samego powodu musimy pobrać od pana odciski palców, żeby porównać je ze znalezionymi w mieszkaniu.

— Ale przecież moje odciski są w mieszkaniu! — Ratajczyk nie zrozumiał intencji komisarza. — To chyba logiczne, skoro przychodziłem tam co tydzień i jeszcze sprzątałem.

— Oczywiście — uspokoił go Przygodny. — Ale musimy wiedzieć, które są pańskie, żeby szukać właścicieli pozosta-

łych. A propos sprzątania, trochę mnie dziwi, że wziął pan na siebie ten obowiązek, jest pan przecież pielęgniarzem. Nie mówię, że to jakaś hańbiąca czynność, ale jednak poniżej pań-

skich kwalifikacji.

— Też z początku nie chciałem, ale pan Majewski przekonał mnie szeleszczącym argumentem. Powiedział, że bardzo dobrze zapłaci.

— A wie pan, skąd miał pieniądze? Znaleźliśmy odcinki jego emerytury, nie pozwalala raczej na takie ekstrawagancje.

— Wiem, wygrał w totka.

— Co?!

Komisarz przypomniał sobie ubogie wyposażenie mieszkania — na pewno nie było to umeblowanie milionera.

— Nie jakieś miliony — powiedział Ratajczyk, jakby czytał

w myślach Przygodnego. — Trafił wprawdzie szóstkę, ale wy-losowano jakąś łatwą kombinację liczb i szóstkę miało jeszcze kilka osób, tak że wszystkiego dostał raptem kilkaset tysięcy.

— I co zrobił z tymi pieniędzmi?

— Nic. Trzymał w materacu. Czytałem, że to typowe. Ludzie wygrywający w totka, nawet grube miliony, wcale nie zmieniają swojego życia, co najwyżej kupują lepszy samochód. A pan Majewski nie miał samochodu, nie miał nawet prawa jazdy.

Gajda nie wspomniał, żeby technicy znaleźli pieniądze, również on, przeszukując mały pokój, na nic nie natrafił. Czyli jednak rabunek i przedstawienie ze skalpowaniem, żeby zało-

żyli inny motyw. A morderca mógł liczyć na to, że o pieniądzach się nie dowiedzą. Skoro Majewski trzymał je w domu, pewnie nie miał konta bankowego, co z kolei oznaczało, że wygraną odebrał w gotówce i była nie do wyśledzenia. Co prawda z Totalizatora bez problemu uzyskaliby informację o wygranej Majewskiego, ale musieliby o nią wystąpić, a nie mieli żadnych przesłanek, by to robić.

— Kto wiedział o tych pieniądzach?

— Nikt... poza mną.

— Ktoś musiał wiedzieć, skoro je zabrał. Proszę się zastanowić, komu Majewski mógł o nich powiedzieć. Chyba że pan od razu chce się przyznać do morderstwa — powiedział

Przygodny, akcentując słowo „pan”.

Piotr Ratajczyk popatrzył na komisarza, nie do końca na-dążając za jego tokiem rozumowania. Przestraszony wyjąkał:

— Ale... nikt ich nie zabrał. Są u mnie.

Przygodny zaniemówił. Tylu zaskoczeń, co w tym dniu, nie doznał w całej swojej karierze. Konstrukcja myślowa, któ-

rą przed chwilą stworzył i która utrzymałaby się w dziewię-

ciu przypadkach na dziesięć, runęła. Zanim się zebrał, aby zażądać wyjaśnienia tej dziwnej sytuacji — pielęgniarz nie jest przecież instytucją finansową, żeby powierzać mu swoje oszczędności —

przesłuchanie znowu przerwała dzwoniąca komórka. Przygodny zaczął żałować, że nie jest aktorem grającym komisarza policji: tamtym nic nie zakłóca przesłuchań

— jak ktoś ma sprawę, czeka z telefonem, aż przesłuchanie dobiegnie końca. To był drugi powód, dla którego Przygodny nie oglądał filmów kryminalnych.

Spojrzał na wyświetlacz. Dzwonił Zieliński.

— Słucham cię.

— Wiem!

— Co wiesz?

— Kim jest ten Kozłowski. Wiedziałem, że skądś gościa znam. Nie dawało mi to spokoju, więc zadzwoniłem do Krysi — Krysia była zdradzaną żoną Zielińskiego — może jej opowiadałem, a ona nie ma takiej sklerozy jak ja. Ale okaza-

ło się, że nie ja opowiadałem jej o Kozłowskim, tylko ona mi.

Tłumaczyła jego papiery. — Krystyna Zielińska miała uprawnienia tłumacza przysięgłego języka angielskiego. — Naroz-rabiał w Stanach, ale tam mu nic nie zrobili ze względów formalnych, jak go postawili przed sądem pod zarzutem morderstwa, zapomniał, że zna angielski, i nawet ten kauzyperda, co go dostał z urzędu, nie miał problemów, żeby wmówić sądowi, że Kozłowskiego nie pouczone o jego prawach, bo przeczytano mu je w niezrozumiałym dla niego języku. Wyobrażasz sobie system, w którym puszczają wolno mordercę, bo nie odczytano mu jakiejś formułki? Którą na dodatek świetnie zna z filmów? Debilizm.

Przygodnego bardziej niż ułomności amerykańskiego systemu sądowniczego interesowały teraz zarzuty, jakie postawiono Kozłowskiemu.

— Oskarżono go o morderstwo? Kogo zabił?

— Właściwie nikogo. Napadli całą bandą na klinikę aborcyjną, zrobili demolkę, no i jeden z tych katofundamentalistów zastrzelił przy tym lekarza. Nie Kozłowski, ale Amerykańcom jest wszystko jedno: twój kolega z bandy kogoś zastrzelił, ty też od-powiadasz za morderstwo, co akurat nie jest złe — Zielińskiemu pewne elementy amerykańskiego systemu jednak się podobały. — No ale ponieważ go puścili, nasi chcieli go dupnąć, oczywiście za morderstwo by się nie dało, ale za naruszenie mi-ru domowego, pobicie, zniszczenie mienia jak najbardziej.

— Pobicie?

— Pobił do nieprzytomności pielęgniarkę. A właściwie sko-pał, tak że dziewczyna nigdy więcej nie zajdzie w ciążę. Jak rozumiem, chciał się zabezpieczyć, żeby przypadkiem nie usunęła.

Komisarz nic nie powiedział na ten sarkazm.

— Nasi ściągnęli od Amerykańców papiery i Krysia je właśnie tłumaczyła.

— I dostał u nas wyrok?

— Nie mam bladego pojęcia, nikt przecież nie informuje Krysi o zakończeniu spraw, w których tłumaczy. Dowiesz się z KRK. Ale jeśli nawet dostał, to musi być już na wolności, bo rzecz jest sprzed ładnych paru lat. Na pewno możesz brać go w rachubę przy morderstwie.

— Dzięki.

Komisarz rozłączył się i znowu wyszedł z pokoju, żeby Ratajczyk nie słyszał, jakie polecenia wydaje. W trakcie rozmowy pilnował się, żeby z jego strony nie padło nazwisko Ko-złowskiego, a teraz musiał je podać, tymczasem świadkowie powinni wiedzieć jak najmniej o sobie nawzajem. Miał już wybrać numer, kiedy zobaczył, że posterunkowi Wójcik i Wojtkiewicz, do których chciał dzwonić, idą ku niemu korytarzem.

— Zaplombowaliśmy mieszkanie, panie komisarzu. Aspirant Gajda nam pozwolił, bo technicy skończyli. Sam jeszcze chodzi po sąsiadach — zameldował Wójcik.

— Właśnie — potwierdził Wojtkiewicz.

— Dobrze. Skoczcie na Chorwacką czterdzieści pięć przez trzy i przywieźcie mi niejakiego Romana Kozłowskiego. Jako świadka. Jak nie będzie go w domu, ustalcie, gdzie pracuje.

Wszystko jedno, gdzie w tej chwili jest, bez niego macie nie wracać.

— Się robi.

Mundurowi wykonali w tył zwrot. Przygodny popatrzył za nimi — dwóch chłopów na schwał, szerocy w barach, po metr dziewięćdziesiąt wzrostu, polska policja nie ma się czego wstydzić, jeśli chodzi o fizyczne warunki swoich funkcjonariuszy.

Wrócił do Ratajczyka. Tym razem nie musiał sprawdzać w komputerze, na czym przerwał przesłuchanie.

— Jak to się stało, że pieniądze Majewskiego są u pana?

Chłopak pokręcił się nerwowo na krześle. Jakby zdał sobie sprawę, że okoliczności przemawiają przeciwko niemu.

— No... znalazłem te pieniądze, kiedy zmieniałem panu Majewskiemu pościel... schował je klasycznie, w bielizniarce.

((strzegłem go, że niebezpiecznie trzymać tak dużą gotówkę w domu, kusi złodzieja, lepiej zanieść do banku. Nie tylko bezpieczniej, ale jeszcze jakiś procent by dostał. Ale pan Majewski nie ufał bankom, powiedział, że właśnie jak da do banku, to gangsterzy się dowiedzą, że ma pieniądze, i od niego wymu-szą, a póki trzyma je w domu, nikt o nich nie wie.

Komisarz uderzał w klawiaturę, protokolując zeznanie.

Nigdy nie nauczył się pisać bezwzrokowo dziesięcioma palcami, ale tysiące odebranych zeznań sprawiły, że dwoma pisał

niemal równie szybko.

— Przez jakiś czas nie wracaliśmy do tematu. I pewnie nie wrócilibyśmy, gdybym w jakiejś gazecie nie znalazł konkursu giełdowego. Inwestowało się w akcje fikcyjne sto tysięcy i kto w określonym czasie zarobił najwięcej na swoich inwestycjach, dostawał żywą gotówkę. Wziąłem udział, bardziej dla zabawy niż z przekonania, że mogę wygrać, i rzeczywiście nie wygra-

łem, ale „zarobiłem” trzydzieści procent. Uświadomiłem sobie, że mam nosa do gry na giełdzie, nic tylko zainwestować na prawdziwej, sęk w tym, że nie miałem kasy. I wtedy przypomniały mi się pieniądze pana Majewskiego. Zaproponowałem mu, że będę nimi obracał, a zyskiem się podzielimy. Oczywiście-

ście nie po równo, on miał dostać więcej.

— I Majewski tak po prostu się zgodził? — Przygodny zaczął

powątpiewać w tę opowieść. — Banku się bał, ale giełdy nie?

— Powiedziałem, że będę inwestował na własne nazwisko, więc nikt się nie dowie, że ma pieniądze. Ale oczywiście nie zgodził się od razu, bał się, że straci, naczytał się o tym krachu na giełdzie na początku lat dziewięćdziesiątych. Zaproponowałem, żeby dał mi na próbę mniejszą kwotę, dziesięć tysięcy, a nawet jak giełda polecą w dół, to przecież nie do zera, więc nawet jak będzie strata, to w stosunku do całej su-my, jaką dysponuje, minimalna. Przekonywałem go, że w latach dziewięćdziesiątych ludzie potracili, bo jeszcze nie umieli grać na giełdzie, kapitalizm dopiero się zaczynał, mało kto wiedział, jak się zabezpieczyć przed stratami. Dalej nie chciał; mimo że w sumie żył, jakby tych pieniędzy nie miał, szalenie mu na nich zależało. Wierciłem mu jednak dziurę w brzuchu, aż w końcu uległ. I kiedy oddałem mu dwanaście tysięcy —

sobie zachowałem pięć stów — zaświeciły mu się oczy. Wyliczył sobie, w jakim czasie dociągnie do miliona, i tak był tym podniecony, że dał mi całą kasę.

— Naprawdę? — sceptycyzm komisarza rósł. — Na gębę czy spisaliście umowę?

— Ja chciałem spisać umowę, ale pan Majewski powiedział, że mi ufa, że gdyby nie ufał, nie powierzyłby mi pieniędzy nawet na podstawie umowy, a jeśli będę chciał go oszukać, to umowa nic mu nie da, bo polskie sądy i tak są niewydolne, a w najlepszym razie skazaliby mnie na więzienie, pieniędzy i tak nikt by mu nie zwrócił. Powiedział, że jeśli go okradnę, to mnie po prostu zabije, bo nie będzie miał wtedy nic do stracenia.

— Chyba nie przejął się pan tą groźbą? Jakie zagrożenie dla pana mógł stanowić blisko siedemdziesięcioletni staruszek?

— Oczywiście, że się nie przejąłem, przecież nie miałem zamiaru go okradać.

— I co się teraz stanie z tymi pieniędzmi?

— Oddam spadko... — Ratajczyk umilkł, jakby dopiero w tym momencie dotarło do niego, że Majewski nie ma żadnych spadkobierców. — No, pan Majewski na pewno jakoś rozdysponował je w swoim testamencie.

— Spisał testament?

— Nie wiem... chyba tak... chyba każdy spisuje testament, jak skończy...

Ratajczyk urwał, zastanawiając się, w jakim wieku człowiek przyjmuje do wiadomości, że jest śmiertelny i trzeba sporządzić testament.

— O jakiej konkretnie kwocie mówimy?

— Sześćset tysięcy. Około.

— Tyle panu dał czy tyle jest w tej chwili?

— Tyle mi dał i tyle jest w tej chwili. Na początku urosło, ale potem giełda poleciała w dół i wróciło do stanu pierwotnego.

— Gdzie je pan trzyma?

— W banku.

— Myślałem, że gra pan tymi pieniędzmi na giełdzie.

— Gram. W banku mam rachunek maklerski połączony z kontem. Jak chwilowo nie inwestuję w akcje, przerzucam pieniądze na oprocentowane konto.

— W jakim banku ma pan ten rachunek?

— W Zachodnim na placu Gołębim.

— W mieszkaniu nie znaleźliśmy testamentu. — Przygodny pamiętał, że aspirant nie wymienił go wśród znalezionych dokumentów. — A jeśli pan Majewski nie zostawił testamentu, nikt nie będzie rościł sobie do tych sześciuset tysięcy pretensji...

Poza gminą, której przysługiwał spadek w przypadku braku spadkobierców, pomyślał Przygodny. I urzędem skarbowym, który mógłby obłożyć te pieniądze siedemdziesięciopięcioprocentowym podatkiem z tytułu przychodu z nieujawnionych źródeł. Ale w sumie wystarczyło, żeby Ratajczyk oświadczył, że otrzymał od Majewskiego darowiznę, i zapłacił

normalny podatek, a nikt nie powinien tego kwestionować.

Chorzy i starzy ludzie często przekazują swój majątek tym, którzy opiekują się nimi pod koniec życia. Wprawdzie zwykle w formie testamentu, ale darowizna daleko przecież od tego nie odbiega. A skończyły się już czasy traktowania każdego podatnika jako domniemanego oszusta.

— ...i może pan je sobie całkowicie legalnie zatrzymać.

Do Ratajczyka ta konkluzja jakby nie dotarła. Siedział

bez ruchu, a jego mózg powoli, bardzo powoli odbierał tę informację, jak przeglądarka ściągająca stronę internetową z przeciążonego serwera.

Potem raptownie się poderwał, odwróconą w górę dłoń zacisnął w pięść i szybkim ruchem przesunął ją w przód i w tył.

— YES!

Pod wpływem wzroku komisarza zreflektował się, że ten wybuch radości był absolutnie nie na miejscu, zaczerwienił

się po czubki uszu i z powrotem usiadł.

— Bardzo prze... przepraszam — wydukał. — Ale tyle ka-sy... To znaczy — wyjaśnił — nie żebym się cieszył, że pana Majewskiego ktoś zabił, ale się nie spodziewałem... Takie pieniądze... każdy by skoczył z radości — usprawiedliwiał się niezbyt zręcznie. — A nawet jakby pan Majewski zostawił testament... to też pewnie by mi coś zapisał, nie wszystko, ale nikogo nie miał... a mnie bardzo lubił... Tak że nie można powiedzieć, że dostaję te pieniądze wbrew jego woli.

— Pan sobie zdaje sprawę, co to oznacza? Miał pan motyw, żeby zabić Majewskiego.

— Co?! — Czerwień na twarzy chłopaka ustąpiła nagłej bladości. — Jak to? Dlaczego? Wcale nie!

— Proszę mi wierzyć, że zamykałem już takich, którzy zabijali dla sześciu tysięcy, a nie sześciuset.

— Ale nie ja! Lubiłem pana Majewskiego, poza tym mogłem dobrze zarobić na giełdzie, nie musiałem go zabijać.

— Jakoś pan na tej giełdzie nic nie zarobił...

— To chwilowe, w dłuższej perspektywie zawsze się zarabia.

— ...poza tym, jeśli dobrze policzyłem, miał pan tylko dwudziestoprocentową prowizję, czyli dużo mniej niż sto procent zysków, nie mówiąc o samym kapitale.

Ton wypowiedzi komisarza był jednoznaczny: oskarżam cię o morderstwo.

— Aleja naprawdę... — głos chłopaka zrobił się płaczący, a zarazem całe jego ciało zeszywniało,



mięśnie pod wpływem stresu napięły się ponad normę. — Jak mam udowodnić? Mogę oddać te pieniądze... na jakiś fundusz walki z rakiem...

Tak, pan Majewski by tego chciał... ze względu na córkę... Zobacz pan... oddam kasę... nie zatrzymam sobie ani złotówki.

— Potrafi pan strzelać z łuku?

— Co?! — nie tylko słowna reakcja, ale i mina świadczy-

ły o tym, że nagła zmiana tematu i z pozoru absurdalne pytanie całkowicie zaskoczyły Ratajczyka.

— Czy potrafi pan strzelać z łuku? — powtórzył spokojnie komisarz.

— To znaczy, że już nie podejrzewa mnie pan o morderstwo?

— Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Pielęgniarz zwlekał, dochodząc do siebie. Gdy się uspokoił, powiedział:

— Nie uprawiam łucznictwa, ale kiedyś byłem na medie-wianach, to taka impreza, podczas której odtworzono średniowieczne realia, odegrano turniej rycerski, pokazywano wyrób średniowiecznych produktów, które można było kupić, i tak dalej. Kto chciał, mógł sobie postrzelać z łuku, spróbowa-łem, żadna filozofia, trafiałem w tarczę bez problemu, nawet dość blisko środka. — Ratajczyk sprawiał wrażenie dumne-go, że jest urodzonym Robin Hoodem.

Przygodny nie uwierzył w talent pielęgniarza, odpowiedź

uzmysłowiła mu, że strzelanie z łuku nie jest jakąś nadzwyczajną umiejętnością, wycelować z bliska w związanego człowieka i trafić umiałby każdy.

— Wiedział pan o filmach pornograficznych Majewskiego?

— Oczywiście.

— Nie przeszkadzało to panu?

— Co mi miało przeszkadzać? Że pan Majewski lubił sobie popatrzeć, jak się ładne kobiety bzykają? Co w tym złego?

No tak, to było pokolenie doby internetu, które pornogra-fie traktowało jako oczywisty i naturalny składnik rzeczywistości. Ratajczyk pewnie by się uśmieł, gdyby miał okazję zobaczyć, jaką sensację w młodych latach Przygodnego wy-woływał świerszczyk sprowadzony nielegalnie zza granicy.

— Lubiał sobie też popatrzeć na coś niedozwolonego? Dzieci i takie rzeczy?

Pielęgniarka zaprzeczyła energicznym ruchem głowy.

— Pan Majewski zboczeńcem? Nigdy! Musiałby go pan słyszeć, jak mówił o swojej córce...

— Ale co dokładnie miał w swojej kolekcji, to pan nie wie?

— No, zaglądać mu tam, nie zaglądałem — przyznał Ratajczyk. — Niespecjalnie mnie to interesuje, wolę panienki na żywo.

Przygodny zapisał, że świadek nie zna zawartości płyt, a kiedy wcisnął ostatnie klawisze, powiedział:

— Na dziś nie mam więcej pytań, ale proszę się liczyć z tym, że będzie pan jeszcze wzywany, względnie będę miał do pana pytania telefonicznie. — Komisarz obrócił monitor w stronę Ratajczyka. — Niech pan przeczyta i jeśli wszystko jest w porządku, wydrukuję do podpisu.

Pielęgniarka dostrzegła na monitorze żółtą karteczkę: „Skąd miał łuk?”.

— O co chodzi z tym łukiem? — I nie potrzebował już wielkiego namysłu, żeby skojarzyć. — Morderca zastrzelił

pana Majewskiego z łuku?

Przygodny zerwał karteczkę, gromiąc się w duchu za nieuwagę.

— Proszę czytać.

Ratajczyk posłusznie skupił się na tekście.

— W porządku — powiedział, przeczytawszy całość.

Komisarz przez kilka minut walczył z drukarką, która drukowała tylko pierwsze pół strony, a drugą połówkę zostawiała czystą, ale w końcu uzyskał kompletny wydruk i dał go Ratajczykowi do podpisu. Ten maznął parafkę.

— Czytelnie, proszę — nakazał Przygodny.

Pielęgniarka złożyła czytelny podpis na każdej stronie protokołu, a komisarz zebrał kartki i schował je do teczki, która miała pieczęć w miarę postępów śledztwa.

— Proszę mi jeszcze napisać numer swojego konta — podał

Ratajczykowi żółtą karteczkę. — Albo kont, jeśli ma pan więcej.

— Nie, mam tylko jedno, ale nie znam go na pamięć, to przecież dwadzieścia sześć cyfr — zaprotestował pielęgniarka.

— Niech mi go pan w takim razie prześle SMS-em, najszybciej jak to możliwe. A teraz zdejmujemy panu palce.

Przygodny wyciągnął z szuflady kartę do pobierania od-bitek palców z nagłówkiem „Wyłącznie do eliminacji śladów”, wypisał na niej personalia Ratajczyka, po czym zaprowadził

go do pokoju, w którym znajdował się stolik daktyloskopijny.

Kazał pielęgniarzowi umyć ręce, a sam w tym czasie przygotował płytkę daktyloskopijną, nanosząc na nią tusz z tub-ki i rozprowadzając go wałkiem, tak żeby równomiernie pokrył całą powierzchnię.

— Niech pan stanie przodem do stolika na odległość prze-dramienia. Tak dobrze. Niech pan się rozluźni i nie próbuje mi pomagać. Proszę mi podać prawą dłoń.

Komisarz ujął ją jedną ręką od góry, a drugą zaczął prze-taczać palce Ratajczyka, od wielkiego do małego, najpierw po płytce z tuszem, a następnie w odpowiednich rubrykach na karcie daktyloskopijnej.

— Już pana nie potrzebuję — oświadczył, kiedy pobrał

odciski również z lewej dłoni. — Trafi pan sam na dół? — Nie chciało mu się odprowadzać świadka.

— Oczywiście, jaka filozofia? — Ratajczyk nie rozumiał, dlaczego faceci po czterdziestce biorą dwudziestolatków za małe dzieci.

Przygodny wołał nie uświadamiać chłopaka, że filozofia polega na tym, by wyglądać na policjanta w cywilu pracują-

cego w komendzie. Zbytne zagubienie i rozglądanie się mo-gło zakończyć się powaleniem na podłogę i zakuciem w kajdanki przez funkcjonariuszy CBS, którzy urzędowali na ostatnich piętrach i mieli paranoiczną obsesję na punkcie bezpieczeństwa.

Komisarz wyszedł przed komendę. Ponieważ Wójcik z Wojtkiewiczem nie dowieźli jeszcze Kozłowskiego, postanowił przejść się na plac Solny i zweryfikować alibi pielęgniarza.

Ruszył szybkim krokiem przez plac Wolności. Tym razem nie naszły go wspomnienia, był całkowicie pochłonięty analizo-waniem zeznań Ratajczyka. Coś mu w nich nie grało. Żadnego wyraźnego potknięcia, żadnych sprzeczności, ale mimo wszystko nie każdy trybik zaskakiwał tam tak, jak powinien.

Albo właśnie odwrotnie: zaskakiwał zbyt gładko. Komisarz nie potrafił się zdecydować, jakie ma zastrzeżenia do tych zeznań, więc tym bardziej go frapowały. Odnosił wrażenie, że ma wystarczająco dużo materiału, by ocenić prawdomówność świadka, ale nie potrafił tego zrobić.

Nie dostrzegął tłoczących się w korku na Krupniczej samochodów, machinalnie przeszedł na światłach — nie patrzył

na sygnalizator, tylko podążył za tłumem — minął Bibliotekę Uniwersytecką i znalazł się na schodach prowadzących na plac Solny. Lubił ten odcinek, na którym, mimo że łączył dwie ruchliwe części Wrocławia, było zwykle mniej ludzi, a architektura łukowatej bramy i sklepienia kamienic przynosiła na chwilę atmosferę średniowiecznego miasta.

Średniowiecze. Mediewiana. I znowu był myślami przy zeznaniach chłopaka. Jeśli Ratajczyk mówił prawdę, zaplątał

się w dziwaczne okoliczności, czy raczej okoliczności zarzuciły nań pętlę, która zaciskała mu się na szyi. Powiedział wprawdzie, że z uzyskanych niespodziewanie pieniędzy gotów jest zrezygnować, ale mogła to być deklaracja bez pokrycia, obliczona na przekonanie śledczego. Tyle że złożył ją bardzo spontanicznie. Albo genialnie zagrał. I znowu komisarz znalazł się w ślepych zaułku. Myślowym. Bo w rzeczywistości przechodził

przez otwarty plac, zdominowany przez budki, a właściwie sklepiki z kwiatami.

Można było oczywiście odczekać i sprawdzić, czy Ratajczyk przekazał pieniądze na ten fundusz walki z rakiem, czy jednak je sobie zatrzymał. Problem w tym, że ani oddanie, ani zatrzymanie niczego nie przesądzało. Gdyby pieniądze oddał, mogło to, owszem, świadczyć o jego niewinności, ale równie uprawniona była interpretacja, że przeraził się, że zostanie złapany, i postanowił zrezygnować z korzyści, jakie miało mu przynieść przestępstwo, byleby tylko uniknąć kary. Z kolei zatrzymanie pieniędzy wcale nie musiało być dowodem winy, ostatecznie nikt nie oddałby lekką ręką sześciuset tysięcy, a Ratajczyk, ochłonawszy, mógł na przykład dojść do wniosku, że podane alibi wystarczająco dowodzi jego niewinności.

Alibi. Komisarz spojrział na zielony szyld pubu z napisem

„Guinness”. Wkrótce się przekona. Wbrew pozorom sprawdzanie alibi nie jest częścią formalnością. Zadziwiająco wielu podejrzanych o przestępstwo podaje fałszywe alibi, jakby żywiło przekonanie, że policja uwierzy im na słowo. Winni nie mają wyboru, a niewinni najczęściej chcą ukryć, że byli u kochanka, kochanki albo w agencji towarzyskiej. Zwłaszcza w tym ostatnim przypadku panowie idą w zaparte, woląc zostać oskarżonym o morderstwo niż zaryzykować, że małżonka dowie się, gdzie spędzają wolny czas.

Pchnął drzwi okolone dwiema latarenkami. W pubie by-

ło o tej porze pustawo, tylko przy nielicznych stolikach siedzieli goście. Przygodny rozejrzał się po eleganckim wnętrzu w zielonej tonacji. W młodości stołował się w socjalistycznych barach mlecznych, gdzie po odrapanych ścianach biegały karaluchy, opryskliwy personel obsługiwał w brudnych fartuchach, a całość tonęła w trudnym do określenia smrodzie, teraz czuł się odrobinę obco w takich niby luksusowych wnę-

trzach. Zdawał sobie sprawę, że luksusowe są one tylko w porównaniu z PRL-owskimi knajpami, że stanowią wyraz normalności, ale właśnie normalność człowiekowi wychowanemu w nienormalnych warunkach jawi się jako przywilej. Może dlatego nie był skłonny do narzekania, nie dołączał się do ciągłych

pretensji swoich współrodaków kierowanych do rządzących, że Polska nie dobiła jeszcze do poziomu życia najbogatszych krajów. Zbyt dobrze pamiętał, jak upokarzające jest zdobywanie papieru toaletowego, wykorzystywanie znajomości albo pozycji społecznej, żeby nabyć przedmioty codziennego użytku, do tego liczej jakości, by nie doceniać, że może po prostu wejść do sklepu i zwyczajnie, bez zapisów, wielogodzinnego stania w kolejce, bez dawania łapówek ekspedientkom, kupić papier toaletowy, który nie ma struktury szmergla i nie jest jednego słusznego szarego koloru. To, że za swoją pensję dostawał tego papieru mniej niż policjant w Niemczech czy Wielkiej Brytanii, nie robiło mu większej różnicy. Miał świadomość, że historia mogła potoczyć się inaczej, że właściwie za cud należało uznać, iż Polska Anno Domini 2008 była członkiem Unii Europejskiej. W marazmie lat osiemdziesiątych, po zdławieniu Solidarności nie płonęła nawet iskierka nadziei, że Polska tak szybko wyzwoli się spod radzieckich wpływów, najwięksi optymiści nie oczekiwali upadku komunizmu wcze-

śniej niż za kilkadziesiąt lat. I gdyby spełnił się ten realistyczny scenariusz, przesłuchiwałby dziś świadka w zasyfionym barze mlecznym, a nie w eleganckim pubie. Jeśli w ogóle by przesłuchiwał, a nie preparował dowody na polityczne zamówienie, by ukryć prawdziwego mordercę i znaleźć kozła ofiarnego.

Podszedł do baru, za którym stał wyraźnie znudzony młody chłopak. Powinien wycierać szklanki, pomyślał Przygodny.

Na filmach barman bez zajęcia zawsze wycierał szklanki. Ten jednak albo nie oglądał filmów, albo zdążył już wszystkie szklane naczynia wypucować.

— Dzień dobry, komisarz Przygodny z Komendy Wojewódzkiej. Pracował pan tutaj wczoraj wieczorem?

Komisarz nie spodziewał się twierdzącej odpowiedzi, liczył, że w pubie uzyska jedynie adresy pracowników z wieczernej zmiany. Tylko w kryminałach personel restauracji i hoteli pełnił dyżur do późna na okrągło w tym samym składzie i potrafił natychmiast odpowiedzieć na pytania policjantów chcących sprawdzić alibi podejrzanego. Również z tego powodu Przygodny nie przepadał za kryminałami.

— Tak, pracowałem — usłyszał jednak ku swojemu zaskoczeniu. — Koledze pochorował się dzieciak i prosił mnie, żebym za niego wskoczył. Wskakuję już trzeci dzień, nie dość, że rzygać mi się chce na widok tego pubu, to jeszcze zawałę koło, bo nie mam kiedy zakuwać.

Komisarz mgliście pamiętał, że koło znaczy kolokwium.

Wyciągnął komórkę i pokazał pracującemu studentowi zdję-

cie Ratajczyka.

— Zajrzał do was wczoraj?

Chłopak przyjrzał się zdjęciu.

— Tak, niezły dupek.

— Dlaczego dupek?

— Ledwo usiadł przy stoliku, zaczął drzeć mordę, że nikt do niego nie podchodzi. Ludzie wybyli do Londynu i jest nas za mało, nie rozerwiemy się, czasami trzeba chwilę poczekać, żeby zostać obsłużonym.

— Więc jak, zaczął się awanturować, kiedy tylko usiadł

przy stoliku, czy jednak trochę czekał na kelnera?

— No, trochę czekał — przyznał niechętnie barman. —

Ale ewidentnie szukał awantury. Wypił trzy piwa i przypie-przył się do pary przy barze. Niby podrywał lalunię, ale jak ktoś podrywa lalunię w towarzystwie ABS-a, to albo jest nienormalny, albo szuka guza.

— ABS-a? — komisarz nie zrozumiał skrótu w tym kontekście.

— ABS, absolutny brak szyi — wyjaśnił barman. — Dres ze złotym łańcuchem, pojemność mózgu odwrotnie proporcjonalna do masy mięśni. Choć akurat w tym przypadku zdawał się mieć więcej rozumu od tego dupka i ze dwa razy spokojnie go poprosił, żeby się odwalił, przypierdolił mu dopiero za trzecim razem.

— O której to było?

Chłopak przeniósł wzrok na okno za komisarzem i policzył coś w pamięci.

— Około wpół do dwunastej.

— Skąd pan wie?

— Przyszedł o dziesiątej, bo kiedy go obsługiwałem, darł

mordę i pokazywał na zegarek, że czekał cały kwadrans, a by-

ło piętnaście po. Wypił trzy piwa, powiedziałbym dwadzieścia minut na piwo, nie pił duszkiem, ale był sam, więc rozmowa nie opóźniała picia, potem jeszcze chwilę trwały przepychanki przy barze, zanim dostał w mordę.

— Co się wydarzyło po bijatyce?

— Chcieliśmy wezwać policję, ale dres z lalunią natychmiast się zmyli, a dupek poprosił, żeby nie wzywać, powiedział, że to sprawa honorowa, a glin w sprawy honorowe się nie miesza. Szukacie go w związku z tą bijatyką? Ktoś was jednak powiadomił?

— Też od razu wyszedł? — indagował komisarz, udając, że nie słyszał pytań.

— Nie. Chcieliśmy go wyprosić, ale ubłagał nas, żebyśmy pozwolili mu odczekać, bał się, że dres się na niego zasadził, żeby urządzić mu poprawiny. Oczywiście, pozwoliliśmy, duppek dupkiem, co nie znaczy, że należy przykladać rękę do tego, że-by dres go zmasakrował. Zresztą potem był już grzeczny, prze-siedział w kącie jak trusia z pół godziny i sobie poszedł.

Została jedna kwestia. Lata praktyki sprawiły, że Przygodny wiedział, kiedy i o co zapytać świadka. Na początku by-

ło inaczej, niejednokrotnie musiał się wracać, żeby dowiedzieć się o rzeczy, o które powinien zapytać od razu. Nie mówiąc o tym, że źle formułował pytania. Na myśl o swoim pierwszym pytaniu sprawdzającym alibi czerwienił się do dziś. Ofiarą w tamtej sprawie był dyrektor szkoły, a podejrzewali męża nauczycielki, z którą zabity miał romans. Zdradzany mąż utrzymywał, że o romansie nic nie wiedział, a w czasie zabójstwa rozgrywał partię szachów. Jak się później okazało, był do tego stopnia wytracony z równowagi swoim czynem, że wprawdzie poprosił przyjaciela o fałszywe alibi, ale zapomniał uszczegółwić, w jakich godzinach mieliby w te szachy grać. I świadek byłby w nie lada kłopotcie, gdyby Przygodny nie wypalił:

- Czy grał pan w szachy z Jackowskim w sobotę między osiemnastą a dwudziestą?". Szef darł się na niego potem chyba z kwadrans, że spalił świadka, że najpierw trzeba było zapytać, czy w sobotę się spotkali, jeśli tak, o której godzinie i co robili.

Pytanie nie może sugerować odpowiedzi. Nawet przy założeniu, że świadek nie ma powodu, by kłamać. Bo chcąc pomóc policji, jest skłonny ulec sugestii i potwierdzić nieprawdę.

W zadaniu ostatniego pytania przeszkodził mu jednak sygnał przychodzącego SMS-a. Zerknął na wyświetlacz. Pielę-

gniarz podawał numer swojego konta.

— Dużo wczoraj było ludzi takich jak on, to znaczy bez towarzystwa?

— Ze dwie babeczki przy barze.

— prostytutki?

— Nie sądzę... nie, zdecydowanie nie, raczej desperatki szukające miłości życia.

— Dlaczego desperatki?

— Bo chyba pub nie jest odpowiednim do tego miejscem.

Przygodny chciał zapytać, jakie jest odpowiednie, ale zrezygnował. Był to problem samotnych ludzi, nie jego. Choć czy na pewno? Przypomniawszy sobie wczorajsze urodziny bez życzeń i poranne rozważania. Nie, mimo wszystko, nie ma powodu, by uznawał się za samotnego albo w ogóle zakładał, że nim zostanie. Chwilowe zobojętnienie małżonków po dwudziestu czterech latach

małżeństwa nie jest żadnym niepokojącym objawem, nie da się przez tyle czasu utrzymać uczuć na poziomie temperatury wrzenia.

Podziękował barmanowi i wyszedł z pubu. Poczul lekki, narastający ból głowy. W ostatnim czasie zdarzał mu się coraz częściej. Co to było? Stres? Odrzucił tę diagnozę. Praca śledczego wydziału zabójstw wbrew pozorom nie była bardziej stresująca niż jakakolwiek inna, jeśli tylko człowiek miał wła-

ściwe nastawienie psychiczne. Potrafił wymienić parę bardziej stresujących zawodów, jakich nie chciałby wykonywać, na przykład nauczyciela czy lekarza. Dlatego że tam pracowało się z podopiecznymi, którzy mieli teoretycznie te same cele, ale niekoniecznie do nich dążyli. Uczniowie wcale nie chcieli się uczyć, a pacjenci przestrzegać zaleceń. Interesy policjanta i przestępca były z definicji sprzeczne, nie mógł się więc zżymać, że przestępca nie jest przykładowym obywatelem. Ponadto ani nie zakładał, że uda mu się rozwiązać sto procent spraw, ani nie oczekiwał, że jego działalność doprowadzi do tego, że liczba zabójstw spadnie do zera. Nierozwiązaną sprawę przyjmował jak sportową porażkę, rzecz przykrą, ale bez wpływu na prawdziwe życie — w tym przypadku jego życie.

Kolejne morderstwo traktował zaś jako kolejne zadanie do wykonania, a nie przejaw zezwierzęcenia ludzkości. Czasami zastanawiał się, czy jest cynikiem. Może tak, ale dzięki temu był niezwykle skuteczny. Właśnie dlatego, że nie podejmował

emocjonalnej gry z zabójcą, tylko szukał go, jakby rozwiązywał logiczną zagadkę. O słuszności tego nastawienia przekonywały go historie kolegów, którzy zatracali się w obsesyjnym pościgu za mordercą, jakby jego czyn był wymierzony w nich osobiście. Dotyczyło to szczególnie okrutnych zabójstw, całych rodzin, dzieci albo młodych dziewczyn, najpierw brutalnie zgwałconych. W najlepszym wypadku kończyło się na zanie-dbywaniu innych śledztw, ale częściej taka sprawa całkowicie rujnowała życie prywatne i zawodowe. Życie prywatne. Może jego ból głowy był spowodowany kryzysem małżeńskim? Nonsens, przed chwilą ustalił przecież, że nie ma mowy o żadnym kryzysie. Nie, pewnie zwyczajnie brakowało mu tlenu. Na pewno nie dostarczały go takie krótkie spacerki po mieście ani dziewięćdziesiąt minut na boisku piłkarskim raz na kilka tygodni. Musiał temu zaradzić. Jogging w parku? Nie, kiedyś próbował, ale bieganie go nudziło. Rower? Tak, rower był dobrym pomysłem.

Przeszedł do Banku Zachodniego na placu Gołębim. Zatrzymał się pośrodku klimatyzowanej sali, przestudiował tabliczki nad poszczególnymi stanowiskami i skierował się do młodego człowieka w garniturze siedzącego pod szyldem „kon-nta osobiste”. Ten na widok klienta podniósł się, pozostając jednak w zgięciu, co miało sygnalizować ukłon, tymczasem bardziej przypominało objawy zwyrodnienia stawów. Jedną ręk-

ką przytrzymał krawat, drugą wskazał Przygodnemu krzesło.

— W czym mogę panu pomóc?

Komisarz nie lubił tej frazy żywcem przeniesionej z angielskiego. Wolałby zwykłe „słucham pana” względnie „czym mogę służyć?”. Nawoływanie Reja, że Polacy mają własny ję-



zyk, było tak samo aktualne jak przed pięcioma wiekami.

— Komisarz Przygodny z Komendy Wojewódzkiej — powiedział, nie korzystając z zaproszenia, by usiąść. — Chciał-

bym rozmawiać z kierownikiem.

— A czego sprawa dotyczy?

— A to już powiem kierownikowi.

Chłopak sięgnął po słuchawkę telefonu na biurku i wybrał numer.

— Jakiś komisarz z policji do ciebie. Nie chce powiedzieć, u co chodzi.

Wysłuchał odpowiedzi.

— Dobrze. — Odłożył słuchawkę. — Proszę przejść tam wskazał komisarzowi drzwi w głębi sali.  
— Zaraz ktoś po pana wyjdzie.

Przygodny zbliżył się do przeszklonych drzwi, które niemal natychmiast się otworzyły i wyjrzała z nich szczupła brunetka w eleganckim brązowym kostiumie.

— Pan komisarz? Proszę za mną.

I nie czekając na potwierdzenie, odwróciła się na pięcie.

Przygodny poszedł za nią. Z przyjemnością patrzył na jej zgrabną sylwetkę i choć starał się opanować, wzrok ścigało mu w dół, ku kształtnym pośladkom.

Brunetka pchnęła jedno z mijanych drzwi i przepuściła go przodem. Skromnie urządzone gabinet — regał, biurko z kom-puterem, obrotowy fotel, dwa krzesła dla gości — był pusty.

— Proszę usiąść — kobieta wskazała jedno z krzeseł.

Komisarz usiadł, zakładając, że na kierownika przyjdzie mu chwilę zaczekać, tymczasem brunetka obeszła biurko i za-jęła miejsce w fotelu.

— Słucham pana.

Przygodny zmieszał się. Z dwóch powodów, po pierwsze, tak był przekonany, że ma do czynienia z sekretarką, że omal nie wypalił: „Ale ja chciałem rozmawiać z kierownikiem”, a po drugie, głupio mu się zrobiło, że kobiecie na stanowisku wpatrywał się w tyłek. Jakby w przypadku sekretarek było to usprawiedliwione.

— Hm.. — odchrząknął, starając się ukryć zakłopotanie.

Kierowniczka uśmiechnęła się lekko, co przyczyniło się do powstania uroczych dołków w policzkach. Dostrzegł, że ma zielone oczy okolone długimi rzęsami. Była nie tylko zgrabna, ale i bardzo ładna.

— Potrzebowałbym historii rachunku niejakiego Piotra Ratajczyka — przeszedł bez dalszych wstępów do sprawy.

W zielonych oczach pojawił się błysk niechęci.

— Pan wie, że mogę ją udostępnić policji tylko na podstawie oficjalnego wniosku i tylko wtedy, gdy postawione są zarzuty? Inaczej odpowiadałabym za złamanie tajemnicy bankowej.

Komisarz podejrzewał, że odpowiedzialność za złamanie tajemnicy bankowej jest w Polsce równie iluzoryczna jak za składanie fałszywych zeznań. Rozważył, jaką taktykę przyjąć, po prośbie czy po groźbie. Zdecydował się na prośbę, niezręcznie było mu posługiwać się groźbą wobec kobiety, poza tym ona chyba wierzyła w sens obowiązujących przepisów, w przeciwieństwie do mężczyzn, którzy często przepisy wy-korzystywali tylko do pokazania, że mają władzę. Takich łatwo było usadzić, demonstrując im, że natrafili na kogoś o jeszcze większej władzy.

— Przepraszam, nieprecyzyjnie się wyraziłem. Nie chcę całej historii rachunku, o tę rzeczywiście wystąpimy oficjalnie, a jedynie informacji, czy były w ostatnim czasie dokonywane wypłaty większych kwot, gotówką lub przelewem. Droga oficjalna trochę będzie trwała — komisarz przemilczał, że o zarzu-tach, przynajmniej na razie, nie ma mowy — a prowadzimy sprawę o morderstwo i czas jest niezwykle cenny... Szanse na wykrycie mordercy spadają o połowę, jeśli istotne ślady nie zostaną odkryte w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin po zabójstwie. Bardzo panią proszę, w imieniu ofiary.

Przygodny dołożył do tego moralnego szantażu uśmiech, ale ze sceptycznej miny kierowniczki wywnioskował, że ani jedno, ani drugie nie zadziałało w pełni.

— Nie oczekuję, że poda mi pani konkretne kwoty albo wpłaty — wytoczył ostatni argument — tylko potwierdzenia lub zaprzeczenia, że z konta dokonano nietypowych większych wy pła-t, więc chyba trudno mówić o złamaniu tajemnicy.

— A co pan rozumie przez większe wypłaty?

— Zdaję się na pani ocenę, jak wymienię kwotę, mogłaby pani mieć obiekcje, że domagam się zbyt konkretnych informacji, co podpadałoby pod ujawnienie tajemnicy.

Tym ją ostatecznie przekonał, choć prawdziwym powodem jego wstrzemięźliwości było to, że sam nie potrafił okre-

ślić, czy w grę wchodziła suma tysiąca czy pięciu tysięcy złotych. Wiedział jednak, że wprawne oko bankowca dostrze-

że nietypowe operacje na rachunku i nie ma potrzeby niczego sugerować. Przeciwnie, sugestia mogłaby zaciemnić obraz, a wtedy bankowiec szukałby wypłaty we wskazanej wysoko-

ści, co wiązało się z ryzykiem pominięcia tych niższych.

— Jak, powiedział pan, nazwisko właściciela konta? —

zapytała, wysuwając półeczkę z klawiaturą.

— Piotr Ratajczyk — przypomniał.

— Ma pan jego PESEL?

— Nie, ale mam numer rachunku.

Przygodny odszukał nadesłanego przez pielęgniarkę SMS-a i położył komórkę na biurku, tak by kierowniczkę mogła go odczytać.

— Jeszcze lepiej. — Przepisała numer do komputera. —

Jaki okres pana interesuje?

— Powiedzmy, ostatnie pół roku.

Znowu postukała w klawiaturę i wpatrzyła się w monitor.

— Nie, powiedziałabym, że nie było żadnych znaczących wypłat w tym okresie, w każdym razie żadnych odbiegających od normy. Czy taka odpowiedź pana zadowala?

— Co do formy tak, co do treści nie, ale na to nic już nie jest w stanie pani poradzić — uśmiechnął się do niej, tym razem bez cienia taktiki. — Nawet tak piękna kobieta nie ma wpływu na fakty.

Ze zgrozą stwierdził, że z nią flirtuje. Ze zgrozą, bo nie flirtował z żadną kobietą, odkąd wyznał Gabi miłość.

Przesunęła po nim wzrokiem, w którym dostrzegł... No właśnie, co? Zainteresowanie? Jeśli nawet, to zgąsło, kiedy zobaczyła obrączkę na jego palcu. Ale gdyby rzeczywiście by-

ła nim zainteresowana, a obrączka nie stanowiłaby dla niej przeszkody, i tak nic by z tego nie wynikło, bo obrączka stanowiła przeszkodę dla niego. Nigdy Gabi nie zdradził i nie szukał kochanki.

— Dziękuję za komplement — powiedziała dość sucho.

— Ja dziękuję za informację — postanowił nie roztrząsać tematu urody czy prawienia komplementów. — Miałbym jeszcze jedno pytanie. Czy któryś z przelewów wychodzących jest na jego własne nazwisko?

— Chce pan sprawdzić, czy nie ma konta w innym banku?

— domyśliła się bez trudu.

— Tak, i myślę, że ujawniając mi tę informację, również nie złamie pani tajemnicy, skoro dotyczy innego, a nie pani banku.

— Sofista z pana, panie komisarzu. — Była nie tylko ład-na, ale i inteligentna. — Ale uznam tę naciąganą argumentację. Nie, nie dokonywał żadnych przelewów na swoje nazwisko.

Podnieśli się, podała mu rękę na pożegnanie. Dłoń miała chłodną, ale bardzo przyjemną w dotyku. Nagle naszła go ochota, żeby chwycić ją w ramiona i pocałować, nawet wbrew jej woli.

— Coś się stało? — zapytała, widząc jego przerażoną minę.

— Nie, nic, przypomniało mi się tylko, kto jest naszym prezydentem.

Uśmiechnęła się, a Przygodny zrugął się w myślach. Najpierw dopada go impuls niegodny żonatego mężczyzny, w ogóle mężczyzny, bo nie ma nic bardziej niemęskiego niż zmusza-nie kobiety siłą do pocałunków czy seksu, choć tym kreaturom, które to robią, wydaje się, że jest właśnie odwrotnie, a potem obraca sprawę w żart, który nie przystoi mu jako Polakowi i funkcjonariuszowi policji. Prezydent, ktokolwiek by nim był, zasługuje na szacunek, skoro został wybrany w demokratycznych wyborach. Takie żywił przekonanie. Pogarda dla człowieka sprawującego najwyższy urząd w państwie to pierwszy krok do anarchii. A policjant nie mógł nawoływać do anarchii.

Chciał wycofać się z tego żartu, wyjaśnić, przeprosić, ale uznał, że nie będzie pogarszał sprawy przeprosinami. Jeszcze wywiąże się z tego dyskusja na tematy polityczne, których starał się unikać i to nie tylko w czasie wykonywania pracy, Ostatecznie jego uwaga padła na podatny grunt, miał do czynienia z młodą — ile mogła mieć lat? trzydzieści, trzydzieści dwa, nie więcej — wykształconą kobietą, na pewno nie głosowała na Kaczyńskiego.

— Jeszcze raz dziękuję za pomoc i poświęcony czas. Do widzenia.

Nie odprowadzała go, drzwi do działu kierownictwa zamykały się na zatrask — wychodzący nie potrzebował asysty.

Poszedł z powrotem przez plac Solny. Przyśpieszył kroku, kiedy odebrał telefon, że Wójcik i Wojtkiewicz czekają już z Kozłowskim pod drzwiami jego pokoju. Po drodze analizował zeznania barmana. Potwierdził alibi Ratajczyka, nie dało się go podważyć, ale właśnie ta niepodważalność frapowała komisarza. Rzadko się zdarzało, żeby uczący się i pracujący człowiek miał na tę porę w dzień powszedni tak perfekcyjne alibi.

Niezwykłe rzadko. A tutaj podejrzany potrafił się rozliczyć dosłownie z każdej minuty. Szukając luki, zanim uzna, że ma do czynienia z bardzo szczęśliwym dla pielęgniarza zbiegiem okoliczności, Przygodny dotarł do komendy.

Nie poszedł od razu do siebie, tylko wstąpił najpierw do Zielińskiego. Podinspektor siedział przy komputerze, z któ-

rego doszedł właśnie charakterystyczny dźwięk wiadomości przesłanej przez Gadu-Gadu.

Teoretycznie policjanci mogli wykorzystywać komunikator w sprawach służbowych, ale w praktyce do przekazywania krótkich informacji lepsze by-

ły telefony, a do dłuższych maile, tak więc Przygodny nie miał

wątpliwości, że Zieliński prowadzi prywatną rozmowę. Z jego rozanielonej miny wywnioskował, że rozmówczynią jest naj-pewniej Maria z KRK. Dobrze się składało.

— Masz dla mnie tego Kozłowskiego?

— Co? — Zieliński wrócił z obłoków na ziemię. — Aha, tak, mam. Zobacz sobie tutaj — pokazał wydruk leżący na biurku. — Nie jest to oczywiście oficjalny wyciąg, tylko Marysia napisała mi w mailu, co wyczytała.

Komisarz sięgnął po kartkę papieru. Mail nie został wydrukowany w całości, Zieliński musiał skorzystać z opcji „drukuj zaznaczone” — prawdopodobnie poczta zawierała treści, które nie były przeznaczone dla oczu Przygodnego. Zakochani nie potrafią się powstrzymać, żeby nie wyznawać sobie miło-

ści w obiektywnie nieodpowiednich momentach. Oczywiście I rzeba patrzeć na to przez palce, każdy ma w swoim życiu okres, kiedy korzysta z tej tolerancji. On też miał. Tylko kiedy to było? Kiedy ostatni raz powiedział Gabi, że ją kocha, kiedy usłyszał od niej te słowa? Nie potrafił sobie przypomnieć. Czyżby naprawdę aż tak dawno?

— I jak? Zadowolony?

Tym razem to Przygodny został ściągnięty pytaniem na ziemię. Zieliński pokazywał na trzymany przez niego wydruk.

— Czekaj, niech popatrzę.

„Wyrok trzy lata pozbawienia wolności za zniszczenie mienia i pobicie z ciężkim uszkodzeniem ciała — przeczytał.

Wyszedł na warunkowe zwolnienie po odbyciu dwóch trze-cich kary”.

— Z czego tu być zadowolonym, jak te wyroki są tylko pod publiczke. Nigdy nie siedzą tyle, na ile są skazani.

— Bo to, rozumiesz, chłopie, harcerze są i w pierdłu zachowują się wzorowo — na twarzy Zielińskiego pojawił się grymas. — Ale nie o to pytam. Przyda ci się, że siedział?

— Potwierdza, co mówiłeś. Mam nadzieję, że się przyda.

Rozpaczliwą nadzieję, powinien dodać. W świetle żelaznego alibi Ratajczyka Kozłowski pozostawał jedynym tropem. Ale nie takim znowu zupełnie nieobiecującym. Mieszkał albo przez dłuższy czas przebywał w Ameryce, na kontynencie Indian.

Roman Kozłowski okazał się dość wysokim i mocno zbudowanym mężczyzną pod trzydziestkę, choć na tle Wójcika i Wojtkiewicza wyglądał na mikrusa. Miał nałożone kajdanki i był bardzo blady na twarzy, ale kiedy komisarz podszedł bliżej, zobaczył, że to nie bladość, tylko puder. Jeśli posterunkowi nie przywieźli go prosto z występu w telewizji, musiał być ge-jem, ale geje i aborcjoniści jako ofiary katolickich ekstremistów byli po tej samej stronie barykady i zwykle nawzajem się nie zwalczali.

— Pan się pudruje? — zapytał niezręcznie Przygodny, nie mogąc pogodzić tego pudru z kryminalną przeszłością Kozłowskiego.

Ten spojrział kwaśno na komisarza.

— Nie, ci debile mnie upudrowali, żeby zakryć ślady. Nie widzi pan, że mnie pobili? Złożę na nich skargę, macie to jak w banku!

Przygodny dopiero teraz dostrzegł siniaki na twarzy Kozłowskiego i ledwo stłumił uśmiech. Nie z powodu pobicia, tylko środka zaradczego, jaki zastosowali posterunkowi.

— Niech pan wejdzie do pokoju i zaczeka — powiedział, otwierając drzwi — a ja rozmówię się z funkcjonariuszami.

Kiedy Kozłowski wykonał polecenie, komisarz popatrzył

na kwadratowe szczęki Wójcika i Wojtkiewicza, przy których fizjonomia Schwarzeneggera wydawała się niewieścią twarzy-czką Krzysztofa Ibisza.

— Co wy wyprawiacie? Chcecie mieć postępowanie dyscyplinarne?

— Stawiał opór, panie komisarzu — usprawiedliwił się Wójcik.

— Właśnie — potwierdził Wojtkiewicz.

— Nie chcieliśmy go bić, tylko przytrzymać, ale się szarpał. Znaczy się, agresywny był — tłumaczył Wójcik.

— Właśnie — zawtórował Wojtkiewicz.

— No i jak go przytrzymywałem, omskła mi się ręka i zahaczyła mu o fizjonomię. No i poleciał na ryj, to jest, znaczy się, na pysk, chciałem powiedzieć, i kolega chciał go złapać, ale tak nieszczęśliwie wyciągnął rękę, że podejrzany się nadział.

— Właśnie.

— Mówiłem wam, że nie jest żadnym podejrzanym, tylko świadkiem! — przypomniał komisarz. — Zresztą podejrzanych też wam nie wolno bić! Co najwyżej obezwładnić!

Wójcik z Wojtkiewiczem milczeli z nieszczęśliwymi minami.

— Żeby mi to było ostatni raz!

— Tak jest, panie komisarzu! — zapewnili zgodnie posterunkowi.

— Zaczekacie tutaj, będę musiał go ugłaskać, a potem przeprosicie.

Wójcik z Wojtkiewiczem skrzywili się, we własnym przekonaniu niezauważalnie, ale dyskretna mimika nie była ich mocną stroną.

— Co? Wolicie dyscyplinarkę?

Pytanie było retoryczne, ale Wójcik wymienił spojrzenie z Wojtkiewiczem i obaj ciężko westchnęli. Wzdychający atle-ci stanowili pocieszny widok i Przygodny znowu musiał stłumić uśmiech.

— Nie, panie komisarzu, wolimy przeprosić — zadeklarował Wójcik.

— Właśnie — Wojtkiewicz zaznaczył, że jest to deklaracja całego duetu.

Komisarz zostawił ich i wszedł do pokoju. Kozłowski siedział na krześle i rękawem ścierał puder z twarzy.

— Może, z łaski swojej, mi to zdejmiecie — pokazał na kajdanki, utrudniające mu tę czynność.

— Zaraz. — Przygodny zatrzymał się przy drzwiach. —

funkcjonariusze przyznają, że posunęli się za daleko, bardzo ubolewają nad tym incydentem i gotowi są pana przeprosić.

(!dyby jednak upierał się pan przy skardze, będą twierdzić, że zostali przez pana zaatakowani i działali w obronie własnej.

Kozłowski popatrzył na komisarza, jakby nie rozumiał, że otrzymał propozycję polubownego załatwienia sprawy ani jak wygląda alternatywa.

— Albo przyjmie pan przeprosiny i będzie miał satysfakcję, że policja pana przeprasza, albo złożę skargę, z której nic nie wyniknie, bo nie ma żadnych dowodów, są wyłącznie pa-na zeznania przeciwko zeznaniom policjantów — uściślił

Przygodny. — A szczerze wątpię, by ktoś dał wiarę przestępcy, który ma na koncie skatowanie kobiety.

— Jak to nie ma dowodów? — zaperzył się Kozłowski. —

A to? — skutymi rękami wskazał na swoją poobijaną twarz.

— Poza tym sam pan powiedział, że przyznają, że posunęli się za daleko. Będzie pan świadkiem!

— Tak powiedziałem? — Przygodny teatralnie odegrał

zdziwienie. — Musiał się pan przesłyszeć. Z wersji, którą przed-stawili mi posterunkowi, wynika, że dokonał pan czynnej napa-

ści na funkcjonariuszy.

Kozłowski spojrział na komisarza spode łba.

— Dobrze — poddał się. — Niech przeproszą.

Przygodny zawołał Wójcika z Wojtkiewiczem. Weszli, skruszeni jak dwa łobuziaki, które mają się wytłumaczyć z rozbitej szyby.

— Bo my tego... — zaczął nieskładnie Wójcik.

— Właśnie — zgodził się od razu Wojtkiewicz.

— ...chcieliśmy pana przeprosić, że tego...

— Właśnie.

— ...że pana uderzyliśmy.

Wójcik z Wojtkiewiczem spojrzeli na komisarza, Wójcik niepewny, czy tyle wystarczy, a Wojtkiewicz, czekając z po-twierdzeniem, aż komisarz uzna przeprosiny za zadowalają-

ce. Przygodny lekko skinął głową.

— Właśnie! — w głosie Wojtkiewicza słychać było wielką ulgę.

— Zdejmijcie mu kajdanki — nakazał komisarz, a posterunkowi skwapliwie wykonali polecenie i czym prędzej zniknęli, zadowoleni, że sprawa rozeszła się po kościach.

Przygodny usiadł za biurkiem, włączył komputer i pouczył Kozłowskiego, że będzie przesłuchiwany w charakterze świadka. Żeby przesłuchiwać go jako podejrzanego, musiałby mu formalnie przedstawić zarzut i dać prawo do odmowy zeznań. Pierwszego nie mógł, a drugiego nie chciał zrobić.

— Co panu mówi nazwisko Mateusz Majewski?

— Nic.

— A to dziwne, bo mamy świadka, który widział, jak pomazał mu pan drzwi.

— Niby gdzie?

— Na Wrońskiego.



Kozłowski starał się sobie coś przypomnieć, a potem na jego upudrowanej twarzy odmalowało się takie zdumienie, że Przygodny doszedł do wniosku, że połączenie Kozłowskiego z dziwnym napisem nastąpiło zbyt pochopnie. Mógł wybiegać z bramy po kłótni z kochanką albo po prostu zasiedział się w gościach, był spóźniony i stąd jego pośpiech.

— Co się dziadowi po dwóch miesiącach zebrało, żeby składać skargę?

A jednak. Co do czasu, świadkowie podawali wprawdzie, że zdarzenie miało miejsce góra przed miesiącem, ale w tym przypadku Przygodny uznawał młodego Kozłowskiego za bardziej wiarygodnego. Starszym ludziom — niestety widział to już również po sobie — czas płynął szybciej, przez co skłonni byli odległe wydarzenia umieszczać w niedalekiej przeszłości.

— Czyli przyznaje się pan, że pomazał Mateuszowi Majewskiemu drzwi?

— Nie wiedziałem, że tak się nazywa. Wypatrzyłem go pod wypożyczalnią porno, poszedłem za nim i walnąłem mu czerwonym sprayem na drzwiach „onanista”.

— „Onanista”? — upewnił się komisarz. — Napisał pan

„onanista”?

— Tak, a pan myślał, że co?

Przygodny złapał się za głowę i roześmiał. Kozłowski nie wiedział, co ma sądzić o takiej reakcji policjanta.

— Rozumiem, że powiedziałem coś zabawnego, ale nie wiem co...

Komisarz chciał wyjaśnić, ale nie pozwoliła mu melodia piosenki Kukiza. Spojrzał na wyświetlacz komórki — dzwonił

aspirant.

— Słucham cię.

— Byłem, szefie, w tym kościele. Majewski nie grał tam na organach, chyba w ogóle nie chodził do kościoła, bo kolędy nie przyjmował. Ale mam wyjaśnienie, to znaczy nie ja, tylko ten dziennikarz, który się tu kręci, ten pana znajomy z „Kuriera”. Wyciągnął ode mnie o tym napisie i mówi, że to pewnie było „onanista”, a nie „organista”, że staruszka nie знаła te-go słowa i odczytała najbliższe jej znane.

Zaś Miecznik nie widział napisu, tylko dowiedział się o nim od Seling — uświadomił sobie komisarz. Wścibskie osoby to nie agenci wywiadu, nie zatajają zdobytych informacji, tylko dzielą się nimi, z kim się da.

— Wziąwszy pod uwagę, że nosi szkła jak słoiki — cią-

gnął Gajda — rzeczywiście mogły się jej litery pomylić.

A „onanista” pasuje do tych filmów porno i w ogóle ma sens.

— Zgadza się, przesłuchuję właśnie gościa, który to zrobił, Kozłowskiego. Mieliśmy obaj niezły blackout, Gajda, że sami się nie domyśliliśmy. A propos, ktoś te filmy ogląda?

— Tak, ale to jeszcze potrwa.

— A jak pozostali sąsiedzi?

— Kicha. Wszyscy od szóstego krzyżyka w górę i dawno spali. Z wyjątkiem studenta, który wynajmuje tu mieszkanie, ale ten z kolei słuchał muzyki. Powiedział, że jedyna zaleta takiego starego sąsiedztwa, to że dziadki są głuche i się nie awanturują, jak nastawi muzykę, tak żeby dało się słuchać, przez co rozumie, jak się domyślam, na cały regulator. Poza tym żalił się, że sąsiedztwo go dołuje, bo co rusz wywożą jakiegoś dziadka na cmentarz. Zdaje się, że leczy doła marihu-aną, więc nawet jakby coś zobaczył czy usłyszał, byłaby kwestia, czy to nie wizje po wypaleniu trawki.

— Sam wynajmuje mieszkanie? Zwykle studenci dzielą mieszkanie w kilku.

— Sam. Mówił, że jest tanio, bo to rudera.

Przygodny zakończył rozmowę jak zwykle bez pożegnania, uważał tego typu grzeczności za całkowicie zbędne, kiedy pracując nad sprawą, dzwonili do siebie kilka lub nawet kilkanaście razy w ciągu dnia. Komórka służyła do wymiany informacji, a nie duserów.

— No więc czym tak pana rozbawiłem? — zapytał Ko-złowski, widząc, że komisarz odkłada telefon.

— Nieważne. — Przygodny uznał, że nie będzie się chwalił swoją niedomyślnością. — Na czym to stanęliśmy? Aha, przyznał się pan do pomazania Majewskiemu drzwi.

— Iz tego powodu nasłał pan na mnie zakapiorów? Wy nie macie jakichś zabójców czy gwałcicieli do ścigania? Albo choćby złodziei? Aha, rozumiem, ten zboczeniec to jakaś szy-cha, więc polska policja pręży muskuły i mogę się tylko cieszyć, że nie wysłał pan antyterrorystów. — Kozłowski drwił sobie w żywe oczy, jednak komisarz mu nie przerywał. Czasami takie spontaniczne monologi przynosiły więcej informacji niż odpowiedzi na ukierunkowane pytania. — Ale nie ma sprawy, mogę zapłacić grzywnę. — Kozłowski, żeby unaocznić, że nie rzuca słów na wiatr, wyciągnął z kieszeni dzinsów portfel.

Mamy na to środki, choć dotąd żaden zboczeniec nie leciał

na policję chwalić się, że jest zboczeńcem.

— My, to znaczy kto?

— Stowarzyszenie do Walki z Pornografią — wyjaśnił Ko-złowski, schował portfel i z kieszeni, tym razem dzinsowej kurtki, wyciągnął paczkę marlboro. — Mogę zapalić?

— Nie — zabronił komisarz.

Kozłowski zrobił niezadowoloną minę, ale posłusznie schował papierosy.

— Majewski jakąś pornografię dziecięcą oglądał, że tak wam przeszkadzał?

— Nie, skąd, takich to należałoby od razu rozstrzeliwać.

Ale pornografia jest szkodliwa, demoralizuje społeczeństwo, upadła i wykorzystuje kobietę, produkuje gwałcicieli...

— Nasze statystyki nie potwierdzają — przerwał komisarz, widząc, że grozi mu dłuższy wykład. — I myślicie, że jak zdemolujecie staruszkowi drzwi, to zwalczycie pornografię?

— W przypadku niektórych tak. Boją się potem wychodzić do wypożyczalni.

— A co w przypadku tych, którzy się nie boją?

— Powtarzamy akcję. A potem stosujemy drastyczniejsze środki.

— No i widzi pan, mnie interesują właśnie te drastyczniejsze środki, bo panu Majewskiemu ktoś rozbił głowę —

Przygodny świadomie przedstawił fałszywy przebieg wydarzeń, ciekawy reakcji Kozłowskiego.

Ten, dotąd najwyraźniej przekonany, że policja zajmuje się nim z powodu błażostki i najgorsze, co mu grozi, to grzywna, której nawet nie będzie musiał zapłacić z własnych pieniędzy, odsunął się z krzesłem, jakby chciał znaleźć się w bezpiecznej odległości od komisarza, i pomachał palcem.

— O nie, nie, w żadne pobicie drugi raz nie dam się wrobić.

— Ma pan na myśli, że tym razem nie da pan sobie niczego udowodnić?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, zwycięsko z tego pojedynku wyszedł komisarz.

— No dobrze — mruknął Kozłowski, spuszczaając oczy. —

Pobiłem tę pielęgniarkę, ale swoje odsiedziałem i wyniosłem z tego nauczkę. Dalej wprawdzie uważam, że morderców nie-narodzonych dzieci należy wieszać, a pornoholików kastrować, ale też uważam, że szkoda mojego życia na siedzenie w pudle. Zresztą po co bić, jak można zastosować środki, za które nie idzie się do więzienia?

— To znaczy?

— Fotografujemy takiego zboczeńca, jak kupuje albo wypożycza filmy, a potem wysyłamy zdjęcia żonie i szefowi. Dzia-

ła cuda.

— Sęk w tym, że Majewski nie miał ani żony, ani szefa.

— Aleja się nim więcej nie zajmowałem! — Kozłowski za-czął się irytować, że policjant nie daje się przekonać. — Dziad-kom wystarczy zwykle pomazać drzwi i chowają ogonek pod siebie. A nawet jak ten nie schował, to nie wszystkich ścigamy do końca. Walczymy ze zjawiskiem, a niekoniecznie z każdym zbrojeńcem, zabrakłoby nam czasu i środków, nie jesteśmy aż tak bogaci. Mogłem walnąć mu drugi raz na drzwiach, że jest onanista, ale wolałem w tym czasie napisać i wysłać pismo do posłów, namawiające do wprowadzenia zakazu rozpowszechniania pornografii. Szybciej osiągniemy cel, jeśli uzyskamy zakaz, niż kiedy będziemy walczyć z każdym pornoholikiem z osobna.

Komisarz nie mógł odmówić słuszności temu argumen-towi. Zresztą jeśli nawet Kozłowski kłamał i pobicie było jednym ze środków perswazji stosowanych przez wspomnianą przez niego organizację, to cały czas rozmawiali właśnie o po-biciu. Siedzący przed nim aktywista wyraźnie nie miał poję-

cia, że chodzi o zabójstwo, a Przygodny nie był w stanie sobie wyobrazić, by nawet ci fanatycy uznawali śmierć za adekwat-ną karę za konsumowanie pornografii. Co innego za aborcję, którą stawiali na równi z morderstwem, ale pod tym wzglę-

dem Majewski miał czyste sumienie.

Za Kozłowskim przemawiała też okoliczność, że między pomazaniem drzwi a morderstwem minęły dwa miesiące.

Z liczby filmów, jakie zgromadził Majewski, wynikało, że był

uzależniony od pornografii, a nałogowiec nie robi sobie dwu-miesięcznego urlopu od swojego nałogu. Nie miał w domu komputera, a więc nie miał dostępu do internetu i musiał wychodzić do wypożyczalni albo do sex shopu po filmy (to pewnie były te wyjścia, które pani Sel ing zinterpretowała jako uzupełniające zakupy). Czyli ciągle byłby w polu widzenia Kozłowskiego albo kogoś ze stowarzyszenia i gdyby nadal chcieli go nękać, nie czekaliby z tym tyle czasu.

Poza tym akcja Kozłowskiego paradoksalnie świadczyła na jego korzyść. Jeśli ktoś pada ofiarą dwóch przestępstw, drobnego i poważnego, to o ile nie występuje między nimi związek przyczynowo-skutkowy, sprawca praktycznie nigdy nie jest jedną i tą samą osobą. A tutaj taki związek najwyraź-

niej nie występował.

Przygodny uznał, że może Kozłowskiego wykluczyć jako podejrzanego bez względu na odpowiedź na ostatnie pytanie.

— Gdzie pan był wczoraj między dwudziestą drugą a dwudziestą czwartą?

— Wczoraj był wtorek? — Kozłowski chwilę się zastanowił. — A gdzie mogłem być? W domu

byłem.

— Ktoś może to potwierdzić?

— Tak, moja żona.

— Co pan robił?

— Co robiłem? O dziewiątej zjedliśmy kolację, potem oglą-

daliśmy jakiś film na DVD, ale mnie znudził, więc siadłem do komputera, napisałem jedno pismo, pograłem sobie trochę, potem zapłaciłem rachunki w banku, około północy poszli-

śmy spać.

Ta przedostatnia informacja była najciekawsza. Sprawdzenie, że ktoś łączył się z siecią z komputera Kozłowskich i logował do banku, nie nastręczyłoby żadnych trudności.

Oczywiście mogła to być żona Kozłowskiego, a nie on sam, ale wymienił zapłacenie rachunków jednym tchem z innymi czynnościami, które wykonywał przy komputerze, nie wskazał, że akurat ta daje mu alibi, więc pewnie nawet nie skojarzył, że zostawił w internecie ślad swojego pobytu.

To komisarzowi wystarczyło, nie planował weryfikacji alibi Kozłowskiego — przedstawione upewniło go we wcześniejszej ocenie, że aktywista bez wątpienia nie jest sprawcą.

— Jeszcze jedno pytanie. Jaki kolor ma pański samochód?

— Ciemnozielony. To ważne?

— Nie, w najmniejszym stopniu.

Po rytuale drukowania — drukarka znowu wariowała —

i podpisywania protokołu, odprowadził Kozłowskiego na dół, bo chciał wstąpić do kantyny. Kupił sobie kanapkę z salami i „Kurier”. Popijając kęsy kanapki herbatą, przeglądał gazetę.

Starał się przy tym nie wracać myślami do śledztwa, wiedział, że takie oderwanie się na chwilę od sprawy jest konieczne, od-

świeży umysł i może pozwoli dostrzec jakiś przeoczony fakt.

Pewnie po takiej przerwie sam by się domyślił, co tak naprawdę Kozłowski napisał Majewskiemu na drzwiach.

Tym razem jednak po ostatnim kęsie kanapki i ostatnim łyku herbaty był tak samo mądry jak przed pierwszym. Się-

gnął do kieszonki po komórkę, żeby zadzwonić do Gajdy, ale telefonu w niej nie było. Nerwowo oklepał pozostałe kieszenie, ukradziono mu komórkę! Nonsens, przemówił sobie do rozumu. Złodzieje, byli wprawdzie na tyle bezczelni, że potrafiliby okraść nawet policjanta w komendzie, ale nikt do niego nie podchodził. A odkąd okradziono go w pociągu, zwracał na to uwagę. Było mu bowiem wstyd, że dał się tak łatwo wystrychnąć na dudka. Wsiadał do pociągu, a złodziej przepychał się do wyjścia, wpadł na niego, podeptał mu torbę. Przygodny nic sobie przy tym nie pomyślał, zezłościł się jedynie, jak sądził, na chama. Dopiero dwie stacje później odkrył, że nie ma port-fela. Klasyczny sztuczny tłok, powiedział kolega, który przyjął zgłoszenie. No właśnie nie, trik ze sztucznym tłokiem znał

i pewnie by się zorientował, ale do tłoku trzeba kilku, a złodziej dokonał kradzieży w pojedynkę. Nawiasem mówiąc, nie złapano go. Koledzy z sekcji do walki z przestępczością przeciwko mieniu zadzwonili po jakimś czasie do Przygodnego z pytaniem, czy ustalił sprawcę. Trochę się zdziwił, myślał, że to ich zadanie. Ale oświadczyli, że skoro nie ustalił, uma-rzają sprawę. Zastanawiał się, czy do zwykłych obywateli również dzwonią z podobnymi pytaniami, czy to tylko on, jako policjant, sam miał sobie szukać sprawcy.

Nonsens, uspokoił się jeszcze raz w sprawie komórki. Musiał zostawić ją w pokoju. Nigdy dotąd mu się to wprawdzie nie zdarzyło, ale najwyraźniej się starzał. Zaskoczyła go ta konstatacja. Starzał się? Nonsens, powtórzył, odnosząc się tym razem do wieku — miał dopiero czterdzieści cztery lata.

Może z punktu widzenia dwudziestolatka był stary, ale biorąc rzecz obiektywnie, na pewno nie.

Podniósł się, żeby znowu nie zagłębić się w rozważania na temat swojego wieku, urodzin, braku życzeń od Gabi i co z tego wynikało dla ich małżeństwa. Miał nietypowe morderstwo do rozwikłania. Bardzo nietypowe. Odniósł szklankę do bufetu i skierował się na górę, żeby zadzwonić do Gajdy. Okazało się jednak, że nie ma takiej potrzeby — aspirant zdążył

już wrócić i protokołował zeznanie pani Sel ing.

— Jest raport z medycyny sądowej — powiedział na widok komisarza, pokazując na teczkę leżącą na biurku obok rzeczywiście zapomnianej komórki.

— Tak szybko? — zdziwił się komisarz. Zwykle raport dostawali na drugi dzień, a w ostatnim czasie byli szczęśliwi, kiedy docierał na trzeci. No tak, nowy lekarz, przypomniał sobie Przygodny. Opryskliwy, ale najwyraźniej solidna firma. Zresztą, czy nie była to pewna prawidłowość, że ludzie gburowaci perfekcyjnie wykonywali swoje obowiązki? Jakby, znając swoją wartość, nie musieli dbać o sympatię współpracowników.

Usiadł za biurkiem i wziął do ręki zielony skoroszyt, ale odłożył go tknięty pewną myślą. Dlaczego nie spróbować szczęścia, skoro lekarz tak ładnie się uwinął? Miałby komplet.

Sięgnął po słuchawkę telefonu stacjonarnego i wybrał numer sekcji technicznej.

— Tutaj Przygodny. Nie mam jeszcze raportu z Wrońskiego.

— Zaraz sprawdzę — usłyszał w odpowiedzi.

Po niecałej minucie oczekiwania technik zgłosił się ponownie:

— Przecież na Wrońskiego pracowaliśmy dzisiaj.

— Wiem, ale sprawa jest absolutnie priorytetowa, chyba widzieliście, co tam było, i miałem obiecać, że się pośpieszy-cie. Od lekarza dostałem już raport i brakuje mi tylko od was.

— Kto panu obiecał? — technik miał wątpliwości, czy Ktoś mógł składać tak nieodpowiedzialne obietnice.

— Ktoś z ekipy, na miejscu, personaliów akurat nie spisa-

łem — komisarz uznał, że zgryźliwością najlepiej przykryje kłamstwo.

— Zobaczę, co się da zrobić.

— Będę wdzięczny.

Rozłączył się i mając świadomość, że technik psioczy teraz na „tych komisarków, którym się wydaje, że jesteśmy cu-dotwórcami”, otworzył raport sekcyjny. Pomiął część opisową i przeszedł od razu do wniosków. Rana brzuszna spowodowana przez strzałę nie była groźna, grot nie uszko-dził żadnego ważnego organu. Ofiara przeżyłaby, gdyby grot nie był posmarowany... kurarą.

Biorąc pod uwagę oskalpowanie denata, Przygodny powinien być przygotowany na takie niespodzianki, ale z począt-ku nie mógł opędzić się od podejrzenia, że to kolejny mało wybredny żart nowego patologa. Jednak dalsza część nie pozostawiała wątpliwości, że Małecki nie żartował.

„Trucizna spowodowała zanik impulsów z nerwów do mięśni, a tym samym ich zwiotczenie, co w efekcie doprowadziło do niemożności wykonywania ruchów oddechowych i śmierci przez uduszenie. Kurara jest trucizną działającą błý-skawicznie, tak więc zmarły po otrzymaniu postrzału żył jeszcze najwyżej pół minuty”.

Komisarz tylko na moment zatrzymał się nad nie najszcześliwszym sformułowaniem „zmarły żył jeszcze”, bo natychmiast pojawiły się pytania, na które trzeba było znaleźć odpowiedź. Skąd zabójca — ten nikły procent możliwości, że nie mają do czynienia z morderstwem, został wykluczony — miał kurarę? Z tego, co Przygodny kojarzył, trucizny tej używali południowoamerykańscy Indianie. Właśnie, południowoamerykańscy, a skalpowali północnoamerykańscy. Za-bójca nie do końca zadbał o spójność scenariusza, według którego dokonał morderstwa. I czemu ten scenariusz miał służyć? Stanowił jakieś przesłanie?

Komisarz spojrzał na Gajdę, który skończył przesłuchiwać panią Sel ing i odbierał dane personalne Miecznika. Musiał jeszcze poczekać, aż będzie mógł przedyskutować sprawę z aspirantem. Wszedł do internetu, żeby poszukać informacji o kurarze. Nie mylił się — pozyskiwana jest z lian kulczyby, która w Polsce zdecydowanie nie rośnie. Znalazł jednak coś, o czym nie wiedział: jeden ze

składników kurary, tubokurarynę, obecnie otrzymywaną syntetycznie, wykorzystywano w medycynie do zwiótczania mięśni podczas operacji. Z raportu lekarza wynikało, że tak właśnie zadziałała trucizna, może więc zabójca posłużył się nie kurarą, tylko tubokuraryną. Zdobycie leku, choćby dostępnego tylko w szpitalach, nie nastroczało żadnego kłopotu, koledzy z narkotykowego nieraz się zżymali, że system zabezpieczeń był w Polsce fikcją, potrzebujący zawsze znalazł lekarza lub pielęgniara, który nie pogardził dodatkowym zarobkiem. Pielęgniara! Znowu w wizjerze pojawiał się Ratajczyk. W świetle nieszczelności systemu praca w ochronie zdrowia nie była wprawdzie szczególnie obciążają-

cą okolicznością, ale dzięki swojemu wykształceniu lub dzięki rodzicom lekarzom Ratajczyk mógł w ogóle wiedzieć o istnieniu tubokuraryny, przeciętny człowiek z ulicy raczej nie dysponował tą wiedzą.

Pozostawało jedno „ale”, patolog pisał o kurarze, a nie tubokurarynie. Komisarzowi łatwiej jednak było uwierzyć w po-myłkę Małeckiego niż w to, że ktoś we Wrocławiu hodował

południowoamerykańskie rośliny. Może zbyt pochopnie ocenił nowego patologa jako solidnego.

Ponownie sięgnął po słuchawkę telefonu i połączył się z Zakładem Medycyny Sądowej. Poszukiwania Małeckiego chwilę trwały i Przygodny zanotował sobie, że musi wziąć od lekarza numer komórki, żeby mieć z nim bezpośredni kontakt.

— Czego? — usłyszał opryskliwy głos i uściślił w myślach, że kontakt ma być wyłącznie służbowy.

— Komisarz Przygodny...

— Wiem, powiedziano mi. Do rzeczy, nie mam czasu, robię sekcję.

— Dostałem pana raport...

— Skoro wysłałem, to go pan dostał. Do rzeczy.

— Pisz pan, że ofiara zmarła wskutek zatrucia kurarą.

Czy mogła to być tubokuraryna?

— Skąd pan wziął te bzdury? Nie, nie mogła to być tubokuraryna. Jak piszę, że we krwi była kurara, to znaczy, że by-

ła kurara, a nie tubokuraryna, pawulon, arszenik, cyjanek, strychnina, rycyna czy inne świństwo. Coś jeszcze?

— Nie, dziękuję.

— Proszę.

Komisarza tak zaskoczyło użycie przez Małeckiego kurtu-azyjnego słowa, że dopiero trzask



odkładanej słuchawki przypomniał mu, że miał poprosić lekarza o numer komórki.

Trudno, musiał odłożyć to do następnej uroczej rozmowy.

Czyli jednak kurara. Wyrzął przez okno. Słońce przego- niło wprawdzie poranną szarówkę, ale nie było na tyle mocne, by ktoś mógł nabrać podejrzeń, że znajdowali się na kontynencie amerykańskim. Przeniósł wzrok na kalendarz ze zdję-

ciem zamojskiej starówki. Nie, do pierwszego kwietnia zostało jeszcze trochę czasu.

Wysłuchał się w zeznania Miecznika, który tłumaczył wła-

śnie aspirantowi, jak zapamiętał numer rejestracyjny samochodu Kozłowskiego. Chwilę jeszcze potrwa. Komisarz wrócił

do raportu z sekcji. Ofiara miała siniaki i otarcia na ciele, na przegubach dłoni i kostkach nóg, pochodzące od krępującego je sznura, pozostałe były wynikiem tego, że Majewski bronił

się przed związaniem. Nie podrapał jednak sprawcy, nie miał

na sobie włosów przestępcy, nie mówiąc o krwi, czyli żadnych śladów DNA, które mogłyby pochodzić od zabójcy, nie udało się zabezpieczyć.

Ktoś obezwładnił Majewskiego, co dodatkowo potwierdzał

fakt, że w jego krwi nie znaleziono środków odurzających ani alkoholu. Wziąwszy jednak pod uwagę, że był on sześćdziesię-

cioośmioletnim starcem, nie zawęzało to kręgu podejrzanych, nawet gdyby było co zawęzać. Dałaby mu pewnie radę także silniejsza kobieta.

Trochę zaskoczyła komisarza informacja, że Majewski wcale nie chorował na serce — ogólnie jego stan zdrowia był

niezły. Stwierdził, że przyłapał Ratajczyka na kłamstwie, ale po namyśle doszedł do wniosku, że niekoniecznie. Pielęgniarski zapewne nie badał Majewskiego, a tylko się nim opiekował, musiał zatem opierać się na tym, co mówił podopieczny. A ten z typową dla starszych ludzi hipochondrią mógł utrzymywać, że ma słabe serce, choć w rzeczywistości nic mu nie dolegało.

Sięgnął po komórkę i wybrał numer Ratajczyka. Znowu musiał odczekać kilka sygnałów. Pielęgniarski najwyraźniej nie należał do osób, które śpieszyły się z odbieraniem telefonu.

— Halo.

— Komisarz Przygodny.

Pielęgniarski wydał z siebie nieokreślony dźwięk, ni to niechęci, ni to przestachu, ale komisarz nie dał

mu okazji do zwerbalizowania tej reakcji.

— Powiedział pan, że Majewski miał słabe serce, najpierw podejrzewał pan zawał. Skąd te diagnozy?

— A, pan Majewski ciągle narzekał na serce, więc jak zadzwoniliście, to pomyślałem, że coś jednak było na rzeczy i dostał zawału.

— Coś było na rzeczy? — komisarz oczekiwał uściślenia.

— No tak, bo ani nie poszedł z tym do lekarza, ani nie brał

żadnych leków. Przekonywałem go, że skoro źle się czuje, powinien się leczyć, ale nie chciał. Powiedział, że jak człowiek w jego wieku odda się w ręce konowałów, to jakby dał sygnał

do odjazdu konduktu pogrzebowego.

— Nie mógł pan sam wezwać lekarza?

Ratajczyka zdziwiło pytanie.

— Nie, skąd. Nie można nikogo zmusić do leczenia. Poza tym uznałem wtedy, że tylko tak gada, że jakby naprawdę coś mu dolegało, poszedłby jednak do lekarza. Ludzie po sześć-

dziesiątce często skarżą się na serce, choć w rzeczywistości są zdrowi, po prostu wiek daje znać o sobie. Wystarczy się wtedy oszczędzać, farmakologia nie jest potrzebna.

— Rozumiem, dziękuję.

Komisarz rozłączył się i znowu popatrzył w stronę Gajdy i Miecznika. Jego życzenia, żeby przesłuchanie dobiegło wreszcie końca, powoli się spełniały. Świadek czytał właśnie protokół przed złożeniem podpisu.

— Nie napisał pan, jak zapamiętałem ten numer rejestracyjny — zgłosił zastrzeżenia.

— Nie jest to takie istotne. Ważne, że pan zapamiętał —

wyjaśnił Gajda.

— No ale ktoś może twierdzić, że w moim wieku pamięć mi szwankuje — upierał się Miecznik, najwyraźniej tak dumny ze swojego systemu, że koniecznie chciał, by uwieczniono go w policyjnym protokole.

— Proszę się nie obawiać. Po pierwsze, znaleźliśmy ten samochód, co jest najlepszym dowodem, że się pan nie pomylił, a po drugie, gdyby ktoś chciał kwestionować pana zeznania, to dopiero na rozprawie, a wtedy będzie miał pan okazję, żeby wszystko dokładnie sądowi wytłumaczyć.

Aspirant chciał uspokoić Miecznika, osiągnął jednak cel odwrotny od zamierzonego.

— Będę musiał zeznawać w sądzie? — przestraszył się starzec. — Aleja wcale nie chcę zeznawać!

— Nie ma pan niestety wyboru, świadek nie może odmówić stawienia się przed sądem.

Błąd, pomyślał komisarz. Gajda wprawdzie nie wiedział

jeszcze, że Kozłowski jako sprawca nie wchodzi w grę, co wykluczało Miecznika jako świadka w sądzie, ale niekoniecznie musiał pouczać go o jego obywatelskich obowiązkach.

— W takim razie tego nie podpiszę — oświadczył buń-

czucznie starzec. — Nic nie widziałem, nie zapamiętałem żadnego numeru.

Gajda spojrzał na komisarza, prosząc wzrokiem o pomoc.

— Panie Miecznik! — Przygodny podniósł się z krzesła i podszedł do biurka aspiranta. — Znaleźliśmy dzięki panu wła-

ściciela samochodu i ustaliliśmy, że nie ma on związku ze sprawą, a to oznacza, że również pana udział kończy się na podpisaniu tego protokołu. Jeśli jednak pan nie podpisze, właściciel samochodu oskarży nas o nękanie, bo oficjalnie nie było podstaw, żeby go przesłuchiwać. A wtedy będziemy musieli wezwać pana na świadka do sądu, żeby się bronić, że jednak podał

pan nam ten trop, tylko nie chciał później podpisać zeznań. I nie dość, że nie będzie pan mógł nie przyjść, to jeszcze dostanie pan karę za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości, jeśli sę-

dzia się zirytuje, że musi prowadzić zbędną rozprawę. A słyszał

pan chyba, jak zawałone są nasze sądy? Więc raczej trudno liczyć, że trafi się panu sędzia narzekający na brak rozpraw.

— Czyli jak podpiszę, to nie będę w sądzie? — upewnił się Miecznik.

— W obecnym stanie rzeczy nie — potwierdził komisarz i skinął Gajdzie głową, żeby wydrukował protokół. Drukarka aspiranta działała sprawnie i procedura podpisywania przebiegła gładko.

— Rzeczywiście wykluczył pan tego właściciela volkswagena — zapytał Gajda, kiedy zostali sami — czy to była tylko zagrywka?

— Rzeczywiście — powiedział Przygodny i przedstawił po-krótkce zeznania Kozłowskiego i swoją ocenę. Potem chciał

przejsć do zeznań Ratajczyka, ale aspirant mu przerwał:

— Panie komisarzu, błagam, muszę wrzucić coś na ruszt, bo normalnie zemdleję z głodu, skoczę tylko po jakąś kanapkę i zaraz wracam.

Przygodny zamierzał się sprzeciwić, Gajda nie był cukrzykiem, żeby nie mógł chwilę pogłodować, kiedy w drzwiach stanął technik z raportem.

— Dobrze — wyraził więc zgodę. — Weź to — podał mu protokół przesłuchania Ratajczyka i raport z sekcji — i przeczytaj, jak będziesz jadł, aja za ten czas zapoznam się z raportem technicznym.

Odebrał go z rąk technika, którego mina nie pozostawiała wątpliwości, co myśli o komisarzach domagających się raportów w dniu morderstwa. Przygodny zignorował jego minę

- ani myślał przejmować się fochami ludzi, którzy uważają, że dzieje się im krzywda, kiedy muszą więcej popracować al-bo szybciej coś zrobić.

Usiadł z powrotem za swoim biurkiem i przewertował

kartki.

„Wyraźne ślady włamania — przeczytał. — Zamek bez śladów manipulacji, co każe domniemywać, że drzwi wywa-

żono, a potwierdzają to ślady na framudze”.

Nic nie trzeba było domniemywać, drzwi wyważyli Wójcik z Wojtkiewiczem. Technicy zjawili się na miejscu po akcji posterunkowych i opisali zastaną sytuację, nie bawiąc się w ustalanie przyczyny w tak banalny sposób jak zadanie pytania, interesowały ich wyłącznie ślady materialne. Od zadawania pytań była policja — tylko w filmach laboranci prowadzą śledztwo, jakby mieli policyjne uprawnienia. To skądinąd chwalebne trzymanie się własnej działki mogło jednak prowadzić do nieporozumień. Gdyby inny oficer przejął od Przygodnego śledztwo al-bo w razie, odpukać, niezalezienia sprawcy wrócił do niego po latach i opierał się wyłącznie na aktach, musiałby założyć, że mordercą, skoro dostał się do mieszkania siłą, był ktoś obcy względnie ktoś, kogo Majewski nie chciał wpuścić. Tymczasem brak manipulacji przy zamku wskazywał na coś dokładnie przeciwnego. Majewski znał sprawcę, nie obawiał się otworzyć mu drzwi, może nawet dał klucze. Szkopuł polegał na tym, że z do-tychczasowych ustaleń wynikało, iż krąg takich osób zamykał

się liczbą jeden. A po odjęciu tych, którzy mieli żelazne alibi, liczbą zero.

Komisarz zrobił na marginesie dopisek, że drzwi wyważyli policjanci, i przeszedł do części omawiającej odciski palców.

Na strzale żadnych nie było, na łuku może były, ale go nie znaleziono. W mieszkaniu znajdowały się odciski palców ofiary i jeszcze jednej osoby, bez kryminalnej przeszłości, bo nie występowała w AFIS-ie, czyli w Automatycznym Systemie Identyfikacji Daktyloskopijnej. Przygodny bez trudu domy-

ślił się, że tą drugą osobą był Ratajczyk. Odcisków pobranych wyłącznie w celu wykluczenia osób postronnych nie wolno było wprowadzać do systemu, więc siłą rzeczy porównanie nie mogło dać wyników. Komisarz doznał lekkiego rozczarowania, po cichu liczył na łut szczęścia, na to, że nieopatrznie zostawiony odcisk palca doprowadzi ich do sprawcy. Ale zabójca, który w dzisiejszych czasach zostawiał na miejscu zbrodni odciski swoich linii papilarnych, zostawiał też dziesiątki innych dowodów, które pozwalały go natychmiast ująć. Każdy odrobinę sprytniejszy pamiętał o nałożeniu rękawiczek albo wytarciu śladów. W zasadzie w wydziale zabójstw mogliby zrezygnować z pobierania odcisków palców. Korzyść z nich mieli jedynie koledzy z innych wydziałów, w sytuacjach gdy przestępca nie mógł nałożyć rękawiczek, bo wzbudziłby podejrzenia.

Wielka zdobycz kryminologii poprzez upowszechnienie wiedzy o niej stawała się nieprzydatna. Powoli to samo działo się ze śladami DNA. A właściwie nie powoli, tylko szybko. Seriale typu Kryminalne zagadki Las Vegas stanowiły doskonały instruktaż dla przestępców, jak nie zostawiać śladów biologicznych i jak je usunąć. Przygodny najchętniej zakazałby takich produkcji.

Jeszcze parę lat temu morderca przekonany o swej bezkarno-

ści, bo nałożył rękawiczki, a zabójstwa dokonał bez świadków, skonfrontowany ze śladami DNA, nie mógł ukryć zaskoczenia i w obliczu dowodów, których się nie spodziewał, podpisywał

przyznanie się do winy. Teraz zwykle pamiętał, żeby nałożyć czapkę i nie spluwać na miejscu zbrodni, a jeśli mimo to zostawił ślady, starał się mieć w zanadrzu jakieś wyjaśnienie.

I w tym przypadku najwyraźniej mieli do czynienia z przestępcą wyedukowanym na wspomnianych serialach, bo jedyny zabezpieczony materiał genetyczny stanowiły włosy, znowu dwóch osób. Jedne siwe, drugie blond. Czy siwe włosy należa-

ły do ofiary, trudno byłoby ustalić, bo morderca, zabierając skalp — jednak nie znalazł go w mieszkaniu — usunął materiał porównawczy, ale wszystko za tym przemawiało. Przygodny spodziewał się też, że właścicielem blond włosów oka-

że się Ratajczyk. To znaczy, okazałby się, gdyby prokurator zgodził się na badania DNA, w co należało wątpić. Jak w każ-

dej dziedzinie życia, ekonomia miała ostatnie słowo, a takie badania były bardzo kosztowne. Jeśli śledczy chcieli je przeprowadzić, musieli wykazać, że są niezbędne i inną drogą nie dojdą do przestępcy. Przygodny i tak mógł się cieszyć, że pracował przy zabójstwach, bo miały one priorytet. Inna sprawa, że ze względu na więcej niż skromną bazę danych — niecałe dwadzieścia tysięcy wpisów w porównaniu z blisko trzymilionowym AFIS-em — DNA nie przydawało się do namierzenia nieznanego przestępcy, a jedynie do udowodnienia winy już ujętemu.

Przeszedł do części raportu dotyczącej narzędzia zbrodni.

Strzała była zwykłą strzałą z łuku sportowego, bez cech charakterystycznych oznaczeń, które mogłyby wskazywać na miejsce jej zakupu czy stosowanie strzał z tego samego kompletu. Żaden z noży znalezionych w kuchni nie posłużył do skalpowania, z czego wypływał wniosek, że sprawca

przyniósł

i zabrał go ze sobą.

Komisarz odłożył raport. Niepotrzebnie poganiał techników, ustalenia nie posunęły go ani o pół kroku do przodu. Się-

gnął po komórkę.

— Długo jeszcze będziesz jadł? — zapytał zirytowanym głosem, kiedy Gajda odebrał.

— Już wracam — zapewnił aspirant. — Coś się stało, że pan komisarz jest taki zdenerwowany?

— Nie, przepraszam — zmitygował się Przygodny. — Po prostu raport techniczny okazał się kolejną ślepą uliczką.

Gajda zamiast odpowiedzieć, rozłączył się i otworzył

drzwi do pokoju.

— Jestem. Przepraszam, że tyle to trwało, ale zajrzałem jeszcze do oglądających filmy. Pierwszy młodzian padł już po dziewiątym, ale ten wyjątkowo nie chciał się napatrzeć, tylko wykazać. Zdaje się, że nigdy wcześniej nie widział pornosa i był

głęboko zniesmaczony, niemal płakał, że można w ten sposób poniżyć kobiety. Chyba jest głęboko i romantycznie zakochany, a jeszcze nie dotknął swojej wybranki, ma ją za anioła i chodzącą świętość, co rzeczywiście trudno połączyć z pornosami.

Ale zakład zakładem, więc przegrał pan, panie komisarzu, ja zresztą też, trafił sierżant Karkoszka. I sierżant wziął na siebie oglądanie, ale to spryciarz, leci z tym na szesnastkowym przyśpieszeniu na kilku monitorach, nie wiem, jakim cudem nie dostaje oczopląsu. Na razie nic nie wypatrzył, nie dość, że wszystko legalne, to nawet mało wyuzdane, dziadek wyraźnie nie lubił perwersji. Jeśli z filmów można wywnioskować jakieś jego skłonności, to nie do małych dziewczynek, tylko do obfitych biustów, co akurat trudno uznać za zboczenie, przeciwnie, małe dziewczynki nie mają obfitych biustów i jak facet lubi, żeby kobieta miała czym oddychać, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent można powiedzieć, że nie jest pedofilem.

Komisarz z taką metodą wykluczania pedofili dotychczas się nie zetknął, ale po namyśle musiał uznać ją za niepozbanioną logiki.

— Sierżantowi Karkoszce zostało jeszcze trochę filmów

- ciągnął aspirant — ale na podstawie tego, co dotąd obejrzał, spokojnie możemy uznać, że ten wątek nigdzie nas nie doprowadzi.

— Niestety — zgodził się Przygodny. — Kozłowski ze swoim stowarzyszeniem miał Majewskiego na oku i też żadnych skłonności pedofilskich u niego nie wypatrzył. Przeczytałeś papiery?

— Tak, dzięki umiejętności czytania w biegu na koryta-rzu. Niezły numer — Gajda pomachał zielonym skoroszytem choć w zasadzie w połączeniu ze strzałą nie powinien zaskakiwać. Indianie przecież często zatruwali strzały.

Aspirant usiadł za swoim biurkiem i spojrzał wyczekująco na Przygodnego, spodziewając się jakiegoś komentarza.

— Powiedz mi, co myślisz o zeznaniach Ratajczyka — polecił jednak komisarz, pomijając kwestię kurary.

— Jak dla mnie, trzymają się kupy. Pieniądze, owszem, zawsze są podejrzane, ale w tym przypadku wygląda na to, że gość miał po prostu nieziemskiego farta. Sześćset tysięcy, kurka wodna, przydałoby mi się. Sprawdził pan jego alibi?

— Sprawdziłem, barman potwierdził, że między dziesiątą a a północą Ratajczyk był w pubie i że doszło do bijatyki.

— No to możemy go wykluczyć.

— A ty gdzie byłeś wczoraj w tych godzinach?

— Ja? — Gajda nie posiadał się ze zdumienia. — Jestem podejrzany?

— Odpowiedz.

— No... niech pomyślę... w domu byłem, gdzie miałem być? O jedenastej się kładę, jak mam wstawać na ósmą do roboty.

— Widzisz, musiałeś się chwilę zastanowić, Kozłowski też musiał, normalnie człowiek nie ma w głowie rozkładu poprzedniego dnia, a Ratajczyk bez namysłu powiedział, że był w pubie.

Aspirant rozważał słowa komisarza, wpatrując się w pomalowaną na seledynowo ścianę.

A jakie Kozłowski miał alibi?

--Też był w domu.

— No właśnie, i dlatego musieliśmy się zastanowić. Prze-bywanie w domu nie jest wydarzeniem, które zostaje w pamię-

ci, co innego wizyta w pubie, w którym człowiekowi przywała.

— Wiem i sam brak zastanowienia niczego by nie przesą-

dzał, ale nie daje mi spokoju w powiązaniu z resztą — sprecy-zował Przygodny. — Jest dzień powszedni, wieczór, pracujący ludzie szykują się do snu, żeby następnego dnia w pracy nie lecieć na nos, a ten idzie do pubu i zachowuje się tak, żeby każda minuta jego pobytu została zapamiętana. Najpierw awanturuje się, że za długo czeka na piwo, a potem podrywa dziewczynę będącą w towarzystwie jakiegoś osiłka, chociaż dwie samotne siedzą przy barze i aż proszą się o podryw.

- No tak, ale niech pan komisarz zwróci uwagę, jakiego on słowa użył. — Gajda wskazał sobie palcem w protokole sło-wo, o które mu chodziło. — Polowanie. Poszedł na polowanie.

Drapieżnik wychodzi zapolować, kiedy jest głodny. Ratajczyk nie ma żony, zachciało mu się, to nie patrzył, że następnego dnia będzie niewyspany. Zresztą w jego wieku spokojnie moż-

na z arwać noc i potem być na pełnych obrotach. A te dwie samotne zwyczajnie mogły mu się nie podobać. Albo szukał nie tylko dupy, ale i adrenalinki. Owoc zdobyty z pewnym wysił-

kiem lepiej smakuje.

- Powinien jednak zdawać sobie sprawę, że z tym osił-

kiem nie ma szans — upierał się przy swoim Przygodny.

- Dlaczego? Siła to nie wszystko. Powie pan, że drzewo jest silniejsze od trzciny, ale wichura złamie drzewo, a trcinę co najwyżej przygnie do ziemi. Przy dobrej zręczności moż-

na być słabszym od rywala, a jednak mu dołożyć.

- Ale nie dołożył. Sam oberwał.

— Przeliczył się, co nie znaczy, że z góry stał na straconej pozycji. Poza tym, panie komisarzu — Gajda aż wyprostował

się z wrażenia, że do głowy przyszedł mu tak wspaniały argument — gdyby on poszedł do tego pubu, żeby zapewnić sobie alibi, bo na przykład morderstwa dokonał współnik, to przecież po bójce nie protestowałby przeciwko wzywaniu policji.

Alibi potwierdzone przez funkcjonariuszy, czy można wyobrazić sobie pewniejsze? Przy barmanie zawsze jest ryzyko, że uznamy go za niewiarygodnego albo przekupionego.

Przygodny musiał przyznać aspirantowi rację. Wyraźnie nie był dzisiaj w formie. Najpierw nie zorientował się, co tak naprawdę Kozłowski napisał sprayem na drzwiach, potem źle ocenił stan



finansów Majewskiego, a teraz wysłuchiwał od podwładnego argumentów, którymi powinien przekonać sam siebie. Co się z nim działo? Skąd ten kryzys? Kryzys wieku średniego? — przyszło mu do głowy. Absurd, kryzys wieku średniego to zniechęcenie własną małżonką i rozpaczanie nad mijającymi latami, a nie zaburzenia w rozumowaniu. Zaraz, a o czym to myślał rano, czy jedno nie przekłada się na drugie? Bezwiednie schował twarz w dłoniach.

— Źle się pan czuje? — zareagował aspirant.

— Nie, skąd — otrząsnął się Przygodny. — Wspólnika nie miał — komisarz wszedł w ten tok myślenia, w który powinien wejść od samego początku. — Wątpię, by ktoś pomógł

mu tak z dobroci serca, jeśli motywem były pieniądze, a innego Ratajczyk nie miał. Sprawdziłem jego konto, żadnych nietypowych przelewów czy pobrań gotówki w ostatnim czasie.

A płatni zabójcy nie pracują bez zaliczki. Bez sowitej zaliczki.

Gajda potwierdził skinieniem głowy, że jak zna płatnych za-bójców, to nie są to ludzie skłonni do choćby odrobiny filantropii.

Pielęgniarka odpadała. Najdziwniejsze zachowanie w pubie nie mogło podważyć faktów — zresztą, czy rzeczywiście było aż takie dziwne? Polacy po odzyskaniu kapitalizmu zachłyszli się zasadą „klient nasz pan”, deformując ją do zasady

„klient nasz cham”. Wystarczyło, że sprzedawcy zabrakło pół

centymetra do ukłonu w pas, nie nadażył w te pędy z obsługą, uśmiechał się nie dość olśniewająco sztucznym uśmiechem, by wywołać awanturę. A teraz rosło wychowane w tym duchu nowe pokolenie, dla którego piętnastominutowe oczekiwanie na kelnera stanowiło osobistą zniewagę. Nie, to nie było zachowanie obliczone na to, by barman go zapamiętał — Ratajczyk nie mógł przewidzieć, że przyjdzie mu czekać na podanie piwa.

Tyle że po wykluczeniu Ratajczyka nikt nie zostawał. Mo-

że dlatego Przygodny podświadomie się przed tym bronił.

Zwykle kiedy odrzucali jedną wersję zdarzeń, mieli w zanadrzu drugą, nad którą mogli pracować. A w tej sprawie alternatywa zdawała się wyglądać tak: mordercą jest Ratajczyk albo... nikt.

— Nic nie mamy — podsumował komisarz. — Jak jestem człowiek nieklnący, powiem „kurwa!”.

Przygodny rzeczywiście nie przeklinał ani nie tolerował

tego wśród swoich współpracowników. Największe pretensje miał do Pasikowskiego, że w Psach utrwalił obraz policjantów jako ludzi rzucających mięsem na każdym kroku, i zżył się, że autorzy kryminałów twardo trzymają się tego wzorca. Tymczasem policjanci nie „kurwowali” wcale więcej niż nauczyciele i lekarze czy przedstawiciele innych niby szanowanych zawodów. Choć uczciwie musiał przyznać, że „nie więcej” nie znaczy bynajmniej mało. Polacy generalnie mają nawyk

przeklinania. Aż dziw, że Konstytucja RP nie zaczyna się od preambuły „My, kurwa, naród polski”.

— Może ta trucizna będzie jakimś śladem — próbował

znaleźć rozwiązanie aspirant.

— Prowadzącym dokąd? Do Ameryki Południowej? —

wyraził swój sceptycyzm komisarz.

Gajda wszedł na swoim komputerze do internetu.

— Nie, ale są z pewnością jakieś stowarzyszenia, które odtwarzają indiańskie rytuały... O, mam! — Aspirant kliknął

w pierwszy z linków, jakie zaproponował mu Google. — Polski Ruch Przyjaciół Indian.

— I myślisz, że postanowili odtwarzać tak wiernie, że do-konali zabójstwa z oskalpowaniem? Ktoś dla zabawy zaryzykował dożywocie?

— No może nie... — Gajda musiał przyznać, że niewarta skórka za wyprawkę. — Ale w takim stowarzyszeniu mogą mieć kurarę, nie mówiąc o łukach czy strzałach, czyli jako źródło, z którego pochodzi narzędzie zbrodni, możemy brać je pod uwagę.

W sumie słusznie, pomyślał komisarz, bo skąd ta kurara?

Z tubokuraryną nie byłoby problemu, ale patolog stanowczo zaprzeczał, że morderca użył środka dostępnego w szpitalach.

— Dobrze, sprawdź to.

W redakcji „Kuriera” na rogu Krupniczej i Włodkowica powoli robiło się pusto, większość dziennikarzy napisała zaplanowane na ten dzień artykuły i wyszła już do domu. Powszechnie panujące przekonanie, że redakcja gazety tętni życiem przez całą dobę, nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. Kuriata odłożył słuchawkę telefonu i z zadowoleniem przewertował zapiski z rozmowy z Przygodnym. Nie przypominał sobie tak bombowego materiału nie tylko w ostatnich latach, ale w ogóle w swojej karierze. Nierozwiązywalna z pozoru sprawa i morderca odznaczający się fantazją stanowili przyjemne odstępstwo od normy, którą wyznaczali zabójcy cechujący się okrucieństwem i głupotą. Choć właściwie nie, normą były ciosy nożem zadane podczas pijackiej awantury.

Tylko że wtedy nie miał o czym pisać, a jeśli pisał z braku innych wydarzeń, notka wielkości jednej szesnastej kolumny trafiała na ostatnią stronę przed sportem. Okrucieństwo i głupota bardziej ciekawily czytelników, ale rzadko nadawa-

ły się na czołówkę, chyba że morderca zachował się na tyle uprzejmie, że posłał na tamten świat własnych rodziców lub jakąś lokalną sławę. Albo sam okazał się lokalną sławą. Wtedy temat długo

nie schodził z pierwszej strony, bo poza właś-

ciwym wydarzeniem do opisania były działania prokuratury, zwykle dążącej do tego, żeby prominenta przypadkiem o coś nie oskarżyć. Równość wobec prawa istnieje wyłącznie na papierze, stosowanie tej zasady w praktyce umiejscawia Polskę gdzieś między Laosem a Kambodżą. Trudno, żeby było inaczej, dla Polaków koneksje rodzinne, przyjacielskie i zawodowe mają znacznie większą wartość niż korzyść wynikająca z powszechnego szanowania prawa. Polacy nie potrafią dostrzec tej korzyści i dlatego porządek i zamożność panujące w Niemczech czy Skandynawi przypisują szczęśliwшему dla tych narodów przebiegowi historii, a nie ich kulturze prawnej.

Polegającej na tym, że naginający prawo spotykają się tam z potępieniem, a nie z podziwem, że potrafią je tak pomysłowo obejść. Niemiec czy Norweg wie, że w razie wpadki nie pomo-

że mu ani pozycja społeczna, ani rodzina, i jest mniej skłonny do bogacenia się cudzym kosztem, na czym wszyscy zyskują.

Świadomość, że przepisy i zakazy czemuś służą, w Polsce nie istnieje, w powszechnym odczuciu tworzy się je po to, by utrudnić zwykłym ludziom życie. Inna sprawa, że często faktycznie nie służą lepszej organizacji społeczeństwa, co powinno być jedynym ich celem, tylko naginaniu rzeczywistości do ideologicznych wyobrażeń rządzących. Może nie miał więc racji, zzymając się na polskie podejście do prawa, może problem nie tkwił w tym, jak prawa się przestrzega, tylko jak się je tworzy.

— Sprawdziłeś mój tekst? — przerwała mu te dywagacje niewysoka blondynka.

Racja, opis napadu na placówkę Banku Milennium przy Piłsudskiego. Te bardziej kantory niż banki aż się prosiły o napad i znowu jakiś zamaskowany młodzian pomachał straszakiem i zabrał kilka tysięcy. Właściwie zbyt poważny temat dla praktykantki, ale że Kuriata sam zajmował się morderstwem, musiał ją posłać. Nie miał w dziale pracownika —

dział to zresztą zbyt szumne określenie, skoro pracy w nim było dla dwóch osób. Od stałego współpracownika wolał jednak praktykantki, braki dziennikarskie nadrabiały zaangażo-

owaniem i entuzjazmem, a szalę na ich korzyść przeważało to, że zwykle dawały zaciągnąć się do łóżka. Ta wprawdzie nie reagowała jeszcze na sygnały, że praktyka nie jest za darmo i jeśli uważa swój tyłek za Miejsce Najświętsze, do które-go wstęp ma tylko arcykapłan, to będzie musiała zwolnić posadę następcy adepta zawodu, ale na razie Kuriata się nie poddawał. Jak dotąd rozważał tylko, na co ma się nastawić: na ostry, spontaniczny numer w redakcji albo w samochodzie czy na spokojny seks w jego kawalerskim mieszkaniu po romantycznej kolacji, a nie czy w ogóle do niego dojdzie. Jeśli nie dojdzie, trudno, nie zwykł rozpaczać, kiedy coś mu się nie udało. Chociaż musiał przyznać, że na tę praktykantkę miał

wyjątkową ochotę. Lubił niskie dziewczyny, sam miał zaledwie metr sześćdziesiąt sześć wzrostu (co boleśnie odczuwał, kiedy musiał stanąć ramię w ramię z Przygodnym). Podobnie było z tuszą, do chudych nie należał, choć dzięki regularnemu dbaniu o sylwetkę nie można było o nim powiedzieć, że jest gruby, i preferował kobiety odpowiadające mu kondycją: już nie chude szczapy, ale jeszcze

nie puszyste, o nadmiarze ciała tu i ówdzie, ale stanowiącym przyjemne krągłości, a nie zwały tłuszczu. Na tym podobieństwa się kończyły, bo inaczej mógłby uprawiać seks sam ze sobą. Sypiał wyłącznie z kobietami mającymi duży biust i nie więcej niż trzydzieści lat.

Agata spełniała wszystkie kryteria w stu procentach, w ogóle ten nabór był udany, miał w rezerwie jeszcze jeden numer telefonu na wypadek, gdyby na kolejne ogłoszenie o praktykach nie zgłosiła się odpowiednia kandydatka. Albo

— co raz mu się zdarzyło i aż wzdrygał się z obrzydzenia na to wspomnienie — gdyby zgłosili się sami chłopacy. Jakby był

jakimś pedałem. Oczywiście żaden nie napisał tekstu na tyle dobrze, żeby zakwalifikować się na praktykę. Misiak kręcił

wtedy nosem, zrobił nawet jakąś aluzję, że praktyki są po to, by w końcu znalazł pracownika na stałe, i wcale nie muszą mu zapewniać dopływu świeżych dup, ale na otwarte wypowiedzenie wojny się nie zdecydował. Kuriata był zbyt dobrym dziennikarzem, by naczelny mógł sobie pozwolić na jego odejście, gwiazdą nie tylko na tle dość przeciętnego zespołu „Kuriera”. Maradoną w Pafawagu Wrocław, napastnikiem potrafiącym znaleźć się w odpowiednim momencie na polu karnym i strzelić celnie do bramki. Kiedy innym plątały się nogi i strze-lali Panu Bogu w okno, umykały im zdarzenia, Kuriata przynosił sensacyjny materiał. Rasowy dziennikarz działu kryminalnego nie może dowiadywać się o zabójstwach, gwałtach i bandyckich napadach na konferencji prasowej rzecznika policji, musi mieć szósty zmysł, pozwalający znaleźć mu się na miejscu przestępstwa przed policją. A najlepiej jeszcze przed przestępcą. Mieć jakąś aurę, która skłaniałaby przestępców do działania w jego obecności. Ile razy przeciętny człowiek jest w swoim życiu świadkiem zabójstwa? Ani razu. A Kuriata był

nim trzykrotnie. Takie relacje z pierwszej ręki podnosiły na-kład „Kuriera”, pozwalając mu skutecznie walczyć o rekla-modawców z dużo bogatszymi „Wyborczą” i „Wrocławską”.

— Tak, sprawdziłem. — Kuriata podał Agacie pokreślony na czerwono tekst. Zawsze dbał, żeby artykuły jego prakty-kantek nie wymagały większych ingerencji redaktorskich.

Z tego też względu Misiak nie wystąpił ostrzej przeciwko kry-teriom naboru na praktyki stosowanym przez Kuriatę i niekończącemu się poszukiwaniu obsady do działu. Ostatecznie dostawał pełnowartościowe artykuły, płacąc tylko wierszów-kę, a nie całą dziennikarską pensję. — Popraw, uwzględniając moje uwagi, jak coś jest niejasne, to sama pogłówkuj, o co biega, ja będę zajęty pisaniem i zamorduję, jak ktoś będzie mnie odrywał.

— Dobra, dobra. — Nie przejęła się tą groźbą. — Nie pi-szesz powieści. Jak dziennikarz nie potrafi napisać tekstu w skrajnie niesprzyjających warunkach, to dupa jest, a nie dziennikarz.

— Ty jesteś za krótka, żeby mi tłumaczyć, co musi umieć dobry dziennikarz.

— Phi, wielkolud się znalazł — wydeła usta. — Akurat zacytowałam ciebie, mistrzu. Skleroza w zaawansowanym wieku, że nie pamiętasz swoich nauk?

Przeleci ją w redakcji, zadecydował, po jednej z takich słownych przepychanek, które uwielbiał.

— Do roboty, dzieciно, bo nie zdążysz przed zamknięciem numeru.

Nie zareplikowała, zwycięstwo w dyskusji byłoby Pyrru-sowym zwycięstwem, gdyby miała je okupić przegapieniem deadline'u. Kariera dziennikarska stanowiła jej nadrzędny cel, kariera nie w tej lokalnej gazecie, tylko w ogólnopolskim dzienniku albo tygodniku, a najlepiej w telewizji, i każda relacja opatrzona jej nazwiskiem przybliżała ją do tego celu. Po-słusznie wzięła tekst i odeszła do swojego biurka. Kuriata przez chwilę wpatrywał się w jej ciasno opięty dzinsami szeroki tyłek, a potem kliknął ikonkę Worda.

Pisanie szło mu sprawnie. Najpierw lead, czyli krótkie wprowadzenie, zapowiadające temat i mające zainteresować czytelnika. Czasami zredagowanie leadu stanowiło problem, jeśli tekst powstał wyłącznie po to, by wypełnić wolne miejsce i by-

ło w nim więcej lania wody niż treści. Jak mawiał Misiak, przy redagowaniu gazety są tylko dwa problemy: nic się, ku..., nie dzieje, co mamy do niej dać, albo: gazeta nie jest, ku..., z gumy, nie zmieścimy tego wszystkiego. W przypadku zabójstwa na Wrońskiego lead był jednak samograjem, strzała, oskalpowanie

- o kurarze, niestety, Przygodny zabronił mu wspominać

— musiały przyciągnąć uwagę każdego czytelnika. Właściwy artykuł z przyzwyczajenia pisał krótkimi akapitami, zawierającymi informacje od najważniejszych po najmniej ważne, tak by redaktor prowadzący, decydujący o ostatecznym układzie gazety, mógł w razie braku miejsca skrócić go bez szkody dla tekstu i bez wnikania w treść, wyrzucając od końca nadmierną liczbę akapitów. Z przyzwyczajenia, bo relacji z tak niety-powego morderstwa skracanie nie groziło.

Więcej kłopotu sprawiło mu wymyślenie dobrego tytułu.

Z tym miał zawsze problem, zresztą nie tylko on, i uważał, że gazeta powinna zatrudniać redaktora, na którym ciążyłby tylko jeden obowiązek: wymyślanie tytułów. Nie byłyby to wyrzucone pieniądze: chwytliwy tytuł mógł zadecydować o kupnie gazety albo zachęcić czytelnika do przeczytania artykułu, tymczasem nagłówki „Kuriera”, co samokrytycznie przyznawał, bywały często mocno średniawe. Zdecydował się na „Indiańskiego zabójcę” i przesłał tekst mailem do redaktora prowadzącego.

Teoretycznie powinien dostać go z powrotem z redaktorskimi poprawkami, ale w praktyce od lat się nie zdarzało, by jego artykuły wymagały zmian czy uzupełnień, i szły od razu do korekty.

Przypomniał sobie swój pierwszy tekst, który wrócił tak pokre-

ślony, jak on określił relację Agaty. Załamał się i doszedł do wniosku, że całkowicie minął się z powołaniem, marząc o dziennikarstwie. Chciał zrezygnować, ale ówczesny szef działu kryminalnego wziął go pod włos: „Rzeczywiście nie nadajesz się na dziennikarza, jak załamuje cię parę uwag do tekstu. Mój pierwszy artykuł naczelny spalił na środku redakcji, oświadczając, że takiego gówna jeszcze nie widział w swojej trzydziestoletniej karierze. Tylko mnie to zdopingowało.

Dziennikarstwo nie jest dla przewrażliwionych pensjonarek. Albo masz grubą skórę, albo w okolicach czterdziestki dostajesz zawału".

Kuriacie do czterdziestki brakowało jeszcze dwóch miesięcy, ale serce miał jak dzwon i mógł spokojnie zakładać, że urodzin nie będzie obchodził na oddziale kardiologicznym.

Zadzwoił telefon na biurku. Kuriata nie miał ochoty odbierać. Czterech na pięciu dzwoniących na telefon stacjonarny marnowało tylko jego czas. Dokładnie. Kuriata wyodrębnił cztery kategorie zawracających mu dupę. Pierwszą byli czytelnicy, którzy z braku w „Kurierze” działu łączności z czytelnikami wybierali po prostu dowolny numer w redakcji —

czasami był to właśnie numer działu kryminalnego — i prosili o jakąś interwencję lub chcieli podzielić się swoimi przemyśleniami, które Kuriatę mało obchodziły. Kiedy zapytał Misiaka, dlaczego „Kurier” w odróżnieniu od znakomitej większości gazet nie ma telefonu interwencyjnego, dowiedział się, że to w trosce o zdrowie psychiczne dziennikarzy, którzy posadzeni przy takim telefonie stają się cyniczni. Propozycja Kuriaty, by w takim razie posadzić już ukształtowanego cynika, nie spotkała się ze zrozumieniem ze strony naczelnego. Drugą kategorię stanowili wariaci, informujący, że sąsiad jest rosyjskim mafiosem i usiłuje zamordować prezydenta Wrocławia, kierując na niego promieniowanie kosmiczne z satelity. Trzecią były kochanki Kuriaty — widząc ich numery, nie odbierał komórki — odczuwające potrzebę wyłuszczenia mu, że jest skończonym bydlakiem, skurwysynem bez serca i facetem myślącym wyłącznie penisem, co Kuriata uważał akurat za rodzaj komplementu.

Faceci niemyślący penisem byli zwykle impotentami. Ostatnią grupę stanowili akwizytorzy, usiłujący zaprosić go na pokaz kaszmirowych swetrów albo namawiający, żeby ubezpieczył się na życie. Ponieważ Kuriata ani nie nosił kaszmirowych swetrów, ani nie widział potrzeby ubezpieczenia się, skoro nie miał rodziny, reagował bluzgami w nadziei, że tym ich zniechę-

ci Płonne nadzieje — przy rekrutacji akwizytorów musiano przeprowadzać testy sprawdzające ich całkowity brak szacunku dla siebie. Kuriata wyobrażał sobie, że przeprowadza się symulację, w której potencjalny klient wylewa na kandydata na akwizytora zawartość wiadra zanurzonego w szambie. Tych, Morzy z uśmiechem dziękowali za nieskorzystanie z oferty i wyrażali nadzieję, że może w przyszłości klient zechce dokonać zakupu, posyłano na front wkurwiania reszty ludzkości.

Telefon nie milkł. Kuriata rozejrzał się, niestety w pobli-

żu nie było frajera, któremu mógłby kazać odebrać. Agata jeszcze poprawiała tekst, nie chciał jej odrywać, bo rzeczywi-

ście mogła nie zdążyć przed zamknięciem numeru. A ktoś musiał odebrać — rzadko bo rzadko, ale zdarzało się, że dzwoniący miał ważną i ciekawą informację. Stali informatorzy dzwoniли do niego na komórkę, ale nie mógł polegać tylko na nich, przypadkowi świadkowie wydarzenia też stanowili cenne źródło, choć zwykle zgłaszali się do redakcji, które za takie doniesienia płaciły. Misiak planował nawet utworzenie pewnego budżetu na ten cel, ale Kuriata stanowczo zaprotestował. Kupowanie informacji było dla niego tak samo nie do przyjęcia jak kupowanie seksu. Rezultat niby ten sam, ale czy wiązało się to z jakąkolwiek satysfakcją?

Podniósł słuchawkę. Trudno, może będzie miał szczęście, a jeśli nie, był już wolny i w wyśmienitym humorze po napi-saniu artykułu życia, więc nawet akwizytor nie zdoła wyprowadzić go z równowagi.

— „Kurier”, słucham.

— Jam jest Jezus.

Aha, świr. Normalnie Kuriata rzuciłby słuchawką, ale dobry nastrój, w jakim się znajdował, sprawił, że świr go roz-broił. Zresztą z takim nie miał jeszcze do czynienia, większość była jednak bliżej normy i usiłowała mu tylko wytłumaczyć, że Polska jest ofiarą żydo-komunistycznego spisku. Chociaż czy powszechność jakiegoś urojenia plasuje je bliżej normalności? Jak się tak dobrze zastanowić, to jednak tych uważa-jących się za Jezusów należałoby uznać za zdrowszych.

— Miło mi. Napoleon Bonaparte z tej strony.

Trzask odkładanej słuchawki mógł świadczyć o tym, że świr uznał, iż z ludźmi niepoważnymi rozmawiać nie będzie.

Kuriata podniósł się i podszedł do Agaty, żeby sprawdzić, jak radzi sobie z poprawkami.

— Wszystko jasne?

— Jasne, jasne — mruknęła, wpatrując się w ekran. —

Mógłbyś wyklądać na dziennikarstwie, mówię to bez ironii.

— Studia dziennikarskie mają taki sam sens jak studia po-etyckie. Pytanie, dlaczego nikt nie kształci przyszłych poetów.

Reprezentował szkołę, która stała na stanowisku, że dzien-nikarstwo wysysa się z mlekiem matki, a do talentu wystarczy dołożyć praktykę. Żadne studia nie są potrzebne, a jeśli już, to każde inne, dające specjalistyczną wiedzę w konkretnej dziedzinie. Ludzi z dyplomem magistra dziennikarstwa, któ-

rzy przez pięć lat nauki nie widzieli redakcji gazety od środka, a o zatrudnienie pytali dopiero po obronie, z miejsca wywalał, nie patrząc nawet na pozazawodowe kwalifikacje kandydatek.

On sam wiedział od podstawówki, że zostanie dziennikarzem.

W liceum dwukrotnie załapał się na wakacyjne warsztaty dziennikarskie organizowane przez ZSMP, na których wygrał staż w „Kurierze”. I został w nim na długie lata. Czasami groził

odejściem, kiedy uznawał, że należy mu się podwyżka. Groź-

ba była bez pokrycia, bo tak naprawdę nie miał dokąd odejść.

(Chciał pracować w gazecie i nie chciał opuszczać Wrocławia, a zatem wybór okazywał się nader

skromny. O „Wrocławskiej” opinię miał jak najgorszą, a „Dolnośląskiej” w ogóle nie uznawał za pełnoprawną gazetę, tylko za przystawkę do „Wyborczej”. Na szczęście jego przełożeni nie mieli pojęcia, że Kuriata nie widzi możliwości realizowania się gdzie indziej, i zdając sobie sprawę, że każda redakcja przyjmie go z otwartymi rękami, bez szemrania wypłacali podwyżki. Psychoanalitik powiedziałby może, że ten dwudziestoletni związek z jedną firmą, w tym zawodzie rzadkość, stanowi kompensację rozwiczrzonych związków z kobietami, ale Kuriata o psychoanalitikach miał identyczne zdanie jak o dziennikarzach po dziennikarstwie.

— Dobra, gotowa jestem.

— Na wszystko?

— Z tekstem. Sprawdzisz jeszcze raz?

— Nie ma potrzeby, radzisz sobie doskonale, poza tym niech Waldzio też trochę popracuje.

Agata załączyła wordowski plik do maila i wysłała do redaktora prowadzącego.

— Jutrzejszy „Kurier” nasz — powiedział Kuriata. —

Moje morderstwo i twój napad na bank.

Uśmiechnęli się do siebie zadowoleni — konkurencja istniała nie tylko między gazetami, ale i między poszczególnymi działami gazety.

Drzwi małego pokoiku, w którym pracowali razem naczelny i prowadzący, otworzyły się, buchnął z nich papierosowy dym — obaj nałogowo palili, a okna, zwłaszcza zimą, nie otwierali prawie wcale, cytując swojego szkolnego historyka, że smród jeszcze nikogo nie wykończył, a mróz już dwie dobowe armie — iw kłębach owego dymu stanął redaktor prowadzący, zwany w redakcji Waldziem. Naprawdę miał na imię inaczej, ale nikt z dziennikarzy nie pamiętał jak, no mo-

że poza Misiakiem, z którym znali się od liceum. Waldzio do-bijał pięćdziesiątki, ale wyglądał dużo starzej, twarz miał

zniszczoną, bo papierosa zwykł palić nie przy kawie, a przy czymś mocniejszym, ciemne kiedyś włosy, teraz gęsto prze-platane siwizną sterczały na wszystkie strony, a trzydniowy zarost potwierdzał, że pielęgnacja owłosienia nie należała do priorytetów redaktora. Jeśli dodać do tego wytarte dzinsowe spodnie i zamszową kurtkę zakupioną w pierwszym wrocławskim hipermarkecie zaraz po premierowym otwarciu, na ulicy można by go wziąć za lumpa.

— Kryminalny musi mi przysyłać teksty na ostatnią chwilę? — odezwał się zrzędliwym głosem.

Kuriata nie przejął się tymi pretensjami.

— Jeśli nakłonisz przestępców, żeby udostępniali nam dzień wcześniej program swoich wystąpień, jak sportowcy i artyści, będziemy dostarczać je równocześnie z działem sportowym i kulturą.



Waldzio pomruczał coś pod nosem, obrócił się na pięcie i wrócił do swojej i naczelnego nory.

— O co mu chodzi? — Agata nie uodporniła się jeszcze na dąsy Waldzia. — Miał teksty zaanonsowane z dokładną obję-

tością, spokojnie mógł sobie rozplanować miejsce w gazecie.

— O nic. Nawet jakby nie miał zaanonsowanych, bez problemu zmieściłby ważny tekst. Waldzio to pierwsza liga prowadzących, potrafił przeplanować całą gazetę, jak makiety mbiło się ręcznie, więc na komputerze to dla niego bułka z ma-słem. Po prostu lubi pozrzedzić.

— Makiety ręcznie? Kiedy to było? W czasach, gdy pisaliście na tabliczkach klinowych?

Uśmiechnął się na tę złośliwość, jej cięty język podniecał go.

— Na maszynach do pisania. Wezmę cię kiedyś do muzeum i ci pokażę.

— Super, będziemy udawać dziadka i wnuczkę.

— Ten dziadek jeszcze nieźle by ci dogodził.

— Oj, coś bez polotu ta replika. To jednak prawda, że w podeszłym wieku komórki mózgu obumierają. Ile ty właś-

ciwie masz lat?

— Mniej niż ty będziesz miała w moim wieku, kobiety szybciej się starzeją.

— Propaganda męskich szowinistów.

— O, feministka! A dotąd sprawiałaś wrażenie normalnej.

Tę słowną utarczkę przerwało wejście szefa i zarazem je-dynego pracownika działu kulturalnego, Leszka Mrożewicza.

Kultura nie była tym, co najbardziej interesowało czytelników, stąd szpalty przewidziane dla tematów kulturalnych bez trudu mogła zapełnić jedna osoba. Mrożewicz nie dość, że był

kilka lat młodszy od Kuriaty, to wyraźnie przystojniejszy i raz odbił mu praktykantkę. Kuriata szczerze go za tę porażkę nienawidził, choć Mrożewicz nie wchodził mu więcej w paradę, bo z praktykantką się ożenił, a nie wiadomo dlaczego uwa-

żał, że kobiecie należy być wiernym.

— Co ty tu robisz o tej porze? — Kuriatę zaskoczył jego widok. — Zgubiłeś zegarek?

W „Kurierze” teoretycznie czas pracy był nienormowa-ny, ale należało stawić się na dziewiątą rano

na kolegium redakcyjne, zaś wychodzenie przed siedemnastą kierownictwo przyjmowało z dezaprobatą. Mrożewicz wychodził o piętnastej, twierdząc, że w domu pracuje znacznie dłużej niż te dwie przepisowe godziny, bo czyta książki, które ma zrecenzować.

Kuriata mu nie wierzył, z lektury recenzji napisanych przez Mrożewicza dowiadywał się o treści książki najwyżej do dwu-dziesiątej strony i podejrzewał, że nie wynikało to z troski, żeby nie zdradzić czytelnikowi za dużo, ale z faktu, że Mrożewicz dalej po prostu nie czytał.

— To przez to twoje morderstwo. Misiak wymyślił sobie, że damy background, ale nie tabelkę z wiadomościami o In-dianach z internetu, tylko prawdziwy materiał. Znalazł, że jest coś takiego jak Polski Ruch Przyjaciół Indian i posłał

mnie do nich. A już byłem, kurczę, w drzwiach. Pół minuty mi zabrakło.

Rozżalenie Mrożewicza, że nie zdążył uciec, brało się stąd, że wprawdzie każdy mógł dostać do opracowania temat, któ-

ry trudno było zakwalifikować do konkretnego działu, ale ści-

śle przestrzegano zasady, że takiego kukułczego jaja nie podrzuca się tym, którzy zdążyli już wyjść do domu. Ani tym, którzy znajdowali się w redakcji, mimo że według grafiku mieli wolne. Zabawnie to wyglądało, kiedy Misiak z jakimś papie-rem w ręku zawierającym, jego zdaniem, załączek sensacyjnego materiału, chodził od dziennikarza do dziennikarza i pytał:

„Jesteś w pracy? Jesteś w pracy? Jesteś w pracy?“. Kiedyś okazało się, że choć w redakcji panuje tłok, to w pracy nikogo nie ma. Misiak musiał sprawdzać w grafiku, kto rzeczywiście przyszedł powodowany pracoholizmem czy zaległościami, a kto wymigiwał się od niechcianego tematu.

Mrożewicz wyciągnął komórkę i sprawdził godzinę.

— Piszę, bo nie zdążę.

Usiadł przy swoim biurku i włączył komputer. Kuriata z nieskrywaną schadenfreude, że przysporzył, choćby pośrednio, Mrożewiczowi pracy, potwierdził jego obawy:

— Rzeczywiście musisz się pośpieszyć. Waldzio już się pieklił, że od nas dostał za późno teksty.

Mrożewicz wykrzywił tylko twarz w grymasie i z niecier-pliwością przesunął myszką po podkładce, jakby liczył, że w ten sposób przyśpieszy uruchomienie komputera.

Kuriata odwrócił się do Agaty.

— To co, oblejemy sukces? Zapraszam na lampkę wina.

— Może jutro, jak sukces zostanie potwierdzony drukiem.

Dzisiaj jestem już umówiona.

Kuriata nie dał poznać po sobie rozczarowania odmową.

Nie wnikał też, z kim była umówiona. Dawno przekonał się, że mąż czy chłopak nie jest najpoważniejszą przeszkodą w za-ciągnięciu kobiety do łóżka.

— Okej, ja się w takim razie zmywam, ty musisz jeszcze poczekać, czy Waldzio nie będzie miał jakichś pytań albo uwag do twojego tekstu. Jakby co, to jestem pod komórką.

— Jasne. Pa, staruszk.

Mrugnęła do niego. Sięgnął po skórzaną kurtkę na wieszaku, trochę zły, że ciągnie temat wieku. Czyżby było w tym coś więcej niż tylko przekomarzanki? Odrzucił tę myśl. Do-tąd żadna nie odmówiła mu, twierdząc, że jest dla niej za stary. Zwykle zresztą nie pytały, ile ma lat, liczył się jego zawód i szeroki gest. Niekoniecznie nawet szeroki — uważał, że zna się na kobietach, ale czasami nie mógł się nadziwić, jak wysoko temperaturę namiętności może podnieść zwykła bluzka al-bo nienadzwyczajny kosmetyk w prezencie.

No i liczył się samochód, do którego właśnie wsiadał. Dwu-osobowy porsche cayman. Kolor cobalt blue metal ic, rocznik 2006, sześciocylindrowy silnik o mocy 245 koni mechanicznych, wersja full wypas z bajerami typu oświetlenie podłogi. Z tego, co wiedział, we Wrocławiu tylko on miał taką brykę. Trzysta pięć-

dziesiąt tysięcy. Ludzie brali kredyty na mieszkania, on mógł

wziąć na samochód. Mieszkanie miał po rodzicach, którzy zginęli w katastrofie kolejowej w Ursusie w dziewięćdziesiątym roku.

Nieduże, dwupokojowe, pięćdziesiąt metrów, ale w atrakcyjnej dzielnicy, bo na Krzykach. Po eksplozji cen na rynku nieru-chomości doszedł do wniosku, że głupio być posiadaczem dużej-majątku i nie wyciągnąć z tego żadnej korzyści. Sprzedaż mieszkania nie wchodziła oczywiście w grę, musiał mieć dach nad głową, ale w kapitalizmie — najlepszym z ustrojów — nie trzeba wyprzedawać majątku, żeby mieć z niego pieniądze.

Wziął kredyt pod hipotekę i sprawił sobie auto.

Ruszył z piskiem opon. Na wrocławskich ulicach czy w ogó-

le na polskich drogach porsche nie miało możliwości wykaza-nia się swoimi osiąganiami, zresztą generalnie taką możliwość miały tylko maluchy i furmanki, więc Kuriata raz do roku jeź-

dził do Niemiec, żeby na tamtejszych autostradach wycisnąć, ile fabryka dała. Pozwalał na to nie tylko brak ograniczeń prędkości, bo tymi Kuriata akurat za bardzo się nie przejmował, ale przede wszystkim stan dróg. Potrzebował tej adrenaliny, jaką dawała jazda przynajmniej dwieście na godzinę. Drugim celem wypraw do Niemiec były targi erotyczne w Berlinie.

Przejechał koło Dworca Głównego, który z zewnątrz zawsze mu się podobał — gorzej było w środku, gdzie ciągle unosił się smród — przemknął Stawową, korzystając z korzystnego układu

świateł i mniejszego o tej porze ruchu, skręcił w Borow-ską i dojechał do niedawno otwartego Aquaparku.

Pływaniem i niskowęglowodanową dietą trzymał w ryzach swoje skłonności do tycia. Z wyborem dziedziny sportu nie miał problemu — a właściwie nie miał wyboru, bo nie uznawał

wysiłku fizycznego, przy którym się pocił, a już absolutnie nie do przyjęcia były dla niego gry zespołowe, gdzie musiał włą-

czyć pot innych facetów. Z dietą natomiast nie trafił od razu, wymagała trochę eksperymentów, zanim dobrał taką, która dawała efekty. Musiał się ciągle przełamywać, bo lubił zjeść pizzę z podwójnym serem, ale nie zazdrościł posiadaczom odpowiednich genów. Wyznawał filozofię, że w życiu trzeba grać kartami, jakie przypadły w rozdaniu, i wziąć maksymalną liczbę lew, a nie narzekać. Zresztą nie uważał, żeby miał po-wód do narzekań. Większość ludzkości dostawała same blot-ki, byli wprawdzie tacy, którzy załapywali się z kolei na same honory, ale ci, rozleniwieni dobrą kartą, zwykle przegrywali z kretesem.

Wyciągnął z bagażnika torbę z rzeczami potrzebnymi mu na pływalni i wszedł do środka. Na widok kolejki do kasy syk-nął, jakby poczuł ból, ale obsługa wydawała bilety bardzo sprawnie i raz dwa znalazł się w przebieralni.

Na basenie rozejrzał się najpierw za kobietami, które mógłby zagadnąć. Oczywiście nie na samej pływalni — roze-branym trudno by mu było zaprezentować swoje atuty, na pierwszy plan wysuwała się jego niezbyt korzystna sylwetka.

Czekał przy wyjściu i proponował podwiezienie. Parkował zawsze blisko wejścia, żeby kandydatka nie miała wątpliwości, że nie zamierza podwozić jej skodą. Nie odmawiały nawet te, które miały własny samochód.

Tym razem przegląd nie przyniósł zadowalających wyników. Parę nastoletnich siks, w których nie gustował, nie był

żadnym pieprzonym pedofilem, i sporo tłustych bab, którym jakaś ustawa o ochronie estetyki powinna zakazać rozbiera-nia się w miejscach publicznych. Tak samo zresztą jak i ano-rektyczkom. Dostrzegł ze dwie interesujące dziewczyny, ale znajdowały się akurat w męskim towarzystwie. Trudno, dzisiaj musiał mu wystarczyć zawodowy sukces.

Przeszedł do basenu sportowego, trochę za krótkiego jak na jego wymagania — wolałby w pełni wyczynowy, pięćdziesięciometrowy, ten był o połowę krótszy. Skoczył na główkę, pierwsze sto metrów przepłynął kraulem, kolejne sto na ple-cach, a resztę żabką. Zwykle przepływał tysiąc metrów, ale dzisiaj zdopingowany docinkami Agaty zdecydował się na drugie tyle. I dopłynął bynajmniej nie resztkami sił, co sprawiło, że wyszedł z basenu bardzo z siebie zadowolony. Jeszcze z niego nie taki dziadek, jak się jej wydaje.

Sprawdził komórkę, ale w czasie, kiedy pływał, nikt nie dzwonił. Co oznaczało, że jeśli nawet Waldzio miał jakieś zastrzeżenia do tekstu Agaty, poradzili sobie sami, i że nie wydarzyło się nic

godnego uwagi. Reporter kryminalny musi być na dyżurze dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zdarzało się

— wprawdzie niezbyt często, bo choć mordercy zabijają głównie w nocy, to z kolei zwłoki odkrywane są zwykle dopiero za dnia — że telefon wyrwał go ze snu o trzeciej czy czwartej nad ranem. Niby kłął wówczas na czym świat stoi, ale tak naprawdę lubił to poczucie znajdowania się w centrum wydarzeń, poczucie, że jest kimś ważnym, do kogo się dzwoni, bez czyjej relacji gazeta i mieszkańcy miasta się nie obejdą. Wiedział co prawda, że nie ma ludzi niezastąpionych, ale uważał, że akurat jego niełatwo byłoby zastąpić.

Rozejrzał się przy wejściu, czy jednak nie przegapił czegoś zdatnego na podryw, ale i tym razem wynik oględzin był nie-zadowalający. No cóż, wieczór musiał spędzić z Dol y Buster

— nie była to wcale najgorsza alternatywa.

Przygodny drzwi do domu otworzył kluczem. Kiedyś dzwonił, żeby Gabi mu otworzyła, a jeśli nawet nie dzwonił, to przy-biegała, żeby się z nim przywitać, całowali się, ściskali, czasami nie potrafili się od siebie oderwać i jeśli dzieci znajdowały się poza domem, kochali się na podłodze w przedpokoju. Kiedy to by-

ło? W przeszłości tak odległej, że nie wydawała się prawdziwa.

— Marek? — dobiegł go głos żony z kuchni.

— Tak, ja. — Może przypomniała sobie o jego urodzinach i zaraz zakłopotana wręczy mu prezent.

— Robię ci obiad, ale nie ściągaj butów, tylko wynieś śmieci. Postawiłam w przedpokoju.

Niebieski worek rzeczywiście opierał się o ścianę. Śmieci zamiast prezentu. Odkąd wiaderka wyszły z użycia, śmieci można było wynieść przy okazji, zamiast specjalnie chodzić, ale Gabi domagała się, żeby robił to po powrocie z pracy. Czego miał dowodzić ten rytuał? Że gospodarstwo domowe jeszcze istnieje, skoro produkuje śmieci, że więzi rodzinne nie zostały zerwane, póki mąż na polecenie żonki grzecznie wykonuje rundkę z wiaderkiem?

Wziął worek i zszedł na dół. Cisnął nim z taką złością, że nie trafił do otworu kubła, tylko uderzył w kant, worek pękł, a jego zawartość rozsypała się na ziemi. Przygodny, zdumiony własną wściekłością, popatrzył na wałające się resztki, ale nie miał zamiaru ich zbierać.

Wróciwszy do mieszkania, rozebrał się, usiadł przy stole i spojrzał zdziwiony na tylko jedno nakrycie.

— Ty nie jesz?

— Zjadłam w pracy.

A więc wynoszenie śmieci rzeczywiście było ostatnim rytuałem spajającym ich rodzinę. Dotąd takowy stanowiły również wspólne posiłki, ale najwyraźniej Gabi postanowiła z nich zrezygnować.

Co się z nią działo? A może coś złego? Może zachorowała? To nie było nieprawdopodobne wyjaśnienie — wiadomość o chorobie ma prawo oderwać myśli człowieka od dnia codziennego, jeśli to poważna choroba nawet do tego stopnia, że zapomina o urodzinach najbliższych. Przestraszył się. Po-ważna choroba? Nowotwór? Przyjrzał się z niepokojem żonie.

— Chorujesz na coś?

Odwzajemniła spojrzenie, ale musiała wrócić z jakichś odległych rejonów świadomości, żeby pytanie do niej dotarło.

— Nie, dlaczego? Skąd ci to przyszło do głowy?

— Zapomniałaś o moich urodzinach.

Na jej twarzy odmalowało się lekkie zdumienie. Znowu potrzebowała chwili, żeby skojarzyć fakty.

— A, w rzeczy samej, wszystkiego najlepszego.

W rzeczy samej? Żadnych przeprosin, żadnego usprawiedliwienia? Wszystkiego najlepszego? Bez pocałunku, bez obję-

cia? Może ma jakieś kłopoty w pracy? Tyle się słyszy o uczniach wchodzących nauczycielom na głowę czy raczej nakładających im na tę głowę kosze na śmieci. A Gabi na dodatek zdecydowała się uczyć w gimnazjum, mimo że wcześniej krytykowała reformę i utworzenie szkoły, która gromadziła wiekowo naj-trudniejszą młodzież.

— W pracy wszystko w porządku?

— Najzupełniej. Jedz, bo ci ostygnie.

Wziął widelec i nabrał ziemniaków. Już były letnie i wcale nie dlatego, że za długo ją wypytywał. Odkroił kawałek ko-tleta, też uciekały z niego resztki ciepła.

— To kurczak? — zapytał jednak, zamiast poskarżyć się, że podała mu zimną potrawę.

— Nie, filec z indyka.

Mógł wstać i podgrzać jedzenie w mikrofalówce, ale z jakiegoś względu tego nie zrobił. Sam nie wiedział z jakiego. Bo wy-głądałoby to na kolejne pretensje, że przestała się nim interesować? Bo i tak źle się czuł w sytuacji, gdy podawała mu do stołu jak służąca, sama nie jedząc, i nie chciał okazywać, że mimo to jest niezadowolony? Nie wiedział. Zjadł stojące mu w gardle zimne ziemniaki i mięso. Smakowały mu tylko buraczki.

Kiedy jadł, nie rozmawiali ze sobą, ale akurat w tym nie było nic dziwnego. I gdyby nie jej zastanawiające zachowanie, nie zwróciłby na to uwagi i nie starał się sobie przypomnieć, od jak dawna przestali konwersować przy stole. Odkąd dzieci wyszły z domu? A może już wcześniej, tylko dzieci brały na siebie ciężar prowadzenia konwersacji, więc nie rzucało się w oczy, że nie mieli

sobie nic do powiedzenia?

Gdy skończył jeść, Gabi bez słowa zabrała talerz i poszła po-zmywać, a on usiadł do komputera, żeby sprawdzić, co się dzieje u niego na Al ego. Ściągnął prywatną pocztę. Konto w porta-lu o2.pl trzeba było niestety okupić przyjmowaniem reklam i zanim je wykasował, mignęło mu, że jakiś Pudelek reklamuje jakąś Jolę Rutowicz. Miał dwie informacje o sprzedaży przedmiotów i jedne pretensje, że zakupiony towar dotarł dopiero po dwóch tygodniach, choć obiecał wysłać go priorytetem w ciągu trzech dni. Na szczęście kupujący nie wystawił negatywnego ani neutralnego komentarza, na razie tylko oczekiwał wyjaśnień.

A Przygodnemu na pozytywnych komentarzach bardzo zależało. Bardziej niż na zarobku. Bo choć był zaskoczony tym, jakie handel potrafi przynieść zyski, nie potrzebował

tych dodatkowych pieniędzy. Odkąd awansował na komisarza, zarabiał więcej niż przyzwoicie, a podwyżka zbiegła się w sumie z obniżeniem wydatków, bo Michał przestał brać od nich pieniądze i chociaż nadal pomagali Asi, to jednak doraź-

na pomoc obciążała domowy budżet w znacznie mniejszym stopniu niż pełne utrzymanie.

Nie, na Al ego handlował dla przyjemności. Pasjonowa-

ło go śledzenie przebiegu aukcji — czasami wystawiał przedmiot z ceną wywoławczą od złotówki bez ceny minimalnej, świadomie ryzykując stratę, żeby móc obserwować zażartą licytację; cieszyło, kiedy znalazł się kupiec, martwiło, jeśli aukcja kończyła się bez ofert kupna. W euforii wprawiało go, kiedy jakiś przedmiot nieoczekiwanie osiągał zawrotną cenę.

Swego czasu wystawił Ryngraf Rodziewiczówny — handlował wprawdzie głównie starociami, które nabywał na giełdzie koło Hali Ludowej, ale czasami wystawiał też książki. Spodziewał się dostać za nią siedem, osiem złotych, pod warunkiem że znajdzie się jakiś wielki miłośnik twórczości Rodziewiczów-ny, bo ta powieść, z tego co się orientował, nie należała do wybitnych osiągnięć autorki. Długo nie było na książkę chętnych i już stracił nadzieję, że ją sprzeda, kiedy pojawił się pierwszy oferent. A zaraz po nim drugi. To było typowe. Nieraz przedmiot przez kilka aukcji nie budził niczyjego zainteresowania, a potem nagle biło się o niego pięć osób. Dostał

informację mailem, że cena poszybowała w górę do piętnastu złotych i bardzo zadowolony, że miał dwukrotne przebicie w stosunku do oczekiwań, nie sprawdził w swoim panelu dalszego przebiegu licytacji. Tymczasem system na maila przysyłał informacje tylko o pierwszej ofercie danego użytkownika, kolejne pomijał. Kiedy więc nadeszło zawiadomienie o zakoń-

czeniu aukcji, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Obu licytującym tak zależało na książce, że przebijając nawzajem swoje oferty, wywindowali cenę do siedemdziesięciu złotych. Przygodny przeznaczył całą kwotę na butelkę wina, choć wcze-

śniej hołdował zasadzie, że wystarczająco dobre wino można nabyć w cenie do dwudziestu złotych i płacenie więcej jest czystą rozrzutnością.

Zalogował się do swojego panelu użytkownika pod niezbyt pomysłowym loginem „Przymarek” (chciał wybrać login „Ma-recki”, bo takie przezwisko nosił w szkole, ale okazał się za-jęty). Sprawdził przebieg pozostałych aukcji, liczbę obserwujących, którzy zawsze go irytowali, bo albo wcale nie mieli zamiaru kupować, albo czekali z tym na ostatnią chwilę. Żeby ich „wychować” i skłonić do wcześniejszej licytacji, kończył nie-kiedy aukcję przed czasem. Taki psikus wprawiał go nieodmiennie w dobry humor, zwłaszcza gdy obserwujący reagowali oburzeniem, że nie dał im możliwości zalicytowania. Czasami trochę się wstydził tych sztubackich zachowań, w ogóle całe to emocjonowanie się Al ego bardziej pasowało do nastolatka niż do poważnego mężczyzny po czterdziestce, oficera policji, ale usprawiedliwiał się, że nie ma w tym nic bardziej niemądrego niż w gromadzeniu znaczków pocztowych czy siedzeniu go-dzinami nad brudną Odrą, żeby złowić jedną ukleję. Każdy miał takie hobby, jakie go odprężało, a on, bawiąc się na Al ego, rzeczywiście zapominał o pracy. Przy każdym innym zajęciu — czytaniu książki, oglądaniu filmu, grze w piłkę —

wracał myślami do trwającego śledztwa. A potrzebował całkowitego oderwania się, nie mógł ciągle wałkować faktów, jeśli miał spojrzeć na sprawę świeżym okiem, dostrzec jakiś szczegół, który dotąd mu umykał.

Zeskanował dowód nadania przesyłki zawierającej guziki od wojskowych płaszczy i przesłał niezadowolonemu klientowi, wskazując, że paczkę wysłał zgodnie z obietnicą, i w terminie, i priorytetem, tylko poczta zwlekała z jej dostarczeniem.

Przeprosił za opóźnienie. Nie była to oczywiście jego wina, ale takie podejście do klienta skutkowało zwykle entuzjastycznym komentarzem, podczas gdy zgodne ze stanem faktycznym stwierdzenie „nie mogę odpowiadać za pracę poczty” wcale nie przekonywało kupujących, że sprzedawca jest bez winy.

Przygotował opis dwóch następnych przedmiotów, starego radia Nordmende Bremen i ozdobnego barometru, wypeł-

nił formularz i wystawił je na aukcję. Już chciał przejść na strony mBanku, żeby sprawdzić, czy któryś z kupujących zdą-

żył mu zapłacić — niektórzy płacili od ręki, a jeśli również mieli konto w mBanku, przelew księgowany był w czasie rze-czywistym — kiedy tknęła go pewna myśl. Wpisał do wyszu-kiwarki Al ego słowo „łuk”. Niestety, jego obawy znalazły potwierdzenie. W kategori „łucznictwo” uzyskał ponad dwie-

ście trafień. Egzotyczne z pozoru narzędzie zbrodni okazywało się łatwiej dostępne i prostsze w użyciu niż pistolet. Za-bójstwo z użyciem broni palnej w Polsce (i w ogóle w krajach europejskich, gdzie w przeciwieństwie do USA dostęp do broni nie jest powszechny) zawężało jednak krąg podejrzanych do środowisk stricte przestępczych bądź ludzi mających do czynienia z bronią zawodowo: wojskowych, myśliwych, strzelców sportowych i tak dalej. Zdobycie pistoletu i posługiwanie się nim było na tyle skomplikowane, że praktycznie wykluczało zwykłych ludzi. A wyglądało na to, że nabyć łuk — niekoniecznie na Al ego — i zastrzelić z niego Majewskiego mogła nawet... pani Sel ing.



Komisarz zatrzymał się chwilę nad tą przykładową kandydaturą — oczywiście odrzucił ją jako absurdalną, potem jednak wrócił do niej i to nie tylko w rozpaczliwym pragnieniu, by znaleźć kolejny punkt zaczepienia, by wypełnić ten całkowity brak ludzi wokół ofiary, przez który śledztwo w niespo-tykany sposób od samego początku grzęzło w martwym punkcie. Pani Seling nie miała alibi — twierdziła, że spała w czasie popełnienia zabójstwa, ale z jej słów wynikało, że była wdową, a sześćdziesięcioparoletnie Polki raczej nie sprowadzają sobie kochanków, czyli nikt nie mógł tego potwierdzić. Motyw?

Może chciała wyjść za Majewskiego, a ten odrzucił jej awanse. W sposób urażający jej miłość własną. Komisarz przypominał sobie z zeznań Ratajczyka, jak Majewski uzasadnił, że nie chciał sprzątaczkę w zaawansowanym wieku: stare baby raziły jego poczucie estetyki. A estetyka odgrywa znacznie większą rolę w wyborze żony niż sprzątaczkę. Majewski mógł

wyszydzić matrymonialne zamiary pani Seling. Ktoś, kto przeżył taką tragedię i całkowicie odciął się od ludzi, dla kogo sens życia stanowiły pornografia i pomnażanie dla samego pomnażania szczęśliwie zdobytego majątku, z pewnością był

zgorzkniałym człowiekiem. Wątpliwe, by uczucia innych mia-

ły dla niego jakiegokolwiek znaczenie. A urażone kobiece uczucia to potencjalny ładunek wybuchowy o potężnej sile. Za tym, że sprawcą była kobieta, przemawiało też użycie kurary. Trucizna w arsenale zbrodniczych środków stanowiła domenę słabszej płci. Teorię, że Majewskiego zamordowała pani Seling, nie przeczył wcale fakt, że to ona przyczyniła się do znalezienia zwłok i wydawała się naprawdę wstrząśnięta jego śmiercią. Zabójcy niejednokrotnie wzywają policję, kalkulując, że wtedy automatycznie będą poza podejrzeniem, a zdolności aktorskie są znacznie powszechniejsze, niż można by sądzić na podstawie liczby kandydatów odrzuczanych przez filmówkę.

Aktorstwo przypomina seks — mało kto ma problem z jego uprawianiem, dopóki nie musi demonstrować swoich umiejętności przed kamerą. Do tego wszystkiego dochodziła okoliczność, że Majewski nie miałby żadnych obaw, by otworzyć swojej sąsiadce drzwi.

Tak, sprawdzenie pani Seling miało sens, choć komisarz nie okłamywał się, że naprawdę przekonała go spójność własnej teorii. Nie wierzył, żeby pani Seling okazała się morderczynią, ale dlaczego nie mogłaby go mile zaskoczyć? Mile, bo nie było innych tropów. Jakby zabito nie mieszkańca ponad-sześćsettyśięcznego miasta, tylko pustelnika gdzieś w głuszy, który po stracie rodziny zerwał wszelkie kontakty z cywilizacją i od trzydziestu lat nie widział drugiego człowieka.

Po stracie rodziny... Czy jemu też to groziło? Oczywiście nie tak okrutnym zrzędzeniem losu jak w przypadku Majewskiego, ale gdyby rzeczywiście rozstali się z Gabi, zostałby właściwie sam. No nie tak sam jak Majewski, ale jednak. Chociaż, czy nie była to naturalna kolej rzeczy? Dzieci wychodzi-

ły z domu, jedno z małżonków umierało, drugie zostawało samo. Pomyślał o Seling, Mieczniku, o swoim ojcu. Ojciec...

Przeżył mamę o pięć lat, pięć lat samotności i tęsknoty, tej najgorszej, bo obarczonej całkowitą pewnością, że nigdy nie zostanie zaspokojona. Ojciec wprawdzie się nie skarżył, był

twardym mężczyzną i na zewnątrz starał się okazywać pogodę ducha, ale Przygodny nie byłby jego synem, gdyby nie dostrzegł, jak bardzo cierpiał. Czy on cierpiałby po odejściu Gabi?

Zależy jakim. Gdyby umarła, na pewno tak, przestraszył się przecież, że zachorowała; nie patrzy się obojętnie na śmierć kobiety, którą się kochało przez większą część swojego życia.

Ale gdyby się rozwiedli? Chyba nie, rozwód to nie śmierć. Nie bał się tego, że nie będzie przy nim Gabi, tylko że zostanie sam.

Że skończy tak żałośnie jak Majewski, onanizując się w pustym mieszkaniu przy filmach pornograficznych. Tylko dlaczego przyjmował pesymistyczny scenariusz? Majewski świadomie odciał się od świata, kochał żonę i córkę do tego stopnia, że nie chciał zakładać nowej rodziny. W sumie paradoks: człowiek prowadzący styl życia, który większość uznałaby za zboczony, był zdolny do wielkiej miłości, do ofiary z miłości, jaką składali nieliczni. Pozostali wracali do normalnego życia i on przecież też by wrócił.

Wstał od komputera i podszedł do lustra. Chyba by wró-

cił? Przyjrzał się swojemu odbiciu. Z twarzy nie wyglądał młodziej, wyraźne zmarszczki wokół oczu i na czole dodawały mu przynajmniej dwa lata. Kiedyś nosił zarost, który też go postarzał, ale odkąd w brodzie pojawiły się siwe włosy, chodził

gładko ogolony. Za to gęstej kasztanowatej czupryny nie przeplatał ani jeden siwy włos. Może to niedobrze, kobiety chyba uważają, że srebrne nitki dodają mężczyźnie seksapilu? Przeciwwagą dla twarzy była też sylwetka, wysoka — miał metr osiemdziesiąt sześć — nie nazbyt umięśniona, ale też niegruba. Walczył ciągle z brzuchem i powoli tę walkę przegrywał, ale póki się nie rozebrał, porażki nie było widać.

Miałby chyba jeszcze szanse u kobiet? Za mundurem panny sznurem. Choć mundur wkładał rzadko, wyłącznie na galowe okazje, których na dodatek jak ognia unikał. Zwykle chodził

w dżinsach i sztruksowej koszuli, o zimniej szych porach roku w swetrze. Nie był to raczej strój, który przyciągałby uwagę kobiet. Nawet dwudziestolatek. Zresztą o czym miałby rozmawiać z dwudziestolatką? Nie, koleżanki córki go nie interesowały, tylko kobiety w... no właśnie, w jakim wieku? Zastanowił

się. W sumie obojętne, nie musiała wcale być młodsza, bo nie miał do Gabi pretensji, że nie jest już trzydziestolatką, tylko o to, że bardzo się zaniedbała. Nie chodziło wyłącznie o wygląd, także intelektualnie. Przestała czytać książki, co jak na nauczycielkę polskiego było zdumiewające. Może ta jej decyzja o wyborze gimnazjum wcale nie wynikała z chęci sprostania wyzwaniu, tylko z umysłowego lenistwa — zdolniejszej i ambitniejszej młodzieży w liceum nie dało się uczyć według raz przygotowanego schematu. Przynajmniej jeśli chciało się za-służyć na szacunek uczniów.

Kiedy ostatni raz rozmawiali o jakiejś książce? Musiało minąć już kilka lat. Tak, pamiętał, Powtórka Kena Grimwooda.

o mężczyźnie, który w wieku czterdziestu trzech lat dostał

zawału, obudził się jako osiemnastolatek i mógł ponownie prze-

żyć swoje życie. Przygodny chciał odłożyć tę książkę, bo pomysł wydał mu się banalny, jego rozwiązanie też — bohater, znając przyszłe wydarzenia, wykorzystywał drugą szansę do bogacenia się na zakładach sportowych i grze na giełdzie, a kiedy znowu dobił czterdziestu trzech lat, znowu dostał za-wału i znowu obudził się jako osiemnastolatek. I dopiero od tego momentu tak naprawdę zaczęła się powieść, która zmieniła życie komisarza. Pod jej wpływem rzucił palenie. Wcze-

śniej nie palił może dużo, jedną paczkę dziennie, ale regularnie od wstąpienia do policji. W nałóg wpadł przez owczy pęd.

Wszyscy wychodzili na papierosa, nie chciał zostawać sam.

Niepalących w policji praktycznie wówczas nie było, moda na niepalenie przyszła później, dla niego za późno. Próbował

kilka razy rzucić, ale bez powodzenia, dopiero Grimwood skutecznie go zmotywował.

Tak, nie palił od pięciu lat, więc wtedy przeczytali z Gabi powtórkę. Wrywali ją sobie z rąk, zaciekle dyskutowali o niej przed snem. I jeśli się nie mylił, była to ostatnia poważniejsza książka, po jaką Gabi sięgnęła. Przerzuciła się na powieści ty-pu Pamiętniki Bridget Jones, a później na czasopisma. Nie mógł

sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział ją z książką w ręku.

Samo odejście od czytania by przeboleał, gdyby skutek tego ich rozmowy nie ograniczyły się wyłącznie do codziennych spraw. A tak się stało. Tymczasem związek, jeśli nie ma opierać się tylko na przyzwyczajeniu, musi dostarczać bodźców

- trzeba być ciekawym partnera, a nie można być ciekawym kogoś, kto się nie rozwija.

Ale czy nie oczekiwał niemożliwego, że będzie między ni-mi tak samo jak dziesięć czy dwadzieścia lat wcześniej? Czy nie oczekiwał ideału, który tak naprawdę nie istniał, a gdyby naWet istniał, to z jakiego tytułu miałby domagać się, by przypadł

mu w udziale? Mało go szczęścia spotkało w życiu? Kobieta, którą kochał, odwzajemniła jego miłość. A przecież nie było to przesądzone, doskonale mógł sobie wyobrazić jej odmowę —

mało to ludzi zakochiwało się bez wzajemności? I niektórych nieodwzajemnione uczucie niszczyło, bo było zbyt wielkie, by dało sieje przenieść na inną osobę. Co więcej, był przekonany, że on takie właśnie uczucie żywił do Gabi. Dochowali się dwój-ki zdrowych dzieci, co też wymagało odrobiny szczęścia —

Wspomniał Kasię Majewskiego. Zdrowych i udanych, uczyły się, nie ćpały, nie musiał ich wyciągać z tarapatów, wykorzystując swoją pozycję w policji. No właśnie, pracę też miał ciekawą, lubił ją,

zapewniała jego rodzinie dostatni byt i wysoką pozycję społeczną. Połączenie tych czterech elementów wcale nie było regułą, raczej wyjątkiem. Większość ludzi pracowała wyłącznie po to, by się utrzymać, a nie realizować swoje ambicje, zaś w polskich realiach ambitny zawód często nie wiązał

Się z odpowiednim do jego prestiżu wynagrodzeniem. Przykładów nie musiał daleko szukać, jego żona była przecież nauczycielką, a więcej zarobiłaby jako sprzątaczką.

I teraz chciałby wywrócić swoje życie, tylko dlatego, że jego żona trochę przytyła, a temat ich rozmów zawęził się do Spraw dnia codziennego? Czy w innych małżeństwach działo się inaczej? Przejrzał w myśli znajome pary. Niewiele kobiet zachowało figurę dwudziestolatki. Krysia Zielińska była trzy razy grubsza od Gabi, chociaż startowały z podobnego poziomu. Zły przykład, Zieliński znalazł sobie przecież kochankę.

Ale z tego co Przygodny wiedział, Zieliński zdradzał żonę od zawsze. W przeciwieństwie do niego należał do typów, dla których żona plus kochanka stanowiły rodzinny standard. On by tak nie potrafił. Nie zdradził Gabi, mimo że okazji mu nie brakowało.

Czyżby? Starał się przypomnieć sobie te niewykorzystane okazje i żadna nie przychodziła mu na myśl. Kobiety wcale nie rzucały mu się w ramiona. Może więc mylił się co do tego, że jest taki porządny? Kto wie, jak by się zachował, gdyby pojawiła się pokusa.

Ale skoro kobiety się do niego nie garną, jak miałyby znaleźć sobie nową po ewentualnym rozstaniu z Gabi? Jak ma zabrać się za szukanie czterdziestoczteroletni mężczyzna, który od liceum nie był zmuszony szukać partnerki, zdobywać kobiety? A gdyby nawet mógł przenieść swoje licealne doświadczenia, niewiele by mu dały. Bo właściwie sam nie wiedział, jak zdobył przychyłność Gabi. Odbęło się to jakoś naturalnie, bez konkretnych zabiegów czy wysiłków z jego strony. Patrzył

na nią, uśmiechali się do siebie, starał się ją odprowadzać, spę-

dzać z nią czas pod pozorem wspólnego odrabiania lekcji, a w końcu zdecydował się zaproponować chodzenie. Nie są to metody na dorosłą kobietę.

A może nie ma żadnych metod, może wszystko odbyłoby się równie naturalnie jak wówczas? Równie naturalnie na ho-ryzoncie pojawiłaby się jakaś kobieta? Wcześniej się nie pojawiały, bo nie rozglądał się za kochanką, okazje się nie nadarzały, bo ich nie szukał. Kobiety jednak wysyłały sygnały, tylko on ich nie dostrzegał, zapatrzony w swoją żonę. Tak, przecież bez fałszywej skromności mógł powiedzieć — ponownie spojrzawszy w lustro — że nadal był dość przystojnym mężczyzną.

Przypomniał sobie błysk zainteresowania w oku atrakcyjnej pracownicy banku. No dobrze, może nadinterpretował, ale łatwo było to sprawdzić, wystarczyło następnym razem wspomnieć, że jest przed rozwodem i zaproponować kawę. Starał się wymyślić pretekst, pod jakim po raz drugi mógłby z nią porozmawiać, kiedy na nowo ogarnęły go wątpliwości.

Czy nie chciał dla mrzonki porzucić tego, co ma? Gonić za szczęściem, nie potrafiąc dostrzec, że już

jest szczęśliwy? Wie-łokrotnie w swojej karierze zetknął się z ludźmi, dla których taka gonitwa kończyła się tragicznie. Ale czy rzeczywiście był

szczęśliwy? Jeśli tak, dlaczego rozważał odejście od Gabi, zwią-

zanie się z inną kobietą? A może źle definiował szczęście? Udany związek na pewno jest warunkiem szczęśliwego życia, ale gdzie jest powiedziane, że ma trwać wiecznie albo że ma być ich kilka? Są tacy, którzy nigdy nie znajdują swojej drugiej po-

łówki, on znalazł i powinien być za to wdzięczny opatrności, a nie niszczyć wszystkiego z powodu chwilowego zniechęcenia. Tak, bycie mężczyzną to umiejętność przewycięzania swoich humorów, niekierowanie się nastrojami. Byłby świnią, gdyby zamiast srebrnych godów zafundował Gabi rozwód. Ma się wziąć w garść i tyle.

Z tym postanowieniem wrócił do komputera, zalogował się do banku, ale żaden z nowych nabywców nie zdążył jeszcze zapłacić. Wziął przygotowane wcześniej paczki oraz dowód nadania reklamowanej przez algrowicza przesyłki i zawołał do żony:

— Idę na pocztę.

Nie doczekał się odpowiedzi, wrzucił ramionami i wyszedł przed dom. Z lubością wciągnął nadržeczne powietrze w płuca. Domy przy ulicy Międzyrzeckiej stały tuż za nadodrzańskim wałem. Kolejny powód do zadowolenia z życia: mieszkał w zielonej dzielnicy pozbawionej mętów i spalin.

Wsiadł do swojego golfa i wyjechał na drogę — chętnie by się przeszedł, ale poczty w zasięgu nóg nie było.

Zaparkował koło McDonalda, do którego przychodził

z dziećmi, kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych ta firma otworzyła w Polsce swoje restauracje. Wtedy McDonald's stanowił ogromną atrakcję, był zwiastunem i synonimem nowego porządku, powrotu do normalności, a świadomość, że tak naprawdę oferuje śmieciowe jedzenie, nie istniała. Obecnie Przygodny za nic nie dałby się namówić na posiłek w McDonalddie, co bynajmniej nie oznaczało, że jest mu w jakikolwiek sposób niechętny czy przeciwny. Obecność charakterystycznego szyldu stanowiła uspokajające potwierdzenie, że próby zatrzymania kapitalistycznych reform i uczynienia z Polski na nowo socjalistycznego „raju" spaliły na panewce.

W urzędzie pocztowym przy Traugutta jak zwykle wił się ogonek. Kilkoro czekających dzierżyło w rękę awiza, co oznaczało, że będą długo obsługiwani. Pocztowcy, przynajmniej w tej placówce, nie odkryli jeszcze istnienia alfabetu i za każ-

dym razem odbywały się regularne poszukiwania awizowa-nej przesyłki. Komisarz był na to przygotowany, psychicznie i logistycznie, wysyłał kupującemu paczki w terminie trzech dni roboczych, a że transakcji nie zawierał przecież codziennie, na ogół wystarczyło, jak pofatygował się na pocztę raz w tygodniu. Wyciągnął książkę, O starym człowieku, co czytał

romanse Sepulvedy, i zagłębił się w lekturze. Opis amazońskiej dżungli i strug wody lejących się z

nieba w porze deszczowej był tak sugestywny, że niemal czuło się parne powietrze i wilgoć. Przygodny całkowicie wywędrował duchem w tropiki i nad Wisłę, czy raczej nad Odrę, sprowadziło go dopiero lekkie szturchnięcie.

— Ma pan wolne okienko.

Podniósł głowę i zobaczył, że źle trafił. Na wyjątkowo śla-mazarną urzędniczkę. Generalnie wszystkie ruszały się jak muchy w smole, ale ta naklejała znaczki z celebrą godną protokołu dyplomatycznego. Czy, używając innego porównania, jakby miała dziesięciokilogramowe ciężarki u rąk, a sygnały z mózgu spływały po zatkanych synapsach.

Kładł po kolei paczki na wagę, nakazując sobie w duchu cierpliwość. Kiedy w końcu, po czasie dwukrotnie dłuższym niż rzeczywiście był potrzebny na przygotowanie wysyłki, usłyszał

kwotę do zapłaty, wręczył urzędniczce dowód nadania.

— Chciałbym zareklamować tę przesyłkę.

— Nie doszła?

— Dojść doszła, ale dopiero po dwóch tygodniach, a wy-słałem priorytetem. Chciałbym dostać różnicę, jaką dopłaci-

łem za priorytet, skoro potraktowali państwo przesyłkę jako ekonomiczną.

— Nie może pan złożyć reklamacji — poinformowała urzędniczka.

— Jak to nie mogę? — zdumiał się komisarz. — Nie wykonali państwo usługi, za którą wzięli pieniądze. Priorytet powinien dojść na drugi dzień, a szedł dwa tygodnie.

— Ale nie ma gwarancji, że dojdzie na drugi dzień. Osiemdziesiąt procent.

— Co osiemdziesiąt procent? — nie rozumiał Przygodny.

— Osiemdziesiąt procent przesyłek priorytetowych dochodzi na drugi dzień.

— No ale moja nie doszła — upierał się komisarz. — Nie doszła też na trzeci, czwarty czy piąty. Więc należy mi się zwrot pieniędzy.

— Nie — wyprowadziła go z błędu urzędniczka. — Bo nie dajemy gwarancji, że dojdzie na drugi dzień. Osiemdziesiąt procent.

— Sranie w banię — wtrącił się młody mężczyzna z kolejki, przysłuchujący się tej wymianie zdań. — Większość moich listów ląduje w tych dwudziestu procentach, które nie dochodzi na czas.

Przygodnego zafrapowała jednak sama idea, a nie jej re-alizacja.

— Pani sobie ze mnie kpi? Chce mi pani powiedzieć, że sprzedając usługę, poczta zastrzega się z góry, że ma prawo nie wykonać jej w pełni, ale klient ma zawsze zapłacić pełną cenę?

Urzędniczka zrobiła minę demonstrującą, że nie rozumie, o co petent ma pretensje.

— Przecież to tak, jakbym powiedział klientowi, że ma zapłacić za cały towar, ale ja gwarantuję mu dostarczenie tylko osiemdziesięciu procent towaru, sto procent dostanie, jak będzie miał szczęście! Co państwo sprzedają, usługę czy los na loterię?

— Taki jest regulamin Poczty Polskiej. Może pan porozmawiać z kierowniczką, jak pan chce.

Przygodny nie chciał. Domyślił się, że regulamin poczty jest aktem nadrzędnym wobec zdrowego rozsądku i kodeksu cywilnego.

Komisarz przejrzał akta sprawy o sygnaturze RSD 156/08.

Zabójstwo Mateusza Majewskiego. Przez tydzień powiększyły się zaledwie o potwierdzenie zeznań Ratajczyka i dalsze zeznania pani Sel ing, którą ponownie przesłuchano w charakterze świadka, choć tym razem pytania ukierunkowane były na jej życie osobiste i relacje z zamordowanym. Adela Sel ing owdo-wiała przed pięcioma laty, była trzy lata młodsza od Majewskiego. Przesłanki wskazujące, iż rzeczywiście mogła zagiąć na niego parol. Wcale zresztą nie ukrywała, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby pan Mateusz się jej oświadczył, „ta-ki przystojny i porządny mężczyzna, z pewnością brakowało mu kobiety”. Pani Sel ing najwidoczniej nie miała pojęcia, w jaki sposób „porządny mężczyzna” z tym brakiem sobie radził. Na pytanie komisarza, czy sama złożyła Majewskiemu matrymonialną propozycję, zareagowała jednak nieklamany oburzeniem.

— A co, ja jakaś lafirynda jestem?!

I pani Sel ing wyłuszczyła komisarzowi, że to mężczyzna ma okazać zainteresowanie i zrobić pierwszy krok — ona wie, że dzisiaj dziewczyny się nie szanują i same rzucają się w ramiona chłopakom, to jest właśnie efekt zażywania narkotyków i niesłuchania papieża. Żeby wymienić dwie z szeregu przyczyn, jakie, zdaniem pani Sel ing, spowodowały upadek obyczajów. Przygodny nie mógł sobie przypomnieć, żeby papież — czy raczej Papież, bo komisarz zauważył, że Polacy pod tym określeniem rozumieją Jana Pawła II, Benedykta XVI uznawali zaledwie za papieski erzac — zabraniał płci pięknej wykazywać inicjatywę albo to potępiał.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że Adela Sel ing z domu Kogutek była zdeklarowaną zwolenniczką starej szkoły i przez myśl by jej nie przeszło, że mogłaby oświadczyć się mężczyź-

nie. A to oznaczało, że Majewski nie miał okazji wyśmiać jej propozycji ani urazić jej dumy do tego stopnia, żeby postanowiła wysłać go pohańbionego do krainy wiecznych łowów.

Ograniczyła się zapewne do typowo kobiecych sygnałów, ale tych Majewski przy swojej kondycji psychicznej prawdopodobnie w ogóle nie zauważył bądź odbierał jako natręctwo wścibskiej sąsiadki, przed którą lepiej zamknąć drzwi niż wdawać się w jakiegokolwiek dyskusje. Potwierdzały to zresztą zeznania samej pani Sel ing, która przyznawała, że Majewski nie był w stosunku do niej zbyt

rozmowny.

Miła niespodzianka komisarza więc nie spotkała i tak jak się spodziewał, podejrzania wobec pani Seling okazały się bezpodstawne.

Nic nie wniosły też dalsze ustalenia w sprawie Ratajczyka.

Komisarz, nadal niemogący pogodzić się z jego idealnym alibi, wystąpił do Ery, w której pielęgniarz miał komórkę, o zapis jej logowania w stacjach bazowych oraz do Straży Miejskiej o zapis monitoringu z kamer zainstalowanych na placu Solnym.

Oba zapisy potwierdziły wizytę w pubie, a ten pierwszy jednoznacznie wskazywał, że Ratajczyk rzeczywiście oddalił się z Wrońskiego około wpół do szóstej i więcej tam nie wracał. Za-pytanie w Totalizatorze Sportowym wykluczyło ewentualność, o której Przygodny z początku nie pomyślał: że pielęgniarz mógłby działać nie z chęci zysku, ale z przymusu. Hipoteza ta brzmiała, że Majewski wygrał znacznie większą kwotę, Ratajczyk poniósł straty w inwestycjach na giełdzie i nie chcąc się do nich przyznać albo bojąc się reakcji Majewskiego, a tak czy tak, stojąc w obliczu konieczności zwrotu pieniędzy, których nie miał, zdecydował się zabić swego chlebodawcę. Jednak pismo z Totalizatora nie pozostawiało wątpliwości; Majewskiemu za trafienie szóstki wypłacono faktycznie sześćset tysięcy, dokładnie sześćset dwanaście tysięcy osiemset dziewięć złotych i czternaście groszy. Na koncie Ratajczyka było sześćset piętnaście tysięcy z groszami. Albo był na niewielkim plusie, albo miał

własne nieduże oszczędności, w każdym razie hipoteza się nie ostała. Dla przeciwwagi pozostał pierwszy motyw — kwerenda wśród notariuszy wykazała, że Majewski rzeczywiście nie zostawił testamentu i pielęgniarz wzbogacił się na jego śmierci —

ale niewiele ważył w świetle żelaznego alibi Ratajczyka.

W aktach brakowało jeszcze notatki służbowej Gajdy z rozmów z członkami Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian. Nie wniosły nic do tego stopnia, że protokołowanie przesłuchań było zbędne, wystarczyła notatka. Polscy Indianie oświadczyli, że owszem strzelają z łuków, ale do tarcz, nikogo nie skal-pują, a kurary w ogóle nie używają, bo są przyjaciółmi Indian północnoamerykańskich, a nie południowoamerykańskich i bardzo proszą, żeby na tę drobną, acz zasadniczą różnicę zwracać uwagę. Oświadczenie — z pominięciem kwestii kurary, bo ta nie została podana do publicznej wiadomości — przyjęło formę dementi prasowego, gdyż artykuł w „Kurierze” na temat stowarzyszenia niedwuznacznie sugerował, że powinno ono zostać wzięte przez policję pod lupę, i zarzucał policji, że jeszcze nie poszła tak oczywistym tropem.

Artykuł był opatrzony sygnaturą „lm”, ale komisarz zało-

żył, że napisał go Kuriata, skoro to on zajmował się sprawą morderstwa przy Wrońskiego. Wiedział od przyjaciela, że skrótowiec pod artykułem niekoniecznie musiały tworzyć inicjały — „zr” znaczyło na przykład „zespół redakcyjny”, a „cr”

„część redakcji”. Nie odgadł wprawdzie, co kryło się pod akro-nimem „lm”, ale zadzwonił do



Kuriaty z pretensjami.

— To nie ja — odrzucił oskarżenie dziennikarz — to ten dureń Mrożewicz. Też się wściekłem. A miałem taki dobry humor, jak wzięłem rano „Wrocławską” do ręki, zobaczyłem piękną czołówkę „Kolejki do przedszkoli” — trafiłem idealnie! — zaśmiał się Kuriata — i wyobraziłem sobie, jak naczelny „Wrocławskiej” w żaden sposób nieostrzeżony sięga po naszą gazetę, widzi tytuł „Indiański zabójca” i dostaje szału, przy którym huragan Katrina to był zefirek. No ale mój dobry humor diabli wzięli, kiedy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku przejrzałem sobie „Kurier” i natrafiłem na tego gnio-ta wypoconego przez Mrożewicza.

— A czemu on w ogóle pisze o tej sprawie? Myślałem, że ty się nią zajmujesz. Przyjąłeś faceta do działu?

Przygodny znał oczywiście kadrową politykę Kuriaty, wykluczającą zatrudnianie osobników, którym coś dyndało mię-

dzy nogami.

— A skąd, Mrożewicz jest z kulturalnego, miał tylko opisać to indiańskie stowarzyszenie, a nie wtrącać się do zabójstwa. Dlatego nie sprawdziłem, co wypichcił. W tym sensie rzeczywiście jestem winien, powinienem przewidzieć, że kretyn będzie miał ambicje nawiązania do samego morderstwa.

Przygodny zamknął akta i popukał palcem w okładkę, patrząc na Gajdę.

— Ciągle nie napisałeś notatki.

— Przepraszam, panie komisarzu, ale po prostu nie wyrabiam się z tą masą papierów — aspirant pokazał na biurko, na którym faktycznie piętrzyły się stosy dokumentów. — Czasami mam wrażenie, że nie jesteśmy policją, tylko fabryką pa-pierniczą.

Komisarz nie zamierzał dołączać do powszechnego narzekania na „papierologię”.

— Nie wyrabiasz się, bo jesteś niesystematyczny. Czy ty widzisz na moim biurku jakieś zaległe papiery? Jakbyś napisał notatkę od ręki, nie tylko miałbyś ją z głowy, ale zajęłaby ci też mniej czasu, bo teraz będziesz musiał się od czegoś odrywać plus przypominać sobie treść rozmów.

— Ale przyzna pan komisarz, że jednak biurokracja jest

— Gajda nie zgadzał się, że tylko jego zła organizacja pracy powoduje zaległości.

— Jest, jest, ale tracisz przez nią daleko mniej czasu, niż ci się wydaje. Niemiecki policjant wcale nie ma dużo mniej papierów od ciebie, tylko jest trzy razy lepiej zorganizowany.

— Dobrze, już dobrze — poddał się aspirant. — Zaraz napiszę.

Nie wiedział, że dzwoniący właśnie telefon Przygodnego nie pozwoli mu dotrzymać obietnicy.

— Panie komisarzu — to był dyżurny — dzwoni jakaś kobieta, mówi coś o morderstwie, ale jest tak roztrzęsiona, że nie mogę wydobyć od niej szczegółów. Może pan komisarz z nią porozmawia?

— Oczywiście, przełącz ją.

Po chwili usłyszał w słuchawce szloch i powtarzane słowa

„zabili go, zabili go”.

— Halo! Rozmawia pani z komisarzem Przygodnym. Jak się pani nazywa?

W reakcji szloch tylko się nasilił.

— Jeśli pani chce, żebyśmy pani pomogli — starał się nadać swojemu miękkiemu barytonowi ton delikatnej perswazji — musi mi pani przynajmniej powiedzieć, gdzie pani jest i co się stało.

— Zabili go — powtórzył młody kobiecy głos, ale już spokojniej. — Mojego dziadka.

— Rozumiem, że właśnie go pani znalazła?

— Ta... ak. — Dziewczyna znowu zaczęła płakać. —

O, Boże!

— Gdzie go pani znalazła? Gdzie pani jest?

— W Leśnicy... na Wolskiej... koło banku... GE Money —

wymówiła to „giemonej”.

— Zaraz tam będziemy, proszę niczego nie ruszać.

Komisarz podniósł się z krzesła i widząc wyczekujący wzrok Gajdy, rzucił:

— Morderstwo. Jedziemy.

Aspirant złapał kurtkę, zadowolony, że odwlekło się pisanie notatki i że może zostawić papiery. Nie wstąpił do policji, żeby wypełniać protokoły, tylko żeby ścigać przestępców.

Najlepiej szybkim samochodem i z pistoletem w ręku.

Nie zdarzało się to zbyt często, ale dojazd na sygnale do miejsca przestępstwa stanowił namiastkę takiego pościgu.

Przynajmniej poza centrum, bo środek miasta był jak zwykle zatłoczony, a kierowcy ustępowali miejsca z ociąganiem. Gajda im się nie dziwił, wąskie ulice utrudniały takie manewry, poza tym część była pewnie przekonana, że policjanci wcale nie jadą na akcję, tylko nie chce im się stać w korku. Przekonanie niepozbawione podstaw, bo Gajda sam znał takich, zresztą nie tylko w policji,

ale i w pogotowiu, którzy uruchamiali syrenę, żeby szybciej dojechać na obiad.

Na Legnickiej za policyjnym oplem pojawiło się niebieskie porsche. Na Kosmonautów Gajda zorientował się, że porsche nie jedzie w tym samym kierunku przypadkiem.

— Szefie, mamy towarzystwo, dziennikarz nas śledzi.

Przygodny spojrział przez tylną szybę.

— Albo przekupił dyżurnego, albo zobaczył naszego opla na mieście. Chyba to drugie, bo jakby przekupił dyżurnego, nie musiałby nas śledzić, żeby dowiedzieć się, dokąd jedziemy. A tą swoją bryką teraz już spokojnie by nas wyprzedził.

Gajda lekko westchnął. Co by dał, żeby raz usiąść za kierownicą takiego porsche. O tym, żeby kiedykolwiek było go na nie stać, nawet nie marzył.

Minęli puste pola, na których odbyłaby się wystawa Expo 2010, gdyby Wrocław dostał więcej niż całe dwa głosy, i dojechali do Leśnicy, bardziej robiącej wrażenie podmiejskiej miejscowości niż dzielnicy Wrocławia. Komisarz w charakterze pilota, posługując się planem miasta, pomógł Gajdzie odnaleźć właściwy adres. Kiedy tylko za bankiem BGŻ skręcili ze Sredzkiej, od razu dostrzegli młodą jasnowłosą dziewczynę stojącą przed bramą dwupiętrowej kamienicy. Przygodny domyślił się, że to wnuczka zabitego, która nieco ochłonęła i wyszła przed dom, żeby wskazać policji drogę. Na widok opla z kogutem pomachała ręką.

Zaparkowali i podeszli do dziewczyny. Rzeczywiście przestała już płakać, choć nos i oczy miała zaczerwienione, a maki-jaż rozmazany. Mimo to trudno było nie dostrzec jej urody.

Przygodny poczuł narastające podniecenie. I od razu wstyd.

Nie dość, że okoliczności wyjątkowo nie sprzyjały, by interesować się nią jako kobietą, to na dodatek całkowicie odbiegała od jego ideału kobiecości. Była bardzo wysoka, niemal równa mu wzrostem, o krępkim ciele i wyraźnie zarysowanych krągło-

ściach. O takim typie mówiło się „zdrowa dziewczucha”, podczas gdy on wolał niższe i bardziej wiotkie kobiety. Takie jak Gabi.

To znaczy Gabi sprzed dziesięciu lat. Poza tym ustalił, że nie szuka partnerki w wieku swojej córki. Ustalił, że w ogóle nie szuka partnerki, zdecydował się pracować nad swoim małżeń-

stwem. W ramach tej pracy zachęcał Gabi w ostatnim tygodniu do seksu. Wymawiała się na wszystkie sposoby, raz w końcu uległa, ale w ogóle się nie angażowała. Poradził sobie tylko dlatego, że myślał o uroczej kierownicze z banku.

— Proszę, tu są klucze, mieszkanie pod szóstką — dziewczyna wręczyła im pęk z dołączonym tanim brelokiem. —

Ja tam więcej nie wejść!

— Nie ma potrzeby, ale proszę tu na nas poczekać. Ty też

— polecił komisarz Kuriacie, bo dziennikarz zdążył tymczasem podejść i w przeciwieństwie do dziewczyny, którą pożerał

wzrokiem, miał wielką ochotę pójść z policjantami na górę.

W bramie nie zainstalowano domofonu, wewnętrzne drzwi nie miały nawet klamki. Kamienica od zewnątrz była odnowiona, pomalowana na pomarańczowo lub różowo —

Przygodny nie potrafił określić koloru, wiedział, że Gabi podałyby jeszcze inny, śmiejąc się z męskiej ślepoty na barwy

— na klatce wstawiono plastikowe okna, ale schody pamię-

tały lata budowy. Skrzypiały i pachniały tak samo jak u jego babci w toruńskiej kamienicy, którą wspominał z lekkim dreszczem zgrozy. Stopnie urywały się tam na ostatnim pię-

trze i na strych prowadziła przerzucona nad przepaścią klatki schodowej drabina, toaleta znajdowała się na dworze, ale nie biegano na dół z każdą potrzebą, mniejszą załatwiano do specjalnie w tym celu obniżonej umywalki w kuchni.

Poszczególne kondygnacje mieściły po trzy mieszkania, więc szóstka znajdowała się na pierwszym piętrze. Drzwi by-

ły zamknięte tylko na zatrask i do otwarcia wystarczył jeden klucz. Zwłoki starszego mężczyzny leżały w przedpokoju.

Z rozwaloną czaszką. Nie rozbitą, a właśnie rozwaloną. Ofiara nie miała górnej połowy głowy, chyba że ktoś za takową chciał uważać zakrwawioną miazgę z pokruszonych kości czaszki i szarej masy mózgowej. Czy raczej tej jej resztki, która nie wylądowała na ścianach. (Przygodny wiedział, że w raporcie medycznym przeczyta: „ciosy doprowadziły do zupełnego wymóżdżenia”.). Nic dziwnego, że wnuczka omal nie wpadła w histerię na ten makabryczny widok, na który w najmniejszym stopniu nie mogła być przygotowana. Nawet doświadczeni policjanci w pierwszej chwili cofnęli się z obrzydzeniem.

— Ale jatka — mruknął Gajda. — Ktoś musiał bardzo go nie lubić.

Przygodny pochylił się nad narzędziem, którym posłużył

się morderca. I które uprzejmie zostawił koło zwłok. Komisarz musiał docenić tę uprzejmość, bo inaczej pewnie nigdy by nie ustalili, czym dokonał zabójstwa. Był to rodzaj mniej wię-

cej półtorametrowej maczugi, ale mającej głowice po obu stronach trzonka. Głowice gęsto nabijane kolcami o długości około 15 milimetrów. Na wszystkich widniała krew, tak że nie ulegało kwestii, iż zabójca w pełni wykorzystał możliwości tej broni. Jakąkolwiek by nosiła nazwę.

— Widziałeś kiedyś coś takiego? — zapytał Przygodny aspiranta.

— Nigdy w życiu. Co to jest?

— A skąd mam wiedzieć? Jakaś nietypowa maczuga.

Komisarz wyprostował się.

— Rozejrzyj się po mieszkaniu, a ja zejdę porozmawiać z wnuczką.

Na dole zastał dziewczynę, wypłakującą się na ramieniu dziennikarza. Przygodny z dezaprobatą spojrział na przyjaciela, który tak podtrzymywał rozpaczającą, by mieć kontakt z jej niemałym biustem, co akurat ułatwiała mu różnica wzrostu na jego niekorzyść. Komisarz nieraz już zwracał Kuriacie uwagę, że podrywanie metodą „na pocieszenie” kobiet, które właśnie w tragiczny sposób straciły członka rodziny, jest co najmniej niestosowne, ale i w tej kwestii Kuriata miał odmienne zdanie: „Łatwo ci mówić. Masz żonę i zagwarantowany seks, a ja muszę ciągle się rozglądać. Większość czasu spędzam w pracy, więc z góry skreśliłbym parę fajnych dup, gdybym miał sobie nakładać takie absurdalne ograniczenie, że babek poznanych w trakcie pracy nie podrywam. Przecież nie mogę karać siebie za to, że jestem reporterem kryminalnym, a nie na przykład weterynarzem”. Przygodny, przypomniawszy sobie te słowa przyjaciela, musiał w świetle ostatniego tygodnia stwierdzić, że przekonanie kawalerów, jakoby żonaci mieli zagwarantowany seks, niekoniecznie odpowiada prawdzie.

— Przepraszam panią — lekko dotknął ramienia dziewczyny — ale muszę zadać pani kilka pytań. Zdoła pani odpowiedzieć?

Odwróciła się ku niemu, otarła rękawem zapłakaną twarz i skinęła głową.

— Jak się pani nazywa?

— Ewa Małysiak.

— A pani dziadek?

— Marek Małysiak.

— Ile miał lat?

Dziewczyna nie odpowiedziała i komisarz przestraszył

się, że znowu się rozplacze, bo czas przeszły pytania podkre-

ślił, że jej dziadka nie ma już wśród żywych. Okazało się jednak, że brak odpowiedzi spowodowany był czymś innym.

— Nie wiem dokładnie... ponad siedemdziesiąt.

— Domyślam się, że w głąb mieszkania pani nie wchodziła?

— Nie, otworzyłam drzwi, zobaczyłam dziadka, jak tak leżał... — dziewczyna mimowolnie wzdygnęła się na to wspomnienie — ...zatrzasnęłam z powrotem, zbiegłam na dół i zadzwoniłam na policję.

— Kiedy przykryjemy ciało, poprosimy panią, żeby rozejrzała się po mieszkaniu, czy coś nie zginęło.

Ewa Małyśiak najpierw popatrzyła na komisarza z przera-

żeniem, ale kiedy dotarło do niej, że policjant pomyślał o tym, by oszczędzić jej widoku zmasakrowanego ciała, przytaknęła:

— Dobrze.

— Czy pani mieszkała z dziadkiem?

— Nie, nie, mieszkam z rodzicami, na Modrej, na Koza-nowie.

— To skąd miała pani klucze do tego mieszkania?

— Dziadek mi dał, chciał, żeby jeden komplet był na ze-wnątrz, na wszelki wypadek... jak sam mówił, żeby nie trzeba było wyważać drzwi, gdyby swój zgubił albo gdyby... coś mu się stało...

Teraz niechybnie by się rozplakała, ale komisarz szybko zadał kolejne pytanie i musiała skupić się na odpowiedzi.

— Chodzi mi o to, dlaczego miała je pani teraz ze sobą?

Przecież nie zakładała pani, że coś się stało?

Pokręciła głową.

— Nie, dziadek mnie prosił, żebym przyniosła klucze. Nie wiem, może zmienił zamki i chciał dać mi nowy komplet.

— Zmienił zamki? Ale przecież otworzyła pani tymi kluczami. Czyli zamki są stare.

— No tak... — potwierdziła. — To nie wiem dlaczego...

— Często odwiedzała pani dziadka?

Przygodny miał wrażenie, że na jej policzkach wykwitł

lekki rumieniec.

— Nie, niezbyt często... Jestem bardzo zajęta — dodała tytułem usprawiedliwienia. — Uczę się, pracuję...

— Czy... — chciał kontynuować przesłuchanie komisarz, ale przeszkodziła mu zielona skoda favorit, która wypadła zza zakrętu na pełnej szybkości i zahamowała gwałtownie za policyjnym oplem. Ze skody wyskoczył młody, barczysty chłopak.

— Ewa!

Podbiegł do dziewczyny i wziął ją w ramiona. Był od niej wyższy o głowę.

Przygodny przez chwilę obserwował rozczarowaną minę Kuriaty, po czym klepnął młodzieńca w plecy.

— Komisarz Przygodny z Komendy Wojewódzkiej. Mogę się dowiedzieć, kim pan jest?

Chłopak odwrócił się w stronę policjanta, nie wypuszczając dziewczyny z objęć.

— Zbigniew Nowakowski. Narzeczony Ewy.

Resztki nadziei, że mają do czynienia z bratem dziewczyny, wyparowały z oblicza Kuriaty. Miała etatowego pocieszyciela, nie mógł liczyć, że da się pocieszyć przypadkowemu.

— Skąd pan się tu wziął?

— Ewa do mnie zadzwoniła, że zamordowano jej dziadka.

To prawda?

— Niestety, prawda. Czy pani dziadek — komisarz wrócił do przerwane go przesłuchania — miał jakichś wrogów?

Popatrzyła na niego z niezrozumieniem w oczach.

— Wrogów? Nie. Dlaczego miałby mieć wrogów?

— Sposób dokonania zabójstwa wskazuje, że morderca żywił do swej ofiary bardzo głęboką urazę. Kojarzy pani kogoś takiego? Kogo pani dziadek na przykład boleśnie skrzywdził?

— Dziadek? — Teraz oczy miała okrągłe ze zdumienia.

— Nie, to był wspaniały człowiek, wszyscy go kochali.

Komisarz słyszał taką odpowiedź nie po raz pierwszy. Gdy ktoś powędrował na łono Abrahama, z miejsca przestawał być łobuzem, szubrawcem, łotrem, jakiego ziemia dotąd nie nosi-

ła, a stawał się obiektem powszechnej miłości. Trawestując słowa księdza Twardowskiego, Przygodny nieraz miał ochotę powiedzieć: kochajcie żywych, nie dopiero umarłych.

Nie powiedział tego i teraz, bo pod dom zajechały kolejne samochody. Ekipa techniczna, prokurator i

lekarz, do których Przygodny zadzwonił po drodze.

Komisarz skinął głową technikom, podał rękę Kani i Ma-  
łeckiemu.

— Co mamy? — zapytał prokurator.

— Brutalne zabójstwo mężczyzny po siedemdziesiątce.

Czaszka roztrzaskana tak, że mózg osiadł na ścianach. Na dodatek jakąś egzotyczną podwójną maczugą.

— Trochę ostatnio za dużo tej egzotyki, najpierw kurara i oskalpowanie, a teraz podwójna maczuga — zauważył Kania. — Myśli pan, że te dwa morderstwa się ze sobą łączą?

— Nie sądzę — odparł komisarz — choć wyjątkowo z ulgą przyjąłbym wiadomość o seryjnym zabójcy, bo oznaczałoby to nowy trop w sprawie Majewskiego. Od tygodnia nie ruszyli-  
śmy z miejsca.

— A dlaczego wyklucza pan seryjnego zabójcę?

— Wykluczać nie wykluczam, ale na razie widzę więcej różnic niż podobieństw. Owszem, egzotyka, ale nie wiemy, czy tego samego rodzaju, nie potrafię powiedzieć, czy taką maczugą posługiwali się Indianie. No i zupełnie inny modus operandi. Tam wyraźnie zaplanowane morderstwo przeprowadzone na chłodno, a tutaj wygląda to na atak furi .

— Ja się jednak w przeciwieństwie do pana ucieszę, że nie widzi pan przesłanek do założenia, iż sprawcą jest ta sama osoba. Wolę jedno nierozwiązane morderstwo niż seryjnego zabójcę grasującego po Wrocławiu i mordującego ludzi, któ-

rzy nic mu nie zrobili. Jakoś łatwiej pogodzić się ze śmiercią człowieka, kiedy dobrze załatwił mordercy za skórę. Albo gdy morderca, zabijając, osiąga jakąś konkretną korzyść, a nie tylko zaspokaja swoje chore fantazje.

Kania wyraźnie należał do „filozofów”, którzy chcieli w śmierci ofiar widzieć jakiś sens. Przygodnego trochę zdziwiło, że przy takim nastawieniu nigdy nie załamała się jego długoletnia prokuratorska kariera.

— Pójdziemy w końcu do trupa? — odezwał się milczący dotąd Małecki. — Może wam płacą za egzystencjalne rozwa-  
żania, ale mnie za krojenie trupów.

Kania spojrzał zaskoczony na lekarza. Komisarz stwierdził, że widocznie u Majewskiego nie miał okazji odbyć pogawędki z nowym patologiem.



— Tak, oczywiście.

Skierowali się na górę. Wyszedł im naprzeciw Gajda, trzymający w ręku grubą książkę.

— Wiem, panie komisarzu, czym go zamordowano. — Zademonstrował okładkę, na której widniał tytuł Wielki leksykon broni i uzbrojenia. — Nazywa się to uban, chińska maczuga.

— Chińska — powtórzył Przygodny i popatrzył wymownie na prokuratora. — Miałem rację, egzotyka, ale z drugiej strony świata. Nie, seryjnego zabójcę możemy skreślić.

— Tylko skąd ta nagła popularność łuków i maczug? —

u Kani na nowo odżyły obawy, że komisarz jednak się myli.

— Kiedy ostatnio mieliśmy dwa zabójstwa w ciągu tygodnia za pomocą tak oryginalnych narzędzi zbrodni?

— Myślę, że w tym przypadku wyjaśnienie jest banalne —

w sukurs Przygodnemu przyszedł aspirant. — Ta maczuga należała do denata, ma całkiem ładną kolekcję broni, głównie białej, interesował się tym, ta książka też jego. Zabójca złapał po prostu, co było pod ręką, i mu przyłożył.

— Co z kolei potwierdza moją teorię, że sprawca działał

w afekcie — dodał komisarz.

Prokurator skinął głową, że przekonują go te argumenty i zwrócił się do patologa, klęczącego przy zwłokach.

— Przyczyna zgonu?

Przygodny, wiedząc już, że Małeckiego drażni dociekanie o przyczynę zgonu przed sekcją, nadstawił uszu, ciekaw jego repliki. Lekarz jednak nie odpowiedział, tylko zaczął rozglą-

dać się po przedpokoju.

— Zapytałem pana o przyczynę zgonu — zniecierpliwił

się Kania. — Czego pan szuka?

— Jajek.

— Jajek? Jakich jajek?

— Kurzych.

Drobna postać prokuratura wygięła się w jeden wielki znak zapytania. Małecki nie kwapił się jednak

do dalszych wyjaśnień i Kania mimo absurdalności tej konwersacji nie wytrzymał:

— A dlaczego szuka pan kurzych jajek?

— No jak pan myśli, że to kura jest — patolog wskazał

na denata — to szukam jajek, które zniosła. Bo tylko kura potrafi biegać z uciętym łbem, a pan wyraźnie uważa, że on przeżył tę rozwaloną czaszkę i dał się zabić w inny sposób.

Komisarz mimowolnie uśmiechnął się pod nosem. Uwagi Małeckiego mogły rozbawić, pod warunkiem, że nie było się ich adresatem. Co potwierdzała kwaśna mina Kani.

— Znalazłeś jeszcze coś ciekawego? — Przygodny zwrócił

się do aspiranta.

— Nic, panie komisarzu. Klasyczny przeciętny obywatel, mieszkał sam, w każdym razie w łazience jest tylko jedna szczo-teczka do zębów, ale nie był odcięty od świata jak Majewski: w komórcie ma wpisanych sporo telefonów, na komodzie są zdjęcia rodziny, dzieci, wnuków i żony, więc pewnie nie był

rozwodnikiem, tylko wdowcem. Zdjęcia żony po rozwodzie wyrzuca się albo wynosi do piwnicy. Moi rodzice się rozwiedli, nieźle się przy tym pożarli i ich ślubny portret znalazłem kiedyś w piwnicy.

Przygodny pomyślał o Gabi. Czy po rozwodzie wyniosłaby ich ślubne zdjęcia do piwnicy? Nie, dlaczego miałyby to robić?

Rozstali się przecież w przyjaźni, nie we wrogości, jak rodzice Gajdy, a rozwód nie przekreśla dwudziestu kilku lat małżeństwa.

Kończy je, a nie anuluje. Nie można uznawać małżeństwa za nieudane tylko dlatego, że nie trwało przez całe życie. Wiadomo, skąd takie przekonanie wzięło się w katolickim kraju, ale już od dawna zwykli ludzie nie słuchali Kościoła w sprawach damsko-męskich. A małżeństwo zdecydowanie było sprawą damsko-męską i może też wymagało nowego spojrzenia.

— Dwie godziny — przerwał rozmyślenia komisarza Małecki.

— Co?

— Nie żyje od dwóch godzin.

— Zamordowano go w biały dzień?

— Dwie godziny temu była czternasta, czyli w biały dzień, jeśli nie doszło wtedy do zaćmienia słońca... aleja nie widzia-

łem. Pan komisarz?

Przygodny zignorował tę zgryźliwość.

— Robert, do sąsiadów! Może ktoś go zobaczył. Musiał

się źle ochlapać, więc jeśli ktoś go widział, to na pewno zapamiętał.

Patolog podniósł się z klęczek i podszedł do stojącego w kącie wieszaka, na który zwrócił uwagę, kiedy lustrował

przedpokój w poszukiwaniu jajek. Z wbudowanego weń stojaka wyciągnął parasol i go rozłożył. Policjanci i prokurator po-trzebowali chwili, żeby sobie uświadomić, że parasol nie był

szaro-czarny w czerwony wzorek.

— I już po pańskiej teori o furi napastnika — Kania niemal jęknął. — Kto mordując w afekcie, rozkłada parasol, że-by nie ochlapać się krwią?

— No dobrze — zgodził się komisarz — nie była to czysta furia, ale jednak działanie spontaniczne. Na ogół nie planuje się morderstwa za pomocą narzędzi dostępnych w domu ofiary.

Musieli się o coś pokłócić, Małysiak odprowadzał gościa do drzwi, idąc przed nim, tamten chwycił za... jak powiedziałaś, że ta maczuga się nazywa? uban?... chwycił za uban z kolekcji i parasol, w przedpokoju rozłożył parasol i zaatakował. Zwłoki leżą twarzą do podłogi, więc pasuje. Potem morderca porzucił

maczugę. Zostawianie narzędzia zbrodni na miejscu przestępstwa nie jest zbyt rozsądne, ale nie miał wyboru, gdyby ktoś go zobaczył z tak charakterystycznym przedmiotem, na pewno by go zapamiętał. Tak samo oblepiony krwią parasol.

— Mógł go złożyć — sprzeciwił się Gajda. — Wtedy niewiele byłoby widać.

— Pamiętaj, że krew na parasolu nie zdążyła jeszcze zaschnąć i skapywałaby na ziemię. Nie, musiał go zostawić, nawet ryzykując, że w ten sposób dowiemy się, że nie działał

w furii. Może zresztą wcale nie chciał zasugerować nam takiego motywu, może źle zinterpretowaliśmy efekt ciosów: ich impet nie wynikał z gniewu napastnika, tylko z jego siły.

Komisarz przypomniał sobie wysoką, barczystą postać.

— Nic, sąsiadów trzeba przepytac tak czy siak. Robert, zajmij się tym, ja zejdę do wnuczki i jej narzeczonego. Przy-kryjcie mi te zwłoki — Przygodny zwrócił się do technika, który szukał odcisków palców na framudze drzwi do pokoju

— to dziewczyna popatrzy, czy coś nie zginęło. Choć motyw rabunkowy wydaje się raczej wykluczony, wtedy sprawca zaatakowałby Małysiaka od drzwi i rozbił mu głowę od przodu, a nie od

tyłu. Ale bywa bardziej subtelny rabunek.

I z tymi tajemniczymi słowami komisarz opuścił mieszkanie. Zastał Ewę i jej chłopaka palących papierosy. Poczł, że też ma ochotę zapalić, po raz pierwszy, odkąd zerwał z na-

łogiem. Nic dziwnego, przez długie lata kariery odreagowywał

widok zmasakrowanych zwłok papierosem. I prawdę powie-dziawszy, nie znał lepszego sposobu. Ale przecież nie były to pierwsze zmasakrowane zwłoki, jakie zobaczył od pięciu lat, zdarzały się nawet poćwiartowane, a mimo to nigdy nie korciło go, żeby zapalić, nawet jeśli miło wspominał tę metodę odreagowania stresu. Skąd więc ta nagła chęć na papierosa?

Czy nie stąd, że dotąd miał oparcie w rodzinnym domu, Gabi wspierała go, choć nie mógł wprowadzać jej w szczegóły swojej pracy, a teraz żona nie tylko nie dawała mu wsparcia, ale sama stała się źródłem stresu?

— Zaraz przykryją zwłoki — zwrócił się do dziewczyny —

i poproszę panią, żeby sprawdziła, czy coś nie zginęło. Chcemy wykluczyć motyw rabunkowy. Na podstawie wstępnych oglę-

dzin ustaliliśmy, że pani dziadek był wdowcem i mieszkał sam.

Czy to się zgadza?

Dziewczyna, która wzdrygnęła się, słysząc, że jej dziadka określają mianem zwłok, przytaknęła.

— Mieszkanie jest komunalne?

— Nie, własnościowe.

Komisarz umocnił się w swoich podejrzeniach. Wnuczka nie wiedziała, ile dziadek ma lat, ale nie zawahała się ani chwili zapytana o status mieszkania.

— Komu przypadnie teraz w udziale?

— No... mi.

Popatrzyła na niego zdumionymi oczami, jakby dopiero teraz do niej dotarło, że ta tragedia przynosi jej korzyść. Przygodny spojrział z kolei na jej chłopaka. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego.

— Kiedy planują państwo ślub?

— Jeszcze nie planowaliśmy, nie mieliśmy mieszkania...

— urwała, z całą ostrością uświadamiając sobie, do czego policjant zmierza. — Chyba nie myśli pan, że...

— Nic sobie nie myślę, zadaję rutynowe pytania. Gdzie pan był dwie godziny temu? — zwrócił się do Nowakowskiego.

— Nic pan sobie nie myśli, ale sprawdza moje alibi? —

chłopak albo nie był tępym osiłkiem, za jakiego mógł uchodzić, albo nie pierwszy raz słyszał pytanie o alibi.

— Proszę odpowiedzieć.

— W pracy.

— A gdzie pan pracuje?

— W piekarni.

Przygodnego lekko zniecierpliwiły te minimalistyczne odpowiedzi.

— A gdzie znajduje się ta piekarnia?

— Na osiedlu — chłopak wykonał ruch głową, każący się domyślać, że przez osiedle rozumie Leśnicę. — Na Zajazdowej. Dwie przecznice dalej.

— Mieszka pan u rodziców pani Ewy?

— Nie, dlaczego? Mieszkam ze swoimi.

— A pani gdzie pracuje?

— W sklepie spożywczym na Legnickiej. Jako ekspedientka.

— Wspomniała pani, że się uczy. Gdzie?

— Zaocznie w liceum ekonomicznym.

— Znają państwo angielski?

Oboje popatrzyli na komisarza, jakby podejrzewali go o brak piątej klepki. Co to było? Rozmowa kwalifikacyjna?

— Nie — odpowiedziała w końcu dziewczyna. — Ja w szkole mam niemiecki, a Zbyszek nie zna.

— Dobrze, proszę ze mną na górę.

Zgodnie z przewidywaniami wnuczka orzekła, że z mieszkania raczej nic nie zginęło. Jediną nietypową cenniejszą rzeczą była imponująca kolekcja broni, a ta wydawała się nienaruszona, pieniądze, jeśli jakieś zostawały mu po zakupach eksponatów, dziadek trzymał w banku. Wiedziała, bo kiedy czasami prosiła go o parę złotych pożyczki, to zawsze szedł z nią do bankomatu.

Odpytanie sąsiadów nic nie przyniosło. W przeciwi-

stwie do kamienicy Majewskiego tę zamieszkiwali głównie ludzie w średnim wieku, którzy o czternastej byli w pracy, a jeśli nawet z jakiegoś powodu zostali w domu, to interesowali się własnym życiem, a nie cudzym. Sąsiadki a la pani Sel-ling Małysiak nie miał.

Kiedy wszystkie czynności na miejscu zostały zakończone, Przygodny i Gajda, po krótkiej rozmowie z Kuriatą, któ-

ry domagał się materiału na artykuł, wsiedli do opla.

— Dokąd teraz? — zapytał aspirant.

— Najpierw do piekarni na Zajazdowej, sprawdzimy alibi narzeczonego wnuczki, a potem przejedziemy się na Kozanów do jej rodziców.

— Podejrzewa go pan?

— Pomyśl, potężne chłopisko, nawet nie musi się mocno zamachnąć, żeby z arbuza została miazga, a dziadek stał na przeszkodzie, żeby mogli wspólnie zamieszkać.

— Jak to stał na przeszkodzie?

— Zapisał wnuczce mieszkanie w spadku, ale zapomniał

umrzeć.

— Morderstwo dla zdobycia mieszkania? W dzisiejszych czasach? — Gajda miał wątpliwości. — Za komuny to tak, ale dzisiaj wystarczy wziąć kredyt albo skoczyć na Wyspy, żeby zarobić na mieszkanie.

— Kredyt trzeba mieć z czego spłacić. On jest piekarzem, ona ekspedientką, jak myślisz, ile zarabiają? Do tego ona uczy się zaocznie, więc musi jeszcze sobie opłacać szkołę. Słyszałeś, że pożyczła pieniądze od dziadka, czyli bywała pod kreską i nie narzeczony ją wtedy ratował. A z Wysp wielu wróciło nie tylko nic nie zarobiwszy, ale jeszcze na minusie, bo ich okan-towano. Ta dwójka by sobie nie poradziła ze znalezieniem pracy za granicą, pytałem, angielskiego ni w zęb.

— I zamordowali Małysiaka?

— Może nie we dwójkę, dziewczyna była naprawdę wstrzą-

śnięta. Ajej chłopak niekoniecznie to zaplanował. Wyobraź sobie sytuację: mają obiecane mieszkanie, ale dziadek cieszy się dobrym zdrowiem i nie zamierza umierać. I blokuje im życiowe plany, pobrać się nie mogą, muszą wysłuchiwać zrzędzenia starych, na każde pójście do łóżka kombinować wolną chatę. Wy-myślają na przykład, żeby dziadek zamienił mieszkanie na dwa mniejsze... Ile tam było pokoi, trzy? No właśnie, czyli na kawa-lerkę i dwupokojowe. Chłopak udaje się z tą propozycją do Ma-

łysiaka, może uznają, że nie da się tak łatwo zbyć jak dziewczyna, dziadek staje okoniem... Jeszcze nie widziałem starego człowieka, który dobrowolnie wyniósłby się ze swoich śmieci.

Nowakowski w chwili desperacji, że ich genialny plan spalił na panewce, łapie za maczugę, postanawiając definitywnie rozwiązać problem. Pasuje do przebiegu zdarzenia, Małysiak nie miał powodu, by się go obawiać, więc spokojnie odprowadzał

chłopaka do drzwi, odwróciwszy się do niego plecami. Wcale go też nie wyrzucił, bo jak kogoś wyrzucasz, to pokazujesz mu drzwi, a nie prowadzisz do nich. Złożyli mu propozycję, o którą nie miał powodu się gniewać, po prostu odmówił.

— Brzmi logicznie — przyznał Gajda, parkując przed piekarnią. — Zaraz się dowiemy, czy ma alibi.

W środku klienci tworzyli długi ogonek, ale dwie ekspedientki uwijały się jak w ukropie i ogonek praktycznie był w cią-

głym ruchu.

— I to jest właśnie wyższość kapitalizmu nad socjalizmem

— stwierdził sentencjonalnie Przygodny. — Tempo przesuwania się tej kolejki. Za socjalizmu stałbyś w takiej kolejce trzy godziny. Dwie, czekając na towar, a godzinę na obsługę, bo paniom za ladą nigdzie się nie śpieszyło.

Gajda nic nie powiedział. Jego rodzice stracili na przemianach, oboje wylądowali na kuroniówce i Gajda siłą rzeczy, od-kaąd dostrzegł związek między polityką a poziomem życia, był

zdania, że w Polsce reformy wprowadzono zbyt pośpiesznie i zbyt dużym kosztem. Ostatnim akcentem takiej postawy by-

ło głosowanie przeciwko wejściu do Unii, uważał, że Polska wię-

cej włoży do unijnego budżetu, niż z niego wyjmie, i że drogie unijne towary wypchną z rynku tańsze rodzime.

Podeszli do lady.

— Przepraszam — komisarz musiał przerwać jednej z ekspedientek trans pakowania i kasowania. — Jesteśmy z policji, chcielibyśmy porozmawiać z właścicielem lub kierownikiem.

— Chwileczkę. — Ekspedientka złapała chleb, o którego pokrojenie poprosił klient, i znikła na zapleczu. Kilkanaście sekund później pojawiła się ponownie, a za nią wyszedł wąs-ty mężczyzna w białym fartuchu.

— Co ten nicpoń znowu zmalował? — odezwał się tubal-ny głos.

— Nicpoń?

— Nowakowski. O niego chodzi, nie? Dwa razy dałem mu szansę, ale powiedziałem, że jak dzielnicowy przyjdzie po raz trzeci, to go wyleję.

— Moglibyśmy porozmawiać w bardziej ustronnym miejscu? — komisarzowi nie odpowiadało, że rozmowie przysłu-chuje się kilkanaście osób.

— Oczywiście, tylko tędy nie da się przejść, muszą panowie wyjść ze sklepu... — Piekarz poinstruował policjantów, jak dostać się na zaplecze.

Pomylili się o jedne drzwi i weszli do pomieszczenia, w któ-

rym wypiekano pieczywo. Przygodnego zaskoczył dominujący tam metal i chromowane powierzchnie — nie sądził

wprawdzie, że w takich osiedlowych piekarniach nadal piecze się w drewnianych piecach, ale nowoczesności też się nie spodziewał.

— Proszę tutaj — wskazał drogę właściciel, widząc, że go-

ście zabłądzili. — To jak? — zapytał, kiedy usiedli. — Miałem rację? Chodzi o Nowakowskiego?

— O Nowakowskiego — potwierdził komisarz. — Dlaczego dzielnicowy się nim interesuje?

— Z powodu rozrób. Chłopak jest kibicem Śląska. Ale z tych, pan wie, co siedzą w młynie i patrzą, czy kibice gości, to ich przyjaciele czy wrogowie.

Czyli pseudokibic, jak ich określa prasa, albo kibol, jak określają siebie samych. Bardziej od wyniku meczu zainteresowani wynikiem bójki z kibolami przeciwnej drużyny. Czasami nie kończy się na pięściach i kastetach, w ruch idą też noże i dochodzi do tragedii .

— Rozumiem. Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy był dzisiaj w pracy.

— Był. Miał zmianę do... — Piekarz odwrócił się do zawieszanej na ścianie planszy, na której rozpisany był grafik dy-

żurów, i przesunął palcem — ...do dwunastej.

— Jest pan pewien, nie do czternastej? — dopytał Gajda.

— Może został dłużej albo się z kimś zamienił?

— Dłużej? — Wąsacz wydał wargi. — Proszę pana, prę-

dziej pingwiny zaczną latać, niż Nowakowski zostanie dłużej w pracy. Nie tylko nie został dłużej, ale zmył się przed faj-rantem, szukałem go kwadrans przed dwunastą, bo miałem do niego sprawę i łobuza już nie było. Ale odpiszę mu co do minuty. Pensję chciałby w całości, ale zapracować na nią to niekoniecznie. Najlepiej, jakby mu z nieba spadło.



Policjanci spojrzeli na siebie. O mieszkaniu otrzymanym w spadku można powiedzieć, że spadło z nieba.

— Ma pan jego adres? — zapytał komisarz.

— Dzielnicowy pewnie zna. Zaraz, powinien być na umowie o pracę.

Piekarz sięgnął po segregator stojący na mocno zniszczonym regale. Przerzucił umowy w foliowych koszulkach.

— Jest. Nowakowski. Chyba się ostatnio przeprowadził, bo stary adres mam przekreślony. Nowy: Płońskiego piętna-

ście, to tu, w Leśnicy, numeru mieszkania nie podał, ale to nie jest dom jednorodzinny, na Płońskiego takich nie ma. Mo-gę do niego zadzwonić i zapytać.

— Nie trzeba, poradzimy sobie. — Policjanci obawiali się, że telefon od pracodawcy, którego fałszywie podał jako swoje alibi, mógłby spłoszyć Nowakowskiego.

— Złożymy mu wizytę? — zapytał Gajda, kiedy wyszli przed piekarnię.

— Po to pytałem o adres. Na przeszukanie mamy za ma-

ło, więc trzeba będzie się rozejrzeć dyskretnie.

— Jasne. Może się przejdziemy? Tu wszędzie wydaje się niedaleko.

Sprawdzili na planie. Było niedaleko, więc zdecydowali się na mały spacer. Przygodny przypomniał sobie swoje postanowienie, że będzie jeździł na rowerze, aby się dotlenić, którego dotąd nie wprowadził w życie. Od jutra, napomniął się, koniecznie.

Minęli skwer, gdzie drzewa przeplatały się z latarniami.

Tego brakowało komisarzowi w nadodrzańskim parku, w któ-

rym po zmierzchu panowały egipskie ciemności. Nowakowski mieszkał zaraz obok posterunku Straży Miejskiej, w nowo wybudowanej plombie. Na jednym z balkonów wciąż wisiała reklama: „Ostatnie wolne mieszkania!!! Zapraszamy do oglą-

dania i zakupu”.

Nowakowskiego zastali w domu. Samego.

— Pani Ewa pojechała do siebie?

— Tak, chciała w takiej chwili być ze starymi.

Usiedli w dużym pokoju, którego umeblowanie świadczy-

ło o tym, że kredyt starczył tylko na zakup mieszkania. Składającego się z trzech pokoi, z których jeden należał pewnie do Nowakowskiego, ale młodemu mężczyźnie i tak musiało być ciasno ze „starymi”. Pomijając już niedogodności, jakie niesie wspólne gospodarstwo domowe z rodzicami, doskwierało mu pewnie, że w wieku dwudziestu paru lat nie przeprowadził

się do nowego mieszkania „na swoje”.

— Nie powiedział pan nam prawdy — komisarz od razu przeszedł do rzeczy. — Pracował pan tylko do dwunastej, a nie do czternastej.

— Według grafiku, ale zostałem za kolegę. Często się za-mieniamy.

— Szkopuł w tym, że właściciel szukał pana przed dwunastą i już pan wyszedł.

— Może mnie po prostu nie znalazł.

— A gdzie się pan schował? Do pieca? Bo wasza piekarnia nie wygląda na kombinat, w którym można nie zauważyć pracownika.

— Wyszłem do toalety.

— A propos toalety — odezwał się milczący dotąd Gajda.

— Mogę skorzystać?

Młodzieniec skinął przyzwalająco głową i aspirant wyszedł z pokoju.

— Nie wierzę panu — oświadczył wprost Przygodny. —

Proszę nam powiedzieć, gdzie pan naprawdę był.

Nowakowski zacisnął usta jak małe dziecko, które odmawia przyznania się, że zjadło czekoladę, choć całe jest nią umorusane.

— To ja panu powiem. Pojechał pan do dziadka Ewy, chciał na nim wymóc, żeby zgodził się na zamianę mieszkania na dwa mniejsze, Małysiak odmówił, poniosły pana nerwy, zła-pał pan za maczugę i zanim ochłonał, Małysiak leżał na podłodze z rozbitą głową.

Na twarzy chłopaka rysowało się wyraźne zaskoczenie.

— Skąd... pan wie? — wydukał. — Ewa panu powiedziała?

— Czyli przyznaje się pan do zabójstwa?

— Nie, wcale go nie zabiłem! Skąd pan wie, że chcieliśmy, żeby ten stary pierdziel zamienił

mieszkanie na dwa mniejsze?

— Wydedukowałem, kiedy dowiedziałem się, że mieliście odziedziczyć po nim lokal.

— Panie komisarzy!

Przygodny odwrócił się. W drzwiach stał Gajda, demonstrując trzymany w ręku biało-szary sweter, który pokrywały zaschnięte, ciemnoczerwone plamy. Komisarz nie potrzebował laboratorium, żeby stwierdzić, że nie pochodzą od keczu-pu. Nowakowski też nie. Spojrzał nerwowo na okno, ale trzecie piętro nie pozwalało na ucieczkę tą drogą, zerwał się, pchnął komisarza i rzucił się do drzwi, licząc, że uda mu się staranować aspiranta. Biorąc pod uwagę, że był od niego dużo wyższy i potężniejszy, miał na to realne szanse, ale Gajda zamiast zapasów wybrał boks. Wyprowadził błyskawiczny cios, Nowakowski nadział się na wysuniętą pięść i runął jak długi.

Aspirant pochylił się nad leżącym i nałożył mu kajdanki.

— Szklana szczeka — zauważył. — Niektórzy tak mają.

Gość jak dąb, a wystarczy pogłaskać po szczecę i nokaut.

Postawił otumanionego młodzieńca na nogi.

— Takie sprawy lubię. Zakrwawiony sweterek w koszu na pranie. Przy tym IQ z pewnością zostawił nam też odciski palców na maczudze.

Kuriata zaobserwował, jak z plomby przy Płońskiego policjanci wyprowadzają skutego chłopaka. Wcześniej dowiedział

się w piekarni, że ten podał nieprawdziwe alibi. Z jednej strony się ucieszył, dziewczucha będzie potrzebowała kogoś, kto opatrzy tę głęboką ranę, jaką niechybnie wyrwie wiadomość, że zabójstwa dokonał jej Zbysio, z drugiej strony doznał rozczarowania. Miał nadzieję, że ponownie uderzył morderca z Wrońskiego. Seryjny zabójca na tyle oryginalny, by sięgać po egzotyczną broń, to byłby temat jego życia. Chińska maczuga uban. Perełka. Może nie dorównywała oskalpowaniu, ale na pewno przewyższała strzałę z łuku. Nawet z kurarą.

Kuriata już zadawał sobie pytanie, co będzie za trzecim razem, a tymczasem okazywało się, że pytanie jest bezprzedmiotowe. Nie seryjny zabójca, tylko członek rodziny. No, może przyszedł członek rodziny, a w tej chwili niedoszły, ale niezależnie od jego formalnego statusu, morderstwo Małysiaka zaliczało się do typowych, przeciętnych, banalnych. Przekładając na dziennikarski język: nudnych. No, Kuriata nie uchodziłby za mistrza, gdyby ze średniego materiału nie potrafił napisać ciekawego artykułu, pewne przesłanki ku temu zresztą były: właśnie ta maczuga, choć lepiej, gdyby pochodziła z przemytu, a nie ze zbiorów zamordowanego, dokumentnie rozwalona czaszka i sprytnie wykorzystanie parasola. Skoro Marek miał

sprawcę, może pozwoli napisać mu o wszystkim. Ale naczelny nie był w ciemną bitą i jeśli nie będzie całkowitej posuchy, nie da tego na czołówkę. Zwłaszcza że to drugie morderstwo w odstępie tygodnia. Jedna katastrofa lotnicza przyciąga uwagę czytelników, następna ledwie po tygodniu — już

nie. Chyba że wydarzyła się na tym samym lotnisku, bo wtedy czytelnika frapuje kwestia, dlaczego na tym właśnie lotnisku ciągle spadają samoloty. Gdyby morderstwa się ze sobą łączyły, zabójstwo Małysiaka byłoby materiałem na pierwszą stronę, a tak mógł liczyć co najwyżej na drugą. Czy właściwie na trzecią, bo drugą zajmowały śmieci w postaci komentarzy. Kuriata pogardzał komentatorami, uważał ich za gorszą odmianę dziennikarzy, ba, w ogóle nie uznawał za dziennikarzy. Dziennikarz był od zbierania i przedstawiania faktów, a nie od wyrażania własnych opinii. Opinię potrafi sformułować każdy o inteligencji nieco powyżej średniej i posługujący się poprawną polszczyzną. Kuriata nie rozumiał, dlaczego sądy ludzi, którzy różnili się od reszty tylko tym, że załapali się do pracy w gazecie, uchodziły za bardziej miarodajne. Jego zdanie potwierdziła internetowa rewolucja: na forach i grupach dyskusyjnych publikowano — owszem, musiał przyznać, wśród masy bredni — znacznie ciekawsze i trafniejsze komentarze niż w „Kurierze”. Internet bezlitośnie obnażył, że potęgą gazetowych komentatorów wynika w dużej mierze z przekonania ludzkości, iż słowo drukowane jest święte. Piramidalna bzdura umieszczona pod prasą drukarską zawsze nabiera pozorów sensownej wypowiedzi.

Kuriata uruchomił silnik swojego porsche. Nie pojechał

za policjantami, tylko skierował się na Kozanów. Pocieszając dziewczynę, wydobył od niej adres rodziców. Miał to już we krwi. Obudzony w środku nocy przez nieznaną osobę, ustalił-

by najpierw dane budzącego, żeby w trakcie zbierania materiałów móc się z nim skontaktować. Zabójstwo w rodzinie, trzeba porozmawiać z rodziną. Może dziewczyna zgodzi się na zamieszczenie swojego zdjęcia. Z podpisem: „Narzeczony zamordował jej dziadka”. Tak, to był dobry pomysł, ładna buzia zawsze przyciąga uwagę czytelników. Zresztą musi sam przypilnować zdjęcia, bo jak tego nie zrobi, dział fotograficzny wytnie mu taki numer jak przy „Indiańskim zabójcy”. Posłali jakiegoś żółtodzioba i artykuł ilustrowała fasada kamienicy przy Wrońskiego. W najgorszym stylu telewizyjnych wiadomo-

ści — fuszerzy nie potrafią znaleźć ciekawych ujęć i kamera jeź-

dzi po budynku, a szczytem inwencji jest pokazanie tabliczki informującej, jaki urząd się tam mieści. Zepsuli mu jedną czwartą radości z opublikowania tak rewelacyjnego materiału.

Wyszukał w książce adresowej fotografa i wybrał połączenie.

— O nie, zapomnij — Juliusz Brodziak, nestor działu fotograficznego „Kuriera”, nie miał wątpliwości, z czym Kuriata do niego dzwoni. — Jestem zabukowany na maksa, weź

jakiegoś młodego.

— To odbukuj, mam temat na pierwszą stronę, potrzebuję dobrego zdjęcia, a młodzi to się nadają do fotografowania tylko jako okazy.

Brodziak puścił mimo uszu tę pochwałę doświadczenia, nie bez racji zakładając, że nie jest to bezinteresowny komplement.

— Każdy mi mówi, że ma temat na pierwszą stronę, jakoś tak się dziwnie składa, że nikt nie pisze na drugą, trzecią czy czwartą, ja wypruwam sobie flaki, a potem okazuje się, że artykułu wcale nie ma na pierwszej stronie, na dziesiątej zresztą też nie, w ogóle nie ma! — głośniki jeszcze podkreśliły rozeźlenie Brodziaka.

— Julek, no co ty, wczoraj się urodziłeś? Zdarza się, że artykuł wypadnie, ale ja mówię o morderstwie. Nie wypadnie i nie zjedzie do środka.

— Tere fere kuku, ten sam morderca, co w zeszłą środę?

Bo jak nie, to Misiak w życiu nie da ci tego na czołówkę.

- Ten sam, seryjny zabójca. — Kuriata uznał, że gładko wybrnie z tego kłamstwa, twierdząc, że w chwili rozmowy z fotografem był całkowicie przekonany, iż za zabójstwem Majewskiego i Małysiaka stoi jeden sprawca.

— Ciekawe, co wy wszyscy zrobicie, jak ja umrę... — fotograf dał się złamać. — Czego potrzebujesz?

— Zdjęcia wnuczki ofiary. Ewa Małysiak. I chińskiej maczugi. Uban się nazywa. Posłużyła mordercy do rozwalenia dziadkowi czaszki.

— Aha, a fotki Muru Chińskiego przypadkiem nie chcesz?

Jak zaciukano go tą maczugą, to powędrowała do policyjnego laboratorium. Pewnie się zdziwisz, ale nie mam tam karty stałego wstępu.

— Pogadam z Przygodnym — Kuriata zignorował sarkazm. — Coś takiego czytelnicy powinni zobaczyć, może da się przekonać, skoro...

„... ma już mordercę”, chciał dodać, ale w porę ugryzł się w język. Brodziak z niejednego pieca chleb jadał, musiał wiedzieć, że seryjnych zabójców najczęściej nie łapie się na gorą-

cym uczynku.

— Skoro co?

— Zgubiłem myśl. Możesz podjechać teraz na Kozanów?

Jadę właśnie do rodziny zabitego, dziewczucha powinna tam być.

— Ty, Kuriata, umyj sobie uszy, mówiłem, że jestem za-jęty. Podskoczę później.

— Dobra, teraz prowadzę samochód, jak się zatrzymam, puszczę ci SMS-a z jej telefonem, to się z dziewczyną umówisz.

Niewykluczone, że zgodzi się przyjechać do redakcji, ludzie są gotowi na znacznie większe

poświęcenia, byleby zobaczyć się w gazecie. Nie musiałbyś się wtedy tarabanić na Kozanów.

— Dobrze by było, bo naprawdę mam tyle roboty, że nie wiem, za co pierwsze się złapać. Cześć — fotograf gwałtownie zakończył rozmowę, jakby pod wpływem własnej uwagi zreflektował się, że od prowadzenia pogawędek czasu mu nie przybędzie.

Kuriata spojrział nie do końca przytomnym wzrokiem na drogę, starając się zorientować, gdzie jest. Mimo zestawu głośnomówiącego rozmowa przez komórkę zawsze odrywała go od prowadzenia samochodu, kierował właściwie machinalnie.

Gdzieś przeczytał, że nie jest wcale wyjątkiem, z niewiadomych względów telefonowanie absorbowало znacznie bardziej niż dyskusja z pasażerem. Autorzy badań postulowali wprowadzenie z tego powodu całkowitego zakazu używania komórki w czasie jazdy. „Niech najpierw wyegzekwują ten obowiązujący” —

mruknął na to Kuriata, który jeszcze nie miał okazji zobaczyć, by kierowca prowadzący jedną ręką, a w drugiej trzymający telefon został zatrzymany przez policję i ukarany mandatem.

Sam też nie został złapany, mimo że w poprzednim samochodzie stosował identyczną technikę; charakter jego pracy wymagał ciągłego telefonowania, a ponieważ dziennikarz zwykle jest w niedoczasie, nie mógł sobie pozwolić, by na rozmowy się zatrzymywać. Odkąd jednak stał się szczęśliwym posiadaczem zestawu głośnomówiącego, uważał, że drogówka powinna bardziej przykładac się do wykonywania swoich obowiązków.

Wjechał między dziesięciopiętrowe bloki Kozanowa i dłuż-

szą chwilę krążył, szukając wolnego miejsca. O tej porze większość mieszkańców zdążyła wrócić z pracy i osiedlowe uliczki były zastawione, bo Gierek pomyślał wprawdzie o samochodzie dla każdego robotnika, ale o garażu już nie. Przy trzecim na-wrocie Kuriata trafił jednak na wyjeżdżającego fiata i to na wprost właściwego numeru. Pod bramą wysiadywała grupa znudzonych nastolatków. Dziennikarz popatrzył na nich z niepokojem, bojąc się o samochód. Nie tego, że mu ukradną

— gówniarze byli za słabi w uszach, żeby pokonać zabezpieczenia, zresztą po kradzieży wbudowany GPS od razu zlokalizowałby auto; bał się, że z czystej zawiści porysują mu lakier albo urwą lusterko. Młodzieńcy na widok sportowego wozu leniwie się podnieśli, co jeszcze wzmogło niepokój Kuriaty.

— Szefie, taka bryka, to, kurwa, ile? — zapytał chudy piętnastolatek o odstających uszach, z papierosem albo join-tem w kąciiku ust.

Nigdy nie będzie cię stać, pomyślał złośliwie dziennikarz, ale w porę powstrzymał się od oznajmienia tego małowiatowi na głos. Podanie kwoty też nie było roztroptym rozwiązaniem, bo wtedy smarkacze sami by sobie policzyli, że jak dobrze pójdzie, zarobią najwyżej na kółka od porsche. Co oznaczało zagrożenie dla lakieru i lusterek.

— Tyle co trzy dobre samochody.

— Ja pierdolę — wyraził swój szczerzy podziw chłopaczek.

— Ile tym, szefie, wyciągnąłeś?

— Dwieście pięćdziesiąt, na niemieckiej autostradzie. Do setki dochodzi w sześć sekund.

— W pizdę jebany, nieźle.

„Nieźle” było w tym przypadku wyrazem najwyższego zachwytu i Kuriata się uspokoił. Łebki nie wykazywały typowej polskiej agresji, niezależnej już od klasy społecznej, wobec ko-goś, kto ma więcej, zazdrościły mu samochodu w zdrowy amerykański sposób: „kiedyś kupię sobie taki sam albo i lepszy”.

Pozostawiając ich w tym błędnym przekonaniu, ruszył w stronę bramy, nie musiał dzwonić, bo domofon został zdewastowany, może nawet przez tę bandę, która podziwiała jego porsche.

W windzie wysłał SMS-a do fotografa.

Drzwi otworzył mu ojciec dziewczyny.

— Dzień dobry, nazywam się Jerzy Kuriata, jestem dziennikarzem „Kuriera”, ale — dodał pośpiesznie, widząc niechętną minę gospodarza — nie przychodzę do państwa w tej roli, mam najnowsze informacje w sprawie zabójstwa i uznałem, że powinni państwo je poznać, a policja raczej nie będzie się śpieszyła z ich przekazaniem.

Wyraz nieufności zniknął i gospodarz wyciągnął rękę.

— Grzegorz Małysiak. Proszę — wpuścił dziennikarza do środka. — Ewa, Jagoda! — zawołał córkę i żonę. — Pan ma dla nas jakieś informacje o śmierci dziadka.

Obie kobiety weszły do pokoju. Po matce Ewy widać by-

ło, że też płakała.

— Napije się pan czegoś? — zapytała Kuriatę, mimo tragedii nie zapominając o roli pani domu.

— Herbaty bym nie odmówił.

Kuriacie wcale nie chciało się pić, poprosił jedynie ze względów taktycznych. Skoro nie przyznał się do prawdziwego celu wizyty, musiałby wyjść zaraz po podzieleniu się wiadomością, z którą rzekomo przyszedł, a tak czas na wypicie herbaty dawał mu okazję do pociągnięcia rodziny za język.

Gospodyni wyszła do kuchni, a Małysiak przysiadł na brzegu fotela i zapalił papierosa. Nie pierwszego tego dnia, o czym świadczyła popielniczka pełna niedopałków.

— Ma pan rację, że policja nie chce udzielać żadnych informacji. Wydzwaniam do nich, odkąd tylko Ewa powiadomi-

ła, co się stało, i nic się nie mogę dowiedzieć. A niecodziennie mordują człowiekowi ojca i nie mam pojęcia, co się robi w takiej sytuacji. Chciałem pojechać do Leśnicy, ale Ewa powiedziała, że policja zabrała zwłoki, a mieszkanie zaplombowała.

I teraz nie wiem, czy trzeba jakiś pogrzeb organizować, czy czekać... nie wiem. Nekrolog chyba musimy dać. Chociaż, czy w nekrologu nie podaje się daty pogrzebu? Nie wiem, pierwszy raz mi ktoś umarł i od razu w taki straszny sposób.

Schował twarz w dłoniach.

— Z pogrzebem będą musieli państwo poczekać, aż wydadzą wam ciało. Ale o tym decyduje nie policja, tylko prokurator, więc do niego należy się zwracać. Prokurator, który prowadzi tę sprawę, nazywa się Kania. Jarosław Kania.

Gospodarz spojrział na dziennikarza z głęboką wdzięcznością.

— Bardzo panu dziękuję. Jest punkt zaczepienia. Policja powinna dawać jakieś broszurki rodzinie, żeby było wiadomo co i jak. Na co my płacimy podatki?

Dobrze, że Przygodny tego nie słyszy, pomyślał Kuriata.

Komisarza irytowało, że ci sami ludzie, którzy przy każdej okazji wypominali mu, że dostaje pensję z ich podatków —

choć nigdzie na świecie policja nie jest prywatną instytucją —

nie widzieli nic zdrożnego w tym, że w Polsce na koszt podatników żyje parę grup zawodowych, które w innych krajach same na siebie zarabiają.

Gospodyni wniosła herbatę. Kuriata podziękował, posłodził dwie łyżeczki, pokręcił odmownie głową na podaną cytrynę — nie po to przecież słodził, żeby wciskać do herbaty kwaśny sok — i przeszedł do rzeczy.

— Muszę niestety państwa powiadomić, że policja zatrzymała pani narzeczonego — oznajmił, patrząc na Ewę, ciekaw jej reakcji. — Skłamał co do swojego alibi, ale muszą mieć coś jeszcze, sam brak alibi czy nawet kłamstwo w tej kwestii nie może stanowić podstawy do zatrzymania.

Ewa drgnęła, na sekundę rysy jej twarzy nabrały wyrazu nie rozpacz, tylko czujności. Wiedziała więcej, niż powiedziała. Tego Kuriata był pewien.

— Może chcą się wykazać — odezwała się Jagoda Małysiak wyraźnie próbując pocieszyć córkę. — Dla poprawienia statystyki.

— A tam, myślisz, że policja jest głupia — nie zgodził się z nią jej mąż. — Ze Zbysia jest niezłe



ziółko i ja to od począt-ku mówiłem. Choć myślałem, że zamkną go za zabicie kibica Lecha, a nie mojego ojca. No pięknie, sprowadziłaś nam do domu mordercę — zwrócił się do córki.

— On go wcale nie zabił — zaprzeczyła ledwie słyszalnie Ewa.

— Jak to nie? Słyszysz, że policja go zgarnęła!

— Ale to nie on, on już znalazł dziadka martwego!

Kuriata nadstawił uszu.

— Czyli nie pani go znalazła?

— Nie... — przyznała z ociąganiem, niezadowolona, że się wygadała. — Zbyszek. Miał porozmawiać z dziadkiem o za-mianie mieszkania. Na dwa mniejsze, żeby jedno nam dał. Ja wcześniej próbowałam, ale dziadek mnie zbywał, pomyśleli-

śmy, że inaczej będzie, jak Zbyszek z nim pomówi, mężczyzna z mężczyzną. No i poszedł do niego, ale dziadek już nie żył...

Zbyszek zadzwonił do mnie, żebym przyjechała, że niby to ja miałam znaleźć ciało i wezwać policję, bo jego będą od razu podejrzewać, dlatego że miał kłopoty z powodu bójek.

— Bójek? Dobre sobie — wtrącił się ojciec. — Bójka to jest jak się dwóch łobuziaków okłada pięściami na podwórku, a nie regularna bitwa na noże i kastety.

— Oj, przestań tato!

— A jak pani narzeczony dostał się do mieszkania? — zapytał Kuriata. — Z pani słów wynika, że dziadek nie mógł już mu otworzyć.

— Drzwi były uchylone.

— To po co wzięła pani klucze? — indagował dalej dziennikarz.

— Zbyszek niechcący je zatrzasnął, kiedy wychodził.

— Mimo wszystko, wystarczyło przecież zadzwonić na policję spod bramy, bez wchodzenia do mieszkania.

— Zbyszek powiedział, że będę bardziej wiarygodna, jak zobaczę dziadka, choć uprzedził mnie, że widok jest straszny.

I że policja może mnie zapytać o jakieś szczegóły, które zdradzą, że wcale w środku nie byłam.

— Proszę, proszę, jak to niewiniątko doskonale wie, co robić, żeby wyprowadzić w pole policję — zauważył z przeką-

sem Małysiak.

Kuriata zastanowił się, popijając herbatę. Dziewczyna zdawała się mówić prawdę. Co więcej, nie miałby nic przeciwko temu, żeby wydarzenia rozegrały się tak, jak właśnie je przedstawiła. Oznaczało to wprawdzie, że nie będzie szukała pocieszenia w jego ramionach, ale kobiet we Wrocławiu nie brakowało, natomiast seryjni mordercy należeli w tym mieś-

cie do rzadkich okazów. Z tego co kojarzył, był tylko jeden, jeszcze w latach pięćdziesiątych — Władysław Baczyński, któ-

ry dokonał czterech zabójstw, przy czym nie wszystkie szły na konto Wrocławia, bo pierwszy raz Baczyński zabił w Bytomiu. O właśnie, koledzy dziennikarze ze Śląska byli pod tym względem wyraźnie uprzywilejowani. Czy to pył węglowy rzucał się ludziom na mózg, czy wyjaśnienia należało szukać w historiozofii, faktem było, że Marchwicki, Zub czy Knycha-

ła działali na Śląsku, a we Wrocławiu od pół wieku panowała całkowita posucha na seryjnych zabójców.

I niestety wyglądało na to, że nadal się utrzyma, bo jeśli nawet dziewczyna mówiła prawdę, mogła zostać okłamana przez swojego chłopaka. A raczej na pewno została przez niego okłamana. Przypadki, owszem, chodzą po ludziach, ale ilu zabijaków pojawia się na miejscu zbrodni tuż po mordercy i na dodatek zyskuje na śmierci ofiary? Nie, mimo najszczerzych chęci nie mógł zignorować faktów, nie będzie miał swojego wielokrotnego zabójcy. Jeszcze nie teraz. Diabli wiedzą, czy w ogóle się doczeka. Robił w dziennikarstwie już dwie dekady, a najlepsze, co mu się dotąd trafiło, to potrójne zabójstwo. Ilo-

ściowo. Bo jakościowo zdecydowanie skalp i kurara sprzed tygodnia. Wiele by dał, żeby ten sam człowiek posłużył się ubanem. Ale jak się rzekło, nie mógł zamykać oczu na fakty: to członkowie rodzin zabijają tym, co jest pod ręką, a nie seryjni mordercy, i w tym przypadku nietypowe narzędzie zbrodni zawdzięczało tylko nietypowemu hobby Małysiaka. Gdyby zbierał kamienie, dostałby w głowę kawałkiem skały.

— Nie pomyślała pani, że narzeczony panią okłamał?

— Dlaczego miałby mnie okłamywać?

— Żeby pani nie stracić. Wyszłaby pani za mordercę swojego dziadka?

— On tego nie zrobił! Wiem to! — dziewczyna gwałtownie wstała z kanapy. — Jak pan śmie go oskarżać?!

Kuriata poniewczasie spostrzegł, że wyrwał się z pytaniem jak filip z konopi i definitywnie pogrzebał swoje szanse na udany podryw. Co potwierdziło trzaśnięcie drzwiami od pokoju dziewczyny. Ani seryjnego zabójcy, ani dupy, życie czasami jest niesprawiedliwe, uzalił się nad sobą w duchu. Na dodatek w tej sytuacji zagrożone było też zdjęcie. Wcześniej chciał uprzedzić dziewczynę, że odezwie się do niej fotograf, ale teraz była na niego wściekła i spotkałby się z

odmową. Julek musiał radzić sobie sam. Co nie wykluczało, że sobie poradzi. Większość paparaz-zich mogłaby brać u niego korepetycje. Zdobyłby nawet zdjęcie dziewczyny z odsłoniętym biustem, gdyby redakcja złożyła takie zamówienie. Ale „Kurier” nie drukował rozbieranych fotek, co Kuriata uważał za duży minus. Kto powiedział, że panienki ubrane tylko w szpilki mają być domeną „Playboya” i brukow-ców? Goła dupa zawsze podnosiła sprzedaż, o czym wiedzieli wszyscy twórcy reklam. Fakt, czasem feministki urządzały dziki raban, plotąc coś o godności kobiety, seksizmie i podobnych pierdołach. Tego, że ładne dziewczyny lubią zaprezentować swoje wdzięki i robią to dobrowolnie, feministki nie dostrzegały.

Dowodziły, że owe ślicznotki zniewolone są przez system wyzysku oparty na męskich chuciach. Tym samym feministki twierdziły, że wiele kobiet jest na tyle głupich, że nie potrafią same dokonać dobrego wyboru i należałoby zadecydować za nie, zakazując tego i owego. Kuriata dopytywał się u swoich feministycznie nastawionych koleżanek z „Kuriera”, jak pogodzić takie postulaty z wolnością jednostki i prawem każdego do decydowania o sobie samym i dlaczego akurat feministki mają wiedzieć, co jest dobre dla pańienek, które chcą pozować nago, grać w filmach pornograficznych i pracować w agencjach towarzyskich, ale dowiedział się tylko, że jest męskim szowinistą.

— Proszę wybaczyć jej zachowanie — powiedziała matka Ewy. — Jest roztrzęsiona.

— Absolutnie się nie gniewam — zapewnił Kuriata. —

Doskonale rozumiem, że nie chce przyjąć do wiadomości, że jej chłopak okazał się mordercą.

— Ale dlaczego go zabił? — odezwał się Małysiak. — Bo ojciec nie chciał zamienić mieszkania na dwa mniejsze?

— Na pewno nie chciał — stwierdziła jego żona. — Przecież wiesz, jak był przywiązany do tego mieszkania, ciągle mó-

wił, że spędził w nim najlepsze lata życia z Marysią. Ze swoją żoną — wyjaśniła, widząc pytający wzrok dziennikarza. —

Maria zmarła osiem, nie, dziewięć lat temu.

— Na co zmarła?

— Rak.

Na chwilę zapanowało milczenie, przerywane tylko sior-baniem herbaty.

— Zresztą on by się nie pomieścił w kawalerce z tymi swoimi dzidami i harpunami — dodała Małysiakowa. — Zajmowały mu cały pokój.

— No i pewnie chłopak usłyszał „nie”, a tacy jak on nie potrafią przyjąć odmowy. Wściekł się i zaatakował — podsumował Kuriata. — Dawno dziadek zapisał im mieszkanie?

— Nie im, tylko jej — sprostował Małysiak. — To Ewa miała po nim odziedziczyć. Skąd pan w

ogóle o tym wie?

— Słyszałem, jak policja wypytywała pana córkę.

— Sporządził testament po śmierci mojej matki. Czuł się wtedy bardzo źle, był przekonany, że też zaraz umrze, ciągle zresztą powtarzał, że nie chce żyć, że bez Marysi nie potrafi, że życie bez niej nie ma dla niego sensu. Naprawdę baliśmy się o niego. Ale jakoś się z tej żałoby wykaraskał. Choć może lepiej by było, żeby wtedy umarł z tęsknoty, niż miał zostać zamordowany.

Małysiak zagasił papierosa.

— Jak dorwę skurwysyna... — zacisnął pięści.

— Czym zajmował się pana ojciec, zanim przeszedł na emeryturę?

— Motorniczym był.

Kuriata liczył przynajmniej na kustosza w Arsenale, wzię-

wszy pod uwagę zainteresowanie Małysiaka bronią, ale i tu spotkało go rozczarowanie. Marnował tylko czas, choćby stanął na głowie, nie robi z gówna perfum. Nie każdy trup jest interesujący, ba, większość trupów jest kompletnie nieinteresująca, sama śmierć aż razi swoją banalnością, liczą się tylko okoliczności, a te w tym przypadku nie mogły zaciekawiać czytelnika. Miał materiał na miarę rzezi w Afryce, wywołują-

cy ziewanie i co najwyżej konstatację „czarnuchy znowu się wyrzynają” (cichą, głośnej zabrania poprawność polityczna), a potrzebował czegoś na miarę World Trade Center. Milion afrykańskich trupów to jest nic w porównaniu z trzema tysią-

cami amerykańskich.

Niestety, po rozebraniu Poltegoru we Wrocławiu nawet nie było budynku, o który Osama bin Laden mógłby rozbić samolot. Gdyby miał takie pomyłone pojęcie o roli Wrocławia na globalnej mapie świata jak włodarze miasta. Ciekawe, o jaką imprezę będą się starać po dwukrotnej kompromitacji z Expo. Igrzyska olimpijskie?

Dziennikarz dopił herbatę.

— Nie będę państwa więcej niepokoił. Moje kondolencje z powodu tak tragicznej śmierci ojca i teścia.

Podziękowali i odprowadzili go do drzwi.

Młodzieńcy spod bramy gdzieś zniknęli, ale samochód stał

nienaruszony. Kuriata z przyjemnością zagłębił się w skórzanym fotelu i ruszył z piskiem opon. Kiedy wyjechał z osiedla, na Pilczyckiej rozpędził się do stu trzydziestu na godzinę, tylko, bo na więcej nie

pozwalają warunki. Potrzebował dawki adrenaliny, gdy zbieranie materiału nie szło po jego myśli.

Zaraz musiał jednak zwolnić, bo drogę zablokowały mu inne samochody i wtedy wybrał numer Przygodnego.

— Cześć. Masz chwilę na rozmowę?

— Mam.

— Byłem u rodziców tej dziewczyny. Ona twierdzi, że Nowakowski znalazł jej dziadka martwego. Przestraszył się, że będziecie go podejrzewać ze względu na jego mało harcerską przeszłość, i poprosił ją, by odegrała małą komedię.

Dziennikarz zakładał, że komisarz zdążył już przesłuchać Nowakowskiego i o tym wszystkim wie, Nowakowski z pewnością sprzedał policji tę samą bajeczkę, co swojej narzeczonej. Dlatego Kuriata nie wchodził w szczegóły, sygnalizował

tylko Przygodnemu gotowość dzielenia się informacjami (licząc na rewanż) i udowadniał, że informację zdobył z innego źródła, a więc policja nie może narzucać mu ograniczeń w publikacji. Co najwyżej poprosić, by na jakiś czas wstrzymał się z pisaniem, ale w tej banalnej sprawie z pewnością nie było takiej potrzeby. Najczęściej podobna prośba padała przy porwanach — medialne zainteresowanie znacznie zmniejsza szansę na uratowanie ofiary, bo porywacze, widząc, że prasa wzięła ich na celownik, często wpadają w panikę i nie czekając na okup, zabijają porwanego.

— Wiem, Nowakowski zeznał nam to samo.

— Wierzysz mu?

— Nie, nie wierzę. Prokurator już pisze wniosek o aresztowanie na trzy miesiące, jutro będzie posiedzenie aresztowe.

Dziennikarz krótko rozważył, czy się na nią nie wybrać, ale zrezygnował. Miałoby to sens, gdyby rozprawę wyznaczone jeszcze dziś, bo artykuł musiał pójść w jutrzejszym wydaniu. Wiadomości były jak ryby, na trzeci dzień nieświeże.

— A jakie macie dowody?

— Na razie zakrwawiony sweter, wrzucił mamusi do prania. Analizy jeszcze nie ma, ale nawet on nie przeczy, że to krew ofiary. Mówi, że się pobrudził, kiedy sprawdzał, czy Ma-

łysiak jeszcze żyje. Też wziął go za kurę.

— Co? — nie zrozumiał dziennikarz.

— Nieważne. Liczymy też, że przy swojej przytomności umysłu zostawił odciski palców na maczudze. Jeśli nie, będziemy mieć za mało na skazanie, ale sweter i motyw wystarczą, żeby potrzymać go, aż zmięknie. Areszt skłania do zwierzeń.

Komisarz nie miał wątpliwości, że sąd przychyli się do wniosku o tymczasowe aresztowanie. I że będzie przedłużał je w nieskończoność.

— Mogę o tym napisać?

— Jasne. W odróżnieniu od tego morderstwa sprzed tygodnia rutynowa sprawa.

— Żadnych powiązań nie widzicie?

— A co, miałaś nadzieję na seryjnego mordercę? — domy-

ślił się Przygodny. — Nie, Nowakowski nie ma wprawdzie żadnego dobrego alibi na czas zabójstwa Majewskiego, twierdzi, że spał grzecznie w swoim łóżku, bo bladym świtem musiał

wstawać do pracy, a potwierdzić to mogą tylko jego rodzice, ale myślę, że takie słabe alibi miałyby ze sto tysięcy wrocławian.

Brak natomiast choćby cienia poszlaki, że kiedykolwiek zetknął się z Majewskim. Przeciwnie. Podobno wystarczy sześć osób, żeby dotrzeć od jednego dowolnego człowieka na świecie do drugiego. W przypadku Majewskiego i Nowakowskiego, tak jak ja to widzę, nie wystarczyłoby szesnaście. Jeśli w ogóle ktokolwiek był w stanie dotrzeć do Majewskiego.

— Czyli dalej nie macie punktu zaczepienia?

— Najmniejszego. Mówię ci, Jurek, jeszcze w żadnym śledztwie nie natrafiłem na taką ścianę. I obawiam się, że je-

śli morderca się nie wychyli, to go nie złapiemy.

— Wychyli się? Czyli liczysz jednak, że uderzy drugi raz?

— w Kuriacie odżyła nadzieja na wielokrotnego zabójcę.

— Trudno, żebym na to liczył, nie mogę z utęsknieniem wyczekiwać, że ktoś zostanie zamordowany. Ale jeśli już dojdzie do morderstwa, to wolałbym, żeby sprawcą był ten sam człowiek, który zabił Majewskiego, a nie ktoś z rodziny. Trochę soflzmat, ale dylemat mam iście antygoński.

— Albo kolejna ofiara, albo morderca ujdzie kary?

— Otóż to. Nawet więcej ofiar, bo seryjni zabójcy zwykle nie ograniczają się do dwóch. Choć głęboko wierzę, muszę wierzyć, że jeśli uderzy następnym razem, popełni błąd i do-padniemy go, zanim zabije dalsze osoby.

— Rozumie się. — Kuriata miał nieco inne preferencje co do rozwoju wydarzeń, ale nie widział potrzeby, by się z nimi afiszować. — To na razie.

— Na razie.

Ledwo się rozłączył, komórka rozbrzmiała melodią Majte-czek w kropeczki. Kuriata uwielbiał szokować tandetą. Bawiły go głupie miny rozmówców przekonanych, że mają do czynienia z poważnym i inteligentnym człowiekiem, kiedy nagle jakąś jego błyskotliwą wypowiedź przerywały dźwięki szlagieru grupy Bayer Fuli i okazywało się, że dzwoni właśnie jego telefon.

Spojrzał na wyświetlacz, nie był to nikt ze znajomych.

— Kuriata, słucham?

— Jam jest Jezus.

Kuriata poczuł wzbierającą irytację. Znowu ten świr i co najgorsze nie dzwonił do gazety — to było normalne, świry lu-biły dzwonić do gazet, trochę mniej, odkąd zyskały możliwość bredzenia w internecie — tylko wziął się właśnie na niego.

— Zaprawdę powiadam wam, nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą...

Dziennikarz po prostu się rozłączył. Uznał, że taktyka braku zainteresowania będzie najlepsza. Świr z pewnością oczekiwał reakcji, dowolnej, choćby złości — bez reakcji jego działanie traciło sens. Jeśli można mówić o sensie w działaniach świra. Kuriata nerwowo wyczekiwał, czy komórka nie zadzwoni jeszcze raz, ale nie. Pod tym względem wariaci by-li mniej bezczelni od akwizytorów, którzy, jak tylko człowiek rzucił słuchawką, natychmiast dzwoniли drugi raz, „bo coś przerwało połączenie”, oczywiście wyłącznie w celu pokazania, że nikt im nie będzie bezkarnie rzucał słuchawką, skoro klient niedwuznacznie dał do zrozumienia, że niczego nie kupi.

Kuriatę zastanawiało, dlaczego spam mailowy jest zakazany, a telefoniczny nie, mimo że ten drugi jest znacznie bardziej uciążliwy. Spam odbiera się wtedy, kiedy człowiek i tak sprawdza pocztę, a więc w przeciwieństwie do telefonu nie odrywa od innego zajęcia.

Kaskady wody spadały z szumem, nie, to nie był szum, a wyraźny dźwięk. Coraz wyraźniejszy i coraz silniejszy, aż w końcu do Przygodnego dotarło, że wodospad widzi we śnie, a dźwięk dochodzi z rzeczywistości. Sięgnął po komórkę. Oczywiście miał jeszcze sklezione od snu, więc odebrał rozmowę, nie patrząc kto dzwoni. Ale nikt się nie odezwał, a odgłosy przypominające huk wodospadu nie umilkły. Co się działo? Budzik!

Dzwonił budzik! Ale dlaczego? Przygodny należał do skowronków, kładł się wcześniej i wstawał z samego rana, nawet kiedy miał

wolne, zawsze o tej samej porze, nie potrzebował budzika. Musiał

załatwić coś wcześniej niż zwykle? I wtedy sobie przypomniał.

Rower. Zaplanował, że przed pracą pojeździ na rowerze.

Gabi poruszyła się we śnie.

— Wyłącz to —| wymamrotała.

Zawstydzony sięgnął do słuchawki telefonu stacjonarnego, który pełnił funkcję budzika, i wcisnął klawisz „stop”.

Dźwięk zamilkł. Przygodny wyskoczył z łóżka, wykonał parę skłonów i przysiadów, po czym przebrał się w dres. Wziął ze stolika klucze, które przygotował sobie poprzedniego wieczoru, i szedł do piwnicy. Rower też sprawdził wieczorem — korzystał z niego rzadko i łańcuch wymagał smarowania, a przerzutki regulacji, ale uznał, że podjedzie do serwisu przy okazji; nie planował udziału w Wyścigu Pokoju, jedynie rekreacyjną przejażdżkę, a do tego wystarczyły napompowane koła i w miarę sprawne hamulce.

Zdecydował się na trasę po drugiej stronie Odry, bo tam na koronie wału urządzono po powodzi deptak z prawdziwego zdarzenia, a po ich stronie była tylko wąska ścieżka. Przejeżdż-

dając przez ohydną kładkę — budowniczy epoki realnego socjalizmu uważali, że mosty służą do przekraczania rzek, a nie do podziwiania — zatrzymał się pośrodku i spojrzał na leniwie płynącą wodę, obramowaną zielonymi nabrzeżami. Urzeczony widokiem, musiał stwierdzić, że Pan Bóg z pewnością nie podzielał socjalistycznej estetyki.

Skierował się w stronę Wyspy Opatowickiej, postanowił

dojechać wałem do Mostu Chrobrego, a potem w zależności od czasu, zawrócić albo pojechać dalej do Mostów Jagiel ońskich.

Z początku pedałowal wolno, rozkoszując się porannym świeżym powietrzem, pustką — na spacerowiczów, psiarzy i innych rowerzystów było jeszcze za wcześnie — i śpiewem ptaków. Potem przyspieszył, opuścił barki i pochylił głowę, żeby zmniejszyć opór powietrza, choć góral nie za bardzo nadawał

się do przyjmowania takiej pozycji. Mocno wciskał stawiające opór pedały, celowo nie zmienił przerzutki, chciał zaznać fizycznego wysiłku, zmęczyć się, ale też poczuć pęd, a przy lżejszych przełożeniach nie dało się osiągnąć dużej prędkości.

Jeszcze bardziej schował głowę, kierując wzrok na piaskową nawierzchnię wału — z zadowoleniem patrzył, jak umyka w tył. Kiedy podniósł z powrotem głowę, nie miał już możliwości ominięcia przeszkody, żółtego szlabanu przecinającego w poprzek wał; zaczął ostro hamować, ale i na ten manewr było za późno. Zanim uświadomił sobie, że powinien w sposób kontrolowany przewrócić się przed szlabanem, uderzył weń i wyrzuciło go z siodełka jak z katapulty. Przy upadku podparł się rękami i poczuł ostry ból. Zerwał się niemal od razu i przez chwilę chodził w kółko, starając się przetrzymać ból rozrywający mu prawą rękę. Miał nadzieję, że nie jest złamana, że tylko dotkliwie się potłukł, ale przeczyły temu nienaturalnie wygięty nadgarstek i pojawiająca się opuchlizna. Ból złagodniał, ale kiedy Przygodny spróbował poruszyć nadgarstkiem, pojawił się na nowo. Nie zakłnie rzeczywistości.

Złamał sobie rękę i tyle. Co robić? Wyłowił lewą ręką komórkę z kieszeni dresu, żeby zadzwonić po Gabi, ale po namyśle zrezygnował. Rower nie zmieści się do bagażnika jej samochodu nawet po złożeniu siedzeń, a zostawienie go tutaj na dłużej, zapiętego czy nie, oznaczało prezent dla złodziei.



Nie się nie stanie, jak wróci na piechotę, nie odjechał zbyt daleko — za dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut będzie z powrotem w do-mu. Złamanie to nie zawał serca, nie wymaga natychmiastowej interwencji lekarskiej. Podniósł rower lewą ręką, prawą opuścił wzdłuż tułowia — w tej pozycji bolała go najmniej —

i poszedł w kierunku, z którego przyjechał.

Rzeczywiście dotarł do domu w niecałe pół godziny i z pewnymi kłopotami schował rower do piwnicy. W przedpokoju natknął się na Gabi wychodzącą do pracy.

— Chyba złamałem sobie rękę.

— No to jedź na pogotowie — powiedziała głosem, w któ-

rym łatwiej było się dosłuchać zniecierpliwienia niż współczucia.

— Nie zawieszysz mnie?

— Weź taksówkę, ja nie mogę sobie pozwolić na opuszczenie lekcji z takiego powodu. Na zastępstwie nikt mi nie zrealizuje programu, a jak uczniowie położą egzamin, psy będą wieszali na mnie.

Poczuł rozczarowanie. Nie dlatego, że nie chciała go zawieźć.

Doskonale zdawał sobie sprawę, jak ważny jest egzamin na koniec gimnazjum — przesądza o dostaniu się lub nie do renomowanego liceum — i jak Gabi zależało, żeby swoich uczniów dobrze do niego przygotować. Czuła się odpowiedzialna za to, jak wypadną, i słabsze wyniki przeżywała równie mocno jak jej podopieczni. Zresztą zawsze była obowiązkowa. I dlatego też mu się spodobała. Nie zwrócił uwagi na może i obiektywnie ładniejsze koleżanki, a na pewno bardziej krzykliwe i wyzywające, pochłonięte swoim wyglądem i dyskotekami, tylko na tę skromną dziewczuszkę, na przerwach stojącą zwykle gdzieś z boku, na lekcjach starannie przygotowaną, choć sama nigdy nie zgłaszała się do odpowiedzi.

Nie, jego rozczarowanie wynikało z faktu, że nawet nie zaproponowała, że go podwiezie. Podziękowałby, rzeczywiście mógł wziąć taksówkę, ale liczyła się troska. Której nie okaza-

ła. Czy pięć lat temu podeszłaby do jego wypadku równie obojętnie? Dałby sobie rękę uciąć — nawet tę niezłamaną — że nie. Czy ta obojętność stanowiła normę w małżeństwie z ich stażem, czy też świadczyła o tym, że małżeństwem byli już tylko z nazwy?

— Okej, wezmę taksówkę.

— To na razie. — Zamknęła za sobą drzwi.

Niemile dotknięty zatrzymał się w przedpokoju. Od dawna nie zegnali się pocałunkiem i w tym pożegnaniu nie było nic niezwykłego, ale przecież niecodziennie człowiek łamie sobie kości. Jest to chyba powód, by na przykład zapytać, czy go nie boli? Albo w inny sposób okazać zainteresowanie?

Ostrożnie ściągnął dres, starając się nie poruszać złamaną ręką. Już miał nałożyć czystą koszulę, kiedy uświadomił

sobie, że jest spocony, a przed wyjściem nawet nie umył zę-

bów. Lekarze na pogotowiu z pewnością mieli niejednego śmierdzącego pacjenta, nie musiał dokładać im kolejnego —

nic nie stało na przeszkodzie, żeby wziął prysznic.

Po wyjściu z kabiny i umyciu zębów rozważał przez chwilę, czy także się nie ogolić. Uznał jednak, że lepiej pójść nieogolonym niż zakrwawionym, maszynka w lewej ręce mogła stanowić groźne narzędzie; bał się, że się mocno pozacina. Ubrał

się z pewnymi trudnościami, najwięcej kłopotu sprawiło mu wywrócenie skarpetek na prawą stronę i zawiązanie butów.

To ostatnie okazało się w ogóle niemożliwe, musiał poszukać pary bez sznurowadeł.

Zadzwoił po taksówkę i czekając, wybrał numer do Gajdy.

— Słucham pana, panie komisarzu.

— Złamałem sobie rękę, muszę pojechać na pogotowie, trochę się spóźnię.

— Złamał pan sobie rękę?! Jak?

Pytanie unaoczniało Przygodnemu, że Gabi nawet tym się nie zainteresowała.

— Wywróciłem się na rowerze. W sumie przez własną głupotę. Nie patrzyłem przed siebie, tylko pod koła i nie zauważyłem szlabanu.

— Szlabanu?

— Na wałach nad Odrą, te, co blokują wjazd samochodom.

— Aha. No tak, dzisiaj jest trzynastego, nic dziwnego, że miał pan pecha. Ale jak ma pan złamaną rękę, to pewnie dostanie pan zwolnienie?

Zwolnienie. O tym nie pomyślał. Nie był żadnym super-manem, brał zwolnienia, ale zwykle z powodu przeziębień czy chorób grypopodobnych. Kiedy dopadał go katar, leciało mu z nosa tak, że nie był w stanie nic robić. Zazdrościł ludziom, którzy z zaczerwienionym nosem i chusteczką pod ręką, mogli w miarę normalnie pracować. On zużywał całe rolki papieru toaletowego, a sił starczało mu jedynie na oglądanie telewizji. Pod warunkiem że nie łzawiły mu za bardzo oczy.

Ale czy przez złamaną rękę musiał iść na zwolnienie? Zastanawiał się nad tym, siedząc już w taksówce. Żeby przesłuchiwać świadków, nie potrzebował sprawnych rąk, owszem do

protokołowania, ale to mógł scedować na Gajdę albo innego funkcjonariusza. Był praworęczny, więc w razie potrzeby chyba nie mógłby użyć broni, ale taka potrzeba zaszła tylko raz w całej jego karierze, na początku, gdy znaleźli się z Kuriatą w zasadzce i wywiązała się strzelanina. Wbrew powszechnemu przekonaniu znakomita większość policjantów używała swoich pistoletów jedynie na strzelnicy. Do oględzin na miejscu zbrodni też powinna wystarczyć mu jedna ręka.

Pewnie czyhały na niego pułapki, czynności takie jak wiązanie butów, które wymagały użycia obu rąk, choć były tak proste i banalne, że nawet tej konieczności nie kojarzył, ale generalnie nie był w stanie dostrzec przeszkód uniemożliwiających mu pracę. Zawód policjanta, przynajmniej na jego stanowisku, okazywał się zawodem niemal wyłącznie umysłowym, a głowę miał całą. Na szczęście. Choć może nie powinien ku-się losu i kupić sobie kask. Dotąd uważał takie zabezpieczenie za zbędne, jego pokolenie jeździło na rowerach bez kasków i przeżyło. Ale dotąd wszystkie upadki z roweru — nie przewrócił się przecież pierwszy raz — kończyły się niegroźnie.

Teraz złamał sobie rękę, kto wie, czy następnym razem, chcąc uchronić rękę, nie rozbije głowy.

Na widok kiosku poprosił taksówkarza, żeby nie podjeżdżał pod samo pogotowie, tylko wysadził go na Traugutta.

Z pewnością nie będzie jedynym pacjentem, a najlepszym sposobem na kolejkę jest coś do czytania. Nie pomyślał, żeby wziąć książkę, więc postanowił zaopatrzyć się w gazetę.

Pod gabinetem dyżurującego chirurga rzeczywiście kłę-

bił się spory tłumek. Przygodny przestraszył się, że oznacza to bardzo długie czekanie, ale potem zorientował się, że przynajmniej w połowie tworzą go osoby towarzyszące. Młodą dziewczynę, która zamykała kolejkę, ze zboląłą miną trzymającą się za kolano, podnosiły na duchu aż dwie koleżanki.

— Naprawdę nie masz co tragizować — mówiła jedna. —

Nie jesteś zawodowym piłkarzem, więc złamanie nie wyłączy cię z życia, do egzaminów spokojnie możesz się uczyć, a potem opić zaliczoną sesję.

— Ale mnie boli! — poskarżyła się poszkodowana.

— Nie umrzesz od tego. Zobacz, siedzisz o własnych siłach, czyli najlepszy dowód, że nie umierasz.

Komisarz, rozbawiony, przyjrzał się studentce, która tak bez rozczulania się pocieszała przyjaciółkę. Miała ujmujący uśmiech, który zdradzał, że jej szorstkich uwag nie należy brać całkiem serio. Zielone oczy dodawały mu jeszcze figlarności.

Pukle kasztanowych włosów spływały do ramion. Dopasowana kurtka z wyłogami i kozaczki na obcasie z wysoką cholewką podkreślały jej zgrabną sylwetkę. Przygodny musiał

stwierdzić, że dziewczyna mu się podoba i nawet bawił się myślą, czy jej nie zagadnąć, ale się zreflektował.

Co mu chodziło po głowie? Żonaty facet, dwa razy starszy od niej, na dodatek nieogolony, dostałby takiego kosza, że aż by mu w pięty poszło. Poza tym niby jak miałby ją zagadnąć?

Nigdy czegoś takiego nie robił.

Zreflektował się po raz drugi. Przecież nie powinna go powstrzymywać obawa przed posłaniem do diabła ani nieu-miętność podrywania, tylko sam fakt, że był żonaty i że ta dziewczyna była w wieku jego Asi.

Asia. Wyciągnął komórkę, wyszukał w kontaktach jej imię i wcisnął przycisk „połącz”.

— Coś się stało, tato?

Pytanie było uzasadnione, nigdy nie dzwonił do niej w godzinach pracy.

— Nie... tak... to znaczy, nic strasznego. Złamałem sobie rękę.

— Ojejkuś! Którą?

— Prawą.

— To niedobrze. A w którym miejscu?

— Na wale nad Odrą. Przewróciłem się na rowerze.

— Pytam, w którym miejscu jest złamana.

— W nadgarstku, dokładnie nie wiem, dotarłem dopiero na pogotowie i czekam w kolejce.

— Mama cię zawiozła?

— Nie, musiała iść do pracy, wziąłem taksówkę.

— Przyjechać tam do ciebie?

Komisarz chciał, żeby przyjechała. Dziwnie się poczuł, kiedy zobaczył, że każdemu ktoś towarzyszy, a tylko on jest sam.

— Nie masz zajęć?

— Zaraz mam ćwiczenia z fonetyki — Asia studiowała germanistykę — ale mogę odrobić z inną grupą.

— Nie, nie ma sensu, żebyś opuszczała zajęcia tylko po to, żeby postać ze mną w kolejce. Jak tu ktoś zauważył, od złamania się nie umiera. Kupiłem sobie gazetę, więc z nudów też nie umrę.

— Będzie cię swędziało pod gipsem.

Asia, mając sześć lat, złamała sobie obojczyk. Bawiła się na podwórku, kiedy on wracał z pracy. Ucieszyła się na jego widok, ruszyła do niego biegiem i potknęła się na chodniku.

Musieli potem z Gabi na zmianę drapać ją drutami do robó-

tek, bo najbardziej ze wszystkiego doskwierało jej swędzenie.

— Wiem, pamiętam, jak płakałaś, kiedy miałaś gips.

— Muszę kończyć, tato, wołają nas na zajęcia. Zadzwoń do ciebie później.

— Okej.

— Trzymaj się.

— Na razie.

Rozłączył się, usiadł na ławce, złamaną rękę znowu opu-

ścił wzdłuż ciała i rozłożył „Kurier”.

Trochę zaskoczony spostrzegł, że redakcja nie uznała morderstwa Małysiaka za wiadomość dnia. Niewielka notka odsy-

łała do artykułu na trzeciej stronie. Tam duże czarne litery tytułu głosiły: „Zabójstwo kolekcjonera broni”, a tekst ilustrowało zdjęcie zapłakanej wnuczki. Przygodny nie miał pojęcia, że jego zrobienie poprzedził wściekły telefon fotografa do Kuriaty.

— Ty, ona nic nie wie, że ma mieć robione zdjęcie!

— Niemożliwe, mówiłem jej. Pewnie jest tak roztrzęsiona, że nie zarejestrowała.

— Akurat dość dokładnie pamięta, że oskarżyłaś o zabójstwo jej narzeczonego, a jest całkowicie przekonana o jego niewinności.

— Nie ja oskarżyłem, tylko policja.

— Ty, Jurek, nie bądź taki precyzyjny. Czyja dobrze podejrzewam, że laska się na ciebie wkurzyła, więc postanowi-

łaś nic jej nie mówić o zdjęciu, tylko zwalić na mnie?

— No co ty?! — Kuriata udał oburzonego. — Przecież mnie znasz.

— No i właśnie stąd to podejrzenie.

—| Głęboko niesprawiedliwe. Zresztą w czym problem?

Pstryknij jej fotkę i już.

— Problem w tym, że się nie zgadza, a ja nie jestem od przekonywania, tylko ty.

— To pstryknij bez zgody, widziałeś, żeby paparazzi pytali o zgodę?

— Aha, a jak wytoczy nam proces, ty umyjesz ręce, a mnie Misiak poleci po pensji.

Polskie prawo zabrania fotografować prywatne osoby bez ich zgody. Chyba że znajdują się na zdjęciu niejako w tle albo są elementem większej całości. Na przykład przechodnie na deptaku.

— Biorę to na siebie.

— Nie wkurwiał mnie. Musiałbyś dać mi na piśmie z pieczętą notariusza, żebym mógł ci uwierzyć. Pogadam z dziewczyną, ale zapamiętaj sobie, że ostatni raz odwałam za ciebie robotę. Następnym razem, jak nie przygotujesz gruntu, nawet nie będę dzwonił, tylko pakuję manatki i się zmywam.

Oprócz zdjęcia dziewczyny dołączono zdjęcie maczugi, ale przykładowe, z książki lub internetu, bo komisarz stanowczo odmówił wpuszczenia Brodziaka do policyjnego laboratorium.

Przeczytał artykuł. Kuriata skupił się na egzotycznym na-rzędziu zbrodni i brutalności zabójcy, najwidoczniej założył, że będzie to ciekawsze dla czytelnika niż motyw i osoba sprawcy. Przygodny nie podejmował się rozstrzygać, czy przyjaciel miał rację, ale pewnie tak, był w swoim fachu mistrzem.

W tekście nie było żadnych nawiązań do morderstwa sprzed tygodnia ani uwag w rodzaju „w przeciwieństwie do poprzedniego zabójstwa — gdzie policja nadal drepcze w miejscu —

sprawca został ujęty niemal na gorącym uczynku”.

Komisarz podniósł głowę, bo otworzyły się drzwi od rent-gena i wyjrzał z nich lekarz z kliszami w ręku. Wręczając je pacjentom, komentował na głos:

— Ale się sierota połamała, kość poszła w dwóch miejscach... Tylko zwichnięcie, nie trzeba gipsu, wystarczy bandaż, więcej szczęścia niż rozumu...

Przygodnego bardziej od kwestii, jak uwagi rentgenologa mają się do zachowania tajemnicy lekarskiej, zainteresowała okoliczność, że istnieje alternatywa dla złamania. Może po-

śpieszył się, sam sobie stawiając diagnozę. Uniósł kontuzjowaną rękę i przyjrzał się opuchniętemu nadgarstkowi. Lekarz dostrzegł ten gest i zbliżył się do komisarza.

— Co się panu stało?

— Przewróciłem się na rowerze.

— Niech pan nie trzyma tej ręki w pionie, spuchnie jak bania.

Przygodny posłusznie ułożył rękę na rozpostartej na kolanach gazecie.

— Najpierw do chirurga, da skierowanie, a potem do mnie na zdjęcie. Zobaczymy, jak się te pańskie akrobacje na bicyklu skończyły.

Komisarz kiwnął głową, że już się zorientował w obowiąz-

ującej procedurze. Rentgenolog chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zobaczył, że do jego pracowni kieruje się kolejny pacjent, i poszedł go wpuścić.

Gazeta i dodatkowe atrakcje w postaci pijanych wyrostków, którzy usiłowali wprowadzić, czy raczej wnieść bez kolejki swojego kolegę, funkcjonariuszy przyprowadzających przestępców do badania, pary bezdomnych, która zasmrodzi-

ła całą poczekalnię, i chłopca z porażeniem mózgowym, wydzierającego się jakby go zarzynano, sprawiły, że dwie godziny zleciały Przygodnemu jak z bicza trzaśł. Dwie godziny, po których opuścił pogotowie z zagipsowaną ręką. Diagnoza: złamanie nasady dalszej kości promieniowej, na szczęście bez przemieszczeń. Klasyczne, dodał chirurg, oglądając rentgenowskie klisze i demonstrując, jak w wyniku podparcia ręki dochodzi do takiego złamania. Nadzieje Przygodnego, że wykrę-

ci się tanim kosztem, czyli zwichnięciem i bandażem, okazały się płonne.

Wyciągnął komórkę, żeby wezwać taksówkę, ale przerwał

połączenie po pierwszym sygnale. Mimo niezłych zarobków nie mógł sobie pozwolić na jeżdżenie taksówką kilka razy w ciągu dnia. Rozwahał, czy nie zadzwonić do Gajdy, żeby przyjechał po niego służbowym oplem, ale uznał, że nie bę-

dzie nadużywał swojej pozycji. Zdecydował się na komunikację miejską, z której nie korzystał przynajmniej od piętnastu lat. Podszedł na przystanek i przestudiował rozkład jazdy.

Nie było tramwaju, który zatrzymywałby się blisko komendy

— mógł podjechać do Rynku, a stamtąd pójść na piechotę. Bilety chyba nadal kupowało się w kiosku, ale nie miał pojęcia, ile kosztują.

— Poproszę bilet tramwajowy — nachylił się do okienka.

— Normalny?

— Normalny. Ale dwa poproszę — uświadomił sobie, że po pracy musi jeszcze wrócić do domu.

— Cztery złote.

— Aż tyle? — W sumie było to drogo. Pomyślał, że naj-rozsądniej będzie kupić miesięczny,

przynajmniej na pierwsze cztery z sześciu tygodni, przez które miał nosić gips. A może nawet na dwa miesiące — nie wiedział, czy zaraz po ściągnię-

ciu gipsu będzie w stanie prowadzić samochód. Nie zapytał, a lekarz sam nie powiedział. W ogóle niewiele powiedział, ty-le że ma ruszać palcami. Dowie się wszystkiego od rodzinne-go, do którego został odesłany po zwolnienie i skierowanie na zdjęcie gipsu.

Nadjechał tramwaj i czekający na przystanku ruszyli tłumnie do drzwi. Przygodny, niezaprawiony w bojach o miejsce siedzące, dał się wyprzedzić reszcie pasażerów i wsiadł

ostatni. Nie zrobiłoby mu to większej różnicy, bo i tak nie miał zamiaru siadać, ale nie zdążył skasować biletu, gdyż tramwaj zaraz ruszył. Chwycił za poręcz i nie odważył się jej puścić, bojąc się, że z zagipsowaną ręką nie utrzyma równowagi przy jakimś gwałtowniejszym szarpnięciu. Trudno, bę-

dzie musiał przejechać jeden przystanek na gapę. A jak trafi się kanar, da chyba sobie wytłumaczyć, że jednoręczność w jadącym tramwaju stanowi realną przeszkodę w skasowa-niu biletu.

Młoda dziewczyna, ta sama, która na pogotowiu wykluczyła stan zagrożenia życia koleżanki i która najwidoczniej była wśród pierwszych wsiadających, podniosła się z krzesła.

— Proszę usiąść.

Komisarz się obruszył.

— Pani chyba żartuje, aż tak stary nie jestem, doskonale mogę stać.

— Ale... — wskazała na zagipsowaną rękę, dając do zrozumienia, że ustąpiła mu miejsca z powodu kontuzji, a nie wieku.

— Przecież nie stoję na tej ręce, tylko na nogach. A te mam całe — powiedział zgryźliwie.

Usiadła z powrotem, skonfundowana jego oburzeniem.

Przygodny wyrzucał sobie w duchu, że jest idiotą. Nie dość, że najwyraźniej miał kompleksy na punkcie swojego wieku, skoro błędnie odczytał jej intencje, to jeszcze zachował się jak ostatni cham. Mógł odmówić znacznie grzeczniej, a nawet wykorzystać tę okazję do nawiązania rozmowy.

— Przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny.

Skinęła głową, że akceptuje przeprosiny, ale patrzyła w szybę, Przygodny dostrzegł w odbiciu, że minę ma nieszczę-gólną. Szukał w myślach dobrego sformułowania, żeby przekonać ją, że naprawdę nie chciał jej urazić, ale kiedy znalazł, uznał, że lepiej się nie odzywać. Jedne przeprosiny powinny wystarczyć, kolejne mogłyby wyglądać na próbę nawiązania znajomości, a przecież wcale nie miał zamiaru jej podrywać.

W komendzie siedzący przy komputerze Gajda dłubał



w nosie. Nie dosłownie, ale wyraźnie się nudził. Nie była to nuda wynikająca z braku zajęcia, bo stos papierów na jego biurku nie zmniejszył się, ale z niechęci do zabrania się za te papiery.

— Nie może pan teraz dźwigać — powiedział na widok za-gipsowanej ręki komisarza. — Stary wyjadacz panu to mówi.

Trzy razy się już połamałem. Ostatnim razem mimo gipsu wnosiłem meble, bo Ula była wtedy w ciąży, i groziło mi łamanie kości. Wie pan, jak się krzywo zrosnie, łamią i nastawiają.

— Trzy razy się połamałeś? — zainteresował się Przygodny, który nie miał zamiaru niczego dźwigać.

— Właściwie to cztery, bo pierwszym razem w podstawówce złamałem sobie najpierw jedną rękę, a jak tylko zdję-

li mi gips, drugą. Całe szczęście, że niejednocześnie, dwie ręce złamane to kalectwo. Nawet małego nie można chwycić, żeby się wysikać, trzeba na siedząco, ale wcześniej i tak ktoś musi człowiekowi rozpiąć spodnie. Nie wiem, jakbym wytrzymał, nie znoszę takiej bezradności. To mnie najbardziej przeraża w kalectwie. Zależność od innych. Gdyby elektronika umożliwiała samodzielne funkcjonowanie, pewnie jakoś bym się pogodził z ograniczeniami, ale myśl, że jest się ciężarem dla innych, że nie można się obejść bez ich pomocy, mnie przeraża.

— Jak ci zdjęli gips z tej jednej ręki, od razu mogłeś się nią posługiwać?

— Tak, bez żadnych problemów. Miałem jakąś rehabili-tację, ale co potrzebowałem, to nią zrobiłem.

Ta informacja ucieszyła Przygodnego, oznaczała bowiem perspektywę powrotu do pełnej sprawności po sześciu tygodniach. Nie pomyślał, że kości dziecka zrastają się dużo łatwiej niż mężczyzny dobrze po czterdziestce. Usiadł za biurkiem, ściągnął prowizoryczny temblak zrobiony z bandaża i oparł

ciężki gips na blacie.

— Jak tam Nowakowski? — przeszedł do spraw zawodowych. — Byłeś na posiedzeniu aresztowym?

— Byłem, ktoś go musiał zaprowadzić. Areszt na trzy miesiące. Orzekła ta młoda asesorka, Baraniecka, ona zawsze przyklepuje, co prokurator przyniesie. Nowakowski się trochę pluł, że nie ma adwokata... im wszystkim się wydaje, że u nas Ameryka i adwokat stoi przy tobie od momentu na-

łożenia kajdanek. Potem, jak został pouczone, że może złożyć zażalenie na areszt, mówi „składam zażalenie”. Baraniecka na to, że zażalenie może złożyć dopiero, jak dostanie pisemną decyzję, i musi je uzasadnić. A Nowakowski, skąd ma o tym wiedzieć, jak odmawia mu się adwokata, i że złoży, ale skargę do Strasburga. Kurczę, naszej procedury nie znają, przecież nikt mu nie odmawia adwokata, tylko dostanie później, ale świetnie wiedzą, gdzie mogą się skarżyć.

— A co z odciskami palców na maczudze? — nakierował

komisarz, widząc, że Gajda z własnej inicjatywy nie dotrze do najważniejszej kwestii .

— No niestety, czyściutka. Na parasolu też żadnych odcisków. Nie taki głupi ten Nowakowski, jak nam się wydawał.

Po prostu nie spodziewał się, że tak szybko wparujemy do je-go mieszkania.

Przygodny podrapał się po głowie. Liczył na lepsze wiadomości. Teraz sytuacja była patowa — mieli wprawdzie Nowakowskiego pod kluczem, ale za mało dowodów, żeby go oskarżyć.

— Może zmięknie, jak go potrzymany — powiedział Gajda, jakby czytał w myślach komisarza. — Jeśli sam się wcze-

śniej nie zgłosi, że chce śpiewać, przesłucha się go ponownie za dwa i pół miesiąca, bo teraz wielki raban robią, że trzymamy ludzi, a nie prowadzimy czynności. Jak się wówczas nie przyzna, wystąpimy o przedłużenie aresztu.

— Chyba że natkniemy się na jeszcze jakieś dowody —

stwierdził bez nadmiernego optymizmu Przygodny. — Technicy coś znaleźli?

— W mieszkaniu były jedne odciski palców, których nie możemy przyporządkować. Nie ma ich w AFIS-ie. Pewnie są bez znaczenia, mógł je zostawić ktokolwiek, wezwany elek-tryk, świadek Jehowy...

— Świadkowie Jehowy chodzą parami — zauważył komisarz.

— Co? — zamrugał oczami wybity z konceptu aspirant.

— Tak, może ten drugi niczego nie dotykał. W każdym razie nie ma żadnych przesłanek do założenia, że zostawił je inny morderca. Ale adwokat Nowakowskiego będzie pewnie gardłował, że nie sprawdziliśmy istotnego tropu. Papugi!

— Nowakowski chciał adwokata z urzędu czy własnego?

— Z urzędu.

— Z urzędówki nie powinien się zbyt angażować, ostatecznie płacą im ryczałtem, a nie za poświęcony czas czy za wynik. Jakies ślady DNA?

— Na trupie żadnych. W mieszkaniu trochę jest, przede wszystkim włosy, ale nic nam nie dadzą. Nowakowski towarzyszył przeciw swojej dziewczynie, kiedy odwiedzała dziadka.

— Połączenia telefoniczne?

— Na bil ingi stacjonarnego jeszcze czekamy. Ale Nowakowski dzwonił do Małysiaka na komórkę za piętnaście dwu-nasta, czyli zaraz po tym, jak urwał się z pracy. Najwidoczniej zapowiadał swoją

wizytę. Poza tym na komórce żadnych dziwnych połączeń, ani przychodzących, ani wychodzących.

Obdzwoniłem wszystkich z kontaktów, rodzina i znajomi, jeden gość, wpisany jako „Piotr”, nie odbiera, ale połowa z tych, do których się dodzwoniłem, miała kłopoty ze słuchem, więc to pewnie też jakiś stetryczały staruszek i nie słyszy telefonu. Starość sama w sobie jest do kitu, a jeszcze ma się wokół siebie starych ludzi.

Komisarz nie odniósł się do tezy zawartej w wypowiedzi aspiranta, że towarzystwo starych ludzi jest mało przyjemne, bo zwrócił uwagę na coś innego. Czy mógł to być element łączący wczorajsze zabójstwo z zabójstwem Majewskiego?

Małysiak też był emerytem, parę lat starszym od Majewskiego. Zaraz jednak odrzucił tę myśl. Zbyt wątpliwa poszlaka.

Szalenie wątpliwa, by łączyć przez nią dwa diametralnie różne morderstwa. Na wszelki wypadek trzeba będzie sprawdzić, ale pewnie aspirant miał rację, że to jakiś przygłuchy przyjaciel ofiary.

Jakby na zaprzeczenie tej konstatacji, drzwi pokoju otworzyły się z hukiem, ukazując Wójcika z Wojtkiewiczem, którzy prowadzili zakutych w kajdanki Ewę Małysiak i...

Piotra Ratajczyka.

Komisarz na jego widok mimo gipsu zerwał się na równe nogi. Gajda, który jeszcze nie widział Ratajczyka, spojrzał pytająco na przełożonego.

— Co się stało? Kto to jest?

— Masz komórkę Małysiaka?

— Mam — aspirant pokazał na srebrnego sagema, leżącego na biurku.

— Zadzwoń do tego Piotra.

Gajda posłusznie wziął telefon, wyszukał odpowiedni kontakt i wcisnął przycisk „połącz”. Przez chwilę nic się nie dzia-

ło, ale potem jakaś skoczna melodia dobyła się ze spodni Ratajczyka. Przygodny podszedł do niego, bezceremonialnie włożył mu rękę do kieszeni i wydobyl grającą wesoło motoro-lę. Spojrzał na kolorowy wyświetlacz i zademonstrował aspirantowi. W rytm melodii pojawiało się i znikało na nim nazwisko „Małysiak”.

— Pozwolisz, że przedstawię. Piotr Ratajczyk, pielęgniarz naszej ofiary sprzed tygodnia i, jak się okazuje, dobry znajomy kolejnego denata.

— O w mordę! — skomentował ten niespodziewany zwrot w śledztwie aspirant. — Skąd ich macie?

— zwrócił się do posterunkowych.

— No bo tego... — zaczął wyjaśniać Wójcik — awantura była.

— Właśnie — potwierdził Wojtkiewicz.

— To jest dostaliśmy wezwanie do awantury — uściślił

Wójcik.

— Właśnie — uściślił również Wojtkiewicz.

— Ci państwo się kłócili.

— Gdzie? — wtrącił się komisarz.

— W mieszkaniu... — Wójcik wyciągnął notes i zaczął

przerzucać kartki.

— Przy Wolskiej? — pomógł mu Przygodny.

— Właśnie — Wojtkiewicz zajrzał Wójcikowi przez ramię.

— No a że mieszkanie było zaplombowane, to nie roz-strzygaliśmy, kto ma rację, tylko zgarnęliśmy ich za zerwanie plomby.

— Właśnie.

— Przez radio sprawdziliśmy, że chodzi o morderstwo i że pan komisarz prowadzi śledztwo, i pomyśleliśmy, że najlepiej będzie ich przywieźć do pana komisarza.

— Właśnie.

Przygodny, dla którego okoliczność, że posterunkowi my-

ślą, była pewną nowością, pochwalił:

— Bardzo dobrze.

Nie zdążył wydać polecenia zdjęcia kajdanek, bo Ratajczyk postanowił upomnieć się o swoje prawa:

— Ja nie zerwałem tej plomby! To jest policyjny kidnaping!

Wójcik z Wojtkiewiczem, mając w pamięci zesłotygo-dniową reprimendę, spojrzeli niespokojnie na komisarza, czy rzeczywiście powinni byli sprawdzić, kto zerwał plombę i przywieźć tylko winnego. Ku ich uldze komisarz zwrócił się jednak do Ratajczyka:

— No to jest pan zatrzymany za zacieranie śladów na miejscu zabójstwa. Odpowiada to panu?

— Nie zacierałem żadnych śladów!

— Co dopiero będziemy sprawdzać. Przebywał pan na miejscu zbrodni mimo plomby. Zerwana czy nie, powinien pan ją zauważyć i wezwać policję, że ktoś naruszył plombę, a nie wchodzić do mieszkania. Funkcjonariusze zachowali się całkowicie prawidłowo.

Wójcik z Wojtkiewiczem niemal pokraśniali z zadowolenia, że są dumą policji.

— Zdejmijcie im kajdanki — polecił komisarz.

Wójcik, który dopatrzył się w tym poleceniu lekkiej nagan-y, że przy tak błahym przewinieniu zakuwanie podejrzanych jest raczej niewskazane, poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

— Nałożyliśmy, bo obydwójce byli agresywni.

— Tak, ta pani mnie opluła — poskarżył się Wojtkiewicz, wywołując zaskoczenie, że nie zakończył wypowiedzi duetu sakramentalnym „właśnie”.

— Właśnie — potwierdził Wójcik, przywracając porządek we wszechświecie.

Przygodny skinął głową, że akceptuje to wyjaśnienie, i kiedy za posterunkowymi zamknęły się drzwi, kazał dziewczynie i chłopakowi usiąść.

— Słucham, co państwo robili w mieszkaniu Małysiaka i o co się państwo pokłócili?

Komisarza dużo bardziej interesowało, co robił tam Ratajczyk i w jakich relacjach pozostawał z ofiarą, a jeśli w iden-tycznych jak z Majewskim, czy potrafiłby wyjaśnić, jak to się stało, że w przeciągu tygodnia dwóch jego podopiecznych zostało zamordowanych. Zadanie tych pytań wymagało jednak rozdzielenia przesłuchiwanym, a kwestię kłótni — która też mogła coś wniesć do śledztwa — z pewnością łatwiej było wyjaśnić, konfrontując ich ze sobą.

— Ja poszłam poszukać testamentu dziadka.

Przygodny zobaczył przed oczyma scenę z filmu przyrod-niczego, w której sępy krążą nad truchłem antylopy.

— Ja byłem umówiony na wizytę, opiekowałem się panem Małysiakiem — powiedział Ratajczyk. I spoglądając na Ewę Małysiak, dodał z przekąsem: — Bo schorowanego dziadka wnusia miała gdzieś.

— Nieprawda! — zareagowała gwałtownie dziewczyna.

— Prawda, prawda. Musiał mnie zatrudnić, bo sam nie dawał sobie rady, ale rodzina nic mu nie pomagała. Kiedy go ostatnio odwiedziłaś? Mam na myśli odwiedziny, żeby odwiedzić, a nie żeby jęczeć o zamianę mieszkania.

— Po pierwsze, dla ciebie jestem „pani”, a po drugie, nic ci do tego!

— Nic panu do tego — odciął się Ratajczyk.

— Znalazła pani testament? — komisarz pytaniem zapobiegł eskalacji kłótni.

— Tak.

— Gdzie? — Przygodny był ciekaw, dlaczego nie znaleźli i nie zabezpieczyli go technicy. Testament stanowił dla śledczych cenny dokument, bo często podawał nazwisko nie tylko spadkobiercy, ale i mordercy.

— W dziełach Słowackiego. Dziadek powiedział mi kiedyś, że będzie go tam trzymał.

Aha, technicy nie przejrżeli wszystkich książek, choć powinni.

— Chciała go podrzeć — znowu włączył się pielęgniarz. —

Dobrze, że pojawiłem się w porę.

— Co? — Ewa popatrzyła na Ratajczyka. — Nienormalny jesteś?

— To dlaczego nie chciałaś mi go dać?

— A czemu miałabym ci dawać testament mojego dziadka? Kto ty jesteś? Podcieracz dup.

— Ja podcieram, bo ci, do których to należy, się brzydzą.

A potem się dziwią, że podcierany nie zapisał im swojego ma-jątku, tylko mnie.

— Co? — to pytanie zadali jednocześnie dziewczyna i komisarz.

— No tak, pan Małysiak miał dosyć tego, że rodzina przypomina sobie o nim jedynie na Boże Narodzenie, miesiącami żadnego telefonu, nie mówiąc o odwiedzinach. A kiedy ci dwoje — Ratajczyk pokazał na Ewę, dając do zrozumienia, że ma na myśli ją i jej narzeczonego — zaczęli go molestować o zamianę mieszkania, stwierdził, że tylko czekają na jego śmierć, żeby dostać mieszkanie. I postanowił wyciąć im numer i wnusić wydziedziczyć. A że nie miał nikogo więcej, ustanowił

mnie swoim spadkobiercą.

— Wiedziała pani o tym?

— Nie wiedziałam, ale to bzdura!

— Bzdura? To zajrzyjmy do testamentu — zaproponował

pielęgniarski.

— A gdzie on jest? — zainteresował się Przygodny.

— Ma go w torebce — Ratajczyk pokazał na wysadzaną cekinami torebkę, którą dziewczyna przewiesiła przez oparcie krzesła.

— Myślę, że to rzeczywiście najlepszy sposób na ustalenie stanu faktycznego — komisarz wyciągnął zdrową rękę, sygnalizując, że chce dostać dokument. Dziewczyna wyjęła go z torebki i wręczyła mu z ociąganiem.

Była to złożona kartka w linie formatu A4. Przygodny rozprostował ją i przebiegł wzrokiem odręcznie napisany tekst: „Posiadam dwie wartościowe rzeczy czym jest moja kolekcja broni i mieszkanie własnościowe (trzy pokoje z kuchnią i łazienką) na ul. Wolskiej 1/6. Oba zapisuję panu Piotrowi Ratajczyk, syn Mariana i Aliny, zam. ul. Inowrocławska 52/12, ur. 17 lutego 1985, PESEL 850217-01130, nr dowodu osobi-stego AIJ497693. Z wdzięczności, że mi pomógł kiedy rodzina kompletnie o mnie zapomniała". Zamaszysty podpis potwierdzał wersję Ratajczyka: starzec wydziedziczył wnuczkę i ustanowił pielęgniarza swoim spadkobiercą. Co Przygodny obwieścił na głos.

— Niemożliwe! Niech pan pokaże!

— A nie mówiłem!

Reakcja Ewy Małysiak i Ratajczyka była niemal jedno-czesna.

— Niech pan tak nie triumfuje — komisarz zwrócił się do pielęgniarza. — Bardzo jestem ciekaw, jak nam pan wytłumaczy, że dwaj pańscy podopieczni, Mateusz Majewski i Marek Małysiak zostali zamordowani w odstępie tygodnia, a pan dzięki ich śmierci stał się zamożnym człowiekiem.

Szeroki uśmiech Ratajczyka zgasł. Pielęgniarz wbił wzrok w komisarza, jakby nie rozumiał, do czego ten zmierza, a potem zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że je przewrócił.

— Nic z tego, tym razem nie dam się zastraszyć! Panu się wydaje, że ma do czynienia ze smarkaczem, który zatańczy, jak pan mu zagra, bo jest pan policyjnym wygą. Nic z tego, rozmawiałem z adwokatem, powiedział, że byłbym głupi, gdybym zrezygnował z pieniędzy, że wcale nie przekonam was w ten sposób o swojej niewinności, a jeśli nie macie dowodów, to nic mi nie zrobicie. A nie możecie mieć dowodów, bo jestem niewinny!

Przygodny spojrział na dziewczynę, która, wpatrzona w testament, wydawała się w ogóle nie słyszeć, że chłopak obok niej został niedwuznacznie posądzony o zabicie jej dziadka, nie mówiąc o tym, by skojarzyła, że uwalniało to od podejrzeń jej narzeczonego. Już od dłuższej chwili przesłuchanie Ratajczyka nie powinno się odbywać w jej obecności.

— To pismo pani dziadka?

— Tak. Nie. To znaczy, nie wiem.

Spryciara, pomyślał komisarz, już szykuje grunt pod zakwestionowanie testamentu na procesie cywilnym. Czasami zazdrościł współczesnym dwudziestolatkom ich przebojowości, umiejętności dbania o własne interesy i swobody, z jaką poruszali się w rzeczywistości. On, mając dwadzieścia lat, był inny, bardziej zagubiony. Z czego to wynikało? Z różnych systemów społecznych? On wychował się w takim, w którym jednostka była tłamszona, na pierwszym miejscu stało społeczeństwo, dopiero później do Polaków dotarło, że najlepiej rozwijają się te społeczeństwa, które wiedzą, że człowiek jest z natury egoistą i będzie dbał wyłącznie o siebie, i cała sztuka polega na tym, by tak się zorganizować, żeby to dbanie o własny ogonek wychodziło na dobre także reszcie. A może więcej miało to wspólnego z otwarciem na świat, z dostępem do informacji? Jego pokolenie żyło w zaścianku, odcięte od świata, od wiedzy o wielu sprawach, nie tylko ze względu na cenzurę. Teraz młodzież miała do dyspozycji wolną prasę, telewizję satelitarną, internet, a przy wyjeździe za granicę nie występowała w roli bardzo ubogiego krewnego, co z pewnością podnosiło samoocenę.

Czy też mylił się, kładąc swoje zagubienie na karb warunków społecznych? Może wynikało z jego indywidualnych cech?

Albo w ogóle je wyolbrzymiał, utożsamiając z młodzieńczym brakiem doświadczenia, a zwykłą buńczuczność młodych brał

za ugruntowaną pewność siebie?

— Na razie testament zostanie w aktach — komisarz odebrał dziewczynie dokument. — Pani też na razie dziękujemy.

Ewa Małysiak wykonała ręką nieokreślony gest, jakby chciała zaprotestować, ale potem podniosła się, przewiesiła torebkę przez ramię i bez słowa opuściła pokój.

— Niech pan siada — polecił Przygodny Ratajczykowi, który nadal stał, jakby oczekując, że i on zostanie zwolniony.

Pielęgniarz postawił przewrócone krzesło i usiadł.

— Gdzie pan był wczoraj o godzinie czternastej?

Ratajczyk popatrzył w sufit, jakby miał na nim zapisany rozkład swoich zajęć.

— Do trzynastej miałem ćwiczenia z immunologii, od piętnastej pierwszą wizytę u podopiecznego. W tym czasie poszedłem na obiad, przeczytałem gazetę, potem nie opłacało mi się już wracać do domu, więc wybrałem się na spacer nad Odrę.

— Gdzie miał pan te ćwiczenia i dokąd poszedł pan na obiad?

— Ćwiczenia na uczelni, na Chałubińskiego, a obiad zjadłem w stołówce studenckiej Polibudy,



Medyczna nie ma własnej.

— Co?

— Co „co”? — pytanie było niezrozumiałe.

— Co pan zjadł na obiad?

— To ważne? Pierogi ruskie. Albo leniwe. Nie pamiętam.

Jak są pierogi, to biorę pierogi, ale ruskie albo leniwe, innych nie jadam.

— Myślałem, że w stołówce studenckiej podają tylko jedno danie.

— Nie, jest ze siedem do wyboru.

Czyli nie za bardzo mogli liczyć na to, że sprawdzą, co podawano wczorajszego dnia i udowodnią Ratajczykowi, że się tam nie stołował, bo pierogi były w innym dniu. Przy siedmiu daniach polskiej kuchni — statystycznie rzecz biorąc — jednym musiały być pierogi.

— Nikt pana w czasie obiadu nie pobił?

Pielęgniarz, który nie wiedział, jakie komisarz miał obiekcje w związku z jego pierwszym alibi, nie dostrzegł ironii.

— Nie, dlaczego ktoś miałby mnie pobić, jak jadłem obiad?

— Ten podopieczny, u którego pan był umówiony na piętnastą... jak się nazywa i gdzie mieszka?

— Łukasz Stańczyk. Ulica Grunwaldzka 20/8.

— Poszedł pan do niego na piechotę czy podjechał samochodem?

— Podjechałem tramwajem. Nie mam samochodu.

Komisarz nie potrafił ukryć zaskoczenia.

— Ma pan sześćset tysięcy na koncie i nie kupił sobie jeszcze samochodu? To pierwsze, co bym zrobił. Nie ma pan prawa jazdy?

— Mam, samochód też poszedłem od razu sobie kupić, ale że chciałem lepsze wyposażenie, muszę trochę na niego poczekać.

Trochę! Całe trzy miesiące. Przez trzy miesiące to ja mogę umrzeć! — Ratajczyk był oburzony, że kapitalizm nie do koń-

ca funkcjonuje, jak należy. — No ale nie wezmę jakiejś gołej wersji tylko dlatego, że jest dostępna od ręki.

— A jaki samochód pan sobie kupuje? — włączył się, do-tąd milczący, ale uważnie śledzący przesłuchanie, Gajda. —

Porsche?

— Nie, dlaczego porsche? — Ratajczyk nie wiedział, że dla aspiranta samochód Kuriaty stanowi szczyt marzeń. — Bmw.

Gajda westchnął, myśląc o swoim odrapanym dwunasto-letnim fordzie focusie sprowadzonym z Niemiec. Mającym wcześniej sześciu właścicieli, jak wynikało z przetłumaczo-nych dokumentów samochodu. Jaka by to była przyjemność wsiąść do nowiutkiego wozu, w którym nikt wcześniej nie pierdział w fotel. Może powinien przekwalifikować się na pielęgniarza — najwyraźniej było to intratne zajęcie.

— Robert, pozwól ze mną — Przygodny przerwał rozważania aspiranta o zmianie zawodu.

Wyszli na korytarz.

— Co o tym sądzisz?

— Pyta pan, czy to on mógł zatłuc Małysiaka, wiedząc, że mieszkanie zapisane jest na niego? Nie wygląda na takiego ryzykanta, a powinien zdawać sobie sprawę, że jak wzbogaci się na śmierci też drugiej ofiary, automatycznie stanie się podejrzanym numer jeden. Poza tym kto by mordował dla zdobycia mieszkania, mając sześćset tysięcy żywej gotówki? Wystarczy, żeby sobie kupić. Ten motyw pasuje do dziewczyny i Nowakowskiego, a nie do Ratajczyka.

— Zapominasz, że człowiek jest tak skonstruowany, że mając dużo, chce mieć jeszcze więcej. Sześćset tysięcy to ład-na kupka pieniędzy, aż przykro się robi, kiedy trzeba z niej uszczknąć. Więc skoro nadarza się okazja, by zdobyć mieszkanie bez jej naruszania...

— To co? Myśli pan, że jednak zabił Majewskiego, teraz Małysiaka i z mordowania swoich podopiecznych, którzy coś mu zapisali, zrobił sobie źródło dochodu?

— Nie, sam mnie przekonywałeś, że w sprawie Majewskiego jego alibi nie budzi wątpliwości, a ustalenia to potwierdziły — przypomniał komisarz. — Raczej dostrzegł możliwość szybkiego wzbogacenia się, kiedy nagle po śmierci Majewskiego został z taką kupą forsy. Od łatwych pieniędzy ludzie dostają małego rozumu. Zaślepiła go chciwość i zabił Ma-

łysiaka.

— No nie wiem — Gajda miał wątpliwości. — Dlaczego wtedy sprytniej tego nie zaaranżował? Na przykład, skoro na czas zabójstwa Majewskiego ma żelazne alibi, dlaczego nie upozorował, że Małysiaka zamordował ten sam człowiek? Strzeliłby do niego strzałą zatrutą kurarą, oskalpował i automatycznie musielibyśmy go wykluczyć.

— Wyjaśnienia mogą być dwa: albo jest taki głupi, albo taki mądry.

— Hę? — mina aspiranta była bardziej głupia niż mądra.

— Nie zapominaj, że żyjemy w kraju, w którym siedemdziesiąt procent ludzi nie rozumie wiadomości w telewizji,

„pomysłowość” planu, który przedstawiłeś, przekracza ich intelektualne możliwości.

— Ale Ratajczyk to student! I w ogóle z tego, co mówi, wynika, że raczej łebski gość.

— No właśnie. A łebski gość bez problemu domyśliłby się, że nie ujawniliśmy wszystkich okoliczności zabójstwa Majewskiego. I próba naśladowania została od razu zdemaskowana, bo naśladowca pominąłby jakiś istotny szczegół. W tym przypadku kurarę. Prasa nic nie wspomniała o kurarze, bo informację o niej zastrzeżaliśmy.

— Dalej mi nie pasuje — oświadczył Gajda. — Łebski gość, zabija dla zysku, a nie w afekcie, ale żadnego planowania, nie zadbał o alibi, chociaż musiał być świadom, że będzie podejrzany, kiedy wyjdzie na jaw, że odziedziczył mieszkanie ofiary. A nie mógł liczyć na to, że się nie dowiemy. Gdybyśmy nawet sami tego nie odkryli, raban zrobiłaby rodzina. A propos rodziny, to Nowakowski miał na swetrze krew ofiary, nie Ratajczyk.

— Morderca zasłonił się parasolem, nie powinien mieć krwi na ubraniu.

— Jak krew sikała na wszystkie strony, to parasol mógł

okazać się niewystarczającą osłoną.

— Widziałeś tę plamę na jego swetrze, to był rozmaz, a nie rozprysk.

— Ale nie wiemy, czy od początku. Krew mogła go opryskać, jak walił Małysiaka w głowę, a rozmazała się, kiedy ścia-

gnął i zmiął sweter, żeby nie biegać w zakrwawionym.

Przygodny musiał przyznać aspirantowi rację. Zresztą sam znalazł te argumenty, ale chciał je usłyszeć od podwładnego, żeby zagłuszyć uporczywy wewnętrzny głos, który —

wbrew faktom — podpowiadał mu, że zabójcą jest Ratajczyk.

Brak alibi, bo za taki należało uznać dwugodzinną lukę (wprawdzie bez samochodu pielęgniarz nie był w stanie obró-

cić do Leśnicy i z powrotem, ale zawsze mógł wziąć taksówkę), paradoksalnie przemawiał na jego korzyść. A Nowakowskiego nadal musieli brać pod uwagę, nie tylko ze względu na materialne dowody. Małysiak zapisał wprawdzie mieszkanie pielęgniarzowi, ale nie oznaczało to, że Nowakowski nie miał motywu. Musiałby wiedzieć o wydziedziczeniu narzeczonej, tymczasem

zaskoczenie dziewczyny na widok testamentu było autentyczne. Najwyraźniej dziadek nie zdążył jeszcze poinformować wnuczki o swoim kroku. Może na swoje nieszczęście. Co więcej, reakcja Ewy Małysiak pokazywała jednoznacznie, że priorytetem dla niej jest mieszkanie. Każda inna kochająca dziewczyna zaczęłaby wołać, że to najlepszy dowód, że jej chłopak nie zabił dziadka, że mają go puścić, a zamknąć Ratajczyka, a tej kwestia, kto zabił, wydawała się w ogóle nie interesować. Problemem było nie to, że narzeczony siedzi w areszcie, tylko że testament nie spełnia jej oczekiwań. Kto wie, czy — zakładając winę Nowakowskiego — dobrze zrekonstruowali przebieg wydarzeń. Może Nowakowski wcale nie stracił panowania nad sobą, kiedy Małysiak definitywnie odmówił zamiany mieszkania na dwa mniejsze. Może odmowę za-komunikował im już wcześniej i Nowakowski poszedł, żeby go zabić. Morderstwo zostało zaplanowane — przemawiałoby za tym użycie parasola do zasłonięcia się przed krwią — i nie przez samego Nowakowskiego, tylko przez nich oboje. Albo w ogóle wszystko odbyło się za poduszczeniem dziewczyny, a Nowakowski był tylko posłusznym wykonawcą. Do tej układanki doskonale pasowała też zmasakrowana czaszka ofiary: Nowakowski przy swej sile i posturze nie musiał wpadać w furję, żeby osiągnąć taki efekt. Do tego, żeby przedobrzyć, wystarczyło, by uderzył silniej z obawy, że jego ciosy nie okażą się skuteczne.

— Ja mam inną koncepcję, panie komisarzu — oznajmił

Gajda, widząc, że Przygodny nie zamierza polemizować. —

Przyszła mi do głowy, kiedy zapytał pan Ratajczyka, jak wytłumaczy się z faktu, że zginęli dwaj jego podopieczni, a on na tym zarobił. Bo wymienił pan wtedy koło siebie imiona i nazwiska obu zabitych. Mateusz Majewski i Marek Małysiak.

Zauważyłem, że obaj mają inicjały M. M. I na dodatek obaj mieszkali na ulicy zaczynającej się na W. Może trafił się nam szaleniec, który zabija starszych samotnych mężczyzn o inicjałach M. M. mieszkających na ulicy W?

— Coś w rodzaju ABC Agathy Christie? — Przygodny popatrzył na aspiranta, jakby ten mu oświadczył, że za zabójstwem emerytów stoją ufoludki. Gajda miał niestety to do siebie, że przedstawivszy logiczny i rozsądny wywód, potrafił dla kontrastu sformułować jakąś niestworzoną teorię.

— Właśnie! I może jest to ktoś ze znajomych Ratajczyka.

To by wyjaśniało, dlaczego ciągle nam się przewija. Pytanie, czy zabójca celowo nie rzuca na niego podejrzenia. Przecież wiadomo, że starzy ludzie chętnie zapisują swój majątek opiekunom. Z braku rodziny albo, jak w przypadku Małysiaka, dlatego że rodzina się na nich wypięła i wolą zapisać tym, którzy na starość się o nich troszczą. Więc morderca nawet nie musiał wiedzieć, że Ratajczyk jest spadkobiercą, spokojnie mógł przyjąć takie założenie.

— Gajda, posłuchaj sam siebie. Szaleniec mordujący według alfabetu, ale po przeprowadzeniu skomplikowanego rozumowania, jakie przed chwilą przeprowadziłeś, starający się skierować podejrzenie na konkretną osobę? Poza tym nawet w powieści Christie, jeśli dobrze pamiętam, czytałem ją chyba jeszcze w liceum, mordowanie według alfabetu nie było celem samym w sobie.

Aspirant miał minę dziecka, któremu zabrano ulubioną zabawkę.

— Szkoda, alfabetyczny zabójca rozwiązywałby kwestię braku ludzi wokół Majewskiego — Gajda rozstawał się ze swoją teorią z żalem.

— Puścimy go — zdecydował komisarz o dalszym postę-

powaniu wobec pielęgniarza. — Zresztą nie możemy zamknąć dwóch pod tym samym zarzutem, a rzeczywiście znacznie wię-

cej przemawia przeciwko Nowakowskiemu niż Ratajczykowi.

Ale tak całkowicie nie spuścimy go z oczu. Trzeba sprawdzić, czy faktycznie do trzynastej miał ćwiczenia, a od piętnastej był

u tego Stańczyka. Jeśli tak, trzeba popytać w stołówce, może ktoś go zapamiętał. Jeśli miał się zmieścić w dwóch godzinach, musiałby pojechać do Leśnicy taksówką. Samochodu raczej nie pożyczylby od rodziny ani znajomych, bo to łatwy do odnalezienia ślad. Z tego samego powodu nie wzięłby taksówki z radio taxi. Trzeba popytać indywidualnych taksówkarzy parkują-

cych w okolicach Akademii Medycznej, może któryś go wiozł.

Trzeba wziąć zdjęcie Ratajczyka i Nowakowskiego i przejść się po sąsiadach Małysiaka, poprzednio nic nie widzieli, ale może zdjęcia odświeżą im pamięć. Ciągłe mówię „trzeba” —

spostrzegł się komisarz. — Konkretnie: ja popytam taksówkarzy, Wójcik z Wojtkiewiczem przejdą się ze zdjęciami, ty weź-

miesz stołówkę i Stańczyka. Jak u niego będziesz, dowiedz się przy okazji, czy on też coś Ratajczykowi zapisał.

Plomba na ulicy Grunwaldzkiej mimo poszarzałej bieli kolorystycznie nadal odcinała się od przedwojennych budynków. Kilka domów dalej mieścił się komisariat, w którym Gajda rozpoczął policyjną karierę. Parkując samochód, bawił

się myślą, by tam zajrzeć i pogadać z dawnymi kolegami, ale odstąpił od tego pomysłu. Po pierwsze, nie miał czasu na plotki, po drugie, nie wiedział, czy ci, z którymi chciałby pogadać, wciąż tu pracowali. A nawet jeśli, to mogłoby się okazać, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Czasami lepiej zamknąć dobrą przeszłość, niż do niej wracać, pomyślał filozoficznie i dumny, że stać go na takie refleksje, wszedł w podwórko.

Łukasz Stańczyk mieszkał w ostatniej bramie po lewej pod ósemką. Był wysokim mężczyzną o tak obfitej siwej brodzie, że najpierw widziało się tę brodę, a dopiero gdzieś za nią szczupłą twarz.

— Proszę, proszę — otworzył szeroko drzwi i gestem zaprosił do środka. — W moim wieku każda wizyta mile widziana. Nawet policji. Zwłaszcza że sumienie mam czyste. No chyba że przyszedł mnie pan aresztować za przestawienie wiaty.

— Za przestawienie wiaty?

— No, jak wiadomo, młodzieńczy bunt musi znaleźć uj-

ście, a że ja zawsze byłem „dobrze wychowanym młodym człowiekiem”, kiedyś mnie poniosło i jak wracałem z prywatki, przestawiłem wiatę.

— Kiedy to było? — Gajda zorientował się, że nie rozma-wiają o wykroczeniu z ostatnich miesięcy.

— W pięćdziesiątym piątym. Więc chyba się przedawniło.

Dopiero teraz aspirant dostrzegł, że staruszek się uśmiecha.

Bardziej po oczach niż po ustach, bo te ginęły w gęstej brodzie.

— Po takim czasie nawet morderstwo by się przedawniło.

— Co pan powie — zdziwił się Stańczyk. — Myślałem, że morderstwo się nie przedawnia. Jest taki serial amerykański, w którym łapią zabójców sprzed kilkudziesięciu lat.

— Nie wiem, jak w Stanach, ale u nas morderstwo przedawnia się po trzydziestu latach.

Gajda usiadł na sofie i rozejrzał się po pokoju. Mieszkanie znacznie się różniło od większości mieszkań, w których by-wał z racji swoich obowiązków, a które zajmowali starzy ludzie. Przedewszystkim nie unosił się tu charakterystyczny zapach, jaki wydzielały wędnące ciała w rzadko wietrzonych pomieszczeniach. W wystroju brakowało mebli z poprzedniej epoki, które czy to z sentymentu, czy z lenistwa zachowywa-li nawet zamożni lokatorzy. Ściany ozdabiałały liczne obrazy.

— Podobają się panu? — zapytał gospodarz, widząc, że policjant się im przygląda. — Część sam namalowałem.

— Ten też? — Gajda pokazał na niewielki obraz, który najbardziej przypadł mu do gustu, przedstawiający kobietę w białej sukni wtulającą twarz w kwiaty, jakby rozkoszowała się ich wonią.

— Nie, ten nie.

W tonie głosu zabrzmiało pobłażanie i aspirant domyślił

się, że właśnie udowodnił swoją ignorancję w dziedzinie historii sztuki.

— To Dama z piwoniami Władysława Czachórskiego.

Wcześniej wisiała w moim gabinecie. Wykorzystywałem ją do gnębienia tępych studentów. Jeśli przyszła taka kompletna noga na egzamin, dawałem nodze szansę. „O romantyzmie —

wykładałem na polonistyce — nie wie pan nic. Ale nie postawię panu oceny niedostatecznej, tylko wyznaczę dodatkowy termin, jeśli wykaże się pan odrobiną wiedzy humanistycznej i powie mi, kto

jest autorem tego obrazu". Delikwent oczywi-

ście nie wiedział, wysłuchiwał krótkiego wykładziku o Czachórskim i wychodził z niedostatecznym na korytarz, gdzie uprzedzał czekających na egzamin kolegów: „Słuchajcie, pso-rek jest pierdolnięty, ale można uniknąć obławiania. Jak mu się powie, kto pacnął ten bohomas, co go ma w gabinecie, nie stawia lufy, tylko odsyła. No więc, zapamiętajcie sobie, to Dama z piwoniami Czachórskiego". I następny niekumaty na moje dictum, że o romantyzmie nie wie nic, ale dam mu szansę, uśmiechał się pod wąsem, że mnie przechytrzyli, i udawał

znawcę: „Samego obrazu nie znam, ale biorąc pod uwagę charakterystyczny styl i motyw kobiety z kwiatami, powiedział-

bym, że namalował go Władysław Czachórski". A ja znawcy na to: „O nie, proszę pana, tamten obraz zdjąłem, ten namalował Wyspiański, to Dziewczynka z fiołkami".

Tym razem Stańczyk zaśmiał się pełną piersią, a Gajda mu zawtórował.

— Czyli jest pan z zawodu wykładowcą akademickim?

— Byłem, teraz jestem emerytem. Chociaż w dzisiejszej Polsce emeryt to zawód, skoro parają się nim zdrowi i sprawni pięćdziesięciolatek. Ale czym mogę panu służyć, bo chyba nie przyszedł pan do mnie, żeby posłuchać anegdotek z uczelni?

— Nie, chciałbym zapytać o Piotra Ratajczyka. Zatrudnia go pan?

— Korzystam z jego usług, żeby być ścisłym. Choć kwestie podatkowe pewnie nie pozostają w kręgu pańskich zainteresowań.

— Nie, od tego są urzędnicy skarbowi. Mogę zapytać, dlaczego korzysta pan z usług Ratajczyka? Jest pielęgniarzem, a pan nie wygląda na osobę, która potrzebuje opieki pielęgniarzkiej.

— Dziękuję. Rzeczywiście na razie, chwała Bogu, umysłowo i fizycznie jestem sprawny, mimo że stuknął mi ósmy krzyżyk.

— Ma pan osiemdziesiąt lat? — Aspirant nie potrafił

wprawdzie ocenić wieku Stańczyka, wszyscy między sześćdziesiątką a dziewięćdziesiątką byli dla niego po prostu starzy, ale jakby kazano mu zgadywać, typowałby bliżej siedemdziesiątku.

— Ma pan szczęście, że nie jest moim studentem, bo trochę by się pan nasłuchał. Krzyżyk to dziesiątek lat. Czyli jak komuś stuknął ósmy, to przekroczył dopiero siedemdziesiątkę.

— Aha — Gajdzie zrobiło się głupio i postanowił skupić się na sprawie, żeby nie zostać po raz kolejny przyłapanym na niewiedzy. — Dlaczego więc zatrudnia... korzysta pan z usług Ratajczyka?

— Myślę, że z tego samego powodu co przynajmniej połowa jego klientów. Ze strachu i samotności.

— Ze strachu i samotności? — powtórzył aspirant.

— Tak. Teraz jestem zdrowy i sprawny, ale w moim wieku sytuacja może ulec zmianie z dnia na dzień. Nie trzeba uprzednio chorować, żeby dostać na przykład wylewu.

A w takim wypadku chciałbym, żeby ktoś w miarę prędko mnie znalazł. Jeśli nawet na ratunek będzie za późno, to choćby po to, żeby moje zwłoki nie leżały przez kilka tygodni.

Wykonując swój zawód, zapewne niejednokrotnie przekonał

się pan, że kilkutygodniowe zwłoki stanowią bardzo nieestetyczny widok. A ja zawsze byłem estetą — dodał Stańczyk, pokazując na obrazy.

— Dał pan Ratajczykowi klucze, żeby w razie czego mógł

pana znaleźć?

— Tak. A póki nie musi wzywać karetki czy karawanu, stanowi antidotum na samotność. Jest kimś, do kogo można otworzyć gębę. Dla takiego człowieka jak ja, towarzyskiego i rozmownego, emerytura i wdowieństwo, a w moim przypadku się to zbiegło, stanowi tragedię. Nagle nie ma z kim porozmawiać, bo okazuje się, że z wieloma ludźmi łączyły mnie tylko sprawy zawodowe, inni byli bardziej znajomymi żony niż moimi i bez niej kontakt się urwał, część odeszła na zawsze, bo z naszej półki Pan Bóg bierze już garściami...

— Nie mieli państwo dzieci?

— Mieliśmy... mamy... mam — poprawił się dwukrotnie Stańczyk. — Dwóch synów. Ale oni mają swoje życie i nie odwiedzają mnie co tydzień. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ani nie żywić o to do nich pretensji, ani nie czyni to z nich wyrodnym synów. Dziś żyje się w rodzinach nuklearnych, nie wielopokoleniowych, a przy obecnym tempie życia nie zostaje zbyt wiele czasu na kontakty międzyludzkie. Cóż, taka epoka, a trudno, żeby człowiek obrażał się na epokę, w jakiej przyszło mu żyć. Gdybym urodził się w dwunastym wieku, do śmierci mieszkałbym przy rodzinie, ale nie mógłbym wykładać na uniwersytecie, bo wtedy nie było uniwersytetów. Coś za coś.

Gajda pomyślał, że gdyby się dało, wymieniłby swoją matkę na Stańczyka. Ta nie akceptowała faktu, że policyjna robotka i żona z dzieckiem pochłaniały niemal cały jego czas.

Miała pretensje, że za rzadko ją odwiedza, przy czym nie wyrażała ich wprost, tylko przy każdej wizycie odstawiała jedną wielką pantomimę pod tytułem „Skrzywdzona matka wyrodnego dziecka”. To sprawiało, że odwlekał kolejną wizytę, pantomima nabierała intensywności — matka była mistrzynią pasywnego agresji — on miał dość i tak tworzyło się błędne ko-

ło. Tysiąc razy bardziej wolałby, żeby wykrzyczała, że ma ją częściej odwiedzać, bo jak nie, to go wydziedziczy.



— Czyli nie wydziedziczył pan swoich synów? — zapytał

profesora.

Stańczyk spojrział na niego, jakby został zapytany, czy wykorzystywał seksualnie swoje dzieci.

— Nie, skąd przyszło to panu do głowy?

— Niektórzy podopieczni Ratajczyka zapisali mu swój majątek — „a teraz nie żyją” chciał dodać Gajda, ale się powstrzymał, uznał, że nie ma powodu niepokoić profesora — bo rodzina się nimi nie interesowała.

— I domyślam się, że pańska wizyta spowodowana jest tym, że przytrafiło się im coś złego? — Stańczyk bez trudu dopowiedział sobie to, co aspirant przemilczał.

— Niestety... — Gajda zawahał się, ale uznał, że gospodarz i tak go przejrzał. — Dwóch z nich nie żyje.

— I podejrzewacie Ratajczyka? Przyznam, że trudno mi go sobie wyobrazić w roli mordercy. Szalenie z niego miły i uczynny chłopak. Chociaż, jeśli tak się zastanowić, nie był-

by to pierwszy doktor Jekyll i pan Hyde w historii świata. My-

śli pan, że coś mi grozi z jego strony? — ton głosu nie wskazywał, żeby Stańczyk naprawdę się bał.

— A zapisał mu pan jakieś pieniądze?

Profesor pokręcił przecząco głową.

— Bez przesady. Lubię go, ale nie na tyle, żeby pozbawiać moje wnuki należnego im spadku. Dostaje wynagrodzenie, co w zupełności wystarczy.

— Więc myślę, że może pan spać spokojnie. Zwłaszcza że Ratajczyka podejrzewamy, że tak powiem, dopiero w drugiej kolejności. I tylko przy jednym zabójstwie, przy drugim ma niepodważalne alibi. No właśnie, powiedział, że wczoraj był

do pana umówiony na piętnastą. Zgadza się?

— Zgadza się.

— Przyszedł punktualnie?

— Jak zwykle. W każdym razie nie odnotowałem, żeby się spóźnił, a ponieważ chłopak jest punktualny jak przedwojenny pociąg i można według niego regulować zegarek, co akurat nie jest naszą narodową cechą, z pewnością bym odnotował, gdyby nie zjawił się punkt o umówionej godzinie. Tak, kojarzę, u są-

siada bił zegar, a Ratajczyk dzwonił domofonem. Jak co środę.

Stańczyk spojrział na aspiranta, czy usatysfakcjonowała go ta odpowiedź.

— I jak, dałem mu alibi?

— Nie do końca — przyznał Gajda. — Ale poważnie za-węził mu pan pole manewru. Zabójstwa dokonano około czternastej w Leśnicy. Dotarcie tutaj w szczycie w ciągu godziny niekoniecznie musi się udać. A skoro zawsze był punktualny, nie mógłby sobie tym razem pozwolić na spóźnienie. Nie widział pan przypadkiem, czy nie wysiadał z taksówki?

— Nie widziałem, w oknie siedzę tylko wtedy, kiedy ma-luję widok ulicy. Wczoraj, owszem, malowałem, ale moją żo-nę ze zdjęcia. Z czasów młodości. Chce pan zobaczyć?

Aspirant skinął głową, nie tylko z grzeczności. Poza tym że podobały mu się obrazy Stańczyka, ciekawiło go, jak wyglą-

dała kiedyś jego żona.

Była piękną kobietą o posągowych rysach greckiej bogini.

Gajda chętnie zobaczyłby zdjęcie, które posłużyło za pierwo-wzór, żeby sprawdzić, czy portret był wierny, czy stanowił

raczej efekt artystycznej wyobraźni malarza, ale prosić o pokazanie zdjęcia nie wypadało, więc ograniczył się do zachwytów nad obrazem. Szczerych, bo jeśli nawet Stańczyk nie hoł-

dował realizmowi, talentu mu nie brakło.

— Wystawia pan gdzieś swoje prace?

— Z rzadka zorganizują mi jakąś wystawę. Do mistrzów trochę mi brakuje i nieco inny styl jest teraz w modzie. Obraz przedstawiający jezioro uchodzi za kiczowaty, jak pan maźnie niebieską plamę i podpisze „Jezioro”, to z pana artysta pełną gębą i może pan liczyć na zainteresowanie krytyków. Pod warunkiem oczywiście, że na przeszkodzie nie stanie metryka.

Pod tym względem zazdroszczę starcom na Zachodzie. Tam można w dowolnym wieku wykształcić się w dowolnej profesji i jeśli jest się w niej dobrym, zasłuży się na szacunek. U nas masz obowiązek zdobyć zawód za młodu i razem z nim się zestarzeć. Jeśli bierzesz się za coś nowego po latach, jest to trak-towane jako nieszkodliwe hobby. W najlepszym razie, bo mo-

żesz mieć pecha i zostać uznanym za dziwaka.

Aspirant, który na razie nie miał takich problemów, wstał, dziękując za udzielone wyjaśnienia.

— Proszę mi jeszcze tylko powiedzieć, czy Ratajczyk był

wczoraj jakoś podekscytowany albo zdenerwowany?

— Przeciwnie, był raczej senny.

— Senny?

— Trochę ziewał, tłumaczył się, że źle spał w nocy.

Aspirant jeszcze raz podziękował za informacje.

— Szkoda, że już pan ucieka. — Profesor podniósł rękę, widząc, że Gajda chce się usprawiedliwić.

— Proszę nie wyja-

śniać, świetnie zdaję sobie sprawę, że jest pan w pracy, a nie płacą panu za pogawędki. Życzę złapania mordercy.

Uścisnęli sobie dłonie.

Jeszcze na klatce schodowej aspirant sięgnął po komórkę i wybrał numer do Przygodnego.

— Wyszedłem właśnie, szefie, od Stańczyka. Potwierdza, że Ratajczyk był u niego wczoraj od piętnastej. Podobno jest nieziemsko punktualny i wczoraj też się nie spóźnił ani minuty. Czyli albo nie jest mordercą, albo musiał być tak zorganizowany, żeby na sto procent zdążyć w godzinę z Leśnicy.

Bo spóźnienie kłułoby w oczy jak cholera. A nie wpadł zady-szany, Stańczyk stwierdził, że facet przysypiał.

— Rzeczywiście na dwoje babka wróżyła. Musiałby się zmieścić w dwóch godzinach, bo wykładowca potwierdził, że był na ćwiczeniach, ale w stołówce nikt go oczywiście nie zapamiętał, a pierogi mieli w karcie. — Wbrew pierwotnym ustaleniom, to Przygodny sprawdzał stołówkę, gdyż znajdowała się na Smoluchowskiego, dwa kroki od Akademi Medycznej, a on miał popytać taksówkarzy stojących w okolicach Akademi . — Taryfciarze go nie pamiętają, co też niczego nie przesądza. Może nie trafiłem na tego, co go wiózł, a może faktycznie nigdzie nie pojechał. Albo jednak dostał się tam w in-ny sposób, na przykład na motorze.

— To jest myśl! Na motorze ominąłby korki.

— Sprawdź, czy ma prawo jazdy na motor, bez niego nie mógł jechać, bo w razie kontroli zostałyby odnotowane w naszych papierach. Mandat, motor na policyjny parking i tak dalej.

— Sprawdź.

— A jak z legatami na rzecz Ratajczyka?

— Z czym? — nie zrozumiał aspirant.

— Stańczyk coś mu zapisał w testamencie?

— Nie. Ma dwóch synów i wnuki i choć nie odwiedzają go zbyt często, nie ma o to do nich pretensji i uważa, że oni powinni dziedziczyć. Można przyjąć, że ze strony Ratajczyka nic mu nie grozi, bo Ratajczyk nie wzbogaciłby się na jego śmierci.

— No i Stańczyk nie ma inicjałów M. M. ani nie mieszka na ulicy zaczynającej się na W — żartował Przygodny.

— Panie komisarzu... — Gajda poczuł się lekko dotknięty.

— Tak się zastanawiam, czy nie powinniśmy sprawdzić wszystkich podopiecznych Ratajczyka. I ostrzec tych, którzy zapisali mu jakiś majątek.

— Zrujnujemy mu w ten sposób interes — zauważył aspirant. — Stańczyk wprowadzie niezbyt się przejął naszymi podejrzeniami, ale wielu z pewnością spanikuje i go zwolni.

Biorąc pod uwagę, że nie zamordował Majewskiego, a w przypadku Małysiaka jest dopiero drugim kandydatem, byłaby to chyba nadmierna ingerencja.

— Masz rację — zgodził się Przygodny. — Poza tym nawet jeśli zabił Małysiaka, to przecież nie jest taki głupi, żeby nie zdawać sobie sprawy, że z trzeciego morderstwa, na któ-

rym znowu dobrze by zarobił, już by się nie wywinął.

Zakończyli rozmowę. Komisarz prowadził ją pod drzwiami własnego mieszkania, bo mając do dyspozycji tylko jedną rękę, nie mógł ani wyjąć klucza, ani zadzwonić. Schowawszy telefon, sięgnął do dzwonka.

— Kto tam? — rozległo się po chwili.

— Ja, Marek, otwórz.

Gabi otworzyła drzwi.

— Zapomniałeś kluczy?

— Nie, ale złamałem sobie rękę. Jak nie pamiętasz, to przecież widać! — zirytowany zademonstrował gips. — I łatwiej mi zadzwonić.

— Aha, ale śmieci dasz radę wynieść?

Śmieci. Co tam połamane kości. Mógł się łamać, jak chciał, byleby zdołał wynieść śmieci.

— Co byś zrobiła, jakbym połamał sobie obie nogi?

— Co? — nie zrozumiała zawartej w pytaniu pretensji.

— Nieważne.

Wziął niebieski worek w lewą rękę i zszedł na dół. Ledwie wrzucił go do kubła, zadzwoniła komórka. Odebrał, nie sprawdzając, kto dzwoni, był przekonany, że coś się jeszcze przypomniało Gajdzie.

Ale dzwoniła Gabi.

— Słuchaj, mógłbyś podejść jeszcze do sklepu i kupić chleb? Skończył się. I pietruszkę. Potrzebuję do ziemniaków.

Tylko zieloną i nie koper!

Ostatnia uwaga odnosiła się do zdarzenia sprzed dwudziestu kilku lat, kiedy jako świeżo upieczony żonkoś chciał i musiał pomagać przy robieniu zakupów. W rodzinnym domu sprawunków dokonywała zawsze świętej pamięci rodzicielka, która uważała, że posyłanie mężczyzny do sklepu, nawet z listą zakupów, ma taki sam sens jak zlecenie niewidomemu nama-lowanie portretu. Chyba że w charakterze stacza do kolejki.

Jej przekonanie wzięło się z postawy ojca, który, mając głąbo-ko zakodowane, że problemy należy rozwiązywać, a nie omijać, nie przyjmował do wiadomości socjalistycznych braków i kiedy danego towaru nie było, kupował zamiennik. W miejsce kurczaka przynosił kaszanke, żółty ser zastępował białym, a proszek do prania szarym mydłem. I nie dawał sobie wytłumaczyć, że cywilizacja rozwinęła się do tego stopnia, że nie pierze się już na tarce, tylko we frani. Gabi miała w kwestii

„mężczyzna w sklepie” inne zapatrywania niż teściowa i nie zmieniło ich nawet to, że Marek wysłany pierwszy raz po nać pietruszki przyniósł biały korzeń, a pouczony, iż przez „nać”

rozumie się jej zieloną część, dumny, że choć nie ma doświadczenia w zakupach, to wystarczy mu konkretnie powiedzieć, co trzeba kupić, a kupi jak należy, przytargał... koperek.

— A chleb jaki?

— Obojętnie. Tylko patrz na ceny, ostatnio tak podrożał, że coś straszego.

Rzeczywiście, nie miał w zwyczaju sprawdzać, ile co kosztuje, kupował, co miał kupić, nie dbając o to, żeby wybrać tań-

szy produkt. Przynajmniej przy codziennych sprawunkach.

— Co się panu stało? — zapytała z zatroskaną miną ekspedientka przy kasie.

— Złamałem sobie rękę, jak widać na załączonym obrazku — uniósł lekko gips.

Uśmiechnęła się do niego i mimo że miał tylko dwa produkty, pomogła mu je włożyć do foliowego worka.

— I żona posyła pana na zakupy? — dostrzegła obrączkę na palcu.

— Pani by nie posyłała?

— Nie, ja bym się panem opiekowała — uśmiech znikł, a po twarzy przemknął wyraz rozgoryczenia.

Przygodny poszukał wzrokiem jej palców. Nie nosiła obrączki, tylko pierścionek.

— Trzy siedemdziesiąt — podała cenę.

Wyciągnął portfel i manewrując jedną ręką, wyjął z niego drobne. Wybiła na kasie, że dostała odliczoną kwotę i schowała monety do właściwych przegródek. Pożegnała go uśmiechem, bardziej smutnym niż promiennym.

Wracając, zastanawiał się nad rozmową z kasjerką. Pierwszą, choć pracowała tam od lat, a on od lat robił w tym sklepie zakupy. Czy w Polsce trzeba złamać sobie rękę, żeby nawiązać rozmowę z obcym człowiekiem? I czy ona z nim flirtowała? E, nie, odniosła się tylko do swojej sytuacji życiowej, najwyraźniej nikogo nie miała. Ciekawe dlaczego, była całkiem atrakcyjną kobietą. On w każdym razie nie miałby nic przeciwko temu, żeby umówić się z nią na randkę. Gdyby oczywiście nie był żonaty.

Jako żonaty dostał obiad. Znowu musiał jeść sam, tylko w weekend zjedli wspólnie. Przez chwilę męczył się z kotлетem

— tym razem był schabowy — palcami złamanej ręki mógł

ruszać i chwycić nimi nóż, ale nie na tyle mocno, by zdołał po-kroić mięso. Gabi nie zareagowała na jego wysiłki. Nabił ko-tleta na widelec, rezygnując z eleganckich form jedzenia.

— Widziałeś, że obok otworzyli gabinet?

— Nie, jaki gabinet?

— Psychologiczno-psychiatryczny.

Szkoda, że nie poradnię małżeńską, pomyślał. Chociaż wła-

ściwie taka poradnia to poradnia psychologiczna, więc od razu mogliby się tam udać. Dowiedzieć się, czy jak mąż złamie sobie rękę, normalną reakcją żony jest całkowity brak reakcji.

— Mógłbyś coś z tym zrobić?

— Z czym? — nie wiedział, o co pyta.

— No z tym gabinetem.

Odłożył kotlet i nadział na widelec ziemniak.

— Niby co miałbym robić z tym gabinetem? I w jakim celu?

— Nie wiem, sprawdzić, czy mają wszystkie pozwolenia albo czy spełniają jakieś normy, albo znaleźć inny pretekst, żeby go zamknąć.

— Ale dlaczego? Co ci ten gabinet przeszkadza? Zrozumiałbym, gdyby to była przychodnia stomatologiczna, wrza-ski pacjentów mogą być uciążliwe — starał się zażartować.

Nie uśmiechnęła się.

— Wariaci są niebezpieczni. A jak któryś zaatakuje mnie nożem?

Nie wierzył, że mówiła poważnie. Odłożył widelec.

— Co się z tobą dzieje? Od tygodnia jesteś w innym świecie. Nie jadasz ze mną, zapominasz o moich urodzinach, moją złamaną ręką bardziej interesuje się ekspedientka w sklepie niż ty. A teraz wygłaszasz nonsensy godne zacofanej baby ze wsi. Wariaci biegający z nożami nie odwiedzają prywatnych gabinetów psychiatrycznych, tylko siedzą na oddziałach zamkniętych w kaftanach bezpieczeństwa. Chcę rozwodu.

Ostatnie zdanie padło na doczepkę, wcale nie miał zamiaru go powiedzieć.

Popatrzyła na niego przestraszona oczami ginącymi w na-lanej twarzy.

— Co?! Dlaczego? Masz kochankę?

Pokręcił głową.

— Nie, nie mam kochanki. Ale widzę, że nasze małżeństwo doszło do ściany. Jesteśmy ze sobą już tylko z przyzwyczajenia, a odkąd Asia się wyprowadziła, chyba nie ma dla kogo utrzymywać tej fikcji.

— Kłamiesz! Masz kochankę!

— Nie kłamię. Nigdy cię nie zdradziłem i nie zdradzę, do-póki będziemy małżeństwem.

— Aha! Czyli chcesz się rozwieść, żeby bez wyrzutów sumienia móc posuwać dziwki!

Aż go zatkało ze zdumienia. Gabi nigdy nie posługiwała się tak wulgarnym językiem.

— A gdybyś zwracał na mnie trochę większą uwagę, to zauważyłbyś, że nie jestem w innym świecie od tygodnia, tylko od czasu, jak Asia się wyprowadziła.

Najlepszy dowód, że staliśmy się sobie obcy, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Nie wydawało się, żeby przyjęła do wiadomości jakąkolwiek inną przyczynę rozpadu ich związku niż tę, że on chciał uprawiać seks z innymi kobietami.

— Czuję się tak, jakby Asia umarła, a nie tylko się wyprowadziła — dodała niemal żałośnie Gabi.

— Nie przesadzasz? Dzieci wyprowadzają się z domu, ta-ka jest naturalna kolej rzeczy.

— Ale dlaczego tak wcześnie? Mogła jeszcze z nami po-mieszkać.

Wrócił do jedzenia.

— Wałkowaliśmy już to wszystko, kiedy się wyprowadza-

ła. Ludzie mają znacznie większe problemy ze swoimi dzieć-

mi. Niektóre na przykład zrywają kontakty. Asia ani nie zerwała kontaktów, ani nawet nie wyjechała do innego miasta. Masz ją na miejscu. Dlaczego nie przeżywasz tak Micha-

ła, który wyjechał przecież za granicę?

— No bo jak on wyjechał, jedno dziecko w domu jeszcze zostało, nie było takiej pustki, jaka się zrobiła, kiedy wyprowadziła się Asia.

A oni we dwójkę nie byli w stanie zapełnić tej pustki, choć kiedyś starczali sobie za cały świat.

Skończył posiłek, nie poruszając więcej tematu rozvodu.

Teraz już jednak wiedział, że jest to tylko kwestią czasu, jak będą musieli do niego wrócić.

## **Część II**

Przygodny przyjrzał się brązowej rzeźbie misia przy wejściu do Piwnicy Świdnickiej, najstarszej, bo trzynastowiecznej, restauracji w Europie, po czym wszedł do środka. Był

umówiony z Kuriatą, co jakiś czas wychodzili razem na piwo.

Nie regularnie, jeśli rozumieć przez to stałe odstępy czasowe, ale regularnie, jeśli wziąć pod uwagę, że wypijali po kuflu albo po kilka od dwóch dekad. Od niedawna upodobali sobie Piwnicę Świdnicką, bo przez te lata ich gusta lokalowe zmienia-

ły się, mieli nawet taki okres, że preferowali piwo z puszek na ławkach nadodrzańskiego parku.

Komisarz sprawnie ściągnął kurtkę — cztery tygodnie w gipsie pozwalały dojść do wniosku, że druga ręka jest wprawdzie mocno przydatna, ale jednak wcale nie niezbędna do w miarę normalnego funkcjonowania — powiesił ją na wieszaku i poprawił temblak, teraz już nie prowizoryczny, tylko specjalnie zakupiony w aptece. Kuriata, tak jak się umówili, zajął

stolik w Sali Rajców. Nie dostrzegł przyjaciela, gdyż czytał ja-kąś książkę, która najwyraźniej całkowicie go pochłonęła. Kiedy Przygodny szedł w jego stronę, dziennikarz musiał natrafić na zabawny fragment, bo wybuchnął gromkim śmiechem.



— Cześć! Co takiego wesołego czytasz?

— O, jesteś! Dobrze, bo już chciałem wziąć sobie piwko, nie czekając na ciebie. Aż żal zapoznawać się z takimi rewe-lacjami o suchym pysku. — Pusty kufel świadczył, że Kuriacie jedno piwo nie wystarczało do „zmoczenia pyska”.

Dziennikarz przymknął książkę, zaznaczając palcem miejsce, w którym przerwał lekturę, i odwrócił, żeby Przygodny mógł

zobaczyć tytuł na okładce.

Medycyna sądowa, odczytał komisarz.

— Bawi cię podręcznik medycyny sądowej? — Przygodny nie myślał, że po tylu latach znajomości Kuriata będzie w stanie go czymś zaskoczyć, a jednak.

— No! Powiedz mi na przykład, co jest najczęstszą przyczyną zgonów w wypadkach pojazdów śnieżnych. To znaczy, skuterów śnieżnych, źle jest przetłumaczone.

— W wypadkach skuterów śnieżnych?

— Tak, w wypadkach samochodowych są to zwykle obra-

żenia mechaniczne od uderzenia, a od czego ludzie umierają, kiedy rozbijają się skuterem śnieżnym?

Przygodny przeanalizował warunki, w jakich używa się tego rodzaju pojazdów.

— Od wychłodzenia organizmu — strzelił. — Wywracasz się, tracisz przytomność albo jesteś tak połamany, że nie mo-

żesz się ruszyć, i zamarzasz w zaspie.

— Dobrze wykombinowane — pochwalił Kuriata — ale nie. Od utonięcia! — znowu się zaśmiał. — Kurczę, chciałem się doszkolić, a mam ubaw. Pacany wjeżdżają skuterami na zamarznięte akweny, lód się pod nimi załamuje i topielec gotowy.

Skuterami śnieżnymi — poprawił się — skuter to co innego.

— Właśnie, skuter! — wykrzyknął komisarz.

— Co?

Przygodny nie zdążył od razu wyjaśnić, bo do ich stolika podeszła kelnerka. Zamówili dwa duże piwa z beczki.

— W sprawie Małysiaka. Jego pielęgniarz wydaje się nam podejrzany, ale ma alibi na godzinę po zabójstwie, że tak powiem. Musiałby w ciągu tej godziny dostać się z Leśnicy na Grunwaldzką.

Gajda przejechał testowo ten odcinek w pięć-

dziesiąt osiem minut, czyli samochodem wykonalne, ale bez gwarancji, że się zdąży. A gdyby pielęgniarz nie zdążył, mielibyśmy go na widelcu, bo był umówiony i dowiedzielibyśmy się, że nie dotarł na czas. Typowaliśmy, że mógł ominąć korki motorem, ale gość nie ma ani motoru, ani prawka na motor. Nie pomyśleliśmy o skuterze. Na skuter nie trzeba uzyskiwać dodatkowej kategorii. Odłóż tę książkę! — polecił

Przygodny, bo Kuriata bardziej był zaabsorbowany zdjęciami w podręczniku niż słowami przyjaciela.

— Przecież cię słucham. Facet wziął skuter, a wy nie oglądaliście Rzymskich wakacji i nie wiedzieliście o istnieniu takiego środka lokomocji. Chcesz zobaczyć trzyletnie dziecko przejechane przez ciężarówkę? Chyba jelita mu wyszły.

— Nie chcę. Zamknij to.

— Ze śladami opon.

— Zamknij to!

Kuriata zatrzasnął książkę z miną mówiącą, że jeszcze nie zetknął się z podobną niechęcią do poznawania rzeczywistości. W skomentowaniu na głos przeszkodziła mu jednak kelnerka, która przyniosła piwo.

Sięgnęli po kufle i na tyle długo rozkoszowali się w milczeniu pierwszymi zimnymi łykami, że kiedy podjęli rozmowę, nowy temat był w pełni uzasadniony.

— Jak ręka? — zapytał Kuriata.

— Nadal złamana — Przygodny zademonstrował gips. —

Jeszcze dwa tygodnie. Najbardziej doskwiera mi, że nie mogę prowadzić samochodu. Ale są też dobre strony, nagle wszyscy są dla mnie mili i uprzejmi, zwłaszcza kobiety. Ciekawe, że w Polsce trzeba się połamać, żeby ludzie stali się dla ciebie życzliwi. Ekspedientka, która nigdy nie odezwała się do mnie słowem, nagle zaczyna ze mną rozmawiać.

— Co się dziwisz? Jako połamaniec jesteś bezbronny, wymagasz opieki, a kobiety mają opiekuńczą naturę.

— Tylko u mojej żony jakoś się nie ujawniła.

— Co tam u Gabi?

Kuriata w domu u Przygodnych praktycznie nie bywał.

Z początku go zapraszali, ale zwykle się wymawiał, więc później nie ponawiali już zaproszeń.

Wyraźnie preferował spotkania tylko z przyjacielem, bez jego rodziny, w knajpach. Przygodny nie wnikał dlaczego, zresztą jemu też to odpowiadało. Na brak gości z Gabi nie narzekali, a przyjemnie było czasami oderwać się od żony i dzieci i posiedzieć z kumplem przy piwie.

— Dziwna się jakaś ostatnio zrobiła.

— Dlaczego dziwna?

Przygodny chciał odruchowo powiedzieć „nieważne”, bo analizowanie zachowania Gabi musiało prowadzić do tematu małżeńskiego kryzysu, a osobistych problemów w rozmowach z Kuriatą nie poruszali. Męską przyjaźń budowały wspólne interesy, dyskusje przy piwie o piłce nożnej i polityce oraz za-chwyty nad ładnymi kobietami, a nie wiwisekcje własnego wnętrza.

— Jakby mnie w ogóle nie dostrzegą, zapomniła o moich urodzinach, nawet nie próbowała udawać, że obchodzi ją moja złamana ręka. — Nie wiedział, co go jednak skłoniło do zwierzeń; chyba nie wypite pół piwa, nie miał aż tak słabej głowy, raczej potrzeba podzielenia się problemem, w czym być może dostrzegał szansę na wyjście z impasu: kilkakrotnie przymierzał się do tego, żeby definitywnie rozmówić się z Ga-bi w sprawie rozwodu, ale się nie zebrał.

— Pewnie przechodzi klimakterium — delikatność Kuriaty była legendarna. — Z nimi całe życie tak. Najpierw świrują, bo im hormony grają przy dojrzewaniu, potem świrują, bo al-bo są przed okresem, albo w trakcie, albo po, a w końcu dostają świra, jak dopadnie je klimakterium. To ostatnie najgorsze, bo dochodzi świadomość, że są już na wylocie, i robią się tak wybuchowe, że nitrogliceryna wysiada. Nic dziwnego, że faceci żyją krócej, po prostu wykańcza ich takie towarzystwo.

Dokonawszy tego odkrycia, Kuriata pociągnął potężny łyk piwa i rozejrzał się po sali. Ta, w której usiedli, należała do najmniejszych z dziewięciu sal Piwnicy Świdnickiej, urządzone ją w drewnie na wzór siedemnastowiecznej oberży. Wszystkie stoliki były zajęte, piątkowy wieczór ściągął licznych gości, mających zamiar odprężyć się po ciężkim tygodniu pracy.

— Nie, nie przechodzi klimakterium. Mam wrażenie, że to kryzys między nami — powiedział smętnie Przygodny. —

Poruszyłem nawet temat rozwodu, później wprawdzie do niego nie wróciłem, a Gabi udaje, że te słowa w ogóle nie padły, ale chyba ku temu zmierza.

— Rozwód? Co ty gadasz za pierdoły?! — Kuriata wyglądał na wstrząśniętego.

Przygodnego zaskoczyła reakcja przyjaciela. Dotąd był przekonany, że jego stan cywilny jest Kuriacie obojętny.

— Co cię tak to poruszyło? Statusu przyjaciela rodziny nie stracisz, bo nigdy się o niego nie ubiegałeś. Kiedy ostatni raz byłeś u nas w domu? Piętnaście lat temu?

Kuriata, zanim odpowiedział, pokazał przechodzącej kel-nerce, że dopijają piwo, sygnalizując w ten sposób, że prosi o podanie dwóch kolejnych.

— Możesz mi wierzyć albo nie, ale wasze małżeństwo jest jednym z filarów mojej rzeczywistości. Czymś trwałym w zmieniającym się świecie. A rzeczy trwałe dają poczucie bezpieczeństwa. Skoro nawet wasze małżeństwo się sypie, jest źle.

Coś a la runięcie World Trade Center.

— Upiłeś się dwoma piwami? — Przygodny odniósł się sceptycznie do tej deklaracji. — Rozumiem, że mój świat się wali, bo jesteśmy z Gabi małżeństwem blisko ćwierć wieku, ale twój?

— Nie przekonuje cię, że moja reakcja jest czysto egoisty-czna? Martwię się o siebie, nie o ciebie. Wiesz się oczywiście nie będę, ale mnie to rusza.

Argument był nie do obalenia. Obalili więc dwie pięćdziesiątki, których zamówienie Kuriata uznał za konieczne z tej smutnej okazji.

— I jak się z tym czujesz? — zapytał, zadając kłam włas-nemu twierdzeniu, że nie obchodzi go nikt poza nim samym.

Przygodny musiał wypić dwa łyki złocistego napoju, by zdefiniować swoje uczucia.

— Podle. Niby jestem świadom, że zwyczajnie minął nasz czas, nic nas już nie łączy, odkąd Asia się wyprowadziła, ale kiedy powiedziałem o rozwodzie, Gabi zareagowała tak, że czuję się, jakbym ją porzucił. Wiesz, facet znajduje sobie młodszy model i odchodzi, bo żona się postarzała i roztyła. A tak wcale nie jest, nie mam kochanki, zawsze byłem jej wierny.

— Chylę czoła — oznajmił Kuriata. — Ale może czas, żebyś sobie poszalał. Zaliczył parę ekstra dup, zanim będzie za późno.

— Wiesz co, zmieńmy temat — zirytował się Przygodny.

— Ja o poważnych problemach, a ty o zaliczaniu. Nawet jak rozstanę się z Gabi, nie mam zamiaru przechodzić na twój styl życia. Mnie interesuje jedna kobieta, z którą łączy mnie coś więcej niż łóżko: wspólne doświadczenia, wspólne przeżycia. Taka, z którą się zestarzeję i która będzie mnie trzymała za rękę, jak będę umierał. Myślisz, że któraś z twoich kochanek pofatyguje się, żeby towarzyszyć ci na łóżu śmierci?

— Pewnie nie, ale to bez znaczenia. Choćbyś miał w pokoju tłum ludzi, tak naprawdę zawsze zdychasz sam. Ten na górze odstawił po prostu fuszerkę. Za źle stworzony świat! —

Podniósł kufel w toaście, po czym ciągnął: — Co nie znaczy, że cię namawiam. Każdy ma swoje upodobania. Tylko znajdź

sobie jakąś młodszą babeczkę, żeby nie zdążyła ci się zestarzeć i roztyć, zanim wykitujesz. Góra dwadzieścia pięć lat.

Szukam właśnie nowej praktykantki, bo stara była tak zachwycona moim artykułem o indiańskim zabójcy, że dała się parę razy przelecieć i już mi się znudziła, więc mogę się poświęcić, wybrać coś pod twój gust i cię z nią poznać.

— Obejdzie się — mruknął Przygodny. — Sam sobie znajdę. I nie zamierzam wiązać się z żadną sikszą.

— Wolisz jakieś próchno po trzydziestce? — zdumiał się szczerze Kuriata.

— Chłopie ja mam czterdzieści cztery lata. Gabi jest moją równolatką i było dobrze.

— Nie było dobrze, bo się rozwodzicie — zbił ten argument przyjaciel. — Poza tym co innego, jak kobieta jest twoją równolatką, kiedy masz dwadzieścia cztery lata, a co innego, jak masz czterdzieści cztery.

— Co ty bredzisz? Jest wiele atrakcyjnych kobiet po czterdziestce, a tym bardziej po trzydziestce i nie widzę przeszkód, żeby się z taką związać. Ty jesteś jakimś fetyszystą wieku!

Kuriata popił łyk piwa i otarł usta.

— Nie ma atrakcyjnych kobiet po czterdziestce — oświadczył autorytatywnie. — Tak ci się tylko wydaje, bo oglądasz je na odległość, a one są po prostu dobrze odrestaurowane. Ale kiedy rozbierzesz taką, która przez kilka godzin w łazience ratowała swój wygląd, wychodzi cała ruina, tu coś zwisa, tam cel ulit, brr... — Kuriata się wzdrygnął. — A teraz trzeba bardzo uważać, bo one wyglądają młodziej, podrywasz taką i myślisz, że ma najwyżej dwadzieścia sześć lat, a rozbierasz ją i widzisz, że trzydzieści pięć. Raz mi się zdarzyło, straszne przeżycie. Powinienem jakąś rentę dostawać za przeżyty wstrząs psychiczny.

Kuriata na konto wstrząsu psychicznego opróżnił kufel do dna i rozejrzał się za kelnerką. Uchwycił jej wzrok i podniósł dwa palce, ale Przygodny zaprotestował.

— Ja jeszcze mam.

— Nie szkodzi, jak mnie nie dogonisz, będzie dla mnie.

— Upijesz się.

— I dobrze. Szybciej zapomnę o tym przykrym widoku.

Tak, kiedyś kobiety czterdziestoletnie miały na tyle przyzwoitości, żeby na te czterdzieści i nawet z okładem wyglądać.

A teraz! Powinny mieć tabliczki znamionowe. Jak samochody. O, to jest świetny pomysł! — Kuriata zachwycił się swoją propozycją. — Przecież jak sprzedawca podaje ci nieprawdziwy rocznik samochodu, może trafić za kratki za oszustwo, a kobiety są bezkarne, kiedy ukrywają swój rocznik, choć to jest co najmniej oszustwo kwalifikowane!

— Dlaczego ty masz taki pogardliwy stosunek do kobiet?

— zapytał Przygodny. — Zrobiły ci coś?

Kuriata sięgnął po piwo, które podała kelnerka.

— Jedna — zdobył się na niespodziewaną szczerłość.

— O! — Przygodny był zaskoczony. — Nigdy nie dałeś po sobie nic poznać.

— Bo to stare dzieje. Jeszcze zanim się poznaliśmy. Licealna miłość. Możesz sobie wyobrazić, że szczeniacka miłość determinuje całe twoje życie?

— Mogę, z Gabi zacząłem chodzić w liceum.

— To co innego. Wasze uczucie miało czas, by przekształ-

cić się z nastoletniego zauroczenia w dojrzałą miłość, moje nie, bo było nieodwzajemnione. Powiniennem się z niego otrzą-

snąć, na to, co dla nastolatka jest tragedią, dorosły mężczyzna powinien patrzeć z pobłażaniem, ale jednak nie. Tkwi we mnie jak zadra.

Zamilkł i przez dłuższą chwilę sączyli piwo. Przygodny nie odzywał się, bo nie chciał ani nastawać na dalsze zwierzenia, ani, zmieniając temat, przeszkadzać, gdyby przyjaciel zdecydował się podzielić tym, co najwidoczniej od lat go gryzło.

— Prześliczna była z niej dziewczyna. O oczach Audrey Hepburn. Obejrzałem wtedy po kilka razy wszystkie filmy z Hepburn, tak Hania była do niej podobna. Hania miała na imię. Zakochałem się, jak tylko szczeniak potrafi się zakochać. Znasz to uczucie, kiedy twoje myśli dwadzieścia cztery godziny na dobę zaprzęta tylko ta jedna, jedyna i nie istnieje nic poza nią? Dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo kiedy śpisz, ona ci się śni.

Przygodny znał.

— Tak było ze mną. Ale nie miałem szans. Mały grubas startuje do najładniejszej dziewczyny w klasie. Nie wiem, co sobie wtedy wyobrażałem. Może zmyliło mnie to, że w szkole średniej poprawiła się moja pozycja. W podstawówce koledzy regularnie mnie tłukli, ratowałem się, grając błazna. W liceum nie bardzo miał mnie kto tłuc, bo wybrałem klasę humanistyczną, w której razem ze mną było pięciu chłopaków. A tamci jeszcze większe ofiermy niż ja, nagle nie liczyły się pięści, tylko intelekt, a pod tym względem górowałem.

Kuriata znowu zamilkł i otoczył ich gwar rozmów pozostałych gości.

— Ale najwyższe IQ ci nie pomoże — podjął — jak jest w nieatrakcyjnej powłoce. Mogłem wyznawać jej miłość, ile chciałem, znosić kwiaty i prezenty, ale w najlepszym razie mogłem liczyć na to, że mnie nie wyśmieje, nie pośle do diabła, tylko przyjmie moje wyznania obojętnie. Na swoje

nieszczę-

ście nie dawałem za wygraną. Może gdybym pogodził się z odmową, dziś byłbym w innym miejscu... Nie, to rozpatrywanie niewykonalnych scenariuszy — zaprzeczył sam sobie. — Zakochany szczeniak nie potrafi zaakceptować odmowy, to wbrew naturze. Kochasz tak, że rozsadza ci mózg, i masz przyjąć do wiadomości, że możesz sobie tę swoją miłość wsadzić, bo ukochana jej nie chce? Dlaczego w ogóle ludzie zako-chują się bez wzajemności? Mówię ci, Marek, ten skurwiel na górze spieprzył to wszystko niewąsko!

Kuriata wykonał zamaszysty gest ręką, chcąc podkreślić swoje słowa, i zawadził o kufel z piwem, który z hukiem rozbił się na podłodze. Przyciągnęło to uwagę innych gości i rozzłoszczonej kelnerki.

— Pani przymknie klapkę — odparł dziennikarz na jej pretensje — zapłacę za ten kufel. Poza tym lokal sprzeda wię-

cej piwa, bo tego, co się rozlało, przecież nie wypiję, a swoją normę muszę wyrobić. Niech pani przyniesie dwa piwa i dwie pięćdziesiątki.

— Jedną pięćdziesiątkę — sprostował Przygodny. — Ja dziękuję, wódki nie dam już rady.

— Dwie — podtrzymał zamówienie Kuriata. — Dla siebie zamawiam, nie dla ciebie. Jak chcesz usłyszeć koniec tej za-

łosnej historii, to muszę się napić.

Przygodny zrozumiał, że przyjaciel, skoro zaczął opowiadać, chce wyrzucić z siebie wszystko, ale zbicie kufła wytrąciło go z rytmu i potrzebuje pretekstu, by do opowiadania wrócić.

Takiego, że nie może pozostawić niezaspokojonej ciekawości rozmówcy.

— Bo przyszedł moment — podjął Kuriata, wypiwszy jednym haustem kieliszek wódki — w którym uwierzyłem, że moje starania przełamały jej niechęć. Uwierzyłem, że mogę ją zdobyć, że szczęście jest w zasięgu ręki. Pojechaliśmy na wycieczkę ze szkoły, dwie klasy, nasza i mat.-fiz. Wiedziałem, że kumpel smali cholewki do przyjaciółki Hani, więc zaproponowałem spacer we czwórkę, tylko ze mną Hania nie zgodziłaby się pójść, i umówiliśmy się z kumplem, że postaramy się rozłączyć. Udało się bez większego problemu, bo przyjaciółka Hani była mu przychylna i też chciała zostać z nim sam na sam. Nie wiem, czemu to zawdzięczam, kolejnym wyznaniom, romantycznej oprawie spaceru: maj, las, ptaki, zazdro-

ści, że przyjaciółka kogoś ma, a ona nie, faktem jest, że kiedy przystanęliśmy, by podziwiać stado saren, ona z przodu, ja za nią, i szeptałem jej do ucha komplementy, szczeniacko naiwne, że jest zgrabna jak te sarenki, wtedy o mało się do mnie nie przytuliła. Inaczej nie umiem tego określić. To był jakiś taki gest, że przez moment nie była sztywna, odpychająca, mająca się na bacności, tylko miękka, uległa, ciepła. Przez moment.

Później chciałem wziąć ją za rękę, ale nie pozwoliła.

Kuriata wypił drugi kieliszek wódki.

— Zobacz, Marek, jakie ja mam wspomnienia z miłości życia. O mało się do mnie nie przytuliła... — Zaśmiał się krótkim śmiechem, w którym nie było śladu wesołości. — Ale wówczas uznałem to za dobry omen, za dowód, że warto się starać, walczyć, nadzieja znalazła pożywkę: już widziałem się z nią na ślubnym kobiercu. — Znowu się zaśmiał. — Boja mia-

łem wtedy takie same wyobrażenia jak ty: jedna kobieta na całe życie. Dwie: żona i córka. Zwykle faceci chcą mieć syna, a ja zawsze marzyłem o córce. Dwie moje dziewczyny, o które mógłbym się troszczyć. Bo byłbym dobrym mężem i ojcem.

Tak mi się w każdym razie wydaje.

Kuriacie zaszkliły się oczy. Przygodny, który nigdy nie widział przyjaciela wzruszonego, udał, że tego nie zauważył, ten jednak poczuł się zakłopotany i pokrył zakłopotanie złością:

— Gdzie jest, kurwa, ta kelnerka?! Wódka mi się skończyła!

Czekając na obsługę, wypił tyle piwa, by pokryć różnicę w procentach.

— Z rozgorączkowania nie mogłem w nocy spać — powiedział, kiedy złożył zamówienie na kolejne dwie pięćdziesiątki.

— Wyszedłem na dwór. Wtedy ich zobaczyłem. Hanię z przy-stojniakiem z mat.-fizu. Całowali się. Powiedz mi, dlaczego ten skurwiel tak to wszystko organizuje, że dostajesz po łbie, kiedy jesteś najszczęśliwszy? Pewnie, ścięłoby mnie to z nóg zawsze, bo myślę, że jest tylko jeden widok gorszy od tego, kiedy dziewczyna, którą kochasz, naprawdę kochasz, całuje się z innym, widok własnego umierającego dziecka, ale szok jest chyba odrobinę mniejszy, jeśli spodziewasz się nieszczęścia, niż gdy spada na ciebie, jak akurat jesteś w siódmym niebie.

Kelnerka podała wódkę i Kuriata wypił oba kieliszki za jednym zamachem.

— Co się pani patrzy? Jeszcze raz.

— To może dam całą butelkę?

— Niech pani da. Tylko nie to świństwo, które mi pani dotąd serwuje. Finlandię.

Dziewczyna obdarzyła dziennikarza niechętnym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała, tylko odeszła do baru.

— Rzuciłem się do ucieczki, chciałem znaleźć się jak naj-dalej od nich, od tego widoku, który rozrywał mi mózg na strzępy, biegłem przed siebie, przewracałem się, wstawałem, znowu biegłem. Gałęzie waliły mnie po twarzy, co paradoksalnie przynosiło ulgę, fizyczny ból na moment przytłumiał



ten psychiczny, z którym nie można sobie poradzić. Jak cię bo-li brzuch czy głowa, to sobie ulżysz, skulisz się albo rozmasu-jesz skronie, ale kiedy rozrywa ci serce, ból możesz zagłuszyć tylko innym bólem. Dobiegłem do stacji kolejowej. Nie wiem jakim cudem, nie obierałem żadnego kierunku. Wsiadłem w pociąg i na gapę wróciłem do domu. Wywołałem lekką panikę, obie klasy łąziły po lesie, ale nie dla rozrywki, tylko żeby mnie szukać, wychowawcy ociągali się jednak z powiadomieniem milicji, bali się nieprzyjemności, że mnie nie upilnowali, i moi rodzice zdążyli zadzwonić, że cały i zdrowy, choć mocno potłuczony i podrapany, dotarłem do domu.

Kelnerka postawiła na stole butelkę Finlandii. Kuriata wziął ją, odkręcił nakrętkę, nalał sobie wódki i pytającym gestem pokazał butelkę Przygodnemu. Ten pokręcił przecząco głową.

— Dziękuję, mam piwo.

— Zmieniłem szkołę. Z początku nie chciałem, bo zdawa-

łem sobie sprawę, że jak zniknę z kręgu jej znajomych, a po-za szkołą nie mieliśmy okazji się spotykać, definitywnie przekreślę swoje szanse. Ale nie byłem w stanie patrzeć, jak na przerwach chodzą przytuleni do siebie, jak ona czeka na dzwonek, żeby do niego polecieć. Oczywiście nie przestałem o niej myśleć. Najgorsze były chwile przed zaśnięciem. Starałem się wrócić do marzeń sprzed wycieczki, zapomnieć, że ona ma chłopaka, i ponownie marzyć o tym, jak to będzie, kiedy się zejdziemy, kiedy ją pierwszy raz pocałuję. Ale się nie dało. Są w życiu człowieka zdarzenia, po których nic już nie jest jak wcześniej. Od których czas liczy się na nowo. Za te zdarzenia!

Stuknął kieliszkiem w kufel Przygodnego, wypił i ciągnął

niewielko bełkotliwie:

— Czasami Hania mi się śni. Nadal. Choć minęło dwadzieścia lat z okładem. Przez długie okresy nic, a potem zwykle dwie, trzy noce z rzędu. I zawsze ten sam motyw: gdzieś ją widzę, chcę do niej podejść, zagadnąć, ale albo mi się nie udaje, albo ona nie wie, kim jestem, albo nie chce ze mną rozmawiać. Próbuję ją zatrzymać, przekonać, ale, jak w rzeczywistości, na próżno. Po tych snach mam taki napad melancholi, że rzucam wszystko w diabły i zaszywam się w leśnych ostę-

pach, najlepiej w Bieszczadach, z dala od ludzi. Wiesz, Stachu-ra, Siekierzada, te klimaty, włącznie z tendencjami samobój-czymi. Potem jednak jako rasowy dziennikarz znajduję na miejscu jakiś temat, czy raczej temat mnie dopada, nie kryminałek, tylko coś wzruszająco-sentymentalnego na miarę mojej melancholi, i przekonuję się, że Jeszcze warto". Wracam na przykład z Historią jednego konia, tytuł zerznąłem od Ba-bła, Misiak najpierw się piekli, odgraża, że dawno mnie wylał, bo wyjechałem bez uprzedzenia i przez iks czasu nie dawa-

łem znaku życia, następnie czyta mój tekst i stwierdza, że przyjmuje mnie z powrotem tylko i wyłącznie dlatego, że chce opublikować najlepszy reportaż, jaki w życiu napisałem.

— Czyli z każdego cierpienia może wynikać coś dobrego

— podsumował filozoficznie Przygodny.

— Bzdura! — sprzeciwił się gwałtownie Kuriata. —

Przyjdzie taki dzień, że nie uda mi się przekonać samego siebie, że Jeszcze warto". Stachurze też się nie udało.

— Jurek!

Kuriata najpierw napił się wódki i dopiero wtedy odpowiedział:

— Nie bój się, tak tylko gadam. Jak dotąd nie strzeliłem sobie w łeb, to pewnie już nie strzelę. Jestem na to chyba za wielkim tchórzem. No i nie posiadam pistoletu — zauważył

z pijacką logiką. — Tylko czasami coś aż mnie rwie w środku, ogarnia mnie taka tęsknota, zastanawiam się, jak by to było, gdyby między mną a Hanią ułożyło się tak samo jak między tobą a Gabi. — Kuriata mówił już z wysiłkiem, język plątał

mu się pod wpływem alkoholu i musiał się mocno starać, że-by formułować sensowne zdania. — Tak bardzo chciałbym mieć rodzinę, być mężem, ojcem, a nie tylko dziennikarzem...

Wiesz, jak kijowo człowiek się czuje, kiedy miłego dnia życzy mu komórka, a życzenia bożonarodzeniowe dostaje z banku?

— Co stoi na przeszkodzie, żebyś się ożenił?

— Nic. Ale to, że się ożenisz, jeszcze nie oznacza, że masz rodzinę. To musi być ta kobieta — położył akcent na „ta". —

Nie byle jaka.

— To dlatego! — zrozumiał nagle Przygodny.

— Co dlatego? — nie rozumiał dla odmiany Kuriata.

— Dlatego wymigiwałeś się od odwiedzin u nas. Kłuło cię w oczy nasze rodzinne szczęście!

— Sorry, ale to nie z zawiści, tylko z żalu, że mnie ominęło.

— Nie, nie zgłaszam pretensji, potrafię wczuć się w twoją sytuację, teraz wprawdzie rozstaję się z Gabi, ale nie przekreślam naszego życia, nie twierdzę, że zmarnowałem te lata, przeciwnie, nic piękniejszego nie mogło mnie spotkać i wolę nawet nie myśleć, w jakim miejscu byłbym dzisiaj, gdyby wtedy nie odwzajemniła mojego uczucia.

— W tym co ja?

— Być może. Kochałem ją tak mocno, jak ty tę swoją Ha-nię. — Przygodny poczuł, że szumi mu w głowie, mimo iż pil znacznie mniej od Kuriaty. — Nie znałem cię od tej strony, Jurek, jesteś jakiś... bardziej ludzki. Ty masz... duszę.

Dziennikarz popatrzył na przyjaciela zamglonym wzrokiem i oświadczył:

— Mareczek, chyba sam rozumiesz, że teraz będę musiał

cię zabić. I ujdzie mi to na sucho, bo tylko ty potrafisz złapać inteligentniejszego mordercę. Poza tym nie mam duszy. Du-szę sobie wtedy odpuściłem, więc to co najwyżej czas przeszły.

Nacierpiałem się i dotarło do mnie, że trzeba być twardym.

Inaczej zmarniejesz. Miłość to mrzonka, jest tylko przekazywanie genów. Pokrywanie samicy. Sprawą trzeciorzędną jest, jak to osiągniesz, że pozwoli się pokryć, ale uczucie nie prowadzi do celu. W przypadku kobiety nie można się angażować, bo wtedy przestajesz być dla niej interesujący. W najlepszym razie uzna cię za jelenia, któremu powierzy utrzymywanie jej i dzieci, ale dzieci nie będą twoje. Geny weźmie od samca, któ-

ry potraktuje ją jak szmatę. One są skrzywione. Liczysz się dla nich tylko wtedy, kiedy nimi gardzisz. Kiedy składają się dla ciebie wyłącznie z cyców i cipy. Wtedy możesz być mały i gruby, nie szkodzi, staniesz na portfelu, jesteś wyższy i tym chudszy, im portfel grubszy.

Kuriata nalał sobie solidną porcję wódki do kufła od piwa.

Wypił duszkiem, nawet się nie skrzywiwszy, jakby to był sok pomarańczowy, otarł usta rękawem i obwieścił stanowczo za głośno:

— Kobiety to chory gatunek!

Jakiś mężczyzna z sąsiedniego stolika odwrócił się do nich i podniósł swój kufel w geście przepijania do Kuriaty.

— Ma pan całkowitą rację, człowiek i kobieta to przedstawiciele dwóch różnych gatunków.

Dziennikarz podniósł się i chwiejnym krokiem podszedł

do niespodziewanego sojusznika.

— O nie, młodzieńcze — forma nie była najwłaściwsza, bo mężczyzna wyglądał na starszego od Kuriaty, ale ten dodatkowo pomachał mu karcąco palcem przed nosem. — To jest głupie

gadanie. Oczywiście, że kobieta jest człowiekiem. I to człowiekiem mającym tylko jedną wadę: tę mianowicie, że jest kobietą!

Kiedy wygłosił tę mądrość, ugięły się pod nim nogi i runął

jak długi na ziemię.

— Szlag mnie trafi! — komisarz miał ochotę uderzyć ręk-

ką w stół, ale gips nadal uniemożliwiał podobne gesty. Bezpo-

średnim powodem wybuchu był raport dostarczony przez Wójcika i Wojtkiewicza, ale do tego prochu prowadził lont w postaci zastoju we wszystkich sprawach prywatnych i zawodowych. Przez weekend również nie zdobył się na powiedzenie Gabi, że chce rozwodu, a po piątkowej rozmowie z Kuriatą dotarło do niego, że zwleka, i sam już nie wiedział, czy dlatego, że bał się jej reakcji, czy dlatego, że jednak wcale nie był na sto procent przekonany do swojej decyzji. Ściganie zabójcy Majewskiego też nie przynosiło żadnych efektów.

Jeśli stanie w miejscu można nazwać ściganiem.

— Kto to jest?! — Przygodny podetknął Wójcikowi i Wojtkiewiczowi pod nos fotografie załączone do raportu, przedstawiające dwóch mężczyzn, których według tegoż raportu żaden z sąsiadów nie zaobserwował w pobliżu mieszkania Małysiaka około godziny czternastej w dniu zabójstwa.

— Nowakowski i Ratajczyk — Wójcik wskazał palcem, które zdjęcie kogo przedstawia.

— Właśnie — Wojtkiewicz potwierdził, że kolega dokonał prawidłowej identyfikacji.

— Imiona! — wrzasnął Przygodny.

Wójcik popatrzył niepewnie na Wojtkiewicza i podrapał się po głowie.

— Krzysztof Nowakowski i Zenon Ratajczyk.

Tym razem Wójcik wstrzymał się od identyfikacji, a Wojtkiewicz od potwierdzenia.

— Nie dość, że czekam miesiąc na wasz pisemny raport, choć powinniście napisać go od ręki, to okazuje się, że jest on inny niż ustny! — pieklił się komisarz.

Wójcik z Wojtkiewiczem spojrzeli po sobie.

— Raport jest taki sam — zauważył Wójcik lekko urażony niesprawiedliwym zarzutem. — Tylko osoby są inne.

— Właśnie — zgodził się z tą argumentacją Wojtkiewicz.

— Milczeć! — ryknął Przygodny. — Czy wam naprawdę trzeba wszystko narysować? Do jakiego stopnia trzeba być kretyńskim, żeby wziąć zdjęcia po nazwisku i nie sprawdzić, czy to są właściwe osoby? Nie uczyli was w szkole, że niektóre polskie nazwiska się powtarzają?

— Był rozkaz, żeby sprawdzić Nowakowskiego i Ratajczyka — usprawiedliwił się Wójcik. — Nikt nam nie powiedział

imion. A takie zdjęcia wydano nam w kartotece.

— Właśnie — Wojtkiewicz też był zdania, że wina nie leży po stronie posterunkowych.

— Był rozkaz „milczeć”! Weźmiecie właściwe zdjęcia, Zbi-gniewa Nowakowskiego i Piotra Ratajczyka i pojedziecie jeszcze raz przepytać sąsiadów. Choć po takim czasie nawet jeśli ktoś ich widział, nie ma szans, żeby to pamiętał. A już na pewno nie, że widział ich tego konkretnego dnia!

Komisarz rozpaczliwym gestem przesunął lewą ręką po włosach.

— Jezu, z kim ja pracuję? Precz mi z oczu!

Wójcik z Wojtkiewiczem posłusznie wykonali w tył zwrot i wyszli z pokoju. W drzwiach minęli się z Gajdą, który miał

taką minę, jakby to on przed chwilą otrzymał burę, a nie posterunkowi.

— Mamy morderstwo, panie komisarzu. Nie zgadnie pan, kto został zabity — aspirant jak zwykle nie potrafił przejść do rzeczy.

Na słowo „morderstwo” wściekłość ustąpiła, a włączył się analityczny umysł Przygodnego, który potrzebował ledwie paru sekund, żeby uwagę Gajdy zestawić z jego ponurą miną i wysnuć z nich właściwy wniosek.

— Łukasz Stańczyk?

Przygnębienie aspiranta ustąpiło na moment podziwowi dla przenikliwości komisarza.

— Skąd pan wie?

— Każąc mi zgadywać, zasugerowałeś, że ofiarą jest człowiek, o którym nie myśleliśmy, że może zostać zamordowany, a twoja mina zbitego psa świadczy o poczuciu winy, że uznaliśmy go za bezpiecznego — wyjaśnił Przygodny w stylu Sherlocka Holmesa.

— Czuję się podle — przyznał Gajda. — Gdybym inaczej ocenił sytuację i uznał, że Ratajczyk mu zagraża, pewnie by żył.

— Po pierwsze, nie ty oceniłeś, tylko oceniliśmy wspólnie, po drugie, do innej oceny nie było podstaw i wreszcie po trzecie, wcale nie jest powiedziane, że Ratajczyk maczał

w tym palce. Nie ma innego motywu poza pieniędzmi, a Stańczyk nie zapisał mu przecież żadnego majątku.

W to „po trzecie” Przygodny sam nie do końca wierzył, od początku podejrzewał Ratajczyka, a

kolejny zamordowany wśród podopiecznych pielęgniarka bynajmniej nie obalał

tych podejrzeń, ale w tej chwili zależało mu na przekonaniu Gajdy, że niesłusznie się obwinia.

— Zresztą nawet gdyby Ratajczyk był zamieszany — do-dał więc — w niczym nie zmienia to faktu, że zagrożenia nie dało się przewidzieć.

— Pan jednak myślał o tym, żeby ostrzec podopiecznych Ratajczyka, a ja się sprzeciwiłem.

— Ale to ja podejmuję ostateczne decyzje, a nie ty. Jeśli więc zbyt pochopnie uznałem twoje argumenty, to śmierć Stańczyka obciąża moje konto.

Przytłoczona jakby wielkim ciężarem sylwetka świadczy-

ła, że gotowość wzięcia przez Przygodnego winy na siebie nie ulżyła aspirantowi.

— Jedziemy — zarządził komisarz. Mieli pracę do wykonania, a rozmawiać mogli równie dobrze w samochodzie. Po-za tym działanie zwykle skutecznie odrywało od natrętnych i niechcianych myśli.

— Kto nas powiadomił? — zapytał, kiedy na sygnale prze-bijali się przez poniedziałkowy tłok na wrocławskich ulicach.

Przygodny zawsze miał wrażenie, że w poniedziałki wyjeżdża na drogi więcej samochodów niż w inne dni powszednie. Jakby mieszkańcy chcieli nadrobić weekendową beczynność albo jakby w pierwszy dzień tygodnia postanawiali zacząć od nowa i rzucali się w wir aktywności, ale zapału nie wystarczało do wtorku.

— Syn ofiary. Chciał wczoraj odwiedzić ojca, ale się nie dodzwonił. Nie przejął się tym, bo Stańczyk czasami wyłączał na weekend telefon, kiedy chciał mieć spokój. Podobno nabrał

takiego zwyczaju podczas pracy na uczelni, bo niektórym doktorantom w sobotę albo w niedzielę przypominało się, że mu-szą odbyć niecierpiące zwłoki konsultacje. Są tacy pracoholicy, którzy nie respektują, że inni mają wolne dni. Sam znam...

— Więc co go zaniepokoiło? — uciął tę dygresję Przygodny.

— Zadzwoił dziś z rana i telefon powinien być już włą-

czony. Ale nie był. Właściwie przyczyn mogło być wiele, choć-

by taka, że Stańczyk postanowił sobie dłużej pospać, ale syn powiedział, że coś go tknęło, miał przeczucie, że coś się stało...

Wierzy pan w takie rzeczy? — aspirant znowu odszedł od tematu. — Boja wierzę. Kiedyś przyśniło mi się w nocy, że idę w kondukcje żałobnym na pogrzebie babci. A rano telefon: babcia zmarła.

— Telefon ze szpitala?

— Tak. Skąd pan wie? — Gajda drugi raz tego dnia zadał

komisarzowi identycznie brzmiące pytanie.

— Bo jak przyśnił ci się jej pogrzeb, oznacza to, że się go spodziewałeś, więc musiała chorować. Ciężko, skoro wskutek tej choroby zmarła. A ciężko chorzy zwykle leżą w szpitalu —

Przygodny drugi raz tego dnia zabawił się w Sherlocka Holmesa. W Sherlocka Holmesa racjonalistę.

— A dlaczego przyśnił mi się tej samej nocy, kiedy zmarła? — nie dawał za wygraną aspirant.

— Przypadek. Albo przyśnił ci się też dwie noce wcześniej, tylko o tym zapomniałeś, bo sen nie okazał się proroczy.

— Pan mówi „przypadek”, a ja mówię „przecucie”.

Zresztą przecucie syna Stańczyka okazało się trafne. Bo kiedy wyrwał się z pracy i pojechał do ojca, znalazł go martwego

— w głosie Gajdy dawało się wyczuć nutkę triumfu.

Przygodny pozwolił wygrać mu dyskusję, bo dojeżdżali na miejsce, poza tym wcale nie był aż tak zdeklarowanym racjonalistą, jak wynikałoby z jego argumentów.

Aspirant poprowadził do właściwej klatki schodowej, przed którą czekał już Małecki. Przyjechał pierwszy, ale nie mógł wejść do mieszkania bez asysty policji czy prokuratora.

A Kania jeszcze się nie zjawił.

— O, dotarli panowie — przywitał ich lekarz z kwaśną miną. — Spacerek się udał?

— Jaki spacerek? — nie zrozumiał Gajda.

— A nie szliście na piechotę? Bo czekam już pół godziny —

Małecki wyciągnął rękę, tak żeby zsuwający się rękaw odsłonił

zegarek na dowód, że podany czas nie został wzięty z powietrza, tylko za obliczeniami stał solidny czasomierz marki Casio.

— Nie, przyjechaliśmy samochodem — wyjaśnił aspirant, zaciskając zęby.

— Aha, syrena wam się zepsuła? — zatroszczył się Ma-

łecki. — Ciągłe się słyszy o niedofinansowaniu policji.

Aspirant spojrział na Przygodnego wzrokiem mówiącym

„zaraz mu przyłożę" i komisarz uznał, że najlepiej zamknąć temat:

— Proszę z nami na górę.

Przed drzwiami mieszkania przykucnął około czterdziestoletni mężczyzna o wydatnym orlim nosie i mocno przerzedzonej czuprynie; plecami opierał się o ścianę. Spojrzął

pytająco na wchodzących, a Przygodny potwierdził jego przypuszczenia, że są z policji.

— Łukasz Stańczyk. Noszę to samo imię co ojciec — męż-

czyzna wyjaśnił, że się przedstawia, a nie mówi o zabitym. —

Wolałem poczekać na klatce, bo widok jest... — szukał właściwego słowa — ...przerazający. No i nie chciałem zatrzeć śladów.

Komisarz skinął głową, że postąpił słusznie.

— I w tej pozycji jakoś łatwiej dojść mi do siebie — usprawiedliwił się syn ofiary, że mimo nawiązania rozmowy z policjantami nie wstał, tylko nadal kucając, opierał się o ścianę.

— Jakby przygniótł mnie ciężki głaz. Kto by się tego spodziewał? Kto morduje szanowanego profesora?

— Właśnie to będziemy chcieli ustalić — powiedział Przygodny. — Ale proszę tu sobie oczywiście siedzieć, skoro łatwiej panu w ten sposób znieść ból. Czy powiadomił pan innych członków rodziny?

— Tak — Stańczyk zademonstrował trzymaną w ręku komórkę. — Kiedy na panów czekałem, zadzwoniłem do bra-ta. I oczywiście do mojej żony.

— Dobrze. Drzwi są otwarte?

— Tak.

— W którym pomieszczeniu są... — Przygodny chciał powiedzieć „zwłoki", ale się poprawił — jest pański ojciec?

— W dużym pokoju.

Komisarz nacisnął klamkę i weszli do środka. Gajda, bę-

dadę wcześniej tutaj gościem, poprowadził do pokoju. I stanął

w drzwiach jak wryty. Kiedy usłyszał od syna zabitego, że widok jest przerażający, nic sobie przy tym nie pomyślał. Dla krewnych ofiar widok zamordowanego członka rodziny zawsze był



„przerazający”. No może, wzięwszy pod uwagę, że zabójstwo Stańczyka wiązało się przez osobę pielęgniarki z zabójstwem Małysiaka, spodziewał się podobnej brutalno-

ści. Ale na pewno nie tego, co ukazało się jego oczom.

Profesor Stańczyk siedział na sofie ubrany w białą szatę, jego ramiona okrywała biała chusta z czarnymi pasami i frędzlami, przed nim na stole leżała otwarta książka, po obu jej stronach stały wypalone do połowy świece, a za nią krucyfiks.

— Wygląda bardziej na scenię samobójstwa niż morderstwa — powiedział komisarz, równie zaskoczony co jego podwładny.

Patolog zbliżył się do Stańczyka, którego nienaturalnie oparta o poduszki sylwetka i szeroko otwarte oczy nie pozostawiały wątpliwości, że lekarz innej specjalności nie miałby tu nic do roboty, nałożył rękawiczki i delikatnie ujął głowę starca. Dokładnie ją zbadał, po czym rozejrzał się wokół, zatrzymując wzrok na krucyfiksie. Sięgnął po niego i odwrócił

do góry nogami, żeby sprawdzić podstawę.

Zademonstrował krucyfiks policjantom.

— Jeśli popełnił samobójstwo, to powinien zostać wpisany do księgi rekordów Guinnessa, bo byłby pierwszym samobójcą, który zabił się, waląc się w tył głowy krucyfiksem.

Włosy i krew — pokazał.

— Niech pan to odstawi — powiedział Przygodny, niezadowolony, że lekarz zmienia położenie narzędzia zbrodni.

Małecki zreflektował się, że złośliwe uwagi to jedno, a niszczenie śladów to drugie, i bez słowa odstawił krucyfiks na miejsce.

— Czyli śmierć nastąpiła wskutek ciosu tępym narzędziem w tył głowy? — podsumował Przygodny.

Ponieważ uzyskał psychologiczną przewagę nad lekarzem, temu nie pozostało nic innego, jak odpowiedzieć krótko:

— Tak.

Przygodny chciał jeszcze zapytać o czas zgonu, ale przeszkodził mu rumor w drzwiach. Pojawili się technicy i prokurator Kania.

— Co mamy, panowie? — użył swojej zwykłej frazy.

— Inscenizację na rytualny mord — ubiegł komisarza Gajda, który przez ten czas obejrzał ustawione

na stole przedmioty. — Ta książka to Nowy Testament.

— Naprawdę? — Prokurator zbliżył się do stołu, przyjrzał się Ewangeli, dostrzegł, że spod jednej z okładek wysuwa się plama zastygłego wosku, i delikatnie uniósł najpierw tę okładkę, a potem całą książkę.

Przygodny popatrzył na Kanię złym wzrokiem, bo dopuszczał się identycznego wykroczenia jak przed chwilą Ma-

łecki. „Co ich wszystkich napadło? — pomyślał. — Jakby byli pierwszy raz na miejscu zbrodni”.

— Tu jest coś ciekawego — powiedział Kania. — Napis z wosku.

Przygodny przeniósł wzrok na fragment stołu, który wcześniej zakrywała książka. Rzeczywiście, rozlany wosk układał się w niezbyt kształtne, ale czytelne litery: ZEMSTA.

— No to przynajmniej motyw znany — zauważył prokurator. — Teraz tylko trzeba znaleźć mściciela i ustalić, czym denat zalał mu za skórę. Czy raczej w odwrotnej kolejności, najpierw czym zalał, a potem po nitce do kłębka.

— Chyba że to znowu przedstawienie na nasz użytek —

komisarz okazał się sceptykiem. — A motyw jest znacznie bardziej prozaiczn}’.

— Dlaczego „znowu”? — zdziwił się prokurator. — Nie przypominam sobie podobnych akcesoriów z ostatnich morderstw. W co on w ogóle jest ubrany?

— Skojarzyło mi się z zabójstwem Majewskiego — wyja-

śnił Przygodny. — Też taka teatralizacja.

— Chyba jednak trochę odmienna w stylu — nie zgodził

się Kania. — No i w przypadku Majewskiego nie ustaliliśmy, że to faktycznie przedstawienie. W ogóle nic nie ustaliliśmy.

Komisarz musiał przyznać, że ta diagnoza ich nieskuteczności była niestety trafna.

— Co on ma na sobie? — powtórzył pytanie Kania.

— Prześcieradło — stwierdził Przygodny.

— To nie prześcieradło — oznajmił niespodziewanie lekarz — tylko faryzejska szata.

— Faryzejska szata? — komisarz i prokurator podejrzewali, że Małecki szykuje grunt do kolejnej dowcipnej wypowiedzi, z ich punktu widzenia dowcipnej w cudzysłowie.

— Tak — potwierdził jednak patolog. — Ta chusta to ta-lit albo tałes, Żydzi nakładają ją do modlitwy na głowę albo na ramiona. Idąc tym tropem, można przyjąć, iż chociaż rzeczywiście ubrany jest w prześcieradło, ma ono symbolizować ży-dowski strój, a białe szaty nosili faryzeusze.

— Skąd pan to wie? — Kania był pełen podziwu dla poza-medycznej wiedzy lekarza.

— Z książek. To takie przedmioty oprawne w tekturę z zadrukowanymi kartkami w środku.

— Nie ma obrazu — powiedział nagle Gajda, zwalniając prokuratora z konieczności zareagowania na zgryźliwą wypowiedź Małeckiego.

— Co? — Przygodny poszedł wzrokiem za wyciągniętym palcem aspiranta, który pokazywał na ścianę gęsto obwieszoną płótnami. — Jakiego obrazu?

— Tam wisiał obraz. Nie ma go.

— Gdzie? — komisarz mimo najlepszej woli, nie mógł dostrzec jakiegokolwiek gołego miejsca na ścianie.

— Obok tego z koźmi. Tam wisiał taki niepozorny obraz przedstawiający kobietę z kwiatami. W tym miejscu, gdzie teraz jest portret mężczyzny. Pamiętam, bo zwróciłem na niego uwagę.

— Byłeś tu kilka tygodni temu, może Stańczyk po prostu zmienił ekspozycję.

— Może, ale wtedy ten stary obraz powinien gdzieś tu być.

Gajda pokręcił się, nad czymś główkując, po czym wyszedł z pokoju.

— Panie komisarzu! — zawołał po chwili. — Niech pan tu przyjdzie. Tu jest pracownia.

Przygodny poszedł za aspirantem. Rzeczywiście drugi po-kój profesor przerobił na atelier. Blisko okna, tak by padało na nie dzienne światło, stały sztalugi, na których rozpięte było płótno z ledwie rozpoczętym malunkiem —jeszcze nie dało się odgadnąć, co artysta zamierzał namalować. Wokół sztalug rozstawione były obrazy — część na samych blejtramach, część oprawiona — które Gajda właśnie przeglądał.

— Nie ma — rozłożył ręce, kiedy odchylił ostatnie płótno.

— Zresztą to wszystko wygląda na świeżo namalowane, a tamten obraz był stary. I nie namalowany przez niego.

— A przez kogo?

— Stańczyk mi mówił, ale nie pamiętam. Jakiś polski malarz, ale na pewno nie żaden sławny.

— A tytuł?

Aspirant nadał policzki, co jednak nie okazało się skuteczną metodą mnemotechniczną.

— Dokładnie nie pamiętam. Dziewczyna z petuniami albo jakoś tak.

Przygodny nie skomentował sklerozy podwładnego, tylko odwrócił się i wyszedł do przedpokoju. Otworzył drzwi wejściowe i wystawił głowę. Syn Stańczyka nadal tkwił w tej samej pozycji, w jakiej go zastali.

— Proszę mi powiedzieć — zwrócił się do niego — czy któryś z obrazów posiadanych przez pańskiego ojca był cenny?

Stańczyk, wyrwany z odrętwienia, w jakie popadł, rozmy-

ślając o śmierci ojca, potrzebował paru sekund, żeby zrozumieć pytanie komisarza.

— Nie, dlaczego? Nie sędzę. To chyba tylko reprodukcje, te oryginalne są jego. Ale nie miał nazwiska, więc nie są wiele warte. Czasami coś sprzedał, ale za góra kilkaset złotych.

— A podarował ostatnio panu albo pańskiemu bratu jakiś obraz? Ale nie z tych namalowanych przez siebie.

— To na pewno nie. Dawał nam obrazy w prezencie, ale tylko te, które sam namalował. Dlaczego pan pyta?

— Aspirant jest przekonany, że podczas wizyty u pańskiego ojca widział obraz, który zniknął. Jeśli pański ojciec go nie sprzedał ani nie podarował, musiał go zabrać morderca. Ale musiałyby istnieć jakiś powód, dlaczego go zabrał. Na przykład duża wartość, wtedy mielibyśmy do czynienia z zabójstwem na tle rabunkowym.

— Tak jak mówię. Ojciec dawał w prezencie tylko własne obrazy. I z tego, co wiem, handlował również tylko własnymi. Ale nie wydaje mi się, żeby posiadał jakiś na tyle cenny obraz, by usprawiedliwiał on morderstwo.

Żaden obraz nie jest cenniejszy od ludzkiego życia, pomy-

ślał komisarz, ale zachował tę banalną sentencję dla siebie.

— W każdym razie nigdy nic nie wspomniał — dodał Stań-

czyk — chociaż o malarstwie mówił dużo i chętnie. A dlaczego miałby ukrywać, że posiada cenny obraz w swojej kolekcji?

Zresztą skąd? Nauczyciel akademicki w PRL-u nie należał do finansowej elity, za wolnej Polski nic się pod tym względem nie zmieniło, po przodkach też na pewno nic nie odziedziczyliśmy, nasza

rodzina jest ze społecznego awansu, wie pan, z tych, o których Redliński mówi, że gdyby nie komuna, nadal krowy by pasali.

Przerwali rozmowę, bo ktoś wchodził po schodach. Jakaś kobieta. Zaintrygowana spojrzała na Stańczyka kucającego pod ścianą i na obcego mężczyznę stojącego w drzwiach mieszkania sąsiada, ale bez słowa poszła na górę.

— Może ten obraz coś symbolizował, wiązał się z ważnym wydarzeniem, z kimś ważnym w życiu pana ojca? — myślał

na głos Przygodny.

— Jakaś mroczna historia typu porzucona kochanka, któ-

ra pojawia się po latach, żeby się zemścić, i zabiera obraz, bo kochanek przysięgał na niego, fałszywie wyznając jej miłość?

— Coś w tym stylu, choć tak, jak pan to przedstawił, brzmi idiotycznie — przyznał komisarz. — Ale morderca napisał woskiem „zemsta”, co wskazywałoby na osobisty motyw.

— Nie znam żadnej takiej historii w jego życiu. Co nie znaczy, że ją wykluczam. Ale żeby prowadziła do morderstwa? Mój ojciec jest... był... dość wiekowym człowiekiem, na-miętności z czasem chyba blakną.

Przygodny musiał przyznać Stańczykowi rację. Wiedział

coś o tym z własnego życia.

— Czyli nie potrafi pan wskazać wrogów, którzy życzyli-by pańskiemu ojcu śmierci?

Stańczyk uniósł brwi w niewymownym zdumieniu.

— Nie. Ojciec raczej zjednywał sobie ludzi, niż ich do siebie zrażał.

— Czy byłby pan w stanie zidentyfikować ten zaginiony obraz?

Zapytany pokręcił przecząco głową.

— Nie, przyznam się, że nie podzielałem tych malarskich fascynacji ojca i nie miałem pamięci do tytułów, nazwisk, motywów. Ojciec je wymieniał, ale szybko wylatywały mi z głowy.

Ja jestem matematykiem, mam ścisły umysł, mój brat zresztą też, po mamie, tak nietradycyjnie wypadło w naszej rodzinie, że tata był humanistą, a mama ścisłowcem. Całki, różniczki, funkcje to są pojęcia, które do mnie przemawiają, a nie pej-zaże, portrety, martwe natury.

Komisarz podziękował za wyjaśnienia, wrócił do mieszkania i odnalazł Gajdę, przeszukującego właśnie szafki w du-

żym pokoju.

— Znalazłeś może jakiś spis jego obrazów?

— Nic z tych rzeczy, panie komisarzu, pewnie jak każdy kolekcjoner z prawdziwego zdarzenia miał kompletny spis w głowie.

— Tylko że głowę ma teraz rozbitą i na niewiele nam się zda. — Przygodny popatrzył na zwłoki Stańczyka, wokół któ-

rych krzątali się technicy i Małecki. — Potrafiłbyś odtworzyć ten obraz?

— Odtworzyć? — aspirant nie był pewien, czego komisarz od niego oczekuje. — Znaczący się namalować na nowo?

— Powiedzmy, naszkicować.

Gajda wykonał rękami gest, pokazujący, że do takich za-dań się nie nadają.

— Nie, jeśli chodzi o rysunki, to jestem całkowite bezta-lencie. Gdyby nie moja siostra, która mi malowała, powtarzał-

bym przez plastykę co najmniej kilka klas. Myśli pan, że zniknięcie tego obrazu rzeczywiście ma związek z morderstwem? — Pytania Przygodnego wprawdzie na to wskazywa-

ły, ale aspirant chciał usłyszeć wyrażone wprost potwierdzenie, dumny, że właśnie on odkrył ów znaczący szczegół.

— Może być oczywiście przypadek, ale doświadczenie nauczyło mnie, że nie należy wierzyć w przypadki na miejscu zbrodni.

— Ale w takim razie... — Gajda układał sobie w myślach, co chciał powiedzieć.

— Tak?

— Jeśli został zabity dla tego obrazu, a ta... — aspirant pokazał na świecę i Ewangelię — religijna maskarada ma na celu odwrócić naszą uwagę, wtedy w grę wchodzi Ratajczyk.

Bo znowu wzbogaciłby się na śmierci ofiary.

Teza Gajdy kłóciła się wprawdzie z zeznaniami syna Stań-

czyka, że ojciec nie posiadał cennych obrazów, ale może syn nie miał pełnej wiedzy. Poza tym znowu zginął podopieczny Ratajczyka i pielęgniarz był niewątpliwie pierwszą osobą, która kwalifikowała się do przesłuchania w tej sprawie. Przygodny wyjął

swoją nokię i wybrał numer posterunkowych. Posterunkowych, bo z niewiadomych względów

posługiwali się jedną służbową komórką, którą odbierali na przemian wedle trudnego do rozszyfrowania harmonogramu. Tym razem odebrał Wójcik.

— Komisarz Przygodny. Przepytałście sąsiadów?

— Tak, panie komisarzu, ale... — Wójcik zawahał się przed powiedzeniem tego, co przełożony przewidział.

— Ale nikt nie pamięta, czy się tam kręcili, bo minęło zbyt dużo czasu?

Brak odpowiedzi wystarczył za potwierdzenie.

— Pojedziecie teraz po Ratajczyka, po Piotra Ratajczyka

— komisarz nie odmówił sobie przyjemności zaakcentowania imienia — i przywieziecie go na komendę. Bez salonu. Ostre podejście. Zakuć w kajdanki, poinformować, że zostaje zatrzymany na czterdzieści osiem godzin w związku z podejrzeniem popełnienia morderstwa.

Przygodny podał jeszcze Wójcikowi adres i rozłączył się.

— Myśli pan, że to faktycznie on? — zapytał aspirant, który przysłuchiwał się wydawanym poleceniom.

— Myślę, że jeśli faktycznie on, to przyzna się tylko wtedy, jak nie będziemy się z nim patyczkować. A przyznanie się byłoby nam potrzebne, bo nie zostawia śladów.

Komisarz odwrócił się do technika, który opylał ciemnym proszkiem okładki Ewangelii, żeby wydobyć zostawione na niej ewentualnie odciski palców.

— I jak? — zapytał.

Technik uniósł głowę.

— Na stronach, na których była otwarta, żadnych odcisków, na okładce... — wykonał ostatni ruch pędzelkiem z włókna szklanego i pochylił się, żeby lepiej widzieć — też nic. Czysta.

Sprawdzenie pozostałych stron odbywało się właściwie pro forma. Skoro to zabójca położył otwartą książkę na stole, musiałby zostawić swoje odciski palców na rozkładówce albo na okładce (nie położył jej zabity, bo byłyby wtedy tam jego odciski palców). Ale nie zostawił, co prowadziło do prostego wniosku, że je wytarł albo nosił rękawiczki, a zatem odciski odnalezione na pozostałych stronach będą należały do osób, które trzymały książkę w ręku wcześniej i nie miały nic wspólnego z morderstwem.

Chyba że mieli do czynienia z głupkiem, który zapomniał

wytrzeć wszystkie odciski. Ale nic na to nie wskazywało.

Przeciwnie, maskarada, jak ocenił zastaną scenerię Gajda, świadczyła raczej o przynajmniej średniej inteligencji mordercy, bo taka była niezbędna, żeby albo próbować wyprowadzić policjantów w pole, albo... coś im powiedzieć.

— A może to jest jakiś komunikat, jakieś przesłanie?

— Co? — nie zrozumiał aspirant.

— Ta inscenizacja.

— Ale co morderca chciałby nam w ten sposób zakomunikować?

— Nie wiem, zastanawiam się.

— Może jak na tym filmie — podsunął Gajda — gdzie gość mordował według siedmiu grzechów głównych. Nie pamiętam tytułu.

Z zapamiętywaniem tytułów aspirant miał wyraźne kłopoty.

— Siedem — odpowiedział technik.

— O właśnie, Siedem, genialny film zresztą.

— Nie widziałem. O co tam chodziło?

— Morderca zabijał ludzi, którzy, jego zdaniem, popeł-

niali jakiś grzech główny, jedna ofiara na jeden grzech. Obżartucha na przykład zabił... innych nie pamiętam, dawno to oglądałem. Jakie są jeszcze grzechy główne?

— Pycha, chciwość, nieczystość, zazdrość, gniew, lenistwo

— wymienił Przygodny.

Gajda spojrzał na przełożonego z podziwem.

— Dobry pan komisarz jest.

— Nauka z czasów, gdy religia nie była szkolnym obowiązkiem. Dobrowolnie człowiek chętniej się uczył.

— Teraz też nie jest szkolnym obowiązkiem — sprostował Gajda.

— Teoretycznie nie. Ale zostawmy to. Czyli per analogiam mielibyśmy do czynienia z pierwszym morderstwem z całej serii według jakiegoś religijnego klucza — sformułował konkluzję Przygodny. I podsumował: — Mamy więc dwie teorie, pierwsza, że zabójstwo wiąże się z zaginionym obrazem, druga, że religijne akcesoria nie są przypadkowe. Nie wiemy, co te akcesoria miałyby oznaczać, nie



wiemy, jaki obraz został za-brany, ale jak powiedziałeś, mógł stanowić motyw dla Ratajczyka, proponuję więc, żebyśmy teraz pojechali go przesłuchać, bo wydaje się naszym jedynym punktem zaczepienia.

— Może pan pojedzie sam, a ja przepytam sąsiadów?

— Nie, musimy wytoczyć przeciwko niemu ciężkie dzia-

ła, dwóch na jednego. Sąsiedzi mogą zaczekać, wrócisz tu, jak będziemy gotowi z Ratajczykiem.

Przygodny zwrócił się do Małeckiego.

— Określi pan, doktorze, czas zgonu? Tak bardzo wstępnie.

— Osiemnaście do dwudziestu czterech godzin — odrzekł

po prostu lekarz.

Komisarz nie spodziewał się, że tak łatwo wydobędzie tę informację. Przyjrzał się bliżej Małeckiemu i dostrzegł cienie pod oczami. Lekarz musiał być niewyspany i pewnie zabrakło mu już sił do walki. Bo jego złośliwości były formą walki. Tak ludzie zgorzkniali i sfrustrowani, naznaczeni nieszczęściem, od-grywali się na świecie. Kto wie, czy on nie zachowywałby się podobnie, gdyby wtedy na placu Wolności Gabi powiedziała „nie”.

Kiedy wyszli z mieszkania, Przygodny zatrzymał się przy kucającym Stańczyku.

— Dzwonił pan wczoraj do ojca, żeby się z nim umówić.

Pamięta pan, o której?

Mężczyzna spojrzął na policjanta z nieszczęśliwą miną.

— Nie pamiętam. W tygodniu człowiek żyje z zegarkiem w ręku, więc w niedzielę chce się odprężyć. Spontanicznie pomyślałem, że mógłbym odwiedzić staruszkę, wziąłem telefon i zadzwoniłem. Ale kiedy? Po obiedzie już było. To bardzo ważne?

— Ile razy próbował się pan do niego dodzwonić?

— Raz, właściwie dwa, na domowy i na komórkę, potem pomyślałem, że jak oba ma wyłączone, nie chce być niepokojony. Dopiero dziś zadzwoniłem z pracy, żeby się upewnić, że wszystko w porządku.

— Dzwonił pan z komórki czy ze stacjonarnego?

— Z domu z komórki, nie mamy stacjonarnego, zrezy-gnowaliśmy, bo się nie opłaca. A z pracy ze służbowego.

— To powinien pan mieć odnotowaną w telefonie próbę połączenia i zachowaną, bo nie została nadpisana przez kolejne próby pod ten sam numer. Proszę sprawdzić.

Stańczyk sięgnął gwałtownie do kieszeni kurtki, ogarnię-

ty irracjonalnym strachem, że skoro o tym nie pomyślał, to za karę zapis połączenia zniknie, zanim zdąży go odczytać.

Wyjął komórkę, ale że w zdenerwowaniu naciskał złe klawisze, rejestr połączeń wychodzących odnalazł dopiero po dłuż-

szym szukaniu.

— Mam! Tak, tata dom, telefon siedemnasta zero trzy, tata komórka, siedemnasta zero cztery.

— Lekarz powiedział, że pański ojciec nie żyje od osiemna-stu do dwudziestu czterech godzin, teraz jest... — Przygodny chciał spojrzeć na zegarek, ale przestał go nosić, bo palcami złamanej ręki nie był w stanie ani zamknąć, ani otworzyć zapięcia.

— Po piętnastej — odpowiedział Gajda.

— Czyli został zamordowany — komisarz policzył w pa-mięci — wczoraj między piętnastą a dwudziestą pierwszą.

Skoro o siedemnastej nie odebrał telefonu, prawdopodobnie już nie żył. Czyli zawężilibyśmy czas zabójstwa do przedzia-

łu między piętnastą a siedemnastą.

— O Boże! — przeraził się Stańczyk. — Gdybym tylko zadzwonił wcześniej i go odwiedził, nic by mu się nie stało!

— Bardzo wątpię — stwierdził Przygodny. — I nie mó-

wię tego tylko po to, żeby oszczędzić panu wyrzutów sumienia. Zabójstwo nie było przypadkowe, wygląda na starannie zaplanowane, a w takim przypadku pana wizyta w niczym by mordercy nie przeszkodziła. Kto wie, czy przychodząc tutaj wczoraj, nie podpisałby pan na siebie wyroku.

Stańczyk skulił się jeszcze bardziej, jakby przygniótł go dodatkowy ciężar. Widać było, że słowa komisarza nie trafiły mu do przekonania. Policjanci zostawili go w tej pozycji i zeszli na dół do samochodu.

Ratajczyk czekał już na nich w komendzie. Wójcik z Wojtkiewiczem po wpadce na Wolskiej chcieli się wykazać i prawdopodobnie przywieźli pielęgniarza na sygnale. Komisarz odesłał posterunkowych, pochylił się nad siedzącym na krze-

śle Ratajczykiem i udając złość, wycedził przez zęby:

— Pan ma mnie za durnia?

Pielęgniarz, przestraszony, obejrzał się na Gajdę, który stanął nieco z boku, i wydukał mało składnie:

— Ale... o co chodzi?

— Chodzi o to, że został zamordowany kolejny człowiek, którym pan się opiekował, a pan mi zaraz powie, że znowu jest niewinny!

— Bo jestem niewinny! Nie zabiłem...

Przygodny przez moment miał nadzieję, że padnie nazwisko i sprawa będzie załatwiona, ale Ratajczyk albo nie wiedział, kto padł ofiarą morderstwa, albo w porę się zreflektował, że nie ma prawa tego wiedzieć.

— Nikogo nie zabiłem. Kto został zamordowany?

— Przecież pan świetnie wie. Łukasz Stańczyk.

— Co?! — pielęgniarz schował twarz w dłoniach. — Biedny staruszek.

— Coś ostatnio w pana kręgu dużo tych biednych staruszków — zauważył z przekąsem komisarz. — Padają jak muchy, a co ciekawsze pan jest z każdym trupem bogatszy.

Ratajczyk uniósł z powrotem głowę, a w jego oczach błysnął triumf.

— I tu trafił pan kulą w płot. Pan Stańczyk nic mi nie zapisał i na jego śmierci nie mogłem się wzbogacić.

— A obraz? Powiesił pan na ścianie inny i myślał, że nie zauważymy jego braku?

— Obraz? Jaki obraz?

To było dobre pytanie. Przygodny sam chciałby wiedzieć.

— Odkrył pan, że Stańczyk posiada cenny obraz i postanowił wejść w jego posiadanie.

Ratajczyk poderwał się z krzesła.

— O nie! Nie wrobiecie mnie w to! Morderca jest sprytny i nie możecie go złapać, więc znaleźliście sobie kozła ofiarnego!

Gajda chwycił pielęgniarza za ramiona i siłą posadził z powrotem na krześle. Komisarz ponownie się nad nim pochylił.

— Chce pan ten obraz sprzedać czy sobie zatrzymać? Jak ci kolekcjonerzy, którym marzy się sławne malowidło i zlecają kradzież, chociaż potem i tak nie będą mogli się pochwalić, że mają je w

swoich zbiorach?

— Nic nie wiem o żadnym obrazie, naprawdę — pielęgniarz powiedział to zrezygnowanym tonem, jakby stwierdził, że niezależnie od jego zapewnień policjanci i tak mu nie uwierzą.

— Ale w obu przypadkach — komisarz puścił tę deklarację mimo uszu — jest pan ugotowany. Nasi informatorzy wśród handlarzy sztuką już wypatrują zaginionego obrazu, a prokurator wystawia w tej chwili nakaz przeszukania pań-

skiego mieszkania.

Blef nie do końca się udał.

— Niech sobie wystawia, nic u mnie nie znajdziecie! —

Ratajczyk na nowo zerwał się do walki.

— Gdzie pan był wczoraj — włączył się Gajda — między piętnastą a siedemnastą?

— Na korcie tenisowym. Grałem w tenisa.

— Gdzie i z kim?

— Na Biskupinie nad Odrą. Z kolegą. Gramy tam co niedzielę.

— Jak kolega się nazywa? Imię, nazwisko, adres i telefon

— aspirant podał surowym głosem, jakich informacji oczekuje.

— Nazywa się Wiktor Krynicki. Mieszka właśnie na Biskupinie, ale adresu nie znam, to znaczy trafię, bo wiem, któ-

ry to dom, ale listów do niego nie wysyłam, więc numeru nie pamiętam, nazwy ulicy też nie. Pierwsza w prawo za pętlą tramwajową.

— Telefon?

— Mam w komórce. — Pielęgniarz wyciągnął swoją motorolę i podyktował Gajdzie numer.

— W jakich godzinach tam graliście?

— Zaczęliśmy o drugiej. Nie patrzyłem na zegarek, o któ-

rej skończyliśmy, ale rozegraliśmy pięć setów, do tego gramy po staremu, bez tie-breaków, do dwóch gemów przewagi, więc musiało zrobić się późno. Na pewno dłużej niż do piątej.

— A jaki był wynik? — zapytał komisarz.

Ratajczyk popatrzył na niego, jakby nie zrozumiał pytania i nie odpowiedział.

— Jaki był wynik? — powtórzył komisarz.

— Wygrałem trzy dwa. Po co to panu?

— A w poszczególnych setach?

Mina Ratajczyka wskazywała, że ma poczucie, iż znalazł

się w innym filmie, niż powinien.

— To był mecz towarzyski, ale jak pan chce odnotować go w kronikach, to proszę bardzo: wygrałem dwa pierwsze se-ty, siedem pięć i sześć cztery, potem Wiktor się zmobilizował

i pokonał mnie sześć do trzech i sześć do jednego, ale w pią-

tym secie nie dał już rady i wygrałem dziewięć siedem.

Przygodny usiadł niezadowolony za biurkiem. Ratajczyk znowu im się wymykał, znowu wyglądało na to, że ma alibi.

Nawet jeśli było fałszywe, trudno będzie je obalić. Podał szczegółowy wynik, więc albo rzeczywiście rozegrał ten mecz i wynik po prostu pamiętał, albo poprosił kolegę o potwierdzenie jego obecności na korcie i był na tyle przezorny, by ustalić wszystkie szczegóły, włącznie z rezultatem poszczególnych setów. Jeśli Krynicki zgodził się dać fałszywe alibi po tak sta-rannym przygotowaniu, wątpliwe, by się do tego przyznał tylko na widok policjanta. Musieliby go skonfrontować z faktem podważającym alibi Ratajczyka, a takowego w rękę nie mieli. Na razie, pocieszył się komisarz, choć zdawał sobie sprawę, że czepia się bardzo wątlej nici.

— Kiedy ostatni raz odwiedził pan Stańczyka? — zapytał

aspirant, unaoczniając Przygodnemu kolejną niesprzyjającą okoliczność: ewentualne odciski palców Ratajczyka w mieszkaniu, a nawet na narzędziu zbrodni nie obciążały pielęgniarza, bo miał powód, by odwiedzać ofiarę, a krucyfiks mógł

należać do profesora, więc gdyby Ratajczyk rzeczywiście był

mordercą, i to na tyle nieostrożnym, by zostawić na nim odciski palców, zawsze mógł twierdzić, że dotykał krucyfiks, oglądając go podczas którejś z wizyt.

— Jak zwykle, w środę o piętnastej.

— Nie zajrzał pan przypadkiem do niego wczoraj? Bo na przykład Stańczyk pana nagle wezwał. Pokłóciliście się, chwycił pan za wazon i roztrzaskał mu głowę.

Przygodny posłał Gajdzie niezadowolone spojrzenie, bo pytanie kłóciło się z regułami sztuki.

Nieopatrzna zmiana te-zy o motywie zabójstwa ujawniała Ratajczykowi, że policjanci wcale nie mieli pewności, że kradzież obrazu wiąże się z morderstwem, a dość rozpaczliwa próba skłonienia pielęgniarza, by spontanicznie sprostował, że roztrzaskał Stańczykowi głowę nie wazonem, tylko krucyfiksem, nie miała wielkich szans powodzenia.

I rzeczywiście. Ratajczyk odpowiedział wolno, akcentując każde słowo, jakby przemawiał do podopiecznego, który z powodu starczej demencji ma trudności ze zrozumieniem, co się do niego mówi:

— Nie zabiłem pana Łukasza. Ani pana Marka. Ani tym bardziej pana Mateusza.

— Nie twierdził, że zabił pan Majewskiego — zauważył Gajda.

— Chcecie mnie zrobić w dwa morderstwa, więc co stoi na przeszkodzie, żeby doczepić trzecie, którego nie potraficie rozwiązać?

— A skąd pan wie? — wtrącił się komisarz. — Może za-bójca siedzi już pod kluczem. Nie mamy obowiązku informować pana o ustaleniach śledztwa.

Jeśli wiedza Ratajczyka brała się stąd, że to jednak on zamordował Majewskiego, a doskonale wiedział, że na razie nie siedzi pod kluczem, nie dał tego po sobie poznać.

— Domyślam się. Bo, moim zdaniem, ich wszystkich zamordował jeden człowiek. Który trafia do nich przeze mnie.

Ktoś, kto chce mnie zrobić. I gdybyście mieli mordercę, pewnie byście bez trudu ustalili, że to on stoi za wszystkimi trzema zabójstwami.

— Kto to mógłby być i dlaczego chciałby pana zrobić?

— Właśnie nie mam pojęcia! Gdybym się domyślał, zaser-wowałbym wam nazwisko na srebrnej tacy. Myśli pan, że mi wasze oskarżenia sprawiają przyjemność? Albo traktowanie jak pospolitego bandytę i zakuwanie w kajdanki? Wie pan, jak się czuje człowiek, który nie potrafiłby skrzywdzić nawet zwierzęcia, kiedy nagle zarzucają mu zabójstwo?

Ratajczyk wyglądał, jakby miał się rozpłakać, ale zdołał się opanować.

— Niezłe przedstawienie, ale myśmy nie takich aktorów tutaj mieli — Przygodny poinformował, że ta uczuciowa wypowiedź nie zrobiła na nim wrażenia. — Na razie jest pan zatrzymany na czterdzieści osiem godzin, dopóki nie sprawdzimy pańskiego alibi i nie przeszukamy mieszkania.

— Ale dlaczego?! — zaprotestował pielęgniarz. — Ostatnio sprawdzaliście bez zatrzymywania mnie i było dobrze. Nie uciekłem.

— Uciec pan rzeczywiście nie uciekł — przyznał komisarz — ale nie chcę ryzykować czwartego trupa.

— To zamykając mnie, nic pan nie uzyska, bo zabójca nadal będzie na wolności!

— Sam pan powiedział, że zabójca pana wrabia, więc w czasie kiedy pan będzie siedział w areszcie, nikogo nie zabije, bo inaczej dowiódłby pańskiej niewinności.

Ta żelazna logika zamknęła Ratajczykowi usta. Bez dalszych protestów dał się odprowadzić Gajdzie do izby zatrzymań.

— Co pan myśli o tej jego teori ? — zapytał aspirant, kiedy wrócił do pokoju.

— Nie wiem. Niby nie jest tak całkowicie absurdalna, nie byłby pierwszym, na którego morderca chciałby rzucić podejrzenie, choćby po to, by odwrócić je od siebie, ale... no właśnie, jest dużo „ale”. Odnosi z tych morderstw ogromną korzyść...

— Z trzeciego nie — sprostował Gajda — a przynajmniej na razie nie udało nam się tego ustalić.

— ...nie widać innej osoby, która miałaby motyw, owszem, Nowakowski, ale tylko w przypadku Małysiaka, nic go nie łą-

czyło z Majewskim, a Stańczyka nie mógł zabić, bo siedzi w areszcie.

— Chyba że mamy jednak do czynienia z trzema różnymi zabójcami — podsunął aspirant. — Małysiaka zabił Nowakowski, Majewskiego nie wiemy kto, a Stańczyk padł ofiarą seryjnego zabójcy, który będzie mordował według religijnego klucza. A pielęgniarz znalazł się w tym wszystkim wskutek niekorzystnego zbiegu okoliczności.

— Nie wierzę w zbiegi okoliczności, ale wykluczyć takiej ewentualności rzeczywiście nie możemy.

Przygodny podniósł się od biurka, podszedł do okna i wyjrzał

na ulicę, jakby miał nadzieję, że na przejeżdżającym właśnie tramwaju przeczyta nazwisko mordercy. Przeczytał tylko reklamę sieci komórkowej i odwrócił się z powrotem do aspiranta.

— Nie ma co gdybać, tylko musimy ustalić fakty, i to jak najszybciej. Na podstawie tych, co mamy, żaden sąd nie aresztuje Ratajczyka. Jedź do tego Krynickiego i spróbuj podwa-

żyć alibi. Pogroź mu, że jeśli przyłapiemy go na kłamstwie, będzie odpowiadał nie za utrudnianie śledztwa czy składanie fałszywych zeznań, tylko za współudział w morderstwie.

— Jasne, szefie.

— Ja postaram się u Kani o nakaz i pojedę przeszukać mieszkanie Ratajczyka. Jak skończysz z Krynickim, weź zdję-

cie Ratajczyka i podskocz przepytac sąsiadów.

— Dobra.

— Albo nie!

Przygodnemu wyraźnie przysła do głowy pewna myśl.

Aspirant spojrzal nań pytajaco.

— Stańczyk nigdy nie wspomniat, ze posiada jakis cenny obraz, ale syn mowi, ze ojciec chętnie opowiadał o swojej kolekcji i nie mialby zadnego powodu, by to zatajac. Moze sam nie wiedzial, ze ma cos cennego. Znalazl obraz gdzieś na strychu albo kupil za grosze na giełdzie staroci koło Hali Ludowej...

— Stulecia — poprawil Gajda.

— Co?

— To się teraz nazywa Hala Stulecia, a nie Hala Ludowa.

— Hala Stulecia to się nazywała za Niemców. Komuniści lansowali tezę, że Wrocław zawsze był piastowski, a „Gazeta Wyborcza” lansuje tezę, że Wrocław zawsze był niemiecki.

Nie widzę powodów, dla których mam używać niemieckiej nazwy, zwłaszcza że honoruje ona wydarzenie, bitwę narodów, które pogrzebało nasze szanse na niepodległość.

— Ale to historyczna nazwa.

— I co z tego? Innych historycznych nazw nie używamy.

Jeździsz przez most Grunwaldzki, a nie Cesarski, i ulicą Pił-

sudskiego, a nie Ogrodową czy Świerczewskiego. O właśnie, jak nazwa Hala Ludowa jest zbyt komunistyczna, to można wymyślić nową, zamiast wracać do nazwy upamiętniającej klęskę Napoleona, a tym samym naszą. Nieważne — Przygodny zreflektował się, że nie nazwa hali jest w tej chwili ich największym zmartwieniem. — Zmierzam do tego, że w czasie drugiej wojny światowej z muzeów zginęło wiele cennych obrazów, które potem trafiły do obiegu, ale ich sprzedawcy i nabywcy często nie zdawali sobie sprawy, że mają w rękach bardzo wartościowe dzieła. Gdzieś czytałem, że istnieje katalog rzeczy zrabowanych z muzeów podczas wojny. Jakbyś go przejrzał, może natrafisz na obraz, który wisiał w mieszkaniu Stańczyka.

— A skąd mam go wziąć?

— Nie wiem, poszukaj w bibliotece albo zapytaj kolegów z sekcji do zwalczania nielegalnego handlu dziełami sztuki.



O właśnie, oni powinni go mieć.

— To wszystko?

— Jak skończymy z Ratajczykiem, trzeba będzie popracować nad wątkiem religijnego zabójcy, zastanowić się, czy ten fragment Ewangelii, na którym była otwarta, może mieć jakieś znaczenie, ustalić pochodzenie tałesu... Niewykluczone, że ten trop gdzieś zaprowadzi, nie sprzedają takich chust na każdym rogu. Ale najpierw Ratajczyk.

Kuriata dotarł na miejsce zbrodni już po opuszczeniu go przez komisarza i aspiranta. Sam był sobie winien. Nie poprzestał na upiciu się do nieprzytomności w towarzystwie przyjaciela, tylko przygnębiony tematem rozmowy pił dalej przez cały weekend, w domu, do lustra. A raczej do telewizora. Przerzucał kanały w rytm wypijanych kieliszków.

Rano, a właściwie w południe, nie zdołał przezwyciężyć potężnego kaca i zwlec się z kanapy, na której zasnął w niedzielę w nocy. Nie skłoniła go do tego nawet śmierdząca plama moczu — jego kot, rozzłoszczony albo zdezorientowany tym, że pan zabrał mu kuwetę i do niej wymiotuje, nasikał

w nogach kanapy. Kuriata wypił tylko klina i obrócił się tak, by smród nie docierał do jego nozdrzy. Brak ruchu i klin pomogły na tyle, że doszedł do wniosku, iż tym razem od kaca nie umrze, kiedy rozdzwoniła się komórka. Melodia Majte-czek rozbrzmiała w jego głowie wzmocniona przez alkohol do setek decybeli i miał wrażenie, że fragmenty czaszki rozlatują się na wszystkie strony i rozbijają o ściany. Odrzucił połą-

czenie, ustawił telefon na tryb wibrujący i dopiero wtedy sprawdził, kto dzwonił. Misiak. Pewnie z awanturą, że nie pojawił się w pracy.

Nie oddzwonił, na razie nie miał siły na przeprawę z na-czelnym. Nie odbierał też dalszych telefonów, zapadł w stan na pograniczu drzemki i odrętwienia i wibracje komórki docierały do niego gdzieś z daleka, jak brzęczenie owadów na kwietnej łące.

Pewnie nie ruszyłby się z kanapy do wtorku, gdyby nie listonosz, który przyniósł mu list polecony. Na dźwięk domofonu Kuriata uznał, że czuje się już na tyle dobrze, że może wstać i sprawdzić, kim jest niezapowiedziany gość i czego od niego chce. Gdyby miał nomen omen trzeźwiejszy umysł, skojarzył-

by, że niespodziewany dzwonek domofonu oznacza zazwyczaj roznosicieli ulotek, tapicerów, sprzedawców jajek i ziemniaków albo świadków Jehowy. Tym razem jednak zamiast pytania, co sądzi o Biblii, usłyszał krótkie: „Poczta”. Przez kilka sekund walczył z przyciskiem, bo jakieś styki nie chciały się zetknąć, ale kiedy pomyślał, że musi zgłosić awarię spółdzielni, rozległ

się charakterystyczny terkot otwierający bramę.

Kuriata nie poznał listonosza — młodego mężczyzny o długich włosach związanych w kucyk — co mogło wynikać z faktu, że dawno go nie widział, bo zwykle o tej porze nie bywał w domu i polecione odbierał w urzędzie, najczęściej po odstaniu przynajmniej pół godziny w kolejce, albo też listonosz

był nowy. Przyjął tę drugą wersję, bo słyszał o dużej ro-tacji wśród listonoszy, poza tym nie wynikała z niej konkluzja, że alkohol osłabił jego szare komórki.

Polecony był z sądu, miał się stawić jako świadek w sprawie, która nic mu nie mówiła. Nazwisko powoda wprowadzie gdzieś już słyszał albo widział, ale nie potrafił sobie przypomnieć gdzie.

Ponieważ jednak termin rozprawy był dość odległy, postanowił

łamać sobie nad tym głowę później. Odłożył wezwanie i sięgnął

po komórkę. Poza Misiakiem próbował się z nim skontaktować jego informator z policji. Kuriata załatwił mu artykuł interwencyjny w sprawie chorego dziecka, któremu NFZ nie chcia-

ło opłacić leczenia, bo schorzenie było rzadkie i procedury NFZ

go nie przewidywały. Temat chwytający za serce i wyciskający łzy i teoretycznie powinien rzucić się na niego każdy dziennikarz, ale takich rzadkich chorób nieuwzględnianych przez NFZ istniało od groma — twórcy systemu założyli, że ludzie chorują tylko na grypę i na raka — i w związku z tym o artykuł

interwencyjny, po którym NFZ zazwyczaj natychmiast znajdował

dotkliwe pieniądze, nie było łatwo. Historia musiała być tragiczniejsza i bardziej medialna od historii innych chorych albo pacjent musiał znaleźć do dziennikarza. Policjant poprosił wśród kolegów, kto ma kontakty z prasą, przez Przygodnego trafił na Kuriatę i zaproponował mu informacje z pierwszej w ręki w zamian za artykuł.

Kuriata wcisnął opcję „oddzwon”, oczywiście do informatora, a nie do Misiaka — naczelny nie mógł mu mieć nic ciekawego do powiedzenia, poza pretensjami, że nie stawił się w pracy. W dziale kryminalnym był wakat i nikt nie przygotował rozpiski tematów na ten dzień ani nie miał kto go kryć, twierdząc, że jest właśnie w terenie. Normalnie, na przykład kiedy Kuriatę dopadała melancholia i uciekał w Bieszczady, naczelny przynajmniej dzień lub dwa pozostawał w nieświadomości, że brakuje mu jednego dziennikarza.

— Co jest? — zapytał bez wstępów.

— Zaraz — policjant musiał chyba oddalić się poza zasięg słuchu innych funkcjonariuszy.

Kuriata cierpliwie czekał.

— Morderstwo. W mieszkaniu na Grunwaldzkiej.

— Numer?

— Wiem tyle, że w plombie. Pewnie pracuje tam jeszcze ekipa, więc nie powinno być problemu ze znalezieniem. Dzwoniłem wcześniej, ale nikt nie odbierał — policjant nie pamiętał, czy przeszli na „ty”, czy pozostali na „pan” (kiedy poznał Kuriatę, zamartwiał się chorobą dziecka i nie miał głowy

do cere-monialnych spraw), i teraz gimnastykował się, żeby używać form bezosobowych.

— Dobra, dzięki — Kuriata też nie pamiętał, czy przeszli na „ty”, bardzo możliwe, bo do formy „pan” nie był nadmiernie przywiązany, przeciwnie, uważał, że usztywnia ona stosunki międzyludzkie, a na dodatek utrudniała mu w ostatnich latach podryw. Kiedy zagadywał młodą dziewczynę per „ty”, brzmiało to ze względu na dzielącą ich różnicę wieku protekcyjnie, a z kolei forma „pani” nie stanowiła bynajmniej dobrego punktu wyjścia do swobodnego flirtu.

Rozłączył się. Na wyjaśnienie, dlaczego nie odbierał telefonu, nie miał czasu ani ochoty. Hasło „morderstwo” skłoniło go do natychmiastowego działania, zwłaszcza że informacja dotar-

ła do niego z opóźnieniem. Złapał tylko butelkę wody mineralnej, nałożył buty i zbiegł do garażu. Kiedy go otwierał, nadjechał sąsiad, wracający chyba z pracy swoim bordowym megane.

— Dzień dobry, panie Jurku — przywitał się, odkręciwszy okno.

— Dzień dobry.

— Dostał pan wezwanie z sądu?

— Z sądu? Ach tak, dostałem. Skąd pan wie? — Kuriata mimo zaskoczenia nie zaprzestał otwierania bramy.

— Bo to w mojej sprawie. Pamięta pan, co mi dwa lata temu włamali się do garażu i ukradli asconę. W końcu znaleźli złodzieja, ale zdążył ją sprzedać i musiałem pozwać gościa, który ją kupił, wie pan, o zwrot, nabycie w złej wierze i takie tam prawnicze niuanse.

— Ale co ja mam z tym wspólnego? — Kuriata potrafił wyobrazić sobie parę ciekawszych zajęć od zeznawania w sądzie.

— Pan odkrył kradzież, a gość będzie pewnie sugerował, że ją sfingowałem, żeby wyłudzić odszkodowanie, a w rzeczywistości dobrowolnie sprzedałem asconę złodziejowi. Dlatego potrzebuję wiarygodnego świadka, który widział, jak zdębia-

łem po kradzieży i jaki byłem wściekły. Z policyjnego raportu to nie wynika.

— Okej, zeznam, co widziałem. — Dziennikarz wyprowadził swoje porsche, obiecując sobie, że jak następnym razem zobaczy wyłamane drzwi do garażu, zamiast iść po właściciela, postara się, żeby jak najszybciej znalazły się poza zasięgiem jego wzroku.

Kierując jedną ręką, a w drugiej trzymając butelkę wody mineralnej, żeby zwalczać stan zwany potocznie „suszeniem”, wyjechał na Powstańców Śląskich, ale tylko na pierwszym odcinku wykorzystał jako tako osiągi porsche. Później mógłby zamienić go na trabanta i poza komfortem wnętrza nie zauważyłby różnicy, bo gigantyczne korki nie pozwalały na szybszą jazdę. Przez chwilę rozważał, przypomniawszy sobie rozmowę z Przygodnym, czy nie powinien przesiąść się na skuter, ale doszedł do wniosku, że nie potrafiłby zrezygnować z komfortu, nie mówiąc o tym, że skuterem ciężko byłoby za-imponować przedstawicielkom „chorego gatunku”. A jak do-tąd mimo korków

zazwyczaj docierał na czas.

Tak stało się i tym razem, przynajmniej jeśli wnioskować z obecności ambulansu kryminalistycznego. Ford transit ekipy technicznej, wyposażony we własny agregat prądotwórczy, teleskopowy maszt oświetleniowy i walizki ze sprzętem do ujawniania i zabezpieczania wszelkich śladów, stał koło plomby od podwórza. Kuriata nigdzie nie dostrzegł jednak służbowej vectry Przygodnego i Gajdy i domyślił się, że policjanci już odjechali. Z początku uznał to za niepomysłną okoliczność, ale potem przyszło mu do głowy, że mógłby obrócić ją na swoją korzyść i spróbować wejść do mieszkania ofiary. Sprzyjała temu nieobecność komisarza i aspiranta, bo tylko ci dwaj kojarzyli go jednoznacznie jako dziennikarza. Ekipa techniczna na pewno nie, zwłaszcza że miejsce przestępstwa zabezpieczali różni ludzie, w zależności, kto akurat dyżurował. Do morderstwa bez względu na porę dnia czy nocy musiał przyjechać osobiście Przygodny, jeśli miał prowadzić śledztwo, ale było całkowicie obojętne, którzy technicy będą mu towarzyszyć. Lekarz był nowy. Mógł go rozpoznać prokurator — na miejscu zbrodni wprowadził Kuriata praktycznie wszystkie istotne informacje uzyskiwał od policjantów, ale miał styczność z prokuratorami, kiedy relacjonował rozprawy. Może jednak mu się uda i trafi na kogoś, z kim nie rozmawiał zbyt często, kto nie będzie go pamiętał — ostatecznie przy ciekawszych sprawach kłębił się zawsze tłumek dziennikarzy. A jeśli nawet nie, trudno, musiał zaryzykować. Najwyżej zostanie wyrzucony. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Tego, co zdąży zobaczyć, zanim go wyrzucą, już mu nie zabiorą.

Z ustawienia ambulansu kryminalistycznego wywnioskował, która brama wchodzi w grę, i wcisnął domofon lokatora spod jedyńki, modląc się, żeby trafił na właściwą bramę i niewłaściwe mieszkanie.

— Kto tam? — odezwała się, zbyt głośno, jakaś stara kobieta, nawykła jeszcze do zadawania tego pytania przez drzwi.

— Dzień dobry. Jestem z tej ekipy, co pracuje na górze.

Mogłaby mnie pani wpuścić?

— Do tego morderstwa? Pod ósemkę?

A socjologowie twierdzą, że w dużych miastach następuje zanik więzi międzyludzkich, pomyślał dziennikarz, tymczasem proszę: zaciukają cię i sąsiedzi od razu o tym wiedzą.

— Tak, pod ósemkę.

Przez dłuższą chwilę nie było żadnej reakcji i Kuriata zaczął się niepokoić, że staruszce przyjdzie do głowy naturalne pytanie, dlaczego dzwoni po sąsiadach, zamiast poprosić o wpuszczenie kolegów z ekipy.

— Wiecie już, kto zabił Stańczyka? — okazało się, że są-

siadką kierowała ciekawość, a nie podejrzliwość.

— Właśnie próbujemy to ustalić. Orientuje się pani, jak pan Stańczyk miał na imię?

— Łukasz. A bo co?

— Pytam, bo nie możemy znaleźć jego dokumentów.

Wpuści mnie pani?

Rozległ się brzęczyk i Kuriata pchnął bramę. Dostrzegł, że drzwi pod jedyką się uchylają i ukazała się w nich pomarszczona twarz lokatorki, ale kiedy pokonał pierwszą kondygnację schodów, ponownie się zatrzasnęły. Bardziej zdziwiony niż zmartwiony taką reakcją — obawiał się, że będzie zatrzymywany ciekawskimi pytaniami — poszedł na górę.

Pod numerem ósmym kucał jakiś mężczyzna, który obdarzył wchodzącego obojętnym spojrzeniem. Kuriata uznał, że ustalanie, kto to jest, i ewentualna rozmowa, gdyby okazał

się kimś interesującym dla czytelników, mogłaby zdemaskować go jako dziennikarza, toteż postanowił najpierw wejść do mieszkania. Co nie nastręczyło żadnych trudności, bo drzwi nie były zamknięte na klucz. Za to od razu w przedpokoju natknął

się na jednego z techników. Odruchowo się cofnął i zaklął, wściekły na siebie, że tą rejteradą ujawnił, że nie ma prawa przebywać na miejscu zbrodni. Technik jednak inaczej wytłumaczył sobie jego zachowanie.

— Ja też bym klął na widok szefa, jakbym w takim stanie przychodził do roboty. Co to jest, człowieku? Czy ty obejrza-

łeś siebie w lustrze?

Kuriata uświadomił sobie, że od piątku nie zmieniał ubrania, w którym spał i pił, a wychodząc w pośpiechu z domu, nie przycesał nawet włosów, i że kobieta na dole musiała zatrzasnąć przed nim drzwi, przerażona jego wyglądem. Pewnie doszła do wniosku, że wcale nie wpuściła policjanta, tylko mordercę.

Szef techników zbliżył się do niego i stuknął go palcem w pierś.

— Między nami. Gdybym na gwałt nie potrzebował dodatkowego człowieka, to bym cię od razu stąd wypierdolił, a potem się postarał, żebyś wyleciał z firmy. Ale nie chcę się rządzić Nowickiemu, jego ekipa, jak pozwala wam przychodzić do roboty na kacu, jego broszka. Powiedział, że przyśle mi kogoś kumatego, a Nowicki jest słowny i na twoje szczęście nie zbieramy śladów zapachowych, bo twój smród przykryłby wszystko. Uuch! Bierz się za balkon, tam nikogo nie zatrujesz alkoholem, jak będziesz chuchał.

Kuriata zaniósł modły dziękczynne do świętego Franciszka Salezego, patrona dziennikarzy, bo chociaż był niewierzący, za tak szczęśliwy zbieg okoliczności musiał komuś podziękować. Zresztą w przypadku Kuriaty ateizm i modły akurat się nie wykluczały, dość często miał sprawę do Pana Boga, na ogół

pretensje, choć zdarzały się i prośby.

Przesunął się w głąb przedpokoju, starając się stamtąd ustalić, gdzie znajdują się zwłoki. Zamiast denata dostrzegł

prokuratora Kanię, studiującego rozpięte na sztalugach płótno z zaczątkiem obrazu. W tej sytuacji nie miał wyjścia, Kania doskonale go znał, na pewno nie wzięłby go za dodatkowego technika oddelegowanego z innej ekipy. Kuriata schował się w dużym pokoju i ku swojej radości przekonał się, że czasami konieczność dokonuje za nas dobrego wyboru.

Denat, znany mu z imienia i nazwiska dzięki gadatliwo-

ści sąsiadki, siedział na sofie w scenerii, na której widok uradowała się dziennikarska dusza Kuriaty.

— Dzięki ci, Panie — mruknął, stwierdzając, że dzisiaj-szego dnia zrobił się wyjątkowo religijny, i nie bez rozbawienia zauważył, że współgrało to z poprawą morderstwa.

Rozejrzał się dyskretnie po pokoju, ale znajdował się w nim tylko jeden technik, całkowicie pochłonięty ustalaniem, czy ślady mogące doprowadzić do mordercy nie znajdują się pod szafą. Wyciągnął swojego sony ericssona, żalując, że nie zabrał aparatu, ale nie mógł się spodziewać, że święty Salezy będzie w tak wyśmienitym nastroju, iż nie tylko wpu-

ści go na miejsce zbrodni, ale i da mu okazję do zrobienia zdjęć. Pocieszył się, że zdjęcia z telefonu mają swoją dobrą stronę. Będzie można twierdzić, że pochodzą z przecieku, a podejrzanym był każdy, bo obecnie każdy miał komórkę.

Gorszą jakość zrekompensuje temat — ostatecznie film z egzekucji Saddama Husajna też nakręcono komórką, co wcale nie ograniczyło liczby chętnych do jego obejrzenia.

Kiedy fotografował Ewangelię, skupiony na tym, by nie zadrzała mu ręka, bo najłżejsze poruszenie rozmazywało zdję-

cie, poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Przez chwilę łudził się, że to szef techników, który fotografowanie komórką uzna za dziwne obyczaje ekipy Nowickiego i tylko skinie go, że nie poszedł pracować na balkon, jak mu kazano. Niestety, kiedy odwrócił głowę, przekonał się, że łaska świętego Salezego na pstrym koniu jeździ. Dłoń należała do prokuratora, który z surową miną wyciągał drugą rękę, a intencji tego gestu nie sposób było nie zrozumieć.

Kuriata niechętnie podał mu swój telefon. Kania przejrzał zrobione przez dziennikarza zdjęcia, po czym bez słowa zaczął je systematycznie wykasowywać.

— Ty — odezwał się w przedpokoju szef techników —

a gdzie ty w ogóle masz ekwipu... — Stał w drzwiach pokoju i zamilkł na widok Kani, który złapał dziennikarza za ramię, żeby wyprowadzić go z mieszkania. Wtedy dotarło do niego, że coś jest nie w porządku. — Kto... kto to jest? — wydukał.

— Pozwoli pan, że przedstawię — odezwał się prokurator, po raz pierwszy od początku zajścia. — Jerzy Kuriata, dziennikarz „Kuriera”.

— Powiedział, że jest technikiem przysłanym przez Nowickiego!

— Nic takiego nie powiedziałem — zaprotestował Kuriata. — Pan założył, że nim jestem.

— Ale pan nie zaprzeczył!

Dziennikarz mimo niekorzystnego położenia, w jakim się znalazł, uśmiechnął się pod nosem. Rzeczywiście, nie zaprzeczył. Nie był idiotą.

Kania wyprowadził go za drzwi.

— Ostrzegam, że następnym razem nie ograniczę się do wykasowania zdjęć i wyproszenia pana z miejsca przestępstwa, tylko wniosę oskarżenie o utrudnianie śledztwa. A jak pan nie weźmie prysznicą i nie umyje zębów, to powiadomię sanepid.

Kuriata skrzywił się na tę złośliwość. Kiedy za prokuratorem zamknęły się z powrotem drzwi, spojrzał na kucającego mężczyznę.

— Pana też wyrzucili?

— Nie, dlaczego? — zdziwił się tamten. — Sam wyszedłem, nie mogłem na to patrzeć. Niecodziennie szaleniec morduje człowiekowi ojca.

— Dlaczego szaleniec? Policja coś mówiła?

Stańczyk spojrzał na niego podejrzliwie.

— A pan nie jest z policji? Więc kim pan jest?

Kuriata stwierdził, że jakaś anomalia — niskie ciśnienie, przeloty UFO względnie tajne amerykańskie eksperymenty z nowymi rodzajami broni — musi powodować te zakłócenia w kojarzeniu: najpierw szef ekipy nie zwrócił uwagi, że przysłany technik nie ma ekwipunku, a teraz syn ofiary nie dostrzegł nic dziwnego w tym, że policjant został wyrzucony przez prokuratora. Choć może w jego przypadku było to zrozumiałe — pod wpływem szoku mało kto myśli logicznie.

— Jerzy Kuriata z „Kuriera” — świadomie pominął słowo „dziennikarz”, co robił zawsze, kiedy spodziewał się niechętniej reakcji. Imię i nazwisko oraz nazwa gazety, chociaż niosły tę samą informację, były przyjmowane przychylniej.

Ale nie tym razem.

W Stańczyka wstąpiła nagle energia, zerwał się, zbliżył do Kuriaty i stuknął go palcem w pierś. Kuriata zaczął się zastanawiać, dlaczego wszyscy czują się do tego uprawnieni.

Owszem, nie był może w stroju wyjściowym na bal wiedeński, ale nietykalność osobista chyba obowiązywała.

— Już przyleciałeś, sępie? Zwęszyłeś padlinę? Kudy tam prywatność, spokój zmarłych, uczucia rodziny, grunt, żeby rzucić gawiedzi coś na pożarcie?! Wy... wy...

Kiedy Stańczyk szukał obelgi, Kuriata wywnioskował

z jego czerwieniejącej twarzy, że próby dyskusji i wyłożenia teorii, iż jest tylko karmicielem hien, czy w tym przypadku sępów, mogą nie odnieść pożądanego skutku, i ryzykuje, że jego nietykalność cielesna zostanie naruszona w znacznie poważniejszy sposób. Salwował się ucieczką.

W samochodzie stwierdził, że mimo wszystko ma powody do zadowolenia. Zdjęć nie zdołał wprawdzie wynieść, ale zobaczył miejsce zbrodni na własne oczy, a relacja z pierwszej ręki zawsze miała w sobie jakieś fluidy, których brakowało opisom uzyskanym za czymś pośrednictwem. Syna też mógł

wykorzystać, żeby zilustrować rozpacz i rozgoryczenie krewnych. Chociaż nie w sposób typowy dla kiepskich dziennikarzy: „Syn ofiary był tak załamany śmiercią ojca, że nie chciał

z nami rozmawiać". Było to niedopuszczalne ujawnianie dziennikarskiej kuchni i przyznawanie się do porażki.

Sięgnął po butelkę, którą zostawił na siedzeniu, napił się wody i spojrzął na zegarek. Miał jeszcze dużo czasu, do napisania artykułu brakowało mu tylko rozmowy z Przygodnym.

Postanowił wypełnić zalecenie prokuratora i wziąć najpierw prysznic. Ustawił się na placu Społecznym na prawym pasie, żeby potem skręcić z placu Dominikańskiego na Skargi, a nie zjeżdżać wuzetką w dół — tamta droga prowadziła do redakcji na Krupniczej — i wybrał numer Przygodnego.

— Masz chwilę?

— Dosłownie chwilę.

— Byłem na Grunwaldzkiej, już cię nie zastałem, ale porozmawiałem z Kanią — Kuriata zataił, że rozmowa była dość jednostronna i na zupełnie inny temat, niż sugerował. — Tylko mi nie powiedział, jak oceniacie czas zgonu.

— Na wczoraj.

— A co sądzisz o tej religijnej oprawie?

— Obawiamy się, że może to być początek serii według jakiegoś religijnego klucza jak w tym filmie Siedem.

— Myślisz, że klucz może być ten sam? Rzadko kiedy za-bójcy są oryginalni, częściej naśladowają.



— Nie wiem, jeszcze się nad tym nie zastanawialiśmy, poszliśmy innym tropem.

— Jakim?

— Na razie tajemnica śledztwa. Ale daleko mniej spektakularnym niż teoria religijnego zabójcy, więc twój artykuł nic na tym nie straci. Muszę kończyć.

— Okej.

Kuriata włączył radio i z zadowolenia zaczął wybijać na kierownicy rytm skocznej melodii, która popłynęła z głośników.

Wyjątkowo nie obeszło go, że Przygodny blokuje mu dostęp do informacji, bo rzeczywiście materiał miał pierwszorzędny. Wystarczyłaby sama sceneria zabójstwa, a tu jeszcze jak bita śmietana do lodów dochodziło podejrzenie — sformułowane przez policję — że mogliby mieć do czynienia z seryjnym zabójcą. Brakowało tylko rodzynek, czyli klucza według jakiego ewentualny seryjny zabójca miałby dobierać sobie ofiary.

Zastanawiał się nad tym pod prysznicem, ale nic nie wymy-

ślił. Rozważał, czy nie postawić w artykule tezy, że chodzi o na-

śladowcę bohatera z Siedem, ostatecznie nie wzięłyby tego z powietrza, o filmie wspomnieli policjanci, a jakiś grzech na pewno dałoby się Stańczykowi przypisać; nikt nie jest święty, status świętego uzyskuje się długo po śmierci, dopiero kiedy wymrą ci, którzy mogliby zaświadczyć o draństwach kandydata do kanonizacji. Porzucił jednak ten zamiar jako nieprofesjonalny; na razie nie było poważnych przesłanek, by snuć takie domniemanie. Musiał poczekać do następnego morderstwa

— żywił głęboką nadzieję, że następne będzie — przy drugim powinna uwidocznić się jakaś prawidłowość, a w każdym razie łatwiej będzie jej szukać, mogąc porównać dwa zabójstwa.

Wchodząc do redakcji, zaprzątnięty w myślach układaniem artykułu, nie zwrócił uwagi na młodych ludzi, którzy siedzieli w poczekalni, oddzielonej od właściwej redakcji szybą. Pancerną, wedle złośliwych uwag starszych pracowników gazety, pa-miętających czasy, kiedy każdy czytelnik mógł swobodnie wejść i porozmawiać z dowolnym dziennikarzem. Później jednak kierownictwo doszło do wniosku, że czytelnicy kupujący gazetę nie są tożsami z motłochem pałętającym się po redakcji, a jeśli wśród motłochu trafi się czytelnik, musi to najpierw udowodnić portierowi. Kuriata był zwolennikiem tych nowych porządków, wychodził bowiem z założenia, że to on ma coś interesującego do powiedzenia ludziom, a nie odwrotnie.

— Praktykanci do ciebie — powiedziała sekretarka, pokazując na czekających. — Czy raczej kandydaci na praktykantów.

— Gdzie? Aha, racja. Nie mam teraz czasu, przełoż ich na jutro.

— Czekają już dwie godziny — zaprotestowała. — Troje się wykruszyło, więc tych cierpliwych

powinieneś nagrodzić.

Zwłaszcza że sam się z nimi umówiłeś. Wiem, że punktualność nie jest twoją największą cnotą, ale dzisiaj przegiąłeś.

— Dobra, dobra, nie zrzędź. Zaraz się nimi zajmę.

Kuriata ponownie otworzył drzwi w szklanej przegrodzie i wystawił głowę, nie puszczając klamki.

— Wszyscy państwo w sprawie praktyki do działu kryminalnego „Kuriera”? — zapytał.

Cała piątka — cztery dziewczyny i jeden chłopak — przyjęła pozycję stojącą, gorliwie potakując słowem lub gestem.

— Świetnie. Jestem szefem działu. Konkurs na praktykę wygrała... — przesunął wzrokiem po biustach kandydatek i wskazał tę z największym — pani. Proszę wejść.

Zwycięzcy wykonała polecenie.

— Dlaczego ona? — zapiszczało chude dziewczę, mające dla odmiany niepełną jedynekę. — Bo ma duże cycki?! Widzia-

łam, jak pan się gapił!

— Gapiłem się, bo natura tak mnie skonstruowała, że drugorzędne cechy płciowe płci przeciwnej przyciągają mój wzrok, a wyboru dokonałem na podstawie wyliczanki. Babcia stówę, dziadek stówę, kupili se motorówce. Babcia siadła, dziadek siadł, babcia furkła, dziadek spadł.

— Wyliczanki? Jak można przyjmować na praktykę na podstawie wyliczanki?! — dziewczę było oburzone.

— Idealna metoda. Wszyscy piszecie dobrze, inaczej nie zostalibyście zaproszeni na rozmowę, ale w dziennikarstwie kryminalnym trzeba też mieć szczęście, bo przestępcy zwykle nie przysyłają zaproszeń na swoje występy, a kto ma szczęście, pokazuje wyliczanka.

— Złożę zażalenie! — chuda kandydatka nie mogła pogodzić się z przegraną.

— To startuje pani do złego zawodu, zażalenia składają prawnicy — uciał dyskusję Kuriata i zirytowany zatrzasnął

drzwi, aż szyba wpadła w rezonans. Miał do napisania ważny artykuł, a głupia cipa zatrzymywała go swoimi pretensjami.

Sekretarka popatrzyła na niego z wyrzutem.

— Zobaczysz, kiedyś zemści się na tobie, jak traktujesz ludzi.

— Tak, wiem, pójdę do piekła. Tak się przejmuję, że spać po nocach nie mogę.

Skuliła się, jakby wymierzył jej policzek, i nic więcej nie powiedziała.

Kuriata poszedł do swojego biurka, włączył komputer i zabrał się do redagowania artykułu. Wybrana praktykantka najpierw czekała przy wejściu, a potem przydreptała za nim.

Dziennikarz nie podniósł na nią wzroku i nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Z kłopotliwej sytuacji wybawił ją dzwoniący telefon, którego Kuriata zdawał się w ogóle nie słyszeć.

Podniosła słuchawkę.

— Halo?

W miarę słów rozmówcy na jej twarzy rysowała się coraz większa niepewność. Potem popatrzyła niezdecydowana na swojego patrona, na telefon, wykonała taki gest, jakby chcia-

ła odłożyć słuchawkę, ale zmieniła zdanie.

— Jezus do pana — zwróciła się do Kuriaty.

— Jaki Krezus? Czego chce? — dziennikarz zadawał pytania machinalnie, bardziej w celu zatrzymania dalszych dźwię-

ków, które mogłyby wytrącić go z rytmu pisania (a właśnie formułował kolejne celne zdanie), niż żeby dowiedzieć się, ja-ką sprawę ma dzwoniący.

— Nie krezus, tylko Jezus. Mówi, że ukarał ewangelistów.

— Co?! Kto to dzwoni?!

— Jezus. Mówi coś o fałszywym świadectwie, karaniu i ewangelistach.

— Odłóż to, nie słyszysz, że wariat?! — popatrzył wściekły na praktykantkę, nie był wyznawcą teorii, że wielkość pól kobiecych piersi jest odwrotnie proporcjonalna do wielkości pól kobiecego mózgu, ale tutaj najwyraźniej miał do czynienia z takim przypadkiem. Jak można na poważnie przekazywać relacje kompletnego świra?

— Przepraszam.. nie wiedziałam — wykonała jego polecenie niemal z płaczem.

— Idź do domu, dzisiaj nie mam czasu się tobą zajmować.

Jutro na dziewiątą.

Potwierdziła, że pojawi się punktualnie, ale Kuriata już jej nie słyszał, na nowo pochłonięty swoim tekstem. Pracował

blisko godzinę, a kiedy postawił ostatnią kropkę, stwierdził, że napisał najlepszy artykuł w swojej dziennikarskiej karierze. No może niemal najlepszy, palma pierwszeństwa powinna chyba przypaść artykułowi o indiańskim zabójcy.

Otworzył plik z relacją z zabójstwa Majewskiego, żeby ją sobie przypomnieć i porównać. Przeczytawszy, stwierdził, że nie potrafi wskazać zwycięskiego artykułu, ale oba bez dwóch zdań dowodzą jego dziennikarskiego geniuszu. Powinien dostać nagrodę Grand Press. Szkoda, że morderca Małysiaka nie wykazał się większym polotem, miałby wtedy tryptyk, za który należałby mu się nie żaden Grand Press, tylko Pulit-zer. No ale z gówna piany nie ubijesz. Marek Małysiak padł ofiarą nie artysty zbrodni, tylko zwykłego rzeźnika. Marek!

Kuriata poderwał się na równe nogi, miał wspólny mianownik wszystkich trzech morderstw! Więcej, wiedział, kto jest mordercą!

Złapał komórkę leżącą na biurku, ale z podniecenia dwa razy wybrał niewłaściwy kontakt. Cholera, zaklął, zaraz będą do niego oddzwaniać i dowiadywać się, czego chciał. Trudno, nie miał czasu czekać, aż odbiorą, i informować, że się pomylił. Rozłączał się i wybierał numer ponownie. Za trzecim razem ten właściwy, do Przygodnego.

Komisarz odebrał telefon w złym nastroju. Przeszukanie mieszkania i piwnicy Ratajczyka nic nie przyniosło. Przeciwnie, dowodziło raczej niewinności pielęgniarza niż jego winy, bo mało który morderca potrafił tak skutecznie usunąć wszelkie ślady łączące go z zabójstwem, że podczas przeszukiwania nic nie znajdowano. W najgorszym razie wskazówkę, gdzie dalej szukać. A tutaj nic, Ratajczyk nie miał znajomych w podejrzanych kręgach, którzy gotowi byli w ramach przysługi lub za opłatą przechować trefne fanty, nie posiadał domku letnisko-wego czy firmowego lokalu, gdzie mógłby je schować. A dla przykładu taki skuter, na którego znalezienie komisarz bardzo liczył, to nie był przecież drobiazg łatwy do ukrycia.

Na dodatek nie udało się podważyć alibi pielęgniarza. Jak zrelacjonował mu aspirant, który zadzwonił tuż przed Kuriatą, Krynicki twardo obstawał, iż rzeczywiście rozegrali z Ratajczykiem mecz, podał ten sam wynik i żadne groźby, najpierw w formie sugestii, a potem wprost, że ryzykuje znalezienie się za kratkami, nie zrobiły na nim wrażenia. Gajda przeszedł się do parku nadodrzańskiego w celu dokonania wizji lokalnej, ale i ta nie przyniosła zadowalających rezultatów.

Kort, a właściwie korty, bo były dwa, nie należały do żadnego ośrodka, za korzystanie z nich nie wносиło się opłat, nie było ani obowiązku, ani możliwości zarezerwowania sobie wcześniej kortu, a tym samym grających nigdzie nie odnotowywano. Kto chciał, mógł rozegrać partię tenisa — pod warunkiem, że przyniósł własną siatkę, bo nie znajdowała się na wyposażeniu — jeśli akurat któryś kort był wolny. Teoretycznie mogliby podważyć alibi Ratajczyka, gdyby odnaleźli graczy z niedzieli — w tak ładny dzień korty na pewno nie stały puste — ale wymagałoby to ogromnego nakładu pracy, a rezultat był wątpliwy. Ratajczyk mógł przemyśleć konstrukcję fałszywego alibi do samego końca. Gdyby miał jeszcze jednego współnika i ten zagrał z Krynickim, siłą rzeczy nie dotarliby do graczy, którzy zajmowali kort podczas rzekomego meczu Ratajczyka i Krynickiego. A gdyby ten współnik był podobny do pielęgniarza, druga para tylko potwierdziłaby, że obok nich grał wysoki blondyn o

skandynawskim typie urody.

Poza tym alibi Ratajczyka umacniały znalezione w jego mieszkaniu podczas przeszukania rakiety i piłki — pielęgniarz rzeczywiście grywał w tenisa.

Komisarz zrezygnował więc na razie z prób podważenia alibi pielęgniarza. Także dlatego, że powoli zaczął godzić się z myślą, że może być prawdziwe. Owszem, Ratajczyk miał styczność z ofiarami, dwukrotnie odniósł korzyść z ich śmierci, ale nie mieli niezbitego dowodu, że dokonał któregośkolwiek morderstwa. Co tu mówić o niezbitych dowodach, nie mieli nawet słabych poszlak! Pozostawała niewielka nadzieja, że coś przyniesie przegląd katalogów i zaginiony obraz zdemaskuje Ratajczyka, ale po przeszukaniu komisarz w zasadzie przestał

liczyć na ten trop: pielęgniarz nie miał żadnych obrazów, nawet zwykłych reprodukcji — ściany jego mieszkania zdobiły plakaty sportowych i muzycznych sław — ani publikacji wskazujących, by kiedykolwiek interesował się malarstwem.

I choć Przygodny nie wierzył w przypadki, coraz bardziej skłaniał się ku tezie, którą sformułował aspirant, że Ratajczyk znalazł się w tym wszystkim wskutek niekorzystnego zbiegu okoliczności, a Małysiaka zabił Nowakowski, Majewskiego nieznany sprawca, Stańczyk zaś otwierał serię morderstw na tle religijnym.

— To nie jest początek serii, to końcówka, brakuje jeszcze jednego! — słowa Kuriaty odnoszące się bezpośrednio do jego myśli skonfundowały komisarza. Potrzebował chwili, by uświadomić sobie, że dziennikarz na pewno nie potrafi czytać w myślach, ale nie mógł znaleźć innego punktu odniesienia dla jego słów niż właśnie zabójstwa, o których myślał.

— O czym ty mówisz?

— O Stańczyku! O waszej teorii, że może to być początek serii morderstw według jakiegoś religijnego klucza. On nie jest pierwszą ofiarą, tylko trzecią! I będzie jeszcze jedna!

Przechodząca kobieta spojrzała na Przygodnego i lekko się uśmiechnęła. Musiał mieć bardzo głupią minę. I adekwatnie do niej zadał, a właściwie powtórzył pytanie:

— O czym ty mówisz?

— Wiem, kto jest mordercą i według jakiego klucza morduje, ale to nie jest rozmowa na telefon. Gdzie jesteś? Podskoczę do ciebie.

Komisarz rozejrzał się — pogrążony w myślach szedł na pamięć, nie rejestrując, gdzie się znajduje. Stał na placu Jana Pawła II, koło rzeźb przedstawiających najpierw człowieka walczącego z lwem, a potem nad nim triumfującego.

— Dzwonisz z redakcji?

— Tak.

— To jestem w pobliżu, mogę podejść.

— Dobra, czekam.

W poczekalni „Kuriera” Przygodny natknął się na dystyn-gowanego staruszkę z siwą bródką a la Bronisław Geremek i w staroświeckim kapeluszu. W zasadzie sam fakt noszenia kapelusza był staroświecki. Staruszek niepewnie ścisnął w jednym ręku egzemplarz gazety, a w drugim jakąś książkę i sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Więcej zdecydowania w jego ruchach pojawiło się dopiero, kiedy Kuriata otworzył drzwi, żeby wpuścić przyjaciela.

— Najmocniej pana przepraszam — uprzedzając komisarza, znalazł się przy Kuriacie — ale muszę rozmówić się z panem Leszkiem Mrożewiczem. Cerber — staruszek wskazał

na portiera — twierdzi, że pana Mrożewicza nie ma w pracy, ale twierdzi tak już od tygodnia i mam powody, by zakładać, że pan Mrożewicz mnie unika. Przepraszam, nie przedstawi-

łem się, gdzie moje maniery? Profesor Adam Sobieski, chociaż nie z tych Sobieskich, autor romansu historyczno-przygo-dowego — uchylił kapelusza, co ze względu na przyniesione akcesoria wymagało lekkiego gimnastykowania się, a jednocześnie zaprezentował trzymaną w ręku książkę — pod tytu-

łem Na krańcach stepu, którą to powieść pan Mrożewicz jako recenzent był łaskaw zmieszać z błotem — tym razem Sobieski zaprezentował trzymaną w drugim ręku gazetę — do czego ma oczywiście święte i niezbywalne prawo, ale z jego recenzji nie wynika, żeby przeczytał coś więcej niż początek, a to już nie jest w porządku. Niech pan posłucha! — Profesor rozłożył gazetę. — „Główni bohaterowie, młody szlachetka Andrzej i piękna Ukrainka Lena to postaci sztampowe”. On nawet nie wie, że jest trzeci główny bohater, tylko na kartach książki pojawia się dużo później! „Na krańcach stepu zaczyna się sztampowo” — to, zdaje się, ulubione określenie pana Mro-

żewicza — opinia podbudowana jest opisem pierwszych zdarzeń w powieści — „i równie sztampowy jest środek i koniec”, ale nie dowiadujemy się, na czym ta sztampowość polega, bo recenzent nie podaje żadnych przykładów, jakby dalej nie przeczytał. I właśnie tę kwestię chciałbym z panem Mrożewiczem wyjaśnić w męskiej rozmowie.

Kuriata odsunął się, żeby zrobić profesorowi przejście, a na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech.

— No to ma pan szczęście, bo Mrożewicz jest w redakcji, pichci podsumowanie z Przeglądu Piosenki Aktorskiej, a że spóźnione, to siedzi po godzinach. Przystojny, dość wysoki brunet, pięć lat młodszy ode mnie, bez okularów, bo wzroku rzeczywiście nie psuje sobie czytaniem, trzecie biurko po lewej od wejścia.

— Dziękuję panu, jestem niezwykle zobowiązany — Sobieski ponownie uchylił kapelusza.

Dziennikarz wpuścił też Przygodnego i przeszli do jego biurka.

— Mów — ponaglił komisarz. Musiał przyznać, że był ciekaw teorii Kuriaty i jego podejrzeń. Dziennikarz nie dysponował wprawdzie zapleczem w postaci policyjnej maszyny, ale czasami

łatwiej przychodziło mu zdobyć informacje nieprze-znaczone dla uszu śledczych.

— On morduje ewangelistów!

Przygodny popatrzył na przyjaciela sceptycznie, jakby szukał oznak postępującego uwiadu mózgu. Kuriata dostrzegł

to spojrzenie.

— Oczywiście nie prawdziwych ewangelistów. Ale popatrz: Mateusz Majewski, Marek Małysiak, Łukasz Stańczyk

— wymienił ofiary, akcentując imiona. — Mateusz, Marek i Łukasz. Trzej ewangeliści. Brakuje tylko Jana!

— Nonsens — odrzucił tę teorię komisarz ledwie po sekundzie namysłu. — Gdyby tak było, wszystkie morderstwa miałyby podobną oprawę jak morderstwo Stańczyka. Strzała z łuku i oskalpowanie do tego nie pasują.

— Pasują, bo morduje ich wariat. Normalnie uważa się za Jezusa, ale pewnie ma przeskok na indiańskiego wojownika.

— Jaki wariat? Jak się nazywa? Skąd o nim wiesz?

— Dzwoni do mnie po każdym morderstwie. Oczywiście z początku nie łączyłem go z tymi zabójstwami, w ogóle z nim nie rozmawiałem, tylko rzucałem słuchawką, jak usłyszałem, że przedstawia się jako Jezus. — Kuriata nie pamiętał, że za pierwszym razem to wariat rzucił słuchawką, kiedy on przedstawił się jako Napoleon Bonaparte. — I pewnie nie dowiedziałbym się, co chce powiedzieć, gdyby ostatniego telefonu, dzisiaj, nie odebrała nowa praktykantka. Nie wiedziała, czy może taki telefon zignorować, więc wysłuchała gościa i zdała mi relację. Ze dzwonił Jezus, który poinformował ją, że zemścił

się na ewangelistach, bo dali fałszywe świadectwo, czyli, jak rozumiem, napisali o nim nieprawdę. Najpierw ją zjechałem za gadanie z wariatem, ale potem, pisząc artykuł o śmierci Stań-

czyka, zajarzyłem, że twoje trzy trupy noszą imiona ewangelistów. — Kuriata nie widział powodu, by ujawniać, że olśnienia doznał nie w trakcie redagowania artykułów, tylko ich podziwiania. — Na dodatek we właściwej kolejności, co nie może być przypadkiem. No i pasuje wiek zabitych, w powszechnym przekonaniu ewangelistami byli apostołowie, którzy pod koniec życia spisywali swoje wspomnienia.

— Hm, zabójca Stańczyka rzeczywiście napisał słowo „zemsta” — komisarz jakby powoli ulegał argumentacji Kuriaty.

— Gdzie? — zainteresował się dziennikarz, który żadnego napisu nie dostrzegł.

— Woskiem pod Ewangelią.

— A właśnie. Kiedy ten świr dzwonił do mnie po zabójstwie Małysiaka, to cytował Ewangelię, passus z Kazania na Górze — Kuriata jako ateista doskonale znał Nowy Testament, bo w Polsce Biblię czytują nie katolicy, tylko ateści i świadkowie Jehowy — o tym, że nie należy bogacić się na ziemi. Więc może ma pretensje do ewangelistów, że nie postę-

powali zgodnie z jego zaleceniami, wiesz, jak księża, którzy ślubują życie w czystości i ubóstwie, ale wypasionego wozu i posunięcia panienki — albo chłopca, w zależności od upodobań

— sobie nie odmówią.

Komisarz przypomniał sobie faryzejską szatę, rozpoznaną przez Małeckiego. Faryzeusze symbolizowali obłudników.

Ale był też argument przeciw:

— O tych zabitych nie można powiedzieć, żeby pławili się w luksusie.

— Ja nie mówię o tych zabitych, tylko o ewangelistach, z którymi ten świr ich utożsamiał. Zresztą może sam nie wie, o co ma pretensje, to akurat częste nie tylko u świrów. Grunt, że ich morduje.

Jeśli tak było, kwestia, za co giną „ewangeliści”, rzeczywiście schodziła na dalszy plan.

— Dzwonił do ciebie na komórkę czy na stacjonarny?

Kuriata musiał poszukać w pamięci.

— Za drugim razem na komórkę, a tak to na stacjonarny.

Tutaj, do redakcji — dziennikarz wskazał na telefon stojący na biurku.

— Macie tu identyfikację przychodzących rozmów?

— Niestety nie.

— A mógłbyś odnaleźć jego numer na swojej komórce?

— Co ty? Nie ma szans, za dużo czasu minęło. Mój sony ericsson przechowuje tylko pewną liczbę ostatnich połączeń, zresztą i tak bym nie skojarzył, który to numer, bo wydzwania do mnie cała masa ludzi, których nie mam wpisanych w telefonie.

— Będziemy musieli wystąpić o bil ingi rozmów przychodzących. Powiedziałeś, że dzwonił do ciebie po morderstwach.

Jeszcze tego samego dnia? Następnego?

— Przy Stańczyku zadzwonił dzisiaj, a więc następnego dnia. Poprzednich nie pamiętam dokładnie, ale wydaje mi się, że nie później niż następnego dnia.



Podniesione głosy Sobieskiego i Mrożewicza przerwały dalszą rozmowę. Odwrócili głowy w ich kierunku. Mrożewicz z kpiącą miną coś perorował, pochylając się nad profesorem, który starał się wejść mu w słowo. Kiedy się zorientował, że nie ma na to szans, bo recenzent z całą premedytacją postanowił go zakrzyczyć, poderwał się z krzesła. Kuriata i Przygodny rozdziawili usta w szczerym zdumieniu, obserwując konsekwencje tego poderwania się. Mrożewicz, jakby pchnię-

ty podmuchem tornada, odleciał parę metrów w tył i spadł na biurko dziennikarza działu sportowego, na szczęście nieobecnego, rozbijając mu doszczętnie monitor komputera. Kuriata pierwszy zorientował się, co się wydarzyło.

— A niech mnie... on mu przyłożył z główki — w jego głosie słychać było nieklamany podziw.

— Ty... — powiedział komisarz, który po słowach przyjaciela uświadomił sobie, że dostrzegł moment, kiedy czoło Sobieskiego zetknęło się z nosem Mrożewicza, ale wszystko wydarzyło się tak szybko, że zarejestrował go już niemal pod-progowo — ja powinienem faceta aresztować, przecież to jest pobicie!

— Daj spokój — sprzeciwił się Kuriata, patrząc na oszo-

łomionego Mrożewicza, który z zakrwawioną twarzą gramolił

się z biurka działu sportowego. — Dzieło sztuki, a nie żadne pobicie. Spodziewałbyś się tego po nim? Majstersztyk. Zresztą słyszałeś, że chciał się z Mrożewiczem grzecznie rozmówić, musiał zostać sprowokowany.

— Jestem policjantem — mruknął Przygodny bez przekonania.

— Policjantem niedysponującym odpowiednimi siłami —

dziennikarz pokazał na zagipsowaną rękę. — Nie możesz podejmować próby aresztowania, nie mając fizycznej przewagi, a staruszek przed chwilą pokazał, że odpowiednim dla niego przeciwnikiem jest wytrenowany komandos, a nie kontuzjowany, leciwy komisarz.

— Z tym leciwym to przesadziłeś. — Przygodny poczuł

się dotknięty.

Profesor Sobieski podszedł do nich.

— Panowie zechcą mi wybaczyć ów godny pożałowania incydent, ale chujowi się należało. Nie dość, że nie przeczytał

mojej powieści, to jeszcze ma czelność utrzymywać, że bynajmniej nie musiał i nie widzi powodu, by się pokajać i napisać rzetelną recenzję.

Kuriata aż kwiknął z zachwytu na ten dysonans między nienagannymi manierami i pozostałym wokabularzem Sobieskiego a epitetem pod adresem Mrożewicza.

— Domyślam się, że redakcja będzie domagać się ode mnie odszkodowania za powstałe szkody — profesor wskazał

na zniszczony sprzęt — które to roszczenie odrzucam, ale jako człowiek honoru nie zamierzam się przed nim uchylać i chętnie przedstawię swoje argumenty na rozprawie sądowej. Proszę, oto moja wizytówka z wszelkimi danymi adresowymi do wniesienia pozwu.

Kuriata nie przyjął wizytówki.

— Dlaczego mielibyśmy pana pozywać? Dokładnie widzia-

łem, jak niezdara Mrożewicz potknął się o własne nogi i wy-rznął fizjonomią o monitor kolegi Boruckiego.

Odpowiedź Kuriaty zdezorientowała profesora. Z począt-ku nie wiedział, czy dziennikarz przeoczył, co się naprawdę wydarzyło, czy proponuje mu zatajenie sprawy. Potem wywnioskował z jego kpiącego uśmiešku, że to drugie.

— Zwykłem ponosić odpowiedzialność za swoje działania, a zatem byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan jednak przyjąć moją wizytówkę i nie zatajał przebiegu wydarzeń. Pan Mrożewicz jest mendą i postąpiłem, jak wobec mendy postąpić nale-

żało. Jeśli mogę ująć to następująco: do winy się nie przyznaję, ale do czynu zdecydowanie tak.

Na tę płomienną deklarację Kuriata wziął wizytówkę i rzucił na nią okiem.

— Mogę zapytać, skąd pan to potrafi? — wykonał głową gest niepozostawiający wątpliwości, o co mu chodzi. — Grze-siuk nie powstydziliby się takiej techniki.

— No cóż, nie urodziłem się ani profesorem, ani w профе-sorskiej rodzinie. W środowisku, z którego się wywodzę, liczy-

ły się wyłącznie pięści, nie głowa, no chyba że użyta tak, jak byłem zmuszony użyć jej przed paroma minutami.

Sobieski spojrział na Mrożewicza, który starał się zata-mować krwotok z nosa, ukłonił się Kuriacie i Przygodnemu, nałożył kapelusz i bez pośpiechu opuścił redakcję.

— Rewelacyjny staruszek — cmoknął nadal zachwycony dziennikarz. — Muszę sobie przeczytać tę jego książkę. Jaki to był tytuł? Na bezkresach stepu?

— Na krańcach stepu — poprawił Przygodny.

Kuriata zapisał sobie tytuł na odwrocie wizytówki, którą wetknął do tylnej kieszeni dżinsów.

— Nie dasz jej naczelnemu? — zdziwił się Przygodny, pokazując na pobojuwisko na biurku Boruckiego.

— Nie. Staruszek ma swoje zasady, ja mam swoje. Poza tym Mrożewicz będzie przecież wolał zapłacić za monitor, niż przyznać się Misiakowi, że został pobity przez autora, bo zrecenzował jego książkę bez czytania. Są redakcje, w których to tolerują, ale na pewno nie w „Kurierze”. Misiak ma szmergla na punkcie dziennikarskiej etyki.

— A propos szmergla, czy ten wariat, który do ciebie dzwonił — komisarz wrócił do rozmowy przerwanej przez wyczyn Sobieskiego — powiedział coś, co pozwoliłoby go zidentyfikować? Albo przynajmniej określić kierunek poszukiwań?

— Ja praktycznie z nim nie rozmawiałem, musiałbyś zapytać tej praktykantki. Ale wątpię. Przekazała chyba wszystko, co powiedział.

— Niedobrze — zmartwił się Przygodny. — Zostają bil in-gi, ale jak dzwonił z budki albo z komórki na kartę, to nic nie ustalimy.

— Czy to znaczy, że jednak nie odrzucasz mojej teorii ? —

ucieszył się Kuriata, mając już przed oczyma nagłówki: „Dziennikarz rozwikłał zabójstwo «ewangelistów»”.

— Niewątpliwie wymaga sprawdzenia, zwłaszcza że według niej zagrożone jest życie kolejnego człowieka. Te imiona mogą być przypadkowe i na dziewięćdziesiąt dziewięć procent są przypadkowe, ale zawsze zostaje ten jeden procent i jeśli ja-kiś Jan padłby ofiarą zabójstwa, nigdy bym sobie tego nie wybaczył. A tylko docierając do tego wariata, możemy ustalić, czy rzeczywiście popełnił te morderstwa, czy przeczytał o nich w gazetach i dorobił sobie do nich teorię.

— O morderstwie Stańczyka jeszcze nie było w gazetach

— zauważył Kuriata.

— Mógł przeczytać o pierwszych dwóch... — ...a potem zabić Stańczyka — dopowiedział dziennikarz.

— To by wyjaśniało brak religijnych akcesoriów przy Majewskim i Małysiaku. To jest to! — krzyknął rozemocjonowany.

— Świr roi sobie, że jest Jezusem, ma jakieś wony do ewangelistów, czyta w prasie, że zabity został Mateusz, a potem Marek, a w gazecie wybijają się imiona, bo z nazwiska podaje się tylko inicjał, w swojej chorej wyobraźni utożsamia ich z praw-dziwymi ewangelistami, po kilku dniach zaciera mu się, że czytał o cudzych zabójstwach, jest przekonany, że sam ich ukarał, i rusza na krucjatę przeciwko trzeciemu ewangeliście. I wyru-szy przeciwko czwartemu. Jestem pewien!

Przygodny popatrzył na rozgorączkowanego przyjaciela.

— I co mam, twoim zdaniem, zrobić? Objąć ochroną wszystkich mężczyzn po sześćdziesiątce o imieniu Jan?

Dziennikarz nieco oklapł.

— Przyznaję, technicznie niewykonalne, w samym Wrocławiu musi być ich legion, a nigdzie nie jest powiedziane, że czubek nie zaatakuje w jakiejś podwrocławskiej miejscowo-

ści. Albo w ogóle nie pojedzie gdzieś w Polskę na gościnne wy-stępy. Pozostaje szybko go zidentyfikować, ale jak sam powiedziałaś, wystarczy, że dzwoni z komórki na kartę, i jest nie do odkrycia.

Zamilkli. Kuriata bardziej przekonany od policjanta, że atak rzeczywiście nastąpi, intensywnie szukał w myślach rozwiązania problemu. Bezwiednie zaczął chodzić między pusty-mi o tej porze biurkami.

— Mam — powiedział po paru minutach, stając na wprost Przygodnego. — Musi być jeszcze jakiś klucz poza ewangelijnym. Stwierdziliśmy, że Janów jest we Wrocławiu od cholery, ale tak samo Mateuszów i Marków, facet musi na jakiejś podstawie dokonywać wyboru, przecież nie bierze ich z książki telefonicznej. Istnieje coś, co łączy całą trójkę, a wła-

ściwie czwórkę. Jak odkryjemy ten punkt wspólny, bez trudu trafimy do Jana.

— Przeczysz sam sobie — wytknął mu komisarz. —

Przed chwilą twierdziłeś, że podczepił się pod zabójstwa doko-nane przez kogoś innego. Czyli w dwóch pierwszych przypadkach nie on dokonywał wyboru, a tym samym nie może być żadnych punktów wspólnych między Majewskim i Małysiakiem a Stańczykiem.

— No to się nie podczepił — Kuriata nie lubił nie mieć racji — morduje od początku. Jest ktoś lub coś, co łączy tych trzech gości?

Przygodny nie musiał się zastanawiać.

— Ratajczyk. Ich pielęgniarz.

— Ten, którego podejrzewałeś, że zapewnił sobie alibi po zabójstwie Małysiaka, dojeżdżając na czas skuterem?

Komisarz był zaskoczony dobrą pamięcią przyjaciela, zwłaszcza że kiedy dzielił się z nim tą informacją, ten zdawał

się w ogóle nie przykładać do niej wagi, zaaferowany podręcznikiem medycyny sądowej.

— Tak, opiekował się całą trójką.

— Co?! Dopiero teraz mi to mówisz? — oburzył się dziennikarz.

— Nie masz abonamentu na informacje ze śledztwa —

wyjaśnił spokojnie Przygodny. — Zresztą Ratajczyk wykazał

żelazne alibi na pierwsze morderstwo, na drugie właściwie ma alibi, bo nie znaleźliśmy tego skutera, a w czasie zabójstwa Stańczyka grał w tenisa.

— Ale ja wcale nie twierdzę, że on jest mordercą! Tylko tym punktem wspólnym! Drugim kluczem. Na dodatek idealnie pasującym. Pielęgniarz.

Komisarz popatrzył na Kuriatę i zrozumiał, co ten chciał

powiedzieć, akcentując ostatnie słowo. Człowiek psychicznie chory, cierpiący na urojenia, a taką diagnozę z pewnością po-stawiono komuś, kto uważał się za Jezusa, musiał pozostawać pod opieką personelu medycznego, w skład którego mógł

wchodzić Ratajczyk. I przez swojego pielęgniarza zabójca docierał do właściwych ofiar.

Ten argument przekonał ostatecznie Przygodnego, że cokolwiek fantastyczną teorię Kuriaty trzeba poważnie wziąć pod uwagę. Logicznie wprawdzie odrobinę szwankowała, ale jeśli zabójca rzeczywiście był wariatem, trudno było oczekiwać, żeby w swoich działaniach kierował się żelazną konsekwencją, a za to wyjaśniała ciągle przewijanie się postaci Ratajczyka przy jednoczesnym braku jakichkolwiek dowodów jego winy.

Komisarz zanotował sobie na kartce numer telefonu do redakcji, koślawymi cyframi, bo był zmuszony pisać lewą ręką, dopisał numer komórki Kuriaty, żeby mieć je w jednym miejscu, i pożegnał się. Czuł, że nadchodzi ten moment śledztwa, w którym mozolne gromadzenie faktów i materialnych dowodów przekracza punkt krytyczny i ich działania nabierają tem-pa (co niekoniecznie oznacza pościg rozpędzonym radiowo-zem), by w krótkim czasie doprowadzić do ujęcia sprawcy.

Lubił to porównywać do ataku pozycyjnego w meczu piłkarskim. Spokojne rozgrywanie piłki, po którym następują dwa, trzy szybkie podania, otwierające drogę do bramki.

Schodząc na dół, postanowił od razu porozmawiać z pielęgniarzem. Jeśli rzeczywiście zagrożone było życie człowieka, czas odgrywał ogromną rolę. Gdyby zabójca starał się zrzucić winę na Ratajczyka, potencjalna ofiara byłaby bezpieczna, pó-

ki ten nie wyszedł na wolność, ale w tym przypadku nie wyglądało na to, żeby mieli do czynienia ze świadomą próbą przypisania winy komuś innemu. Morderca nie zadbał na przykład, żeby na czas zabójstw pozbawić Ratajczyka alibi.

Wyjął telefon i wybrał numer aspiranta.

— O, panie komisarzu, właśnie miałem do pana dzwonić.

Telepatia.

Przygodny skłonny był raczej przypisać tę zbieżność okoliczności, że obaj pracowali nad tą samą sprawą i musieli się często kontaktować, niż niezbadanym przepływom myśli, ale nie miał ochoty tego roztrząsać.

— Co chciałeś?

— Znalazłem obraz! Ci od dzieł sztuki rzeczywiście mają katalogi rzeczy, których szukają. Bo to nie jest jeden katalog, tylko cała masa. Rzeczy zaginionych podczas wojny jest ponad sześćdziesiąt tysięcy, oczywiście katalogi nie obejmują wszystkiego, jakieś dziesięć procent. I tak za dużo, ale opisa-

łem kolegom obraz i dzięki temu, że mnie ukierunkowali, znalazłem. Mieliśmy szczęście, bo mogło go nie...

— Gajda!

— Miał pan nosa, panie komisarzu, obraz zaginął w czasie wojny. To Dama z piwoniami, malarz nazywa się Władysław Czachórski.

— Nie znam.

— Ja też nie i dlatego nie zapamiętałem nazwiska. Ale teraz najlepsze. Obdzwoniłem marszandów, żeby się dowiedzieć, ile ten obraz jest wart, i okazuje się, że chociaż to nie Kossak czy inny Malczewski, to grube pieniądze. W jednym domu aukcyjnym powiedzieli mi, że opylili podobny obraz Czachórskiego, Dama z azaliami, za osiemset czterdzieści tysięcy, więc ta z piwoniami z tym swoim backgroundem, że by-

ła zaginiona i nagle się odnalazła, spokojnie powinna dobić do miliona! Milion za obraz jakiegoś nieznanego malarza, wyobraża pan sobie?

— My o nim nie słyszeliśmy, ale nie jesteśmy ani eksper-tami, ani kolekcjonerami — zauważył Przygodny, co nasunę-

to mu myśl, że przecież Stańczyk znał się na malarstwie i powinien zdawać sobie sprawę, jak cenny obraz znajduje się w jego kolekcji. Choć może jako malarza interesowała go artystyczna, a nie finansowa wartość obrazów i nie śledził aukcji sztuki. Albo był przekonany, że posiada nie oryginał, tylko kopię. — Czy Stańczyk wspomniał może, że ta jego Da-ma z piwoniami jest kopią?

— Kopią? Ale dlaczego ktoś miałby kraść kopię, jak oryginał jest wart milion? — Gajda, nie znając przemyśleń komisarza, zareagował niezbyt logicznym pytaniem.

Przygodny wyjaśnił, o co mu chodzi.

— Hm... — Aspirant starał się odtworzyć w pamięci rozmowę z profesorem. — Nie wydaje mi się. Chyba w ogóle nic na ten temat nie mówił, podał tylko tytuł i autora. Ale myślę, że to był oryginał.

— Dlaczego?

— Bo Stańczyk opowiedział mi anegdotkę, jak podpuszczał

tym obrazem studentów. Bardzo go to bawiło i na pewno opowiedział ją też Ratajczykowi. A Ratajczyk musiał zainteresować się tematem, sprawdził, że obraz jest wart kupę kasy, i zatroszczył się, by zmienić właściciela. Jeśli tak zrobił, to musiał mieć pewność albo przynajmniej żywioł przekonanie, że jego łupem pada oryginał. A przecież nie wykonał sam ekspertyzy, tylko pewnie polegał na tym, co przekazał mu Stańczyk.

— Co do Ratajczyka, jest nowa teoria, według której był-

by niewinny.

Przygodny zreferował aspirantowi pokrótce wnioski Kuriaty.

— Co pan o tym sądzi?

— Na razie tyle, że jeśli można zapobiec kolejnemu morderstwu, należy to zrobić, nawet jeśli teoria nie jest bardzo przekonująca. Dla mnie języczek u wagi stanowi fakt, że przeszukanie u Ratajczyka nic nie dało, co każe szukać mordercy gdzie indziej. A wariat nie byłby złym kandydatem, psychicznie chory zabójca nie jest akurat wyjątkiem w historii kryminalistyki. Musimy go ustalić. Właśnie w tej sprawie dzwonię.

Zdobądź mi przychodzące bil ingi... — Przygodny zerknął na kartkę, którą trzymał między kciukiem a palcem wskazują-

cym złamanej ręki, i podyktował aspirantowi numery. —

W dniach morderstw plus następne dwa dni. Tylko sam rozumiesz, oficjalnie swoją drogą, ale nieoficjalnie potrzebujemy natychmiast. Podskocz do operatorów i zrób raban: zagrożone jest życie ludzkie i tak dalej...

— Jasne, szefie, rozumie się samo przez się — mimo tej deklaracji w głosie Gajdy nie było słychać

zwykłego entuzjazmu, z jakim przystępował do wyznaczanych mu zadań. Przygodny domyślił się przyczyny.

— Obrazu oczywiście nie skreślamy, milion jako motyw to nie w kij dmuchał. Przekaż kolegom, że rozglądamy się za tą Damą z piwoniami i że ma związek z zabójstwem. Zresztą idę teraz na izbę zatrzymań pogadać z Ratajczykiem, więc po-ciągnę go za język w tej sprawie.

Komisarz spojrział na wyłaniające się przed nim ceglane mu-ry wzorowanej na średniowieczną warownię budowli.

Kompleks sądowo-więziennie-policyjny w kwartale zamkniętym ulicami Świebodzką, Druckiego-Lubeckiego, Sądową, Podwale i Łąkową budził respekt. Taki był chyba zresztą zamysł pruskich architektów, którzy w połowie XIX wieku wzniesli te budynki, żeby potęgę i majestat wymiaru sprawiedliwości wyrazić w kamieniu. Po raz pierwszy przyszła do głowy Przygodnemu refleksja, która pewnie nigdy by mu się nie nasunęła, gdyby pracował

we współczesnym przeszklonym biurowcu, iż jest tutaj tylko chwilowym gościem, że dawno przed nim jakiś Abenteuerlich ścigał stąd bandytów i że pojawią się jeszcze całe pokolenia następców, zanim w miejscu tych gmachów staną nowe.

Abenteuerlich. Przygodny. Wedle rodzinnej legendy nietypowe nazwisko zawdzięczał prapradziadkowi, hultajowi i szelmie, który oczywiście w dokumentach figurował jako Przygodzki, ale po jednym ze swoich występków zaczął się posługiwać nieco zmodyfikowanym nazwiskiem, żeby utrudnić stróżom prawa natrafienie na jego trop.

Po wejściu do komendy komisarz od razu zszedł na dół, do izby zatrzymań i nacisnął dzwonek przy obitych blachą drzwiach. Nikt nie zareagował, dopiero kiedy zadzwonił drugi raz, otworzyła się klapka.

— Co jest?! Nie pali... — w okienku ukazała się rozszokowana twarz funkcjonariusza, ale gdy zobaczył, z kim ma do czynienia, zmienił ton. — O, pan komisarz, przepraszam, nie poznałem...

— Chcę porozmawiać z Ratajczykiem. Piotr Ratajczyk.

Funkcjonariusz sprawdził na rozpisce, w której celi siedzi zatrzymany, wpuścił komisarza i poprowadził go krótkim korytarzem do właściwych drzwi. Zgodnie z regulaminem powinien odebrać od niego broń, ale regulamin w polskich służ-

bach to papier mający status o tyle wyższy od toaletowego, że wieszka się go na ścianie, a nie podciera sobie nim tyłek. Przynajmniej nie dosłownie. Przygodny często zrywał się z tego powodu; na stażach zagranicznych, raz był w Belgii, a raz w Irlandii, przekonał się, że jasny, niebiurokratyczny i przestrzegany regulamin znakomicie usprawnia pracę. Niestety, w Polsce takie zarządzenia powstają jakby przy założeniu, że nikt ich nie będzie przestrzegał, więc można zawrzeć w nich dowolne bzdurne wymogi. Do niezyciowych, formalistycznych zaleceń trudno się stosować i koło się zamyka.



— Niech pan go schowa do jakiejś szafki — Przygodny podał funkcjonariuszowi pistolet. — Z jedną sprawną ręką mógłbym się nie obronić.

Ratajczyk leżał na pryczy. Na widok wchodzącego z ociąganiem usiadł.

— Dzień dobry — przywitał się komisarz, zajmując miejsce na chybotliwym krześle przy odrapanym stoliku.

Pielęgniarka burknęła mało wyraźne „dobry”, co miało sygnalizować, że zachowuje konwenanse, ale tylko one zmuszają go, żeby odpowiedzieć na powitanie Przygodnego.

— Obawiamy się, że zagrożone jest życie kolejnego pańskiego pacjenta. O imieniu Jan — komisarz nie tracił czasu na dalsze grzeczności.

Ratajczyk spojrział na policjanta spode łba, rozważając, czy swój protest przeciwko zamknięciu wyrazić milczeniem czy polemiką. Zdecydował się na polemikę.

— Jak to zagrożone? Przecież siedzę tutaj — zatoczył ręką koło, żeby unaocznić, iż nie znajduje się w miejscu, z którego w dowolnej chwili może się oddalić — a wy uważacie, że to ja morduję swoich pacjentów, więc jak mogę komuś zagrażać?

— Ma pan pacjenta albo pacjentów o takim imieniu? —

Przygodny nie zamierzał wdawać się w dyskusję, na ile jego pytania przystają logicznie do sytuacji.

— Mam, jednego. Jan Żukiewicz.

— Ile ma lat?

Ratajczyk wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Koło sześćdziesiątki. Jest na emeryturze.

— Wdowiec?

— Nie wiem, chyba nie, raczej stary kawaler.

— Czyli mieszka sam?

— Tak.

— A gdzie?

— Na Rybackiej. Trzydzieści sześć przez siedem.

— Co mu dolega, że się pan nim opiekuje?

— To akurat tajemnica zawodowa, ale jemu nic nie dolega. Masuję go.

— Masuje pan? Myślałem, że jest pan pielęgniarzem.

— Masażystą też. Na tym rynku z jedną specjalnością daleko się nie zajedzie.

— Ma pan może pacjenta, który uważa się za Jezusa?

We wzroku Ratajczyka pojawiło się coś, czego komisarz nie potrafił zinterpretować.

— Nie mam, ale... — pielęgniarz urwał, jakby uznał, że nic nie uzasadnia, by pomagał policji, i jego odpowiedzi nie muszą wychodzić poza zakres pytania.

— Ale? — ponaglił Przygodny.

Ratajczyk znowu obdarzył go niechętnym spojrzeniem.

— Spotkałem takiego, kiedy miałem praktykę pielęgniarzką w domu wariatów w Kątach Wrocławskich.

— Jak się nazywał?

— A skąd mam pamiętać? To było trzy lata temu, a sama praktyka trwała wszystkiego dwa tygodnie.

— Jaka jest oficjalna nazwa tej placówki?

— Też nie pamiętam, pewnie ośrodek dla umysłowo chorych albo jakoś tak, ale tam jest tylko jeden, jak zapyta pan o dom wariatów, to każdy pokaże panu drogę.

— Coś panu mówi nazwisko Władysław Czachórski?

— Nie. Kto to jest?

Komisarz spodziewał się takiej odpowiedzi, dlatego temat zmienił zniemacka i uważnie obserwował reakcję Ratajczyka.

Ale jeśli nawet pielęgniarza zaskoczyło, że policja błyskawicznie ustaliła autora obrazu skradzionego z mieszkania Stańczyka, nie dał nic po sobie poznać.

— Na razie zostanie pan zwolniony — powiedział Przygodny, podnosząc się. — Nie będziemy pana dłużej trzymać.

— Naprawdę?! — ucieszony Ratajczyk zerwał się, złapał

komisarza za lewą rękę i zaczął nią potrząsać, wylewnie dzie-

kując, jakby zamknął go ktoś inny, a komisarz okazał się wy-bawicielem. — To znaczy, że mogę iść?

— No tak od razu to nie — zgasił jego radość Przygodny.

— Obawiam się, że będzie musiał pan tutaj przenocować, bo dziś już nie zdążymy z papierkową robotą, jaką trzeba wykonać, żeby pana wypuścić.

— Ale... — pielęgniarz próbował zaprotestować.

— Nie da się inaczej. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby puszczono pana na moje słowo, ale takie są procedury.

Niech się pan cieszy, że nie będzie pan siedział całe czterdzieści osiem godzin.

Komisarz zastukał w drzwi, dając znak strażnikowi, że chce wyjść.

Idąc na górę, wybrał numer posterunkowych.

— Wojtkiewicz — zameldował się jeden z nich, z czego wynikało, że jeszcze byli na służbie.

— Komisarz Przygodny. Jesteście teraz wolni czy macie jakąś akcję?

— Wolni.

Przygodny przez chwilę bawił się myślą, żeby jednemu zlecić zadanie, a drugiego zatrudnić jako kierowcę, ale uznał, że rozdzielenie pracujących zawsze razem Wójcika i Wojtkiewicza mogłoby wytrącić ich z rytmu do tego stopnia, że staliby się całkowicie bezużyteczni.

— Dobra. Pojedziecie na Rybacką trzydzieści sześć. Po-informujcie wszystkich lokatorów, że w okolicy krąży włamywacz, który pod różnymi pretekstami stara się dostać do mieszkań starszych ludzi, potem bije ich do nieprzytomności i okrada. Poprosicie, żeby w związku z tym nie wpuszczali żadnych nieznanomych, włączywszy w to inkasentów z gazow-ni i pracowników spółdzielni. Koniecznie musicie zadbać, żeby informacja trafiła do lokatora spod siódemki, Jana Żukiewicza. Zrozumiano?

— Tak jest. Żukiewicz spod siódemki.

— Wykonać.

Komisarz rozłączył się, podchodząc do stanowiska dyżurnego.

— Potrzebuję radiowóz z kierowcą.

Dyżurny w milczeniu skinął głową, że polecenie przyjął

do wiadomości, i rzeczywiście po kilku minutach Przygodny siedział w nowej ki cee'd. Kierowcą był policjant z prewencji, żujący gumę osiłek. Krótkim i gardłowym „tajest” potwierdził, że zawiezie

komisarza do Kątów Wrocławskich, po czym nie przejawiał żadnych chęci do dalszej konwersacji, z czego Przygodny był bardzo zadowolony. Analizował po drodze zeznania Ratajczyka, te złożone w komendzie i w izbie zatrzymań, w kontekście teorii Kuriaty. Coś mu w nich nie pasowało, ale nie mógł dojść co. Chwilami miał wrażenie, że Ratajczyk powiedział o parę słów za dużo, ale kiedy już był bliski uchwycenia, czego dotyczyły, dopadało go przekonanie, że wcale nie za dużo, tylko za mało, że pielęgniarz przemilczał fakty, o któ-

rych powinien wspomnieć, jeśli kierować się psychologicznym prawdopodobieństwem. Tylko że tych faktów też nie potrafił

wskazać i wracał do pierwszej hipotezy, że jednak Ratajczyk ujawnił coś ważnego, co wolałby zachować dla siebie.

Nie rozstrzygnął tego dylematu przed pojawieniem się tabliczki z napisem „Kąty Wrocławskie” i na razie porzucił go, skupiając się na znalezieniu celu podróży. Pielęgniarz miał

rację — pierwszy napotkany przechodzień dokładnie opisał

im drogę. Był to pięćdziesięcioparolatek, z początku wyraż-

nie przestraszony, że zatrzymał się przy nim radiowóz. Przygodny często spotykał się z taką reakcją — mimowolnego strachu przy całkowicie czystym sumieniu — u ludzi pamię-

tających poprzedni ustrój. Komunizm zaszczuła ludzi; on sam na początku lat dziewięćdziesiątych, mimo że był już policjantem, czuł się winny, kiedy kontroler w tramwaju prosił

go o pokazanie biletu.

Podjechali pod biały dworek malowniczo usytuowany między drzewami nad parkowym stawem. Musiał przed za-wieruchą II wojny światowej należeć do jakichś dolnośląskich wielmożów. Komisarz pomyślał, że chętnie zamieszkałby w takim dworku, oczywiście w jego przedwojennym, a nie obecnym charakterze. I zaskoczyła go własna myśl; dotąd marzenia o ucieczce na wieś, zamieszkaniu w ciszy i spokoju —

marzenia coraz częściej realizowane przez znajomych jego i Gabi — były mu obce. Czuł się dzieckiem miasta i potrzebował miasta. Nie po to, żeby mieć możliwość pójścia do filhar-monii, co padało jako jeden z podstawowych argumentów za miastem w wypracowaniach na kursie angielskiego z tematu

„Czy lepiej jest mieszkać na wsi, czy w mieście?”. W filharmo-nii nigdy nie był i się nie wybierał. Do teatru chodzili z Gabi często i regularnie w liceum, bo wymagała od nich tego polo-nistka. Mimo przymusu przedstawienia teatralne im się spodobały, ale zapału, żeby chodzić na nie z własnej inicjatywy, starczyło jedynie jeszcze przez okres studiów. Do kina wychodzili trochę dłużej, ale w końcu przegrało konkurencję z kablówką i wypożyczalnią wideo. Nie, nie oferta kulturalna trzymała go w mieście, ale sama atmosfera i możliwość kupie-nia gazety i chleba na każdym rogu.

Kazał kierowcy zaczekać w radiowozie i wysypaną żwirem ścieżką podszedł do wejścia. Zadzwoił,

melodia dzwonka rozbrzmiała we wnętrzu, ale nikogo nie sprowadziła. Zadzwoił

ponownie i tym razem po krótkim oczekiwaniu w uchylonych drzwiach pojawiła się rozczochrana głowa młodego chłopaka w białym stroju.

— Słucham pana.

— Komisarz Przygodny z Komendy Wojewódzkiej. We Wrocławiu — dodał, choć nie mogło być wątpliwości, o jakie województwo chodzi. — Pracuje pan tu jako pielęgniarz?

— Nie, jestem na praktyce.

— Chciałbym porozmawiać z jakimś pielęgniarzem.

Mina chłopaka wskazywała, że nie bardzo wie, jak ma postąpić w przypadku wizyty policji.

— Musiałbym zapytać dyrektora, czy pozwala — powiedział z ociąganiem.

— Niech pan zapyta. — Przygodny uznał, że rozmowa te-lefoniczna zajmie mniej czasu niż udowadnianie praktykantowi, że kompetencje dyrektora nie sięgają tak daleko, by mógł zabraniać policjantom rozmów z personelem. Ale chłopak nie sięgnął po komórkę, tylko otworzył szerzej drzwi.

— Pan zaczekałby w środku, a ja bym go zawołał.

— Jak to? — komisarz nie spodziewał się, że dyrektor o tak późnej porze będzie w pracy. — Nie poszedł jeszcze do domu?

— Poszedł. Tylko że mieszka na górze, w służbowym mieszkaniu. Niby nie wolno mu przeszkadzać, jak już się tam wyniesie, chyba że jest bardzo ważna sprawa, ale jak policja, to chyba jest bardzo ważna sprawa? — Nieskładnej wypowiedzi towarzyszyło błagalne spojrzenie, by policjant udzielił mu zezwolenia na przeszkadzanie dyrektorowi.

— Niezwykle ważna — potwierdził komisarz. — Ale skoro dyrektor jest obecny, proszę zaprowadzić mnie do niego.

Chłopak bez dalszych oporów wykonał polecenie i po pa-ru minutach Przygodny siedział w głębokim skórzanym fotelu naprzeciwko mężczyzny w tym samym wieku co on, ale dużo potężniejszej postury. Emanowały z niego spokój i pewność siebie, charakterystyczne dla człowieka, który osiągnął

w życiu, co chciał, i umiał na tym poprzestać, rozkoszując się swoim sukcesem, zamiast gonić za następnymi.

— Pan wybaczy — dyrektor wskazał stojący na okrągłym rzeźbionym stoliku pękaty kieliszek z bursztynowo-złocistym płynem w środku — że będę rozmawiał na lekkim rauszu, ale nie mogłem spodziewać się odwiedzin policji, a po pracy nie znam lepszego sposobu na odprężenie jak kieliszek koniaku, dobre cygaro i mecz Ligi Mistrzów. Niestety, dziś poniedziałek, więc musiałem mecz

zastąpić drugim kieliszkiem — zaśmiał się ru-basznie. — Przepraszam, jeszcze się nie przedstawiłem. Dionizy Denisowski. Psychiatra i, jak już się pan zorientował, dyrektor tego ośrodka. Który tak czy inaczej był mi pisany, bo z moim imieniem i nazwiskiem, Denis to obca forma imienia Dionizy, mogłem zostać tylko wariatem albo psychiatrą, co zresztą niektórzy uważają za dwie strony tego samego zjawiska. Zostałem psychiatrą, bo przy mojej wadze trudno byłoby znaleźć pielę-

gniarza, który potrafiłby mnie obezwładnić. — Znowu się za-

śmiał, pokazując, że ma do siebie dużo dystansu. Komisarz musiał stwierdzić, że lubi takich ludzi. — Może pan też się napije?

Pewnie odpowie mi pan, że jest na służbie, ale nie zadośćuczyniłbym obowiązkom gospodarza, gdybym nie zapytał.

— Dziękuję, ale rzeczywiście jestem tu służbowo.

— Zapraszam w takim razie kiedyś prywatnie. A teraz zamieniam się w słuch, co pana do mnie sprowadziło, i mimo pewnej zawartości promili we krwi postaram się zadowalają-

co odpowiedzieć.

— Czy macie u siebie Jezusa?

Obfita, ale nie tłusta twarz Denisowskiego rozciągnęła się w lekko ironicznym uśmiechu.

— Żywi pan przekonanie, że ludzie, którzy całkiem na poważnie wierzą, iż palestyński kaznodzieja sprzed dwóch tysięcy-

cy lat był wysłanym na ziemię synem Boga, dzisiaj zamknęliby go do czubków, gdyby pojawił się ponownie?

Przygodny jako umiarkowanie, ale jednak wierzący, poczuł się urażony tą uwagą. Zastanowił się, dlaczego nie raziły go daleko ostrzejsze teksty Kuriaty. Pewnie się do nich przyzwyczaił albo po prostu przyjaciołom wybacza się znacznie więcej niż obcym.

— Przepraszam, użyłem złego sformułowania. — Nie dał

nic po sobie poznać, ponieważ byłoby to nieprofesjonalne.

Gdyby w czasie pracy wdawał się w polemiki ze świadkami, którzy mieli inne poglądy i przekonania niż on, nie prowadziłby śledztw, tylko niekończące się dyskusje. — Chodziło mi oczywiście o to, czy macie tu pacjenta, który uważa się za Jezusa?

— Ośmiu.

— Ośmiu? — jęknął komisarz.

— Co pan chce? Jezus jest popularny. W odróżnieniu na przykład od apostołów... tych nie mamy wcale. Mieliśmy wprawdzie świętego Piotra, ale przeszedł rozwój historyczny i jest w tej chwili Janem Pawłem II. Razem z czterema innymi, bo tylko nasz papież ma wzięcie, Benedyktem XVI wariaci jakoś nie chcą zostawać.

Przygodnego papieża nie interesowali.

— Ilu... Jezusów... może wychodzić z ośrodka?

— Wszyscy. Nie są niebezpieczni. Skoro wcielili się w Jezusa, trudno żeby kradli, gwałcili czy mordowali. Przestaniemy ich wypuszczać, jak zaczną uznawać się za Hannibala Lectera —

szeroki uśmiech pokazywał, że alkohol wprawiał dyrektora w dobry humor.

Sprawa się komplikowała. Komisarz zastanawiał się nad kolejnym pytaniem.

— Prowadzicie jakąś ewidencję wyjść? Waria... Pacjenci dostają przepustki czy coś w tym rodzaju?

Denisowski poprawił się w fotelu.

— Chyba inaczej rozumiemy pojęcie „wychodzić z ośrodka”. Nie ma żadnych przepustek, bo wariaci — spokojnie tak można o nich mówić, oni naprawdę są nienormalni — wychodzą co najwyżej do parku. Baliby się zapuścić gdzieś dalej, w nieznane, tylko w okolicy czują się bezpiecznie, a nawet gdyby się nie bali, brama jest zamykana na klucz, park ogrodzony murem. Poza tym jest na tyle rozległy — to dawna posiadłość zamożnej rodziny Eulensteinów — że dotarcie do jego krańców daje im poczucie dotarcia na kraniec świata i naprawdę zaspokaja ich potrzebę dalekich podróży.

Przygodny przeanalizował ten nowy dla niego obraz sytuacji.

— Ale po parku chodzą samopas, bez opieki?

— Tak.

— Mogło się więc zdarzyć, że któryś z nich sforsował mur i wybrał się do Wrocławia?

— Czysto teoretycznie mogło, ale się nie zdarzyło.

— Skąd pan wie?

— Bo mielibyśmy zaginięcie. Żaden z nich nie zdołałby z tego Wrocławia wrócić. Można sobie wyobrazić, że wariat przypadkiem wsiądzie w Kątach do autobusu jadącego do Wrocławia, ale bardzo mało prawdopodobne, żeby przypadkiem we Wrocławiu wsiadł do autobusu jadącego z powrotem do Kątów. Trafienie na dworzec autobusowy i ustalenie na podstawie rozkładu jazdy, którym autobusem wrócić, przekracza ich możliwości. Zna pan taki zwrot „pijane dziecko we mgle”? Dość dokładnie oddaje ich zagubienie w nieznanym im otoczeniu.

Komisarz uznał, że w tej chwili Denisowski obalił teorię Kuriaty. Według niej morderca musiał

pochoǳić z tego ośrodka, tymczasem słowa psychiatry, i to doświadczonego psychiatry, wykluczały, by któryś z pacjentów był w stanie podjąć proste organizacyjne ǳiałania zmierzające do zabójstwa. Gdyby nie poczucie winy z powodu śmierci Stańczyka, przekonanie, że jednak nie zrobili wszystkiego, by zapobiec jego zamordowaniu, i obawa, że taka sytuacja może się powtórzyć, podiękowałby dyrektorowi za wyjaśnienia i się z nim pożegnał.

— Czy pacjenci mogą swobodnie telefonować z ośrodka?

Dyrektor popatrzył na kieliszek koniaku na stole, zastanawiając się, czy może z niego popić w czasie rozmowy z policjantem, ale z lekkim westchnieniem doszedł do wniosku, że zostałyby to źle odebrane.

— Zupełnie swobodnie nie, zrujnowaliby nas, dzwoniąc na każdy numer audiotele, jaki zobaczą w telewizji, albo na przykład za granicę. Procedura jest taka, że pacjent podaje pielęgniarzowi numer, pod jaki zamierza zadzwonić, i ten wy-raża zgodę na telefonowanie. Lub nie wyraża.

— Sam numer? Czy z nazwiskiem właściciela?

— Sam numer. Wystarczy do skontrolowania, czy rozmowa nie będzie kosztowała bająskich sum, więc sprawdzanie, do kogo chcą dzwonić, byłoby nadmierną ingerencją w ich prywatne sprawy. A chorzy też mają prawo do prywatności.

— Czyli nie prowadzicie ewidencji tych wychodzących rozmów?

— Nie, po co?

— Ale pielęgniarz potrafiłby mi powiedzieć, kto korzystał

dzisiaj z telefonu?

— Z tego, co wiem, akurat dzisiaj dzwoniło więcej pacjentów. Oni są trochę jak dzieci, kiedy jeden zadzwoni, następni też chcą.

Punkt dla dziennikarza, wariat mógł bez przeszkód zatelefonować do redakcji i do niego na komórkę.

— A połączenia na komórki? Też są dosyć drogie.

— Mamy ośrodkową komórkę i wtedy pacjent dzwoni z niej, a nie z telefonu stacjonarnego.

Komisarz podparł lewą dłonią podbródek.

— Czy pacjenci mają dostęp do prasy?

— Do prasy i do książek, mamy niewielką bibliotekę. Chociaż czytelnictwo nie jest wśród wariatów specjalnie rozpo-wszechnione. Można powiedzieć, że pod tym względem nie różnią się od normalnej części społeczeństwa. — Dyrektor za-



śmiał się, zadowolony z własnego żartu.

— Do codziennych gazet również?

— Tak, prenumerujemy „Kurier”, ale z tego, co się zorientowałem, największą popularnością cieszą się zamieszczane w nim komiksy.

Drugi punkt dla dziennikarza, potwierdzający jego teorię, że wariat mógł przeczytać w gazecie o dwóch pierwszych morderstwach — na dodatek sugestywne opisy samego Kuriaty, który jak nikt inny potrafił oddać zgrozę zdarzenia — zasugerować się nimi i dokonać trzeciego. Tylko że w tej teorii nie było miejsca ani dla Ratajczyka, ani dla ludzi niepotrafią-

cych korzystać z autobusu.

— Czy w bibliotece macie Ewangelię? Albo, szerzej, Biblię?

— Tak. W osiemdziesiątym dziewiątym zastąpiła dzieła Marksa i Engelsa. Chyba Biblię Tysiąclecia, choć osobiście wolę piękne tłumaczenie Wujka — złagodził swój polityczny komentarz Denisowski.

— Ilu z tych ośmiu Jezusów było tutaj trzy lata temu?

— Ilu z nich było tutaj w ogóle czy w tym samym wciele-niu? — pytanie okazało się niejednoznaczne.

— Jedno i drugie.

— Jestem w stanie podać panu, którzy byli pacjentami ośrodka przed trzema laty, ale jakie mieli wtedy wcielenia, nie pamiętam. Nie odnotowujemy tego też w kartach chorób, dla procesu leczenia nie ma znaczenia, czy wariat uważa się za Jezusa czy świętego Franciszka z Asyżu, liczy się sam fakt przyjmowania obcego wcielenia. A te, jak wspomniałem, zmieniają się albo ewoluują. Ktoś, kto dziś jest Jezusem, trzy lata temu mógł być Najświętszą Marią Panną, płęć nie gra większej roli przy takich urojeniach, po czym sam siebie urodzić. Co jest o tyle proste, że zgodnie z dogmatem o niepokalanym poczę-

ciu, ogłoszonym przez papieża Piusa IX w tysiąc osiemset pięć-

dziesiątym czwartym roku, nie wymaga wcześniejszego aktu.

Wiedział pan, że w niepokalane poczęcie wierzymy dopiero od stu pięćdziesięciu lat?

Przygodny nie wiedział, ale nie kwestie teologiczne przy-prawiały go w tym momencie o ból głowy. Nie dość, że Jezusów był cały oktet, ustalenie właściwego napotykało niesłychane trudności. Na dobrą sprawę mógł się już znajdować w innym ośrodku.

— Dużą macie rotację pacjentów? Chodzi mi o tych odchodzących.

— Ma pan na myśli wyleczonych?

— Nie tylko, też przenoszonych do innych ośrodków.

— Nie, dziewięćdziesiąt procent tych, którzy do nas trafiają, zostaje tu do śmierci. To zwykle nieuleczalne przypadki. Nie ma też medycznych przesłanek, żeby przenosić ich gdzie indziej.

Zwykle takie przenosiny spowodowane są tym, że rodzina się przeprowadza i chce mieć chorego blisko siebie, żeby móc go odwiedzać. Ale to bardzo rzadkie przypadki i bynajmniej nie dlatego, że Polacy są mało mobilnym narodem.

Istniały zatem spore szanse, że Jezus, którego szukał komisarz, nadal znajdował się na miejscu.

— Proszę więc o nazwiska tych, którzy obecnie uważają się za Jezusa i są tutaj przynajmniej od trzech lat.

Dyrektor podniósł się z fotela.

— Musimy zejść na dół do mojego gabinetu. Mimo że mieszkam na terenie ośrodka, staram się ściśle oddzielać życie służbowe i prywatne, rozumie pan: dla zdrowia psychicznego — mrugnął do komisarza — i nie przechowuję tutaj żadnych dokumentów.

Gabinet urządzony był bardzo skromnie: proste biurko, dwa krzesła dla petentów, niewiele wygodniejszy dyrektorski fotel, charakterystyczne szafki na karty chorych i przeszklony regał, z którego Denisowski wyciągnął segregator. Przerzucił kilka kartek i kiedy znalazł listę pacjentów ośrodka z datami przyjęcia, podniósł wzrok na Przygodnego.

— Będzie musiał pan sobie zanotować, bo takiego zestawienia, o jakie pan prosi, oczywiście nie mam, żeby je skserować.

Dyrektor lekkim ruchem głowy wskazał stojącą przy wejściu kserokopiarkę.

Przygodny usiadł na krześle i wyciągnął z kieszeni kurtki notes. Zwykły, oprawny w czarne okładki, z miejscem na długopis. Zgodnie ze swoją filozofią życiową nie widział potrzeby zamieniania go na palmtopa czy inny elektroniczny gadżet, mający dziesiątki funkcji, z których potrzebował jedną, a tę doskonale wypełniał tradycyjny papierowy notatnik.

— Dariusz Rybak. Nazwisko pasuje bardziej do apostoła, Piotra lub Andrzeja, ale uważa się za Jezusa. Jest u nas od dwudziestu lat, co świadczy, że przekonanie o własnej bosko-

ści trudno się leczy, czego liczne dowody możemy zaobserwować także poza murami tego ośrodka.

Komisarz zapisał, jak również następne podane przez Denisowskiego nazwiska. Znowu koślawo. Jeszcze w liceum, przeczytawszy, że efektywność mózgu wzrasta, jeśli obie pół-

kule mają podobny poziom aktywności, co osiągnąć można przez oburęczność, postanowił ćwiczyć lewą rękę, ale szybko się poddał, gdyż do zjedzenia zupy potrzebował śliniaka, a do krojenia chleba bandaży i opatrunków.

W sumie zebrało się pięć nazwisk. Głównokwał, jak dalej ograniczyć tę liczbę, ale nie wymyślił lepszego sposobu niż ściągnięcie Ratajczyka na okazanie. Nazwisko wyleciało pielęgniarzowi z pamięci, ale twarz pewnie sobie przypomniał, kiedy ją zobaczy. Zwłaszcza że musiał zajmować się chorym bardziej indywidualnie, skoro zapytany, czy zetknął się z pacjentem podającym się za Jezusa, powiedział, że z jednym, a nie z pięcioma. Chyba że trzy lata temu tylko jeden uważał

się za Jezusa, a reszta dołączyła później.

— Czy... — chciał zapytać Przygodny, ale przerwała mu melodia piosenki Kukiza. Zerknął na wyświetlacz, przeprosił

dyrektora, że musi odebrać, i wcisnął przycisk z zieloną słuchawką.

— Słucham cię.

— Mam, szefie, te bil ingi. Łatwo nie poszło, bo teraz wszyscy zrobili się pyskaci. Na dodatek wielkie pretensje, że ścigam ich po godzinach pracy, im się wydaje, że wydział za-bójstw to jakiś rodzaj urzędu, który kończy pracę o piętnastej. Czasami chciałbym mieszkać w takich Chinach, gdzie z policjantem się nie dyskutuje, tylko robi, co powie. Użyłem jednak swojego daru przekonywania, w Erze powiedziałem, że zagrożone jest życie tego dziennikarza, do którego dzwoniło, i pewnie nie będzie zadowolony, że dla biurokratycznych procedur Era naraża go na niebezpieczeństwo, a może nawet zechce pożalić się czytelnikom. Pan by ich widział, panie komisarzu, jak w te pędy pognali po bil ingi. Ludzie teraz nie boją się Boga, tylko prasy. W Telekomunikacji z kolei...

— I kto dzwonił do Kuriaty? — ukrócił te wywody Przygodny.

— No właśnie, nie zgadnie pan, okazuje się, że nikt nie robił sobie żartów, tylko naprawdę dzwonił do niego jakiś wariat.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, bo na czas zabójstw i dwa dni po jest tylko jeden właściciel telefonu, z którego dzwoniło dokładnie trzy razy. Ośrodek dla umysłowo chorych w Ką-

tach Wrocławskich. Dwa telefony były w dzień po zabójstwie, jeden tego samego dnia; do redakcji ze stacjonarnego, do dziennikarza z komórkowego. Ale oba są zarejestrowane na ośrodek.

Ustalenia aspiranta dostarczały dowodu, że Jezus wła-

śnie z rzonego ośrodka dzwonił do Kuriaty, czyli telefonujący musiał znajdować się wśród wypisanej przez komisarza piątki.

— Chciałbym obejść park, jeśli można — Przygodny ponownie zwrócił się do dyrektora, kiedy zakończył rozmowę z Gajdą.

— Przeszkód formalnych nie ma, ale chyba nie teraz, przecież jest już ciemno — odparł Denisowski.

— Proponuję to przełożyć na jutro, wówczas chętnie sam pana oprowadzę.

Muszę zrzucić trochę sadelka — wskazał na swój wystający brzuch. — Lekarz zalecił mi wprowadzić

jogging, aleja też jestem lekarzem i uznałem, że jogging będzie zbyt forsowny dla mojego mięśnia sercowego, więc kompromisowo zdecydowa-

łem się na długie spacerunki. Miałem właśnie zacząć od jutra —

ta deklaracja została opatrzona szerokim uśmiechem — więc znakomicie by się składało.

— Tak, tak, nie myślałem o dzisiejszym dniu. Przyjadę jutro, ale nie sam, przywiózłbym niejakiego Piotra Ratajczyka, waszego byłego praktykanta, przeprowadzilibyśmy coś w rodzaju okazania, jeśli nie będzie miał pan nic przeciwko temu.

— Okazania?

— Opiekował się jednym z tych pięciu Jezusów, chciałbym, żeby mi wskazał którym.

— W porządku. Ratajczyk, pan mówi... — Denisowski szukał w pamięci twarzy pasującej do tego nazwiska. — Nie przypominam sobie.

— Był tutaj na praktyce trzy lata temu, ale krótko, tylko przez dwa tygodnie.

Dyrektor z niezadowoleniem pokręcił głową.

— Mimo wszystko powinienem go kojarzyć, mam dobrą pamięć do twarzy. Choć przyznaję, że z przerażeniem obserwuję, jak człowiekowi z wiekiem szare komórki odmawiają posłuszeństwa. Swego czasu wygrałem „Wielką Grę” z tematu „Ernest Hemingway — życie i twórczość”, a teraz zapominam nawet tytuły czytanych książek.

Przygodny również spostrzegł, że i jego informacje nie trzymają się jak za młodu, ale był zdania, że dla odmiany łatwiej mu je analizować, oceniać ich rzeczywistą wagę i znaczenie, wysnuwać z nich właściwe wnioski. I nie dotyczyło to tylko spraw zawodowych. Nie podzielił się jednak tym spostrzeżeniem z psychiatrą, chciał już wracać do domu, dzień pracy wypadł wyjątkowo długi, a jutrzejszy zapowiadał się taki sam.

Pierwszą kwestią, jaką Przygodnemu i Gajdzie przyszło rozstrzygnąć we wtorek rano, był sposób ochrony potencjalnej następnej ofiary Jezusa.

— Nie wiemy, czy potraktuje poważnie ostrzeżenie.

Wójcik z Wojtkiewiczem wykonali zleczone im zadanie i ostrzegli Żukiewicza, że w okolicy krąży brutalny włamywacz, w związku z czym pod żadnym pozorem nie wolno otwierać drzwi obcym. Problem polegał na tym, do czego właśnie odnosił się Przygodny, że tego rodzaju środki ostrożności nie dawa-

ły gwarancji bezpieczeństwa, bo ludzie ignorowali podobne zalecenia.

— Może powiemy mu wprost, że nie chodzi o włamywacza, tylko o gościa, który chce go zabić — zaproponował aspirant, przegryzając bułkę z kabanosem, stanowiącą albo jego drugie śniadanie, albo dokończenie pierwszego.

— Hm, jak nam nie uwierzy, nadal nie będzie się pilnował, a jak uwierzy, kto wie, czy nie zejdzie ze strachu na za-wał. Albo na przykład nie wyjedzie do rodziny na drugi koniec Polski, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo. I wtedy utknie-my w martwym punkcie, bo nie mamy żadnych dowodów po-za teorią Kuriaty, żeby Jezusa zamknąć. Musimy złapać go na przygotowaniach do morderstwa. Nie wiemy, co by zrobił, gdyby Żukiewicz zniknął. Czy zrezygnowałby z zabójstwa, czy wybrał sobie innego Jana. Dotąd konsekwentnie trzymał się podopiecznych Ratajczyka, może widzi w nim jakiegoś ducha wskazującego mu „prawdziwych” ewangelistów. Diabli wiedzą, jak funkcjonuje mózg szaleńca. Nie, nie możemy sobie pozwolić na to, żeby Żukiewicz wyjechał, musi posłużyć nam za przynętę.

— Czyli co zrobimy?

— Postawimy Wójcika z Wojtkiewiczem na obserwacji pod ośrodkiem. Dzisiaj jestem umówiony z dyrektorem na rekonesans po parku, chcę sprawdzić, czy któryś z pacjentów mógł sforsować mur i oddalić się z ośrodka. Wezmę też ze sobą Ratajczyka, żeby wskazał, o którego Jezusa chodzi. W ośrodku jest ich pięciu... To znaczy ośmiu, ale pięciu było tam również przed trzema laty, a z tego, co mówił Ratajczyk, wynika, że zajmował się tylko jednym.

— A Ratajczyka puścimy?

— Tak. Nie mamy żadnych podstaw do wystąpienia o areszt.

— A jeśli Kuriata się myli? I Ratajczyk wcale nie jest ta-ki czysty, jak to w tej chwili wygląda? Narazimy wtedy Zukie-wicza na niebezpieczeństwo.

— Postawimy też obserwatorów pod mieszkaniem Zukie-wicza i...

— Ale oni nie będą mieli powodu, żeby Ratajczyka zatrzymać — Gajda wpadł komisarzowi w słowo. — Jest przecież jego pielęgniarzem!

— Spokojnie. — Przygodny uśmiechnął się na to rozgorączkowanie. — Daj mi skończyć. Uprzedzimy Ratajczyka, że mieszkanie jest pod obserwacją. W ten sposób zapewnimy bezpieczeństwo Żukiewiczowi i zweryfikujemy teorię Kuriaty. Jeśli Jezus opuści ośrodek, Wójcik z Wojtkiewiczem pójną za nim...

— Wójcik z Wojtkiewiczem? — Gajda był sceptyczny. —

Oni się tak nadają do śledzenia jak moja babcia do lotów w ko-smos.

— Niby racja, ale przecież mają śledzić wariata. — Komisarz zdawał sobie sprawę z nie najwyższych umiejętności posterunkowych, ale wychodził z założenia, że w tym przypadku obiekt nie powinien sprawić im trudności. Człowiek umysłowo chory to jednak trochę inna kategoria niż szpieg wyczulo-ny na to, że ktoś może go śledzić, i potrafiący zgubić ogon.

— Wariata na tyle kumatego, że dokonał przynajmniej jednego zaplanowanego morderstwa. Jeśli przyjmujemy teorię pańskiego przyjaciela.

— Masz rację — Przygodnego przekonał ten argument.

— Zrobimy inaczej. Wójcika z Wojtkiewiczem postawimy pod mieszkaniem Żukiewicza, do śledzenia się nie nadają, ale do zatrzymania podejrzanego idealnie. Do ośrodka pošlemy innych wywiadowców. Trzeba też będzie dać ogon Ratajczykowi, żeby chronić innych jego pacjentów. Po śmierci Stańczyka wolę dmuchać na zimne.

— Tylko że ogon nie wejdzie za Ratajczykiem do mieszkania pacjenta. Śledzenie Ratajczyka zapewni, że w razie czego w końcu go przydybiemy, ale nie uchroni przed kolejnym trupem.

Komisarz był przygotowany na to zastrzeżenie.

— Uchroni, uchroni, bo zlecimy takie śledzenie Ratajczyka, żeby nie miał najmniejszych wątpliwości, że znajduje się pod obserwacją.

Gajda czknął, co jednak nie stanowiło wyrazu uznania dla planu komisarza, tylko efekt spożycia drugiego śniadania al-bo dokończenia pierwszego bez kropli napoju.

— Zrób sobie coś do picia — zalecił Przygodny.

Aspirant, nie wstając z krzesła, przetoczył je w stronę stolika w rogu, pełniącego rolę podręcznej kuchni. Z dziesięcio-litrowego baniaka nalał wody do elektrycznego czajnika, włączył go i nasypał sobie herbaty do kubka.

— Dla pana też coś? — zapytał komisarza.

— Kawy bym się napił. Dwie łyżeczki, czarna i bez cukru.

— Wiem.

Po sześciu latach współpracy znali swoje upodobania kawo-wo-herbaciane. Gajda sięgnął po drugi kubek i nasypał do niego kawy. Kiedy czajnik buchnął parą, a przełącznik przeskoczył

z powrotem na pozycję „zero”, aspirant zalał wrzątkiem najpierw czarny proszek, a potem granulki herbaty.

— Co z obrazem Czachórskiego? — zapytał Przygodny, przyjmując z podziękowaniem kubek.

— Koledzy od kradzieży dzieł sztuki obiecali go szczególnie wypatrywać. Jeśli tylko pojawi się na jakiejś aukcji albo informatorzy coś o nim zwęszą, będziemy wiedzieli.

— Świetnie. Z sąsiadami Stańczyka nie rozmawiałeś?

— Nie, już wczoraj nie zdażyłem. Wypiję herbatę i zaraz tam jadę.

— Najpierw doprowadzisz do tego, żeby twoje biurko wy-

łoniło się spod papierów — komisarz wydał inne polecenie. —

Do sąsiadów podskoczysz, jak zrobimy fotkę Jezusowi. Dobrze będzie zapytać, czy ktoś go tam nie widział.

Gajda skrzywił się, z odrazą popatrzył na akta zalegające blat, z nadzieją na telefon stojący koło komputera, ale ten nie chciał się rozdzwonić i przynieść informacji o kolejnym morderstwie, do którego trzeba by wyjechać. Nie widząc innego pretekstu, by uciec od papierkowej roboty, aspirant sięgnął

po pierwszą z brzegu teczkę i przejrzał ją, usiłując skojarzyć, dlaczego jeszcze okupuje jego biurko, zamiast znajdować się w archiwum. Doszedł do wniosku, iż wyłącznie dlatego, że jej tam nie zaniósł i podniósł się, by to zrobić.

— Dokąd się wybierasz?

— Zaniosę ją tylko do archiwum — machnął teczką.

— A sprawdziłeś, czy przypadkiem nie masz tam więcej takich nadających się do wyniesienia?

Aspirant z niechęcią wrócił za biurko. Przygodny zasłonił

ręką uśmiech, przypomniało mu się, jak zaganiał do odrabiania lekcji Michała, który cierpiał wtedy tak samo jak teraz Gajda.

Synowi nie brakowało inteligencji, tylko cierpliwości i systematyczności. Niestety, te dwie ostatnie cechy są niezbędne, że-by coś w życiu osiągnąć. Michał miał ambitne plany, chciał

zostać prawnikiem, bez najmniejszych problemów dostał się na studia. Oboje z Gabi nie posiadali się z dumy. Przygodny z racji współpracy z prokuratorami i adwokatami wiedział, jak potwornie trudne jest wejście do tych zawodów w pierwszym pokoleniu; politycy potrafiący całej swojej rodzinie zapewnić ciepłe posadki mogliby u prawników brać korepetycje, jak się praktykuje autentyczny nepotyzm. Mimo to wierzył, że Michał

sobie poradzi, że znajdzie się wśród garstki tych, którzy bez ko-neksji rodzinnych dostawali się na wybrane przez siebie apli-kacje. Przygodny darzył ich ogromnym szacunkiem. W formie

„panie mecenasie" zawierał się podziw, kiedy zwracał się do adwokata, którego ojciec nie był członkiem palestry.

Tymczasem Michał przerwał studia. Zaskoczenie było cał-

kowite, bo wrócił z kolejnej sesji egzaminacyjnej z indeksem jak zwykle wypełnionym czwórkami i

piątkami i oświadczył, że studia go męczą, tak naprawdę nie przygotowują do zawodu prawnika, a on ma dość bezmyślnego wkuwania ustaw i re-zygnuje. Nie pomogły argumenty, że nie ma innej drogi, by zostać prawnikiem, że po większości kierunków człowiek tak naprawdę niewiele umie i uczy się dopiero w praktyce, że trzeba przez to przejść, a skoro — jak wskazują jego oceny — radzi sobie bez trudu, nie powinien rzucać studiów. Wymogli na nim jedynie, że nie zrezygnował definitywnie, tylko wziął urlop dziekański i obiecał w trakcie rocznej przerwy ponownie przemyśleć swoją decyzję. Przygodny zdawał sobie jednak sprawę, że było to wyłącznie przedłużanie nadziei, że zamiany uniwersy-teckich ław na angielski zmywak nie dało się odwrócić. Michał nie umiał być konsekwentny w podejmowanych działaniach, czym stanowił całkowite przeciwieństwo Asi.

Zdumiewające, jak rodzeństwo może się różnić charakterem. Asia potrafiła upragnioną lalkę maksymalnie wykorzystać —

przypisywała jej rozmaite role: dziecka, przyjaciółki, modelki, wozila ją w wózeczku, rozmawiała z nią, ubierała. Michałowi samochód, o który dopominał się przez dwa tygodnie, nudził się po dwóch godzinach, ledwie po kilku wyścigach.

Przygodny nie mógł też liczyć na to, że syna zmotywuje kobieta, że Michał osiągnie zamierzony cel, starając się zaim-ponować ukochanej. Jego życie uczuciowe wpisywało się bowiem w ten sam schemat. Przyprawdzał do domu liczne przyjaciółki, które przedstawiał jako swoje dziewczyny, ale Przygodny miał wątpliwości, czy któraś odwiedziła ich dwa razy. Z

początku próbował zapamiętywać twarze i imiona, bo głupio kiedy ojciec nie wie, z jaką dziewczyną chodzi jego syn, ale po jakimś czasie dał sobie spokój. Nie był w stanie zapamiętać tych Ań, Baś, Ew, Goś, Kaś i tak dalej przez cały alfabet, poza tym Michał

zdawał się wcale tego nie oczekiwać. Na pytania, co się dzieje z przyjaciółką, którą ostatnio przedstawiał, reagował irytacją, a po jakimś czasie przyprawdzał nową.

Rodzinne reminiscencje przerwało wejście technika z raportem dokumentującym ustalenia poczynione po zabójstwie na Grunwaldzkiej. Tradycyjnie na domniemanym narzędziu zbrodni nie było żadnych odcisków palców, podobnie jak na świecach i tałesie oraz — co komisarz wiedział już wcześniej

— na rozkładówce i okładce Ewangelii . Ślady DNA też nie przedstawiały się obiecująco, tak jak to było w przypadku za-bójstw Majewskiego i Małysiaka.

W trakcie lektury raportu technicznego doniesiono Przygodnemu raport z sekcji zwłok. Potwierdzał wstępną opinię lekarza, że Stańczyk zginął uderzony tępym narzędziem w głowę, a wielkość i kształt rany, jak i resztki włosów i krwi na krucyfiksie nie pozostawiały wątpliwości, co tym narzędziem było.

Zawęzał również czas zbrodni do przedziału, który policjanci już ustalili dzięki próbom dodzwonienia się, jakie podejmował

syn ofiary. Poza tym podobnie jak raport techniczny nie przynosił żadnych przełomowych informacji.



Z wyjątkiem może tej, że w nietypowy strój ofiara została ubrana jeszcze za życia.

Komisarz próbował rozwikłać, jak morderca nakłonił

Stańczyka, by włożył na siebie szatę i chustę. Profesor zapewne nie dałby się namówić na zabawę w religijną ceremonię, a więc zabójca tylko groźbą mógł zmusić go do nałożenia dzi-wacznego stroju. Trzymając go na przykład na muszce pistoletu. Tylko dlaczego wtedy tego pistoletu nie użył? I skąd wariat, jeśli to on dokonał zabójstwa, miałby pistolet? A wreszcie, jak dostał się do mieszkania? Dlaczego Stańczyk miałby wpuszczać obcego człowieka? Owszem, aspirant wspomniał, że doskwierał mu brak towarzystwa i bardzo się ucieszył z odwiedzin policjanta, bo nadarzyła się okazja do pogadania, ale czy wariat byłby odpowiednim partnerem do rozmowy? Czy potrafiłby wymyślić pretekst, który przekonałby Stańczyka, że może zaprosić go do mieszkania? Nawet towarzyska osoba nie wpuszcza przecież każdego, kto stanie pod jej drzwiami.

Przygodny odnotował w pamięci, że musi o nawyki ojca zapytać syna Stańczyka, ale uznał, że z jego przesłuchaniem może poczekać. Odsunął raporty i zabrał się za szykowanie dokumentów niezbędnych do zwolnienia pielęgniarza.

Skończywszy, podniósł się od biurka.

— Jadę do Kątów.

Gajda jakby tylko czekał na takie hasło, rzucił papiery i chwycił kurtkę.

— Jadę, nie jedziemy — ukrócił jego zapędy komisarz. —

Z Kątów prześlę ci na komórkę zdjęcie Jezusa, wtedy skoczysz przepytac sąsiadów, ale do tego czasu pracujesz nad ustalaniem, jaki kolor ma blat twojego biurka. Na razie nieźle ci idzie.

Pochwała miała raczej zachęcić aspiranta do wzmożonych wysiłków, bo jak dotąd spod papierzysk nie wyłonił się ani skrawek wolnego blatu.

— Przecież potrzebuje pan kierowcy — próbował jeszcze zawalczyć aspirant, wskazując na zagipsowaną rękę przeło-

zonego.

— Wezmę tego samego co wczoraj. Musisz zostać, bo trzeba jak najszybciej podjechać do sąsiadów ze zdjęciem — Przygodny starał się pokazać, że nakaz posprzątania biurka nie jest szykaną, a jedynie propozycją, jak sensownie zagospoda-rować wolny czas.

Wjechali na zwirowany podjazd przed ośrodkiem. Dyrektor czekał na nich na szerokich schodach, których z obu stron strzegły rzeźby orłów. Przygodny nie potrafił rozstrzygnąć, czy miały to być orły heraldyczne, czy zwykłe wyobrażenie tych drapieżników.

Dyrektor uścisnął rękę Przygodnemu, a potem przedstawił się Rataj czykowi:

— Denisowski.

— Wiem, byłem przecież u pana na praktyce. Piotr Ratajczyk.

Denisowski przyjrzał mu się badawczo z zakłopotaną miną.

— Proszę mi wybaczyć, niestety naprawdę nie pamiętam.

— Aleja się wcale nie gniewam — zapewnił pielęgniarz.

— Byłem u państwa krótko, a jako gołowąs starałem się na-czałstwu schodzić z drogi.

Dyrektor wykonał zapraszający gest.

— Proszę do środka. Nie wiedziałem, jak technicznie ma wyglądać okazanie, więc nic nie przygotowałem, ale zaraz wszystko zorganizujemy według wskazówek pana komisarza.

Niestety, sali z lustrem weneckim nie mamy.

— Okazanie? — zdziwił się Ratajczyk, którego komisarz nie wprowadził w szczegóły wyjazdu.

— Tak — potwierdził Przygodny. — Za pana czasów mo-gło być nawet pięciu Jezusów, musi nam pan wskazać, którym pan się zajmował. Sala z lustrem niepotrzebna — powiedział

do Denisowskiego, nie zwracając uwagi na zaskoczoną minę Ratajczyka. — Wystarczy zebrać ich w jednym pomieszczeniu, pan Ratajczyk przebierze się w strój pielęgniarza, wejdzie do nich, pozorując wykonywanie jakichś obowiązków, przyjrzy się im, a potem wskaże nam właściwego.

Denisowski oddalił się, żeby przygotować okazanie według tych wskazówek, a komisarz z Ratajczykiem usiedli w ho-lu. Kierowca, podobnie jak wczorajszego dnia, został w samochodzie. Czekali w milczeniu. Przygodny nie był osobą, która umiała prowadzić pogawędki z podejrzanymi czy świadkami. Je-

śli nie miał pytań w sprawie, nie odzywał się. Czasami podziwiał

swoich kolegów, którzy w przerwie przesłuchania potrafili uciąć sobie pogawędkę z brutalnym zabójcą na temat ostatniego wy-stępu piłkarskiej reprezentacji Polski. Podziw był uzasadniony, bo w ten sposób zdobywało się zaufanie podejrzanego. Przydawało się zwłaszcza w przesłuchaniach prowadzonych łagodną techniką, kiedy spokojnie notowało się wszystkie kłamstwa, tylko od czasu do czasu delikatnie zwracając uwagę na sprzeczności. Podejrzany — wychodząc z założenia, że jest w dobrej komitywie ze śledczym — starał się je wyjaśniać, aż w końcu zaplątywał się całkowicie i dochodził do wniosku, że najpro-

ściej będzie powiedzieć prawdę.

— Gotowe. — Denisowski stanął przed nimi. — Są w sa-li rekreacyjnej. Pilnuje ich dwóch pielęgniarzy, więc na trzeciego nie zwrócą uwagi, zresztą gdyby co, wie pan, jak z nimi postępować.

Dyrektor podał Ratajczykowi chodaki, biały kitel i białe spodnie i Ratajczyk skierował się do toalety, żeby się przebrać. Potem przeszli do sali rekreacyjnej.

— Czy będzie problemem zrobienie mu zdjęcia komórką?

— zapytał komisarz Denisowskiego, kiedy stanęli pod drzwiami.

— Nie sędzę. Chyba nie uważają, że fotografowanie odbiera duszę. Problemem będzie raczej to, że jak się zrobi zdję-

cie jednemu, pozostali też będą chcieli. Jak panu mówiłem, pod wieloma względami przypominają dzieci.

— To się nawet dobrze składa — stwierdził Przygodny, podając swoją komórkę Ratajczykowi. — Niech pan pstryk-nie fotkę każdemu, będzie naturalny kamuflaż. Temu właściwemu dwie fotki — dodał — twarz i cała sylwetka.

Ratajczyk wziął telefon i zniknął w sali rekreacyjnej. Wy-

łonił się z powrotem po kilku minutach.

— Czwarty na zdjęciach — powiedział, oddając Przygodnemu komórkę. — Pstrykałem po kolei, tak jak siedzą, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Komisarz przerzucił fotografie, licząc je po cichu.

— Ten? — zapytał pielęgniarza, a uzyskawszy potwierdzające skiniecie głową, pokazał Denisowskiemu zdjęcie męż-

czynny mniej więcej w wieku Gajdy, ostrzyżonego na jeża, z odstającymi uszami.

— Tomasz Nawrocki — dyrektor podał nazwisko. —

Trudno pomylić z niewiernym, skoro sam uważa się za Jezusa.

Przygodny nie usłyszał tego komentarza, zajęty przygotowywaniem MMS-a. Kiedy otrzymał potwierdzenie odebrania zdjęć przez adresatów, wybrał numer.

— Wójcik — zgłosił się posterunkowy.

— Komisarz Przygodny. Weźmiecie pod obserwację mieszkanie numer siedem na Rybackiej trzydzieści sześć. Przesłałem wam przed chwilą zdjęcie gościa, na którego macie zwrócić szczególną uwagę, ale oczywiście rejestrujcie wszystkie wizyty.

Do Gajdy nie musiał dzwonić, ten wiedział, co ma robić.

Zresztą wyglądałoby podejrzanie, gdyby w celu przeprowadzenia tej rozmowy odszedł na bok, skoro

do posterunkowych dzwonił przy Ratajczyku i dyrektorze. Chciał, żeby pielę-

gniarcz usłyszał, że mieszkanie Żukiewicza będzie pod obserwacją. Ponieważ nie mógł swobodnie rozmawiać, nie udzielił

Wójcikowi dokładniejszych instrukcji, ale miał nadzieję, że ten zrozumiał, co znaczy „zwrócić szczególną uwagę”.

— Panu już dziękuję — zwrócił się do Ratajczyka. — Ja tu jeszcze zabawię, więc na odwiezienie musiałby pan poczekać, ale jeśli chce pan wrócić do Wrocławia na własną rękę, nie widzę przeszkód.

— A długo musiałbym czekać?

Przygodny spojrział pytająco na dyrektora.

— Ile nam zajmie obejście parku?

Denisowski splótł dłonie na brzuchu i zakręcił kciukami młynka.

— Hm. Takiego obchodu jeszcze nie robiłem, ale myślę, że najmarniej ze dwie godziny.

Ratajczyk nie wyglądał na człowieka, którego korci, żeby podskoczyć z radości.

— Prędzej będę autobusem — stwierdził bez entuzjazmu.

— Pożegnam się.

Podał rękę komisarzowi i dyrektorowi i pośpieszył do wyj-

ścia. Denisowski wszedł na schody prowadzące na piętro.

— Wezmę tylko komórkę, żeby w razie czego być pod telefonem, i jestem do pana dyspozycji — oznajmił Przygodnemu.

— Jeśli jest pan zajęty, mogę pójść sam — komisarz nie widział potrzeby fatygowania dyrektora.

— Akurat mam trochę luzu. Jak w każdej pracy sprawy do załatwienia spływają falami, są dni, kiedy nie wiem, w co mam najpierw ręce włożyć, a są takie jak dziś, kiedy mogę sobie pozwolić na spacer i świat się wcale nie zawali. Nam zresztą za często wydaje się, że świat się bez nas zawali, tymczasem w pewnym momencie pakują nas do drewnianej skrzyneczki, a świat toczy się swoim trybem, jakby nic się nie stało. I tak naprawdę nic się nie stało, z punktu widzenia biologii życie człowieka jest tyle samo warte co życie muchy, a to że zwłoki są cięższe i okazalsze, nie daje nam żadnej przewagi. Gdyby liczba kilogramów miała jakiegokolwiek znaczenie, przegrali-byśmy nie tylko ze słoniem, ale i z pospolitą krową.

— Ale człowiek w odróżnieniu od muchy ma duszę — nie zgodził się z tą teorią równości gatunków

Przygodny.

— Nie myli pan duszy z wysoce rozwiniętym mózgiem?

— Na jedno wychodzi. Tak czy tak daje nam to przewagę nad muchą.

— Widzę, że na przechadzce z panem dobrze wyjdą nie tylko moje arterie, ale i mój mózg dający mi przewagę nad muchą. Zaraz jestem z powrotem — i dyrektor ruszył ze stopnia, na którym zatrzymała go nieoczekiwana intelektualna pogawędka.

W trakcie rekonesansu po parku nie kontynuowali jednak filozoficznych rozważań. Komisarz chciał się dowiedzieć czegoś więcej o Nawrockim, ale Denisowski, dotąd tak chętny do pomocy, teraz, kiedy miał mówić o konkretnym pacjencie, powołał się na tajemnicę lekarską. Potem rozmowa zesłała na sprawy osobiste. Okazało się, że dyrektor był od trzech lat rozwiedziony, a Przygodny tym chętniej słuchał jego zwierzeń, że dopatrzył się licznych podobieństw między swoją sytuacją a sytuacją psychiatry.

— Z początku było ciężko — mówił Denisowski, przedzie-rając się przez krzaki, by dotrzeć pod sam mur okalający park

— zwłaszcza że nigdy wcześniej nie żyłem samotnie. Z rodzin-nego domu, i to wyjątkowo licznego, miałem trzech braci i dwie siostry, trafiłem wprost w objęcia małżonki, a i na własne dzieci długo nie czekaliśmy. Kiedy człowiek przez czterdzieści lat ma wokół siebie rodzinę, może w pustym mieszkaniu dostać szału. Zamieszkałem wtedy w ośrodku, ale większość czasu spędzałem w gabinecie, autentycznie bałem się wracać do siebie na górę, cieszyłem się, kiedy pracownicy nachodzili mnie ze sprawami do załatwienia. Miewałem takie momenty, że żałowałem swojej decyzji. Bo to była moja decyzja.

— A co skłoniło pana, żeby ją podjąć? — zapytał Przygodny, unikając chłośniecia gałęzią odsuniętą przez Denisowskiego.

— Znalazłem sobie kochankę. Bardziej przypadkiem, niż podejmując świadome działania —jakby usprawiedliwił się psychiatra. — Była dwa razy młodsza ode mnie i dwa razy mniej inteligentna, więc nie myślałem, żeby porzucić dla niej żonę.

Łączył nas tylko seks, to znaczy, ja chciałem z nią być dla seksu, a ona ze mną dlatego, że z wdzięczności za seks kupowałem jej prezenty, zapraszałem na egzotyczne wycieczki i wprowadzałem na tak zwane salony.

Przygodny pomyślał, że Kuriata z pewnością wygłosiłby jakiś generalizujący komentarz na temat takiego układu.

— Romans zakończył się bez konsekwencji. Żona go nie odkryła albo udawała, że nie odkryła, kochanka odeszła do bardziej bogatego i szczodrego amatora seksu, a ja nie miałem wcale ochoty, by za nią pognać, przysięgać, że ją kocham, i błagać, by do mnie wróciła. Bez

problemu mógłbym na po-wrót osiąść w rodzinnych pieleszach, gdybym nie miał zgubnego nawyku zastanawiania się nad własnymi uczynkami.

Dziewięćdziesiąt procent mężczyzn bezrefleksyjnie realizuje swoje potrzeby, ja, niestety, mieszczę się wśród pozostałych nieszczęśliwców. Doszedłem do konkluzji, że romans dowodzi rozkładu naszego małżeństwa. Nigdy wcześniej nie mia-

łem kochanki, nie szukałem, nie odczuwałem takiej potrzeby, nawet w okresach, kiedy ze względu na ciążę, porody i humory mojej żony nie uprawialiśmy seksu. A rozkładające się rzeczy śmierdzą i człowiek o delikatnym powonieniu, taki jak ja, powinien ich unikać. Oto mur — powiedział Denisowski, zadzierając głowę. — Przyzna pan, że niełatwo go sforsować.

Rzeczywiście mur tworzyły solidne kamienne płyty — by-

ła to konstrukcja podobna do tej okalającej wrocławski ogród zoologiczny od strony nadodrzańskiego wału — a górą dodatkowo biegł drut kolczasty.

— Wyłomów nie ma? — zapytał komisarz. — Nie postawiono go wczoraj, a przez lata nie takie budowle kruszeją.

— Przejdziemy, zobaczymy. — Dyrektor ruszył wzdłuż muru. — No i właśnie budowla mojego małżeństwa skrusza-

ła. Mogłem urządzić się wśród ruin i udawać, że dalej mieszkam w zamku, ale uświadomiłem sobie, że jest to najlepsza droga do tego, żebym zniechęcił swoją żonę. A takiej krzywdy nie mogłem wyrządzić kobiecie, którą kochałem przez większą część swojego dorosłego życia. Ona postrzegала to inaczej, strasznie rozpaczała, kiedy odchodziłem, ale prawdziwym podłożem tej rozpaczki nie była strata ukochanej osoby

— jej miłość też już wygasła — tylko strach przed zmianą, wstyd, że przypną jej łatkę porzuconej kobiety, pogorszenie materialnego statusu. Potrzebowała czasu, żeby uświadomić sobie swoje rzeczywiste motywy, a ja starałem się jej w tym pomóc. Bo związek dwojga ludzi wymaga zaangażowania nie tylko na początku i w trakcie, ale również na końcu. Większość nie jest tego świadoma i w efekcie byli partnerzy stają się śmiertelnymi wrogami. Można to jeszcze zrozumieć, gdy jedna strona nadal kocha, wtedy rzeczywiście żadne argumenty nie przemówią, bo miłości nie da się zracjonalizować, ale często uczucie dawno już minęło, a do głosu dochodzi ura-

żona duma, chęć odplacenia partnerowi pięknym za nadobne i inne niskie pobudki, które naprawdę można przezwyciężyć.

O, tutaj nie ma drutu.

Dyrektor zatrzymał się przy odcinku muru, gdzie ktoś zniszczył drucianą przeszkodę. Przygodny rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby posłużyć mu za drabinę.

— Szkoda, że nie pomyśleliśmy o wzięciu jakiegoś taboretu. Chciałbym się temu bliżej przyjrzeć.

Denisowski splótł dłonie, tworząc strzemię.

— Proszę, musimy sobie poradzić po harcersku.

— Pobrudzę pana.

— W zbożnym celu, jak rozumiem.

Komisarz więcej nie protestował, postawił nogę w prowi-zorycznym strzemieniu, wsparł się zdrową ręką na ramieniu dyrektora i podciągnął w górę.

— Przepraszam, ale żeby sobie poradzić, muszę oprzeć gips na pańskiej głowie.

— Śmiało. Mam twardy czerep.

Przygodny chwycił się muru i przyjrzał uszkodzeniom.

Nie wyglądały na świeże, drut był w wielu miejscach prze-rdzewiały, ale na brązowym nalocie komisarz nie wypatrzył

żadnych śladów. Ktoś musiał przeciąć i odgiąć drut, zanim pojawiła się rdza.

— To stare uszkodzenia, nie reperujecie ich? — Przygodny zeskoczył z powrotem na ziemię i rozejrzał się za śladami na gruncie, ale też żadnych nie dostrzegł.

— Mamy dużo pilniejszych wydatków, zresztą nawet nie byłem świadom, że coś tu wymaga reparacji. Podopieczni, jak panu mówiłem, mi nie giną, więc mur spełnia swoją rolę nawet bez tego drutu, wątpię, by któryś z pacjentów był w stanie go przeskoczyć. Pan potrzebował mojej pomocy, żeby dosięgnąć do góry. Hordy Tatarów też nas nie najeżdżają, a nawet jeśli przyjąć, że okoliczne chłopaki wchodzą tędy na teren ośrodka, to najwyraźniej nie w niecnym zamiarach, bo nigdy nie mieliśmy z nimi żadnych kłopotów.

Przygodny ściągnął wargi i bezwiednie uderzył pięścią w kamienną płytę. Dyrektor miał oczywiście rację: muru nie mógł sforsować człowiek, którego fizyczna aktywność ograniczała się do spacerów, a nawet gdyby sforsował, to mieszkania ofiar nie mieściły się tuż za murem. Pozostawała jeszcze daleka droga do pokonania, według Denisowskiego niepokonywalna dla pensjonariuszy ośrodka, w tym i Nawrockiego, a komisarz nie miał powodu, by podawać w wątpliwość fachową ocenę psychiatry. Co więcej, zastrzeżenia dyrektora współgrały z wątpliwościami samego komisarza, który wcale nie był zachwycony teorią Kuriaty. Mimo faktów coś jednak podpowiadało mu, że Nawrocki, szaleniec uważający się za Jezusa, ma swój udział w zabójstwach. Nie wiedział jaki, jak to w ogóle było możliwe.

Nie wiedział, dlaczego tak uważał. Czy kierował się owym „nosem”, który nieraz doprowadził go do zabójcy, czy po prostu był

przemęczony i nie potrafił jasno myśleć? Pracował przecież ze złamaną ręką, trapiiony małżeńskim kryzysem. Może jednak źle uczynił, że nie poszedł na zwolnienie i nie wykorzystał tego czasu na

uporządkowanie rodzinnych spraw? Będzie musiał to zrobić, jak tylko skończy śledztwo.

— Widzę, że nie spodobała się panu moja odpowiedź.

— Co? Tak. Nie. Przepraszam, ale nic mi się w tej sprawie nie składa do kupy. Umie pan grać w szachy?

— Umiem.

— Jak się gra ze słabszym przeciwnikiem, człowiekowi wychodzi każdy manewr obronny czy atak, bo właściwe figury znajdują się na właściwych polach, jakby zostały specjalnie ustawione, a nie znalazły się tam w trakcie gry. Ale kiedy przeciwnik jest mocny, wtedy do obrony zawsze czegoś brakuje, a to skoczek jest za daleko, a to goniec nie tego koloru, a wspaniałą kombinację rozbijającą w puch szeregi wroga uniemożliwia jakiś pionek, który u słabeusza byłby tylko pozbawioną wsparcia ofiarą do zabicia.

— I w swoim śledztwie ma pan wrażenie, że gra przeciwko bardzo mocnemu szachiście?

Zestawienie chorego umysłu z precyzyjnym mózgiem dobrego szachisty nieco skonfundowało komisarza.

— Nie do końca. Bardziej chodziło mi o sytuację, że człowiek robi, co w jego mocy, najlepiej, jak potrafi, jest dobry w tym, co robi, ale nie osiąga celu, bo jakby wszystko sprzy-sięgło się przeciwko niemu.

— Rozumiem. — Denisowski ruszył przed siebie, dając sygnał, że rozmowę mogą kontynuować podczas obchodu. —

Sformułowałem zaproszenie, żeby odwiedził mnie pan na lampkę koniaku, które odczytał pan jako grzecznościowy frazes, ale skoro grywa pan w szachy, ponawiam je i zapraszam na partyjkę do mojej samotni. W sobotę by panu pasowało?

Przygodny najpierw chciał się wymówić śledztwem i złamaną ręką, ale potem uznał, że taka chwila odprężenia bardzo mu się przyda. A złamana ręka przemawiała za wizytą, a nie przeciwko niej. Musiał wprawdzie przyjechać autobusem, na co nigdy nie dałby się namówić, będąc w stanie prowadzić samochód, ale za to bez przeszkód napije się koniaku.

— Chętnie rozproszę pańską samotność, skoro mówi pan, że panu doskwiera.

— Już teraz nie. Nie tylko przywykłem, ale i odkryłem, że potrzebuję samotności, to doskonały stan, by porozmawiać ze sobą samym. Aż się dziwię, że przez tyle lat nie czułem potrzeby ucieczki od ludzi, od zgiełku i szumu. Hobby typu wędkowanie nigdy mnie nie pociągało i nie zdawałem sobie sprawy, co tracę. Łowi pan?

— Nie — odparł krótko komisarz, lustrując dalsze fragmenty muru, ale zarówno kamienne płyty, jak i zwoje drutu znajdowały się w nienaruszonym stanie.



— Nie powiem „szkoda”, bo wędkowanie jak śpiewanie ari to solowe zajęcie, ale polecam. Nawet kobiety wędkują.

— Naprawdę? — zainteresowanie kryło się wyłącznie w treści, a nie w tonie, ale psychiatra niezrażony odpowiedział:

— Jak pierwszy raz poszedłem nad Bystrzycę, nie wierzy-

łem własnym oczom. Myślałem, że to bardziej męska domena niż górnictwo dołowe, tymczasem dorodną ukleję wyciągała stateczna matrona.

— Na polowania też pan chodzi? — dał się wciągnąć w temat Przygodny.

— Nie, nie umiałbym zabić żadnego zwierzęcia, złowione ryby wrzucam z powrotem do wody. A pan jak wypełnia swój wolny czas?

— Mało oryginalnie, czytam.

— Dlaczego mało oryginalnie? W tym kraju czytanie nie jest jakimś masowym zajęciem. A co pan lubi?

I tak na rozmowie o lekturach zesła im reszta obchodu, podczas której nie natrafili na żadne wyłomy w murze ani dalsze uszkodzenia drutu. Jeśli ktoś opuszczał ośrodek, nie korzystając z głównej bramy, musiał robić to w miejscu, w którym odkryli przerwany drut.

Wójcik z Wojtkiewiczem siedzieli znudzeni w małym pokoju Jana Żukiewicza. Komisarz Przygodny zmienił zdanie w sprawie obserwacji, doszedł do wniosku, że prowadzenie jej z samochodu przed domem miałyby się z celem. Gdyby Nawrocki się pojawił, trzeba by go zdjąć najpóźniej pod drzwiami mieszkania, żeby nie narażać Żukiewicza na niebezpieczeń-

stwo, a wtedy — jeśli nie przyszedłby z siekierą — nie mieliby żadnego dowodu, że żywił wobec lokatora zbrodnicze zamiary.

Umieszczenie punktu obserwacyjnego w mieszkaniu wymagało wtajemniczenia gospodarza, co nie sprzyjało operacji.

Żukiewicz — tak jak obawiał się Przygodny — okazał się znerwicowanym staruszkiem, który na wieść o tym, że grozi mu niebezpieczeństwo, nie umarł wprawdzie na zawał, ale dostał

rozstroju żołądka. Na szczęście nie miał dokąd wyjechać, policjanci ustalili uprzednio, że ma rodzinę w Łodzi, ale zerwał

z nią kontakty po konflikcie o spadek. Istniało natomiast ryzyko, i to spore, że w razie ewentualnej wizyty Nawrockiego nie wytrzyma nerwowo i przedwcześnie wezwie posterunkowych.

Komisarz pokładał nadzieję w haśle, „niech pan przestanie!”, którego nie dało się naturalnie użyć w każdej dowolnej sytuacji.

Dzwonek do drzwi poderwał Wójcika i Wojtkiewicza na nogi. Wyłączyli telewizor, który wskutek źle ustawionej anteny nadawał tak zaśnieżony obraz, że pełnił bardziej funkcję radia, i nadstawili uszu. Kiedy usłyszeli kobiecy głos i doszedł ich aromat parzonej kawy, ułożyli się z powrotem na swoich miejscach, Wójcik na tapczanie, a Wojtkiewicz na rozłożonym na podłodze materacu. Komisarz zadecydował, że będą w mieszkaniu całą dobę, na okrągło. Wprawdzie należało wątpić, że Nawrocki pojawi się w nocy — zdawał chyba sobie sprawę, że samotny starszy człowiek nie wpuści w środku nocy obcego mężczyzny — ale Przygodny nie chciał, żeby wśród sąsiadów rozeszło się, że u Żukiewicza przesiadują policjanci. A z pewnością by to nastąpiło, gdyby codziennie przychodzili i wychodzili — przy swojej posturze musieli rzucać się w oczy nawet najmniej wścibskim sąsiadom. I jeśli Nawrocki zechciałby przeprowadzić mały rekonesans, zostałby uprzedzony.

Komisarz nie wiedział, czy Nawrocki byłby zdolny do przeprowadzenia takiego rekonesansu, w ogóle nic o tym podejrzanym nie wiedział. Denisowski nie udostępnił im jego karty choroby, argumentując, że nawet gdyby chciał, to bez decyzji prokuratora nie ma do tego prawa. Tymczasem Kania odmówił wystawienia nakazu, z uzasadnieniem, że nie kwestionuje działań operacyjnych policji, ale żeby naruszać sferę intymną chorego człowieka, muszą przedstawić mu jakieś mocniejsze poszlaki niż tylko teorię zapijaczzonego dziennikarza. Telefony z ośrodka go nie przekonały, bo po pierwsze nie było bezpośredniego dowodu, że dzwonił właśnie Nawrocki, a nie któryś z pozostałych Jezusów, a po drugie, przyznanie się w nich do winy nie padło wprost, tylko zostało przez odbierających rozmowy wyinterpretowane. W tej sytuacji Przygodny, mając w tyle głowy, że nie zapobiegli zabójstwu Stańczyka, wychodził z założenia, że lepiej za dużo środków bezpieczeństwa niż za mało. Zwłaszcza że nie pojawiły się tropy, które poprowadziłyby śledztwo w innym kierunku. Dama z piwoniami nie wypłynęła, a pochodzenia tałesu nie dało się ustalić. Natomiast fragment Ewangelii, opis narodzin Jezusa, zostawiony im do przeczytania przez zabójcę, zakładając, iż rzeczywiście miał jakieś znaczenie, potwierdzał raczej teorię Kuriaty. Była to bowiem Ewangelia według Łukasza, a zdaniem religioznawcy, z którym konsultował się Przygodny, przedstawione w niej fakty nie odpowiadały historycznym:

„Pyta pan, czy ktoś może uznać ten opis za przekłamany? Każ-

dy historyk amator o przeciętnej inteligencji. Spis ludności w Palestynie odbył się, jak podaje Flawiusz, w szóstym roku naszej ery, czyli trochę za późno, jeśli Jezus miał się urodzić za panowania Heroda Wielkiego, bo ten zmarł w czwartym roku przed naszą erą. Poza tym nonsensem jest zakładać, że-by tak praktycznie nastawieni Rzymianie kazali ludziom podróżować do miejsca urodzenia, żeby ich policzyć. Po co?

Pan sobie wyobraża bałagan, jaki by przy tym powstał? Przecież spis można było przeprowadzić dokładnie tak, jak to się robi współcześnie, czyli w miejscu zamieszkania. Łukasz ba-ja jak najęty, bo chce udowodnić, że Jezus jest Mesjaszem, który według starotestamentowej przepowiedni miał przyjść na świat w Betlejem. Tymczasem kłóciło się to z powszechnie wiadomym faktem, że rodzice Jezusa mieszkali w Naza-recie, a Maria nie miała żadnego powodu, żeby na czas porodu dokądkolwiek wyjeżdżać".

— Też bym się napił kawy — powiedział półgłosem Wojtkiewicz.

— Nie za późno na kawę? — Dochodziła ósma wieczorem.

— Nie zaśniesz w nocy.

— Ja nie zasnę, jak nie wypiję na noc kawy.

— Ciekawe, reagujesz na kofeinę inaczej niż większość ludzi. —Wójcik podparł głowę na rękę i popatrzył na partnera.

— Nie, tylko nie uległem sugestii .

— Sugestii ? Jakiej sugestii ?

— Producentów herbaty. Wmówili ludziom, że kofeina podnosi ciśnienie, żeby nie pili kawy przed snem, tylko herbatę.

Wójcik przeniósł wzrok na ścianę, analizując ten nieznany mu aspekt rywalizacji między producentami kawy a producentami herbaty.

— No dobrze, ale za to rano ludzie piją kawę, żeby się obudzić, więc się wyrównuje.

— Nie wyrównuje się — stwierdził autorytatywnie Wojtkiewicz — bo rano lecisz do pracy i masz czas tylko na jedną filiżankę, a wieczorem siedzisz sobie spokojnie i wypijasz kilka. Czyli więcej sprzeda ten, kto namówi ludzi, żeby pili jego napój wieczorem.

Wójcik uznał ten argument, ale miał inną wątpliwość:

— A czemu producenci kawy nie ogłoszą, że kawa wcale nie podnosi ciśnienia?

— Teraz już nikt im nie uwierzy.

— Mogą podeprzeć się wynikami badań.

— Ludzie nie wierzą w badania, kiedy sami czują coś innego. A czują działanie kofeiny, bo ulegli sugestii . Jak się ludziom coś wmówi, to nie da się od razu ich przekonać, że jest inaczej. Zobacz, ile czasu wierzono, że Ziemia jest płaska.

Wojtkiewicz zadowolony ze swojego historycznego argumentu założył ręce pod głowę. Kiedy byli sami, stać go było na dłuższe wypowiedzi, nie lubił się odzywać przy osobach, z któ-

rymi nie łączyły go zażyłe stosunki, i wówczas przerzucał cięż-

żar prowadzenia rozmowy na kolegę.

— Producenci herbaty byli sprytniejsi, teraz będzie trudno to odwrócić. Ci od kawy próbowali tej samej zagrywki, usiłowali ogłosić, że w herbacie jest teina, która ma identyczne działanie jak kofeina, ale im się nie udało, i wcale się nie dziwię. W takiej sprawie trzeba być pierwszym.

— Coś o tej teinie obito mi się o uszy — przyznał Wójcik.

— No widzisz. Ale pijesz herbatę przed snem i zasypiasz, najwyżej w nocy musisz wstać i się wysikać, a po kawie my-

ślisz, że nie zaśniesz, więc nie zaśniesz. Autosugestia.

— Dobra, jak ta baba wyjdzie, napiję się z tobą kawy i zobaczę, czy nie zadziała, jak już teraz wiem, że to na zasadzie sugesti. Bo normalnie po mocnej kawie pikawa wali mi jak szalona.

Ponownie nadstawili uszu, ale głosy dochodzące z kuchni świadczyły, że gość niestety nie wybiera się jeszcze do domu.

— Myślisz, że on przyjdzie? — zapytał Wojtkiewicz.

— Kto?

— No ten Jezus. Tkwimy tu już piąty dzień. Mam dosyć.

— Nie narzekaj, płacą ci za nadgodziny.

— Niby tak, ale wolałbym być w domu. Zocha będzie zrzędzić, że za dużo pracuję.

Zocha była żoną Wojtkiewicza. Wójcik jeszcze się nie ożenił, mieszkał z matką.

— Kupisz jej coś ładnego za te nadgodziny, to się udobrucha.

— No więc po co mi nadgodziny, jak muszę potem na nią wydawać pieniądze? — wykazał się żelazną logiką Wojtkiewicz.

— Przecież nie wszystkie, kupisz jej jakieś świecidełko, a za resztę coś dla siebie. Tą kamerę, o której mówiłeś.

— Widać, że nie jesteś żonaty i nie masz pojęcia, ile kosztują „świecidełka” — stwierdził cierpko Wojtkiewicz. — Żona to nie sroka, nie wystarczy jej, że się błyszczy, musi jeszcze być drogie. A wcale nie mam ochoty tkwić tu tak długo, żeby zarobić i na świecidełka, i na kamerę.

— Może nie będziemy musieli. Komisarz wie, co robi. Jak przypuszcza, że Jezus tu przyjdzie, to pewnie przyjdzie. Chociaż... — Wójcik urwał, nie chcąc krytykować przełożonego.

Za punkt honoru poczytywał sobie bezrefleksyjne wykonywanie rozkazów bez roztrząsania decyzji dowódców.

— Chociaż co?

— Nie, nic.

— No powiedz — nalegał Wojtkiewicz.

— W ostatnim czasie jest jakiś taki nieprzytomny.

— Jezus?

— Jaki Jezus?! Komisarz!

— Ciszej, baba nie może nas usłyszeć. — Wojtkiewicz przez chwilę przetrawiał opinię kolegi. — I myślisz, że jak jest taki nieprzytomny, to bez sensu nas posłał na tą akcję?

— No.

— Cholera!

Wojtkiewicz zakrył usta dłonią, bo jego „cholera” też zabrzmiała zbyt gromko, i spojrzał na drzwi, ale rozmowa w kuchni była na tyle głośna, że musiała zagłuszyć to wykrzyknienie.

— Mogłaby już pójść — wyraził życzenie Wójcik. — Przynajmniej włączylibyśmy sobie telewizor.

— I napili się kawy.

Odwiedzającej jednak wcale się nie śpieszyło i na jej wyjś-

cie musieli czekać dalsze dwie godziny. W milczeniu, bo Wojtkiewicz nie miał na podorzędziu kolejnej spiskowej teorii, a po kilku dniach obserwacji wyczerpali wszystkie wspólne tematy.

Drzwi autobusu otworzyły się z sykiem. Przygodny kupił

u kierowcy bilet i pośpiesznie zajął miejsce zaraz za jego kabiną, żeby już siedzieć, kiedy autobus będzie ruszał. Z utrzymaniem równowagi miałby kłopoty nie tylko z powodu zagipsowanej ręki, ale i paru kieliszków koniaku, którymi uraczył go Denisowski podczas partii szachów.

Rozegrali tylko jedną, bo okazali się równorzędnymi szachistami i stoczyli zacięty trzygodzinny pojedynek. Przygodny grający białymi — dyrektor uznał, że taka grzeczność wobec gościa jest obowiązkowa — wypracował sobie lekką przewagę, w końcówce miał piona więcej, ale Denisowski zdo-

łał wymienić swojego skoczka za tego piona, a goły laufer, jak wiadomo, nie wystarcza do zamatowania i partia zakończyła się remisem.

Wpatrując się w ciemności za szybą, rozmyślał nie o rozgrywce — nie należał do tych szachowych tuzów, które potrafią odtworzyć w pamięci rozegraną partię — ale o słowach wypowiedzianych przez Denisowskiego, gdy ten zabijał mu piona:

— W szachach jak w życiu, czasami wygrywa się na tym, że król zostanie sam.

Przygodny nie wiedział, co dyrektor miał na myśli, prawdopodobnie nic, po prostu lubił komentować grę, bo nie była to pierwsza uwaga w tym stylu, jaką wygłosił, wykonując posunięcia, ale Przygodny odniósł ją do swojej sytuacji życiowej.

Przypomniawszy sobie, co Denisowski opowiadał o swoim rozwodzie, kiedy lustrowali mur. Czy przykład dyrektora nie pokazywał, że rozwód nie jest tragedią, końcem wszystkiego, a jedynie zamknięciem pewnej epoki, przejściem do następnego etapu?

Zwierzenia Denisowskiego uświadomiły mu też inną ważną rzecz: rozwód nie był nieszczęściem, które spadało na człowieka nagle, jak wypadek samochodowy czy choroba, tylko konsekwencją nieszczęścia, przyznaniem, że małżeństwo się rozsypało. Można było się nie przyznawać, udawać, że wszystko jest w porządku — jak sformułował to Denisowski, zamieszkać w ruinach — ale takie pozory nie ratowały przecież związku.

Postanowił następnego dnia rozmówić się z Gabi. Nie, dlaczego następnego dnia? Znowu odkłada tę rozmowę, tak jak odkładał ją w ostatnich tygodniach. Porozmawia z nią zaraz po powrocie do domu. Ale przecież przełożenie tego na dogodniejszy moment nie byłoby w tym przypadku wymówką — sobotni wieczór naprawdę nie jest odpowiedni na grzebanie blisko dwudziestopięcioletniego małżeństwa, to czas na relaks po tygodniu ciężkiej pracy. Poza tym był lekko wstawiony, a załatwianie takich spraw na rauszu jest wręcz obraźliwe dla drugiej strony. Jakby nie potrafił na trzeźwo powiedzieć żonie, że ją zostawia, tylko musiał sobie wypić dla odwagi.

Autobus zatrzymał się na przystanku i wpuścił grupkę młodych ludzi. Z ich strojów i strzępów hałaśliwej rozmowy Przygodny domyślił się, że jadą do Wrocławia na dyskotekę.

Nasunęła mu się refleksja, że kiedy starzy kończą zabawę, młodzi dopiero ją zaczynają.

Postanowione, wrócił do swoich rozważań, następnego dnia z rana, zaraz przy śniadaniu, powie Gabi, że odchodzi. A jeśli na śniadanie wpadnie Asia? Czasami zaglądali w niedzielę ze Stefanem, tymczasem była to sprawa między nim a Gabi, nie mogli wciągać w nią dzieci. A jak miał się nastawiać psychicznie na ciężką przecież rozmowę, wiedząc, że może nie dojść do skutku? Nie, lepiej przełożyć ją na poniedziałek, zaraz po pracy. Tylko co robi, jak będzie musiał pojechać do zabójstwa albo na przykład Jezus zaatakuje w mieszkaniu Żukiewicza?

Mordercy nie uwzględniali w swoich rachubach osobistych problemów komisarza Przygodnego.

Spojrzał na odbicie swojego profilu w szybie. Nie, to nie ma sensu. Zawsze znajdzie jakąś nieprzezwycięzalną przeszkodę, żeby nie odbyć tej rozmowy i będzie odsuwał ją w nieskończoność. Rozmówi się z Gabi, zaraz jak dotrze do domu.

Sobota nie sobota, trudno, ludzie nawet umierają w soboty, a nie tylko się rozwodzą. Alkohol wywietrzeje mu z głowy, zanim autobus dojedzie do Wrocławia. Aż tyle nie wypił. Poza tym strach powinien przyspieszyć wydalanie alkoholu z organizmu; bał się przecież tej rozmowy jak diabli.

Denisowski po wyjściu Przygodnego zjadł kolację, a przy jedzeniu jak zwykle oglądał telewizję. Trafił na film O Angli-ku, który wszedł na wzgórze, a zszedł z góry i miał szczęście, bo fabuła

okazała się równie rewelacyjna jak tytuł. Teraz odtwarzał partię szachów rozegraną z komisarzem, z lubością zaciągając się cygarem. Przygodny nie palił, a dyrektor nie chciał narażać nikogo na bierne palenie, nawet za jego zgodą, zdając sobie sprawę, jak wielu ludzi ma kłopoty z asertywnością i tak naprawdę nie potrafi odmawiać. Przyciął więc cygaro, dopiero kiedy przystąpił do analizowania wykonanych posunięć. Z ukontentowaniem wypuszczał nosem dym, patrząc na rozstawione figury. Trafił mu się godny przeciwnik, nie spodziewał się, że policjant będzie tak dobrze grał. Denisowski wybrał obronę sycylijską, która pozwalała czarnym na przejęcie inicjatywy, a w przypadku słabszych graczy demo-lowowała ich szeregi. Tymczasem komisarz miał perfekcyjnie opanowane to otwarcie i w grze początkowej uzyskał przewagę, zmuszając go do obrony przez resztę partii. Dyrektor starał się ustalić, jakie posunięcie pozwoliło przejść inicjatywę Przygodnemu. Doszedł do wniosku, że zagranie pionem na e5 w odpowiedzi na jego ruch gońcem na b4. Denisowski wybrał wariant Paulsena, choć lepiej miał opanowany wariant Drakona, ale nie spodziewając się mocnego przeciwnika, uznał, że może wypuścić się na nie do końca znane mu wody.

Podniósł się z fotela i podszedł do regału z książkami, żeby w podręczniku sprawdzić, co powinien zagrać zamiast posunięcia gońcem. Literatura szachowa zajmowała przedostatnią półkę, na wysokości oczu, ale Wariantów obrony sycylijskiej na niej nie było. Denisowski zmarszczył brwi. Pożyczył ją ko-muś? Na pewno nie, pożyczał wyłącznie książki, z których stratą się godził, bo nawet odnotowywanie pożyczających w kajeciku nie skłaniało ich do oddawania. Z czasem dostrzegł

pozytywną stronę tych przywłaszczeń, zyskiwał miejsce na ciągle przepelnionych półkach, a wolał wydawać pieniądze na książki niż na regały. Poza tym był zdania, że beletrystyka powinna znajdować się w obiegu, a nie sterczeć na półce po przeczytaniu przez jedną osobę. Ale pożyczał właśnie beletrystykę, swoich szachowych podręczników strzegł jak oka w głowie.

Co się więc z nim stało? Denisowski próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zaglądał do Wariantów obrony sycylijskiej. Chyba w niedzielę, ale tutaj, w pokoju, a potem na pewno odstawił na miejsce. Czyżby jakiś pacjent albo pielęgniarz wszedł do jego mieszkania i ukradł mu książkę? Nonsens, nie miał żadnych podstaw, by kogokolwiek podejrzewać o lepkie palce, poza tym zawsze zamykał mieszkanie na klucz. I to bardziej dla ochrony prywatności niż z rzeczywistej obawy przed kradzieżą. Tak samo zresztą jak gabinet. Przechowywane w nim akta pacjentów byłyby mało atrakcyjnym łupem dla złodzieja, ale nikt niepowołany nie powinien do nich zaglądać.

Gabinet! No jasne, przecież zaniósł ją do gabinetu. Nie po to, żeby w trakcie pracy studiować szachowe debiuty, tylko jako jedna z grubszych pozycji posłużyła mu do przytrzymywania klejonych kartek w oczekiwaniu na wyschnięcie kleju.

Ciekawość, co powinien zagrać, zawańczyła z lenistwem

— nie chciało mu się o tej porze biegać po schodach, obfita kolacja jeszcze ograniczała jego ruchliwość — i zwyciężyła.

Zszedł na dół, nie zapalając światła, bo ośrodek pogrążony już był w nocnym spoczynku. Przez to, szukając kluczy, nie od razu dostrzegł, że z zamkiem coś jest nie w porządku.

Dopiero kiedy miał włożyć klucz do zamka, zauważył, że jest wyłamany. A przed chwilą przyjął, że

jego pacjentów i pielęgniarzy cechuje uczciwość! Rozzłoszczony pchnął drzwi. Zaskrzypiały, a mężczyzna stojący przy szafkach z kartami chorych i w świetle latarki studiujący jedną z nich, zmarł.

— Co pan tu robi?! — warknął Denisowski.

Mężczyzna dwoma susami znalazł się przy dyrektorze i z całej siły zamachnął się latarką.

Przygodny wziął głęboki oddech, zanim sięgnął do dzwonka.

— Co tak późno wracasz? — zapytała Gabi, wpuściwszy go do środka. — Mogłeś zatelefonować, że wrócisz później, niż mówiłeś.

— Przepraszam, nie pomyślałem o tym.

W rzeczywistości nie zdawał sobie sprawy, ile czasu krą-

żył wokół szeregówki, bojąc się wejść.

— Chcesz jeszcze kolację? Muszę odgrzać.

— Nie, nie chcę, dziękuję, nie jestem głodny. Usiądźmy w pokoju, musimy porozmawiać.

— O czym?

Spojrzała mu w twarz i wiedziała o czym.

— Usiądźmy.

— Marek, nie możesz mi tego zrobić. — Usta wykrzywiły się jej w podkówkę, jak zawsze, gdy była bliska płaczu. Kiedyś budziło w nim to rozczulenie, otaczał ją męskim ramieniem, przytulał, pocieszał, teraz sam był przyczyną nadchodzących łez.

— Gabi, kochanie, możemy się oszukiwać, ale naszego małżeństwa to nie uratuje, skończyło się.

— Ja chcę się oszukiwać!

Spuścił głowę, nie ułatwiała mu zadania. Wziął ją za rę-

kę, zaprowadził do pokoju i posadził na kanapie. Przyklęknął

przy niej.

— Gabi, skończy się to tym, że ja ciebie znienawidzę, a potem ty mnie. Kochaliśmy się przez tyle lat, zbezczeszciliby-

śmy naszą miłość, gdybyśmy zostali nie przyjaciółmi, tylko wrogami.

— Dlaczego miałbyś mnie znienawidzić, a ja ciebie? Co ty gadasz?



— Dwoje ludzi, którzy się nie kochają, a muszą przebywać pod jednym dachem, prędzej czy później zacznie działać sobie na nerwy.

— Bzdura! — zaprotestowała. — Wiele małżeństw jest ze sobą z przyzwyczajenia, a wszystko funkcjonuje jak należy.

— Czyli przyznajesz, że też mnie już nie kochasz?

Nic na to nie odpowiedziała, odwróciła się ze złością i usłyszał chlipanie. Podał jej chusteczkę, którą gniewnym ruchem wyszarpnęła mu z ręki.

— Gabi... — nie wiedział, co ma powiedzieć.

— I jak ja sobie poradzę sama z nauczycielską pensją? Nie dam rady.

— Będę płacił alimenty — zapewnił.

— Jakie alimenty? Alimenty są na dzieci, a Asia i Michał

są już dorośli, nie dostanę na nie alimentów.

— Alimenty można również płacić byłej żonie, zresztą sąd ich wcale nie musi zasądzać, będę ci pomagał dobrowolnie.

— Nie chcę twojej pomocy!

Cofnął się i przysiadł na brzegu fotela. Gabi poruszy-

ła temat finansów, żeby podać kolejny argument przeciwko rozstaniu, ale dzięki temu rozmowa zeszła na omawianie praktycznych skutków rozwodu, co mogło sprawić, że przestanie się go bać. Bo protestowała ze strachu, że zostanie sa-ma, a nie dlatego, że dalej chciała mieć go za męża — był co do tego przekonany.

— Przepraszam, źle się wyraziłem — powiedział, starannie ważąc słowa. — Nie chodzi o żadną jałmużnę, tylko o coś, co ci się należy. Nie ma powodu, żeby twój standard życia się pogorszył, a że akurat przypadkowo ja zarabiam więcej, oczy-wiste jest, że powinienem się z tobą podzielić.

Odwróciła ku niemu głowę.

— Niby dlaczego? To małżonkowie mają wspólny mają-

tek, nie rozwodnicy. Ty po prostu masz wyrzuty sumienia, że mnie zostawiasz.

— Mam. Przyznaję. Ale mimo to uważam, że podjąłem słuszną decyzję.

— Podjąłeś decyzję?! — Omal nie poderwała się z kanapy.

— Ty podjąłeś decyzję?! W sprawie naszego małżeństwa?!

Szkoda, że nie zapytałeś mnie o zdanie! Myślałam, że w małżeństwie decyzje podejmuje się we dwójkę!

— Ktoś musiał zrobić pierwszy krok. Zwykle przypada mężczyźnie. Ja cię zapytałem, czy chcesz ze mną chodzić, i ja powiedziałem o rozwodzie.

— Tylko że wtedy miałam wybór — zauważyła żałośnie.

— Wtedy mnie pytałeś, a teraz mi komunikujesz. — Pociągnęła nosem. — Przekreślasz tamto.

— Niczego nie przekreślam! — gwałtownie zaprotestował.

— Jak nie? Wyrzucasz nasze małżeństwo do kosza!

Wstał z fotela i zrobił parę kroków.

— Nie przekonam cię teraz, że jest inaczej, bo nastawiłaś się na negowanie moich słów.

Odwrócił się do okna nieprzesłoniętego roletą; wchodząc do pokoju, nie zapalili światła, rozmowę toczyli w półmroku rozpraszonym przez poświatę ulicznej latarni.

— Ale wierz mi — ciągnął, stojąc do niej tyłem — za jakiś czas przyznasz mi rację, przyznasz, że doszliśmy do etapu, na którym inne rozwiązanie nie było możliwe. I lepiej, żebyśmy rozstali się teraz w zgodzie, mając jeszcze szansę na rozpoczęcie nowego życia, niż za dziesięć lat, kiedy takiej szansy już nie będziemy mieli.

Poniewczasie uzmysłowił sobie, że nie powinien sięgać po ten argument.

— Aha!

Odwrócił się z powrotem na to wykrzyknienie i zobaczył oskarżycielsko podniesiony palec.

— Tu jest pies pogrzebany! Masz jakąś babę, do której chcesz odejść!

— Nie, Gabi, nie mam nikogo.

— Nie wierzę ci!

Wiedział, że mu nie wierzy, ale jakie dowody można przytoczyć na to, że nie zdradza się żony?

— Gabi, jesteśmy małżeństwem blisko dwadzieścia pięć lat. Powiedz, czy w tym czasie

kiedykolwiek cię okłamałem.

— Właśnie!

— Co właśnie?

— Piękny prezent fundujesz mi na dwudziestopięciolecie, nie srebrne gody, tylko rozwód.

Ich oczy spotkały się. Przygodny w pierwszej chwili chciał

złożyć deklarację, że gotów jest poczekać z formalnościami rozwodowymi, ale odrzucił tę myśl. Obchodzenie jubileuszu na pokaz, żeby zaliczyć okrągły staż małżeński, byłoby hipo-kryzją. Nie miał się wprawdzie za człowieka surowych zasad, pewnie nieraz zdarzało mu się być hipokrytą, ale świętowanie jubileuszu ze świadomością, że następnego dnia złoży w sądzie pozew rozwodowy, nie mieściło się w tym, co uważał za przy-zwoite albo choćby dopuszczalne.

— Przepraszam...

Podszedł do żony, usiadł obok niej na kanapie i objął ją, także zagipsowaną ręką. Położyła mu głowę na piersi.

— Gabi, naprawdę musimy się rozstać.

Nie zabrała głowy, nie uwolniła się z jego objęć. Płakała.

Najpierw cicho, potem coraz głośniejsze, niemal rozziewając. On też poczuł, że płyną mu z oczu łzy. Nie powstrzymywał ich.

Płakali oboje nad łączącą ich miłością, która niepostrzeżenie, bez wstrząsów, bez dramatów odeszła w niebyt.

— Ratunku! Pomocy!

Wojtkiewicz poruszył się niespokojnie na granicy przebudzenia i odwrócił na drugi bok, starając się odegnać przykry sen. Znał go, bo nie pierwszy raz mu się śniło, że ofiara woła o pomoc, a on nie może ruszyć się z miejsca i bezsilnie patrzy, jak człowiek, którego powinien chronić, ginie pod ciosami no-

ża. Na szczęście czasami udawało mu się ten sen przerwać, właśnie kiedy zbliżając się do granicy świadomości, koncentrował swoją wolę na wywołaniu przyjemnego snu, najlepiej erotycznego, jednak nie z własną żoną w roli głównej. Wyobraził sobie Ewę Sonnet w zwiewnej bieliźnie, ale obfity biust wrzasnął starym głosem:

— Policja!

Posterunkowy usiadł na materacu. Wrzaski nie dochodziły ze snu, tylko z przedpokoju. Żukiewicz wzywał pomocy!

Dlaczego nie użył hasła? Wojtkiewicz zerwał się, runął na drzwi, żeby nie tracić czasu na ich otwieranie, co okazało się fatalnym pomysłem, bo wyrwane z framugą pociągnęły go za sobą na podłogę. Zasypało go i pokaleczyło potłuczone szkło, ale Wojtkiewicz dzięki adrenalinie nie poczuł bólu, błyskawicznie znalazł się na nogach, w ułamku sekundy zarejestrował obraz przerażonego emeryta i znanego mu ze zdjęcia mężczyzny z nożem w ręku, doskoczył do napastnika, kopnięciem wytrą-

cił mu nóż i zwałił się na niego całym impetem swoich stu trzech kilogramów.

Hałaśliwość akcji Wojtkiewicza sprowadziła Wójcika.

— Co się dzieje?

— Mamy Jezusa. — Zasapany Wojtkiewicz zakuwał Tomasa Nawrockiego w kajdanki. — Zaatakował go nożem, ale zdążyłem. Czemu nie użył pan hasła? — zwrócił się do Zukiewicza, korpulentnego, niskiego mężczyzny, który dopiero przekroczył sześćdziesiątkę, ale tusza dodawała mu lat.

Pytanie posterunkowego sprawiło, że siny ze strachu Zukiewicz odzyskał głos.

— Jak to nie użyłem?! Użyłem! Tylko wyście nie zareagowali! Ogłuchliście czy co?!

— Spaliśmy — wyjaśnił Wojtkiewicz. — Chyba logiczne, że jak człowiek śpi, to nie słyszy rozmowy, trzeba było głośniejsze...

— Spaliście?! — Przeżyty strach potęgował wściekłość gospodarza. — Jest wpół do jedenastej! Złożę na was skargę do komisarza. Jesteście na służbie, a śpicie do wpół do jedenastej?! I przez was ten mnie o mało nie zaszlachtował! — pokazał na Nawrockiego i wtedy jego złość skierowała się ku napastnikowi. — Ty, co ja ci właściwie zrobiłem, że chciałeś mnie zadźgać? Ale poczekaj, gnoju, teraz się policzymy!

Zukiewicz rozejrzał się, dostrzegł leżący na podłodze nóż i chciał po niego sięgnąć, ale Wójcik zatrzymał krewkiego emeryta.

— Ej, żadnych samosądów.

— Ale on chciał mnie zabić!

— I zostanie za to ukarany, chyba że zamaże pan odciski palców na nożu, wtedy nie będzie dowodów.

Wójcik wyciągnął z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych, wyjął jedną z opakowania i owinał nią trzonek no-

ża; po namyśle wyjął drugą i owinał również ostrze.

— Musimy wezwać komisarza.

Cofnął się do pokoju po komórkę, a przy okazji schował

tam nóż, na wypadek gdyby w gospodarzu na nowo obudziła się chęć zemsty. Wybrał numer Przygodnego.

— Nie odpowiada. — Wrócił do kolegi, żeby poradzić się, co w tej sytuacji.

— Zadzwoń na komendę.

— Dzisiaj jest niedziela.

— Racja. To do Gajdy.

Wójcik przeszukał listę kontaktów w telefonie.

— Nie mamy jego numeru.

Posterunkowi spojrzeli bezradnie na siebie, a potem na Nawrockiego i Żukiewicza. „Jezus” w potarganej i zaplamio-nej krwią Wojtkiewicza flanelowej koszuli usiadł po turecku na podłodze i kiwał się w przód i w tył, mruczając coś do siebie.

Co jakiś czas podnosił ręce do oczu, przyglądał się zdumiony, że są unieruchomione kajdankami, po czym opuszczał je i wracał do swojego kiwania.

— Nie możecie zadzwonić do komendy i poprosić o podanie numeru do tego Gajdy? — odezwał się gospodarz, rozeźlo-ny, że ma do czynienia nie tylko ze śpiochami, ale i tępakami.

— Czy też cała komenda ma w niedzielę wolne, a nie tylko wasz komisarz?

— Nie, komenda pracuje — przyznał Wójcik.

— No to niech pan dzwoni.

— Tato? Co się stało?

Zwykle zapowiadał swoje wizyty, więc Asia nie spodziewała się, że usłyszy jego głos, kiedy zadzwonił domofon.

— Nic, to znaczy stało się, ale to nie jest rozmowa na domofon.

— Jasne, wejdz. — Zabrzmiał brzęczyk.

Wszedł na drugie piętro, Asia czekała na niego w otwar-tych drzwiach. Ubrana była w luźny, czerwony dres — no tak, w niedzielę przed południem można było sobie pozwolić na niedbały strój.

— Przepraszam, że nie zadzwoniłem, ale nie planowałem tu przychodzić, nogi same mnie jakoś przyniosły.

Jeszcze do późna w nocy rozmawiali z Gabi, aż w końcu zmęczeni trudną rozmową i płaczem zasnęli na kanapie. Kiedy on się obudził, Gabi wciąż spała. Wstał, złapał kurtkę i wyszedł. Musiał się przejść i przemyśleć, co dalej.

Zrobił ładnych kilka kilometrów brzegiem Odry. Gabi, choć protestowała, powoli wydawała się godzić z tym, że rozwód jest nieuchronny. Powinien ją w takim przekonaniu utwierdzić, a nie budzić fałszywą nadzieję, że może jednak zmienić zdanie. Musiał się wyprowadzić z domu, i to natychmiast. Pozostawało pytanie dokąd. Na amerykańskich filmach mężczyźni w podobnej sytuacji wyprowadzają się do hotelu, ale w polskich realiach takie rozwiązanie nie wchodzi w grę

— hotele są po prostu za drogie.

Wszedł za Asią do przedpokoju.

— Powiesz mi, co się stało? — była wyraźnie zaniepokojona.

— Zrobisz mi kawy?

Przyglądał się jej, kiedy krzątała się po kuchni. Jak zwykle nie mógł wyjść z podziwu, że wyrosła na tak piękną kobietę. Podobnie jak Gabi miała długie blond włosy, ale była wyż-

sza od swojej matki, a w jej sylwetce i ruchach kryło się coś, co sprawiało, że każdy pytał, dlaczego nie została modelką. Co uwidaczniało się nawet teraz, kiedy miała na sobie dres, a włosy podwiązała niedbale, żeby nie spadały jej na oczy.

Przygodnego cieszyło jednak, że nie zdecydowała się na zawód i karierę oparte na wyglądzie. Bał się, że mężczyźni wpuszczający na kolejne stopnie tej kariery chcieliby z jej urody skorzystać. Wiedział, że Asia by im się oparła, ale z pewnością miałyby dużo trudniej niż dziewczyny uznające swoje ciało za wymienialną walutę. Miał dużo szczęścia, że jego córka mimo nieprzeciętnej urody chciała i była w stanie poradzić sobie w życiu, wykorzystując swój intelekt. Nieraz w policyjnej karierze zetknął się przecież z dziewczynami z dobrych domów, które mimo starań rodziców i wpajanych im wartości stawia-

ły na wygląd i to w zawodach, jakimi raczej nie chwalono się na rodzinnych czy klasowych spotkaniach.

— Jak ci idzie na uczelni?

Zaprzestała nalewania wrzątku do filiżanek i podniosła głowę.

— Dobrze, ale nie przyszedłeś tutaj, żeby mnie zapytać, jak mi idzie na studiach. Tato, co się stało?

— Stefka nie ma? — odpowiedział pytaniem.

— Nie, jest w trasie promocyjnej.

Stefan pracował w wydawnictwie w dziale promocji, do jego obowiązków należały organizacja i

prowadzenie spotkań autorskich.

— Rozwodzimy się z mamą.

— Co?! — odwróciła się tak gwałtownie, że woda z czajnika chlusnęła w jego stronę; na szczęście zdążył odskoczyć.

— Przepraszam. Oszaleliście?

— Nie szkodzi, nie doleciało do mnie. Nalej do końca, bo nie wiem, czy nie rzucisz we mnie tym czajnikiem — starał

się żartować, ale blado to wypadło.

Postawiła filiżanki i skondensowane mleko na tacce i przeszli do pokoju.

— Nie, nie oszaleliśmy. — Popił czarny napój, patrząc, jak córka nalewa sobie mleka. — Po prostu nasze małżeństwo się skończyło. Uświadomiliśmy to sobie, kiedy wyprowadziłaś się z domu.

— Czyli ja jestem winna? — zapytała nieco prowokacyjnie.

— Nie, skąd, nikt nie jest temu winien. Pewne rzeczy się kończą i czasami lepiej, jak dostrzeże się to w porę.

— I oboje to dostrzeżliście czy tylko ty?

Przejrzała go.

— Myślę, że oboje, ale ja to wyartykułowałem.

— I jak mama zareagowała?

— Płaczem. Ale długo rozmawialiśmy i chyba się ze mną zgodziła.

Zamilkli. Za otwartym oknem — kwietniowy dzień był

ciepły — rozległ się przeraźliwy jazgot zawracającego na pę-

tli tramwaju. Przygodny zatkał uszy. Powinni zgłosić sprawę do sanepidu, przecież hałas z pewnością przekraczał wszelkie dopuszczalne normy.

— Jak wy to znosicie?

— Co? — popatrzyła na niego zdziwiona.

— Te tramwaje.

— Przywyka się. Na początku też nie mogłam tego znieść.

Podobno radni mieli pomysł, żeby wykonać akustyczną mapę Wrocławia, wiesz, z zaznaczeniem miejsc, gdzie hałas jest na tyle duży, że szkodliwy dla zdrowia, ale chyba tej mapy nie zrobili. A jak zrobili, to nie wykorzystują do eliminowania ha-

łas. Stefek mieszka tu od urodzenia i tramwajów w ogóle nie słyszy, ale mówił, że jak na studiach wyjechał na cztery miesiące do Holandii i tam zakwaterowali go w akademiku poło-

żonym praktycznie w parku, to po powrocie myślał, że mu uszy wyrwie.

— Nie dziwię się.

— Tato, ale nie przyszedłeś tu rozmawiać o tramwajach

— przypomniawszy, że odeszli od tematu.

— Wszystko powiedziałem.

— Nie ma szansy, żebyś przemyślał tę decyzję?

Nie po raz pierwszy przychodziło mu podziwiać dojrza-

łość własnej córki. Nie dramatyzowała, tylko szukała możliwości naprawienia sytuacji albo wyjścia z niej.

— Przecież o małżeństwo trzeba zawalczyć. Zwłaszcza tak długo trwające. A z tego, co mówisz, rozstajecie się jak nastolatki po dwóch miesiącach chodzenia. No fajnie było, ale się skończyło, pa pa i goodbye. To niepoważne.

— Uważasz, że powinniśmy odbyć jakąś terapię małżeńską?

— Chociażby.

— To byłaby próba sklecenia jakiejś prowizorki, postawienia z gruzów domu, który nie ma już fundamentów. Mo-

żemy próbować się oszukiwać, że jest inaczej, tylko co to da?

Niech wyjdę na staroświeckiego ramola, ale uważam, że taka terapia co najwyżej łagodzi objawy, ale nie leczy przyczyn.

Może pomóc ludziom, dla których małżeństwo to rodzaj kontraktu, ludziom, którzy muszą ze sobą być, z różnych względów: bo dzieci, bo finanse, bo w ogóle pobrali się, żeby uniknąć samotności, nie odstawać od społeczeństwa, nie mieć etykiety starej panny czy starego kawalera. A skoro nie mogą się rozstać, to muszą wypracować jakieś zasady, by w miarę bezbolesnie znosić swoją obecność. Jak niecierpiący się, ale skazani na siebie pracownicy w biurze. I w tym terapia rzeczywiście może pomóc. Ale nie w odbudowaniu miłości. My się z mamą kochaliśmy, taką naprawdę wielką miłością. I ta miłość się skończyła, wiemy to oboje. Jestem tym zrozpaczony, bo nic piękniejszego mnie w



życiu nie spotkało, poza oczywiście to-bą i Michałem, ale wy jesteście owocem właśnie tej miłości.

Pójście za głosem serca było najlepszym wyborem, jakiego mogłem dokonać. A przecież wcale nie oczywistym, są ludzie, którzy dla jakichś celów tłumią swe uczucia, krzywdząc tym siebie i obiekt swoich uczuć. Ale teraz muszę wyciągnąć konsekwencje z tego, że ów głos serca zamilkł. Zamykanie oczu na fakty tych faktów nie zmieni. Jedynie pogorszy sprawę. Jeśli odwleklibyśmy tę decyzję, za dwa, trzy lata wszystko wróci-

łoby ze zdwojoną siłą. A wtedy nie rozstawalibyśmy się jako przyjaciele, tylko jako wrogowie.

— A teraz rozstajecie się w przyjaźni? — Asia wykazała sceptycyzm. Nie na darmo była córką policjanta.

— Mama jest oczywiście rozżalona.

Znowu zamilkli. Tym razem tramwaj nie przejechał. W niedzielę był mniejszy ruch.

— Mam do was prośbę. Nie przechowalibyście mnie przez kilka dni?

Odstawiła filiżankę z kawą, w jej oczach dostrzegł niepokój.

— Czyli jednak skończyło się awanturą?

— Nie, nic z tych rzeczy. Nie chcę tylko, żeby mama ro-biła sobie nadzieję, że rozejdzie się po kościach, najlepiej bę-

dzie, jak od razu się wyprowadzę, a że nie mam gdzie się podziać...

— W porządku, możesz zatrzymać się u nas.

— Nie zapytasz Stefka o zgodę?

— Zapytam, ale nie sądzę, żeby miał coś przeciwko temu.

Znasz go przecież.

Przygodny musiał przyznać, że nie spotkał równie uczynnej osoby jak jego faktyczny, a formalnie przyszły zięć. Podniósł się.

— Pojadę spakować sobie trochę rzeczy, zadzwoń...

Polecenie wykonał ktoś inny i rozległ się dźwięk domofonu. Asia spojrzała zaskoczona w stronę drzwi.

— Ciekawe, kto w niedzielę o tej porze... Może mama przyszła za tobą?

Ale to nie była Gabi. W wejściu ukazał się podekscytowany Gajda. Tak bardzo, że tym razem nie

zmierzał do sedna przez zawile wstępy.

— Panie komisarzu! Mamy go! Znaczą się Jezusa! Zaatakował Żukiewicza nożem! Pański przyjaciel miał rację z tą swoją pokręconą teorią. Wojtkiewicz go obezwładnił. Zdaje się, że zaciekle się bronił, bo Wojtkiewicz jest ostro pokiere-szowany. Tak przynajmniej wynika z tego, co mówił Wójcik, bo mówił trochę nieskładnie, sam pan go zresztą zna, Miodek to on nie jest.

Przygodny mógłby mieć również pewne zastrzeżenia do poprawności wypowiedzi Gajdy, bo jej gramatyczna konstrukcja wskazywała, że Wojtkiewicz unieszkodliwił nie Jezusa, tylko Kuriatę, ale oczywiście kwestie językowe interesowały go w tej chwili najmniej.

— A dlaczego nikt do mnie nie dzwoni?

— Jak nie? Cały czas wydzwaniamy, najpierw Wójcik, potem ja, ale pan komisarz nie odbiera!

Przygodny obmacał kieszenie spodni, a potem kurtkę na wieszaku. Nigdzie nie wyczuł charakterystycznego obłego kształtu. Komórka musiała wysunąć mu się z kieszeni kurtki, kiedy zdjął ją, siedząc obok Gabi na kanapie. Tylko dlaczego Gabi nie odebrała? Może nie chciała albo w nocy wcisnęła przypadkiem klawisz trybu „bez dźwięku” i telefonu po prostu nie było słychać.

— Jak mnie tu znalazłeś?

— Pojechałem do pana do domu — komisarz dbał, by je-go sprawy zawodowe nie zakłócały życia pozostałym członkom rodziny i numeru telefonu stacjonarnego nie udostępniał

współpracownikom — pańska żona powiedziała mi, że macie... hm... pewne problemy rodzinne i możliwe, że pojechał

pan opowiedzieć o nich córce.

Któż mógł znać go lepiej niż Gabi?

— Nie byłeś jeszcze w mieszkaniu Żukiewicza?

— Nie. Jak Wójcik do mnie zadzwonił i powiedział, że ma-ją Jezusa, ale nie mogą pana złapać, kazałem im tkwić koł-

kiem na miejscu i wybrałem się pana szukać.

— Doskonale. Jedziemy.

Komisarz Przygodny po kilku minutach zorientował się, że z przesłuchania nic nie będzie. Nawrocki, poproszony o podanie swoich danych osobowych, zeznał, że nazywa się Jezus Chrystus, urodzony w Betlejem 25 grudnia w pierwszym roku naszej ery, syn Mari i Józefa, nazwiska panińskiego matki nie zna (Przygodny nie był pewien, czy w czasach Jezusa ludzie w Palestynie nosili nazwiska; chyba nie, przypomniał sobie, że był Paweł z Tarsu, a nie Paweł Tarski), zamieszkały w Na-zarecie, pod adresem, którego nie potrafił podać.

Niewiedza w ostatniej sprawie dowodziła, że Tomasz Nawrocki tak naprawdę nie jest Jezusem Chrystusem, a wszystkie informacje o rzeczonyj osobie czerpie z tak zwanych powszechnie dostępnych źródeł (przy czym w kwestii ojcostwa zachodzi-

ła pewna nieścisłość teologiczna), ale też był to jedyny dowód, jakiego dostarczyło przesłuchanie. Daleko bardziej komisarza interesujących w sprawie zabójstw Majewskiego, Małysiaka i Stańczyka i próby zabójstwa Żukiewicza Nawrocki najwyraź-

niej nie zamierzał ujawnić. Indagowany, dlaczego zaatakował

tego ostatniego nożem, uśmiechał się szeroko do Przygodnego albo mruczał coś pod nosem, kiwając się na krześle.

Ożywił się dopiero na pytanie, czy ewangeliści wyrządzili mu jakąś przykrość.

— Podobni są do grobów pobielanych, które z zewnątrz wyglądają pięknie, lecz wewnątrz pełne są kości trupich i wszelkie-go plugastwa!

Ta kaznodziejska zarliwość w ogóle nie pasowała do jego pozostałej postawy — jakby ktoś czy coś uruchamiało w nim ukryty mechanizm.

— I za to ich ukarałeś?

— Biada im!

— Opowiesz dokładniej jak?

Niestety na tym zakończyły się sukcesy Przygodnego w nawiązaniu rozmowy z podejrzanym. Nawrocki wbił oczy w sufit, przy czym komisarz domyślił się, że sufit nie jest celem jego spojrzenia, ale przesłania docelowy widok, czyli niebo, i zapewne z tego nieba spłynęła na ewangelistów zasłużona kara.

Nie wnikał już, czy Nawrocki był mieczem w ręku Boga, spodziewając się, że i tak nie uzyska sensownej odpowiedzi.

Uznał, że bez pomocy psychiatry się nie obejdzie. I to psychiatry znającego pacjenta, Denisowskiego albo innego lekarza, który opiekował się Nawrockim w ośrodku.

Kazał odprowadzić Nawrockiego do izby zatrzymań i z komórki, którą dowiózł mu patrol, zadzwonił do Denisowskiego.

Jego szachowy partner nie odbierał. „Bezkomórkowa niedziela”, pomyślał Przygodny. Ciekawe, czy dyrektor też gdzieś zapomniał swojego telefonu, czy może na niedzielę go wyłączał. Biorąc pod uwagę jego zamiłowanie do spokoju, takie postępowanie

wcale nie byłoby wykluczone. Robiąc rozradę, Denisowski zwierzył się komisarzowi, że na emeryturze najchętniej zamieszkał-

by z dala od ludzi, na Alasce albo w północnych regionach Skandynawi . „Niestety, nawet z dyrektorską emeryturą nie będzie mnie na to stać. Pech chciał, że zimne kraje są bogatsze i droższe, a ja właśnie nie znoszę upałów. Pieniądze nie byłyby przeszkodą, gdybym chciał osiąść w takich Indiach czy Afryce, przeciwnie, przy naszej mocnej złotówce byłbym tam boss, ale do Indii czy Afryki wołami mnie nie zaciągną. Wystarczy, że pomy-

ślę sobie o robactwie, które lęgnie się w upałach, i o różnych ebolach, żeby mi się odechciało".

Przygodny zadzwonił na komórkę zarejestrowaną na ośrodek, bo jej numer jako pierwszy znalazł w aktach — numer, z którego wariat telefonował do Kuriaty.

— Ośrodek, słucham — odezwał się męski głos.

— Komisarz Przygodny z Komendy Wojewódzkiej we Wrocławiu. Z kim rozmawiam? — forma odpowiedzi wprowadziła na to nie wskazywała, ale Przygodny chciał się upewnić, że nie rozmawia z pacjentem, tylko z kimś z personelu.

— Adamski, pielęgniarz.

— Chciałbym mówić z dyrektorem, mógłby go pan poprosić?

— Dyrektor w niedzielę nie życzy sobie...

— Pan wybaczy, ale w sprawach o morderstwo niedziela nie obowiązuje — przerwał mu Przygodny.

— Proszę zawołać dyrektora, zaczekam.

Choć sformułowane jako prośba, polecenie jednoznacznie było rozkazem i Przygodny usłyszał, jak Adamski, nie rozłą-

czając się, przemierza ośrodek. Musiał opuścić rękę z telefonem, bo Przygodnego dochodziły kroki, a nie oddech pielęgniarsza.

Ze zmiany rytmu domyślił się, że Adamski wszedł na schody.

I rzeczywiście po niedługiej chwili dobiegł go przytłumiony dźwięk dzwonka. Jeden, drugi, trzeci.

— Nie ma go — powiedział pielęgniarz do słuchawki. —

Sprawdzę w gabinecie.

Marszruta powtórzyła się, tyle że w przeciwnym kierunku.

Potem rozległo się pukanie, zaproszenie ze środka do komisarza wprowadziło nie dotarło, ale najwyraźniej do pielęgniarsza tak, bo zaskrzypiały drzwi.

— O rany! Skąd pan wiedział?!

— Skąd wiedziałem co? — nie rozumiał Przygodny.

— Że jest morderstwo!

Komisarz potrzebował dwóch sekund, by domyślić się, co się stało. W pierwszej sekundzie przyjął założenie, że Adamski nie jest za pan brat z logiką, a jego IQ nie daje mu szans na członkostwo w Mensie, w drugiej wyciągnął z tego założenia wnioski.

— Dyrektor Denisowski nie żyje? — upewnił się, mając jeszcze nikłą nadzieję, że ofiarą jest kto inny.

— Ktoś mu roztrzaskał głowę, chyba latarką, tak, leży tu zakrwawiona, zaraz sprawdzę.

— Ej! — wrzasnął komisarz, tak zaskoczony zachowaniem pielęgniarza, że nie znalazł innego sformułowania mającego go powstrzymać. — Niech pan niczego nie dotyka, zamknie drzwi do gabinetu i pilnuje, żeby nikt nie wchodził

do środka! Zaraz tam będziemy. Zrozumiał pan?

— Tak.

Przygodny rozłączył się, ale zaraz wybrał kolejne numery: do prokuratora, patologa i ekipy technicznej. Jeszcze tele-fonując, szybkim krokiem przeszedł do pokoju obok, do którego przeniósł się aspirant, żeby przesłuchać Żukiewicza. Ofiary z oczywistych względów nie można przesłuchiwać w tym samym pomieszczeniu co sprawcę.

— Robert, musisz przerwać, mamy zdarzenie.

Gajda spojrzał na komisarza, skinął głową i zwrócił się do Żukiewicza:

— Słyszysz pan, musimy zrobić przerwę, trochę to potrwa, więc pana zwolnię, ale proszę być pod telefonem, bo jak wró-

cimy, chciałbym od razu kontynuować. Niech mi pan napisze numer swojej komórki — aspirant podsunął przesłuchiwanemu wyrwaną z bloczka kartkę, a zapisaną schował do tylnej kieszeni dżinsów.

Na dół zeszli we trójkę, odprowadzając Żukiewicza, więc Przygodny nie mógł wprowadzić aspiranta w szczegóły. Zrobił to dopiero w samochodzie.

— Myśli pan, że wiąże się to z atakiem Nawrockiego na Żukiewicza? Może po prostu zaskoczył włamywacza — powiedział Gajda, skręcając na sygnale w Sądową.

— A tobie wydaje się prawdopodobny taki zbieg okoliczno-

ści, że akurat tego samego dnia, w którym Nawrocki w roli Jezusa postanawia ukarać ostatniego ewangelistę, do ośrodka, z którego chyba nie bardzo jest co ukraść, to przecież nie bank, ktoś się

włamuje i zostaje przyłapany przez Denisowskiego?

— No nie — przyznał Gajda, mknąc Grabiszyńską, przy czym ich Vectra była jednym z wielu policyjnych wozów jadą-

cych tą ulicą. — Śląsk musi dzisiaj grać, bo chłopaki obstawia-ją mecz.

Rzeczywiście, im bliżej stadionu na Oporowskiej, tym liczniejsze były rozkrzyczane grupki młodych mężczyzn w zielono-biało-czerwonych szalikach.

Przygodny, który miał dosyć obserwowania ciągle prze-grywanej walki o utrzymanie w ekstraklasie i definitywnie przestał śledzić występy Śląska Wrocław po spadku w 2003

roku do trzeciej ligi, omiół kibiców obojętnym spojrzeniem

— Obawiam się, że w wyniku naszego zainteresowania Nawrockim dyrektor zaczął go pilnować i kiedy zauważył, że Nawrocki przymierza się do opuszczenia ośrodka, usiłował

mu w tym przeszkodzić i skończyło się tragicznie.

— Tylko dlaczego zwłoki leżą w gabinecie?

Gajda musiał gwałtownie zmienić pas, bo z remizy wypadł wóz strażacki, a jego kierowca poczynił niebezpieczne założenie, że wszyscy na pewno przepuszczą uprzywilejowa-ny pojazd. Nie wziął pod uwagę, że drogą z pierwszeństwem przejazdu może poruszać się samochód innych uprzywilejo-wanych służb.

— Nie jest powiedziane, że został tam zamordowany. Nawrocki mógł tylko ukryć zwłoki w gabinecie. Do poniedziałku nikt by ich nie znalazł. Co dowiedziałeś się od Żukiewicza?

— Na razie niewiele więcej niż w mieszkaniu. Nawrocki zaatakował go nożem, ale o szczegóły nie zdążyłem wypytać.

Jak pan komisarz przyszedł, odwoziłem go od złożenia oficjal-nej skargi na Wójcika i Wojtkiewicza. Jest na nich wściekły, bo kiedy Nawrocki go zaatakował, spali w najlepsze, mimo że by-

ło wpół do jedenastej. Staralem mu się wyjaśnić, że posterunkowi na sto procent dostaną od pana komisarza ochran za spanie na służbie, ale oficjalna skarga to dużo papierkowej roboty, która odwodzi nas od ścigania prawdziwych przestępców.

— Dał się przekonać?

— W końcu tak. Jak mu powiedziałem, że skarga byłaby czarną niewdzięcznością wobec Wojtkiewicza, który może i zasnął, ale potem ratował go z narażeniem życia. Taka zbita szyba to nie przelewki, niech szkło zahaczy o jakąś aortę i po ptokach, jak mówiła moja babcia.

Sledczy wiedzieli już, że rany Wojtkiewicza powstały nie w starciu z Nawrockim, tylko w starciu z drzwiami.

— I uratował, a przecież w ostatecznym rozrachunku ważny jest rezultat, a nie jak go osiągnięto.

Przygodny wyznawał trochę inną filozofię, ale jej nie przedstawił, bo zorientował się, że w gorączce wydarzeń umknęła im istotna sprawa.

— Ty, a czemu Wojtkiewicz w ogóle zasnął?

— Wójcik nie dał mu spać w nocy. Wojtkiewicz wmówił

Wójcikowi, że kawa tak naprawdę nie zawiera kofeiny czy też że kofeina nie działa pobudzająco, że to jakiś spisek producentów herbaty, no i Wójcik napił się na noc kawy, nie mógł

zasnąć, wściekł się na Wojtkiewicza i z zemsty go obudził.

Dlatego obaj o wpół do jedenastej spali jak niemowlęta.

— Nie o to mi chodzi. Dlaczego nikt z pilnujących ośrodka ich nie zaalarmował?

Ośrodek obserwowało pięciu policjantów. Dwóch w samochodzie za bramą, kolejnych dwóch, również w samochodzie, za murem, w miejscu, w którym uszkodzony był drut, a ostatni przebywał na terenie parku i miał oko na drzwi wejściowe, żeby uprzedzić kolegów, gdyby Nawrocki wyszedł i skierował

się w ich stronę, względnie śledzić go, gdyby niespodziewanie obrał zupełnie inny kierunek.

Gajda na moment oderwał wzrok od drogi i popatrzył zaniepokojony na komisarza.

— Myśli pan, że Nawrocki coś im zrobił?

Przygodny nie odpowiedział, tylko sięgnął po radiotelefon.

— Pięćdziesiąt jeden, zgłóście się! Co tam u was? — wywołał zespół dyżurujący przy bramie.

— Pięćdziesiąt jeden, zgłaszam się — zaskrzeczało prawie od razu w radiotelefonie. — Nic się nie dzieje, obiekt się nie pojawił.

Komisarz nie skomentował meldunku, tylko natychmiast wywołał policjantów obserwujących mur. Tym razem bezsku-tecznie. Ponowił wywołanie, ale nadal nikt się nie zgłaszał.

— Kogo dałeś na dwójkę? — zapytał Gajdę, który organizował obserwację.

— Janickiego i Laszkiewicza.

— Niedobrze... To nie leserzy, nie zeszliby z posterunku.

Zrezygnował z prób połączenia i wezwał ostatniego policjanta, który odezwał się mało regulaminowo:

— Jestem, jestem, już myślałem, że się nie doczekam, jak mnie zdejmiecie. Nawrocki wyszedł w nocy, a ja ciągle siedzę i gapię się na dom wariatów, choć mógłbym spędzać niedzielę z rodziną.

— Jaką drogę obrał Nawrocki? — komisarz zignorował narzekania.

— W stronę muru. Podprowadziłem go tam i dałem znać Laszkiewiczowi, żeby go przejęli.

— O której to było?

— Około północy.

Przygodny odsunął na moment mikrofon. Miał złe przeczucia. Właściwie nie były to przeczucia, a niemal pewność, wynikająca z oceny sytuacji. Oceny, której dokonywał jako doświadczony policjant. Łudził się jeszcze, że może mimo do-

świadczenia coś przeoczył, że nastąpiło wydarzenie, którego nie wziął pod uwagę. Czasami identyczne przesłanki skutku-ją całkiem odmiennym rezultatem. Dlatego życie ciągle nas zaskakuje. Chciał mieć nadzieję, że tym razem go zaskoczy.

Podniósł z powrotem mikrofon do ust.

— Mamy w ośrodku trupa. W gabinecie dyrektora. Wejdz

tam i przypilnuj do przyjazdu ekipy.

Zamiast zlecać to zadanie nierozgarniętemu pielęgniarzowi, powinien od razu obarczyć nim funkcjonariusza, skoro miał

go na miejscu; nie pomyślał o tym. Błąd, za który na przykład aspirantowi zmyłby głowę — nie usprawiedliwiały go ani rozwód, ani znajomość z ofiarą, na tym polega profesjonalizm, że człowiek działa jak dobrze naoliwiona maszynka, nawet kiedy ma ochotę skulić się w kłębek i pogrążyć w czarnej rozpacz.

— Musimy skrócić wcześniej i sprawdzić, co z Janickim i Laszkiewiczem — zwrócił się do Gajdy.  
— Technicy mogą zacząć bez nas, znają się na swojej robocie.

Aspirant tylko skinął głową. Jeśli koledzy mogli potrzebować pomocy, trup schodził na drugi plan.

Dojeżdżali już do Kątów, więc zwolnił, wypatrując skrętu na drogę, która wiodła do punktu obserwacyjnego posterunkowych. Był na miejscu, organizując obserwację, i pamiętał, że skręcali koło świątka obłożonego kwiatami. Kiedy go dostrzegł, włączył lewy migacz.



Pierwszy kilometr przejechał na pełnej prędkości, potem przyhamował i zaczął szukać leśnej dróżki prowadzącej do mu-ru. Tym razem było to trudniejsze, bo nie wskazywał jej żaden charakterystyczny punkt, ale na szczęście dostrzegł jaskrawo-niebieską plamę między drzewami — służbową skodę fabię.

Przynajmniej raz na coś przydały się oszczędności budżetowe, pomyślał. Policja zakupiła skody w tym mało stonowanym ko-lorze, bo był jedynym dostępnym w wersji niemetal ic, a dopła-ta za metal ic wynosiła tysiąc kilkaset złotych. Argumenty, że nieoznakowany policyjny wóz nie powinien błyszczeć jak tyłek pawiana, nie przekonały decydujących o zakupie, zwyciężyła mentalność księgowych.

Gajda podjechał do skody. Obaj posterunkowi siedzieli w samochodzie, ale nie zareagowali, gdy koło nich zahamował opel.

Komisarz w pośpiechu wysiadł i zrobił dwa kroki w stronę fabi , którą policjanci ustawili maksymalnie na skraju duktu, żeby trochę przesłoniły ją zwisające gałęzie i nie rzucała się od razu w oczy.

Boczna szyba została opuszczona. Kierowca, którym był

Janicki, siedział odchylony w fotelu, jakby zasnął, ale człowiek nie śpi z otwartymi oczami. Laszkiewicz na drugim siedzeniu przyjął dziwnie skręconą pozycję, ręka kurczowo zaciskała się na broni; zdążył wydobyć pistolet, ale wszystko wskazywało na to, że na strzał zabrakło mu czasu. Przebieg zdarzenia był jasny: Janicki zginął pierwszy, Laszkiewicz pró-

bował zareagować, ale trucizna zadziałała szybciej. Trucizna, bo z ciał obu wywiadowców wystawały strzały. Identyczne jak ta, która zabiła Majewskiego. I komisarz nie miał wątpliwo-

ści, że nie same strzały spowodowały śmierć policjantów, tylko niesiona przez nie kurara. Janicki został wprawdzie ugodzony w pierś, więc rana teoretycznie mogła być śmiertel-na, ale Laszkiewiczza pierzasty pocisk trafił w rękę i bez trucizny nie mógłby mu zrobić większej krzywdy. A zrobił.

— Wróciliśmy do punktu wyjścia — powiedział do Gajdy, który stanął obok niego. — Założę się, że zginęli od kurary.

Jak Majewski.

Aspirant przez chwilę nic nie mówił, porażony widokiem martwych kolegów.

— Janicki miał dwójkę maluchów. Chłopca i dziewczynkę. Dokładnie w wieku mojego Grzesia. Bliźniaki. Niech to szlag! — odezwał się w końcu, ze złością kopiąc w tylne koło skody. — Ten wariat zabił sześciu ludzi, a za karę zostanie co najwyżej przeniesiony do bardziej zamkniętego ośrodka!

Czy to jest sprawiedliwość, panie komisarzu? Jak gość może bezkarnie zabijać, bo twierdzi, że jest Jezusem, to jak Boga kocham, zastrzelę tego popaprańca jak psa, a potem będę mó-

wił, że jestem Buddą.

Przygodny wiedział, że aspirant tego nie zrobi, tylko da-je upust rozgoryczeniu z powodu śmierci kolegów. Śmierci, która zawsze przypominała, jak niewiele dzieli ich samych od salwy honorowej na własnym pogrzebie.

— Jak on się domyślił, że tu stoją policjanci?

— Co?

— Było ciemno, a nie stoją przecież na tej ścieżce, na której się znalazł po sforsowaniu muru — komisarz pokazał palcem, że z miejsca z uszkodzonym drutem trafia się na równoległy dukt. — Przedarł się do nich przez krzaki. Jeśli nie miał nok-towizora, musiał wiedzieć, że się tu znajdują. I że są policjantami. Ale nie dowiedział się tego od nich. Kiedy Nawrocki podszedł, nie wysiedli z samochodu i nie próbowali go zatrzymać.

Mieli rozkaz tylko zaraportować, że jest w drodze i dyskretnie za nim pojechać. Udawali, że spotkanie jest przypadkowe, Janicki odkręcił szybę, jakby chciał się przywitać albo odpowiedzieć na jakieś pytanie Nawrockiego. A ten zaczął do nich strzelać.

— Może Denisowski się wygadał i chcąc go zatrzymać, powiedział mu, że i tak nie zdoła opuścić niepostrzeżenie ośrodka, bo teren jest obstawiony przez policję. Albo Nawrocki ma sokoli wzrok, jednak ich dostrzegł i sam się domyślił: dwóch facetów w samochodzie w nocy w lesie, raczej trudno domniemywać, że to grzybiarze. Zwłaszcza w kwietniu.

— Może.

Choć komisarz werbalnie zgodził się z Gajdą, jego mina wskazywała, że nie do końca przekonują go te próby wyja-

śnienia. Przeszedł lekkim łukiem — żeby nie zatrzeć śladów

— w stronę równoległej ścieżki. Poszedł jej skrajem do muru, a potem ze wzrokiem wbitym w ziemię wrócił tą samą drogą do samochodu.

— Czy Nawrocki przyniósł do Żukiewicza coś ciężkiego?

Jakiś wyładowany plecak albo coś w tym rodzaju? — zapytał aspiranta.

— Nie, dlaczego?

— Po pokonaniu muru zobaczył skodę albo o niej wiedział, podszedł do policjantów, zabił ich, ale ślady wyraźnie wskazują, że potem nie ruszył dalej, tylko wrócił się do muru.

I dopiero wtedy skierował się w stronę wyjścia z lasu, ale od tego momentu ślady są znacznie

głębsze. Wnioskuje więc, że zabrał z ośrodka jakiś ciężar, zostawił go pod murem i wrócił się po niego po zabiciu policjantów.

— Nic nie miał ze sobą, tylko nóż.

— Gdzieś musiał go zostawić. I łuk, z którego strzelał, nie ciskał przecież tymi strzałami. Łuk mógł porzucić w lesie, ale nie plecak. Jak go zabrał, to znaczy, że był mu do czegoś potrzebny, bez sensu byłoby, gdyby go prznosił przez mur, a potem się po niego wracał, żeby zaraz porzucić w lesie.

Komisarz zmarszczył czoło. Postępowanie Nawrockiego wydawało się bardzo dziwne. Choć może popełniał błąd, starając się wpisać zachowanie wariata w logicznie uporządkowany wzorzec. Kto wie, czy jakieś głosy nie kazały mu zabrać plecaka, żeby potem umieścić go na drzewie. Bezwiednie podniósł głowę, wypatrując wśród konarów obłego kształtu.

— Czego pan szuka?

— Niczego. Staralem się rozumować jak wariat, jeśli o wariacie można powiedzieć, że rozumuje, ale choć należy wczuć się w psychikę przestępcy, to obawiam się, że w tym przypadku ta droga prowadzi na manowce.

Gajda nic nie odrzekł i pustkę po ludzkich głosach wypeł-

niły dźwięki lasu: śpiew ptaków, szum drzew, gdzieś w ostępach odezwały się dziki. Gdyby nie dwa martwe ciała, atmosfera byłaby wręcz sielankowa.

— Zostaniesz tutaj — polecił komisarz — i przypilnujesz.

Ja pojedę do ośrodka i podeślę ci ekipę, jak tam skończą.

Przygodny podszedł do vectry, sięgnął po radiotelefon i poprosił o przysłanie radiowozu, który podwiózłby go na miejsce zabójstwa Denisowskiego.

Sekretarka podała kawę i zamknęła za sobą drzwi. Prokurator Kania pytającym gestem podsunął Przygodnemu cukier, ale ten pokręcił przecząco głową.

— Dziękuję, nie słodzę.

— Racja, ciągle zapominam, choć to nie pierwsza nasza konferencja.

Prokurator wrzucił do filiżanki dwie kostki i nerwowo zamieszał łyżeczką. Potem równie nerwowym gestem poprawił

krawat. Przygodny współpracował z Kanią od dziesięciu lat, ale ani razu nie widział go w swetrze. Kania uważał, że na jego stanowisku nie przystoi inny ubiór jak garnitur. Nie wszyscy prokuratorzy podzielali ten pogląd i garnitur wkładali wy-

łącznie pod togę na rozprawy.

— Proszę referować, panie komisarzu.

Przygodny odchrząknął, zastanawiając się, od czego zacząć.

— Przyznam, że do wczoraj, podobnie jak pan prokurator, byłem sceptyczny co do teorii Kuriaty, że człowiek uważający się za Jezusa morduje ludzi, którym przypisał rolę ewangelistów, ale wczorajsze wydarzenia nie pozostawiają wątpliwości. Złapaliśmy Nawrockiego, jak próbował zasztyletować Zukiewicza, czyli ostatniego ewangelistę, Jana. W nocy opuścił ośrodek, wcześniej zabijając latarką dyrektora Denisowskiego, który zaskoczył go w gabinecie. Zabójstwo na pewno nastąpi-

ło w gabinecie, o czym świadczy brak śladów przenoszenia zwłok. Nie wiemy, czego Nawrocki tam szukał i pewnie się nie dowiemy, z podejrzanym praktycznie nie ma kontaktu. Ale skoro miał ze sobą latarkę, oznacza to, że nie mógł zapalić światła, a więc nie wolno mu było tam wchodzić. Denisowski go przyłapał i okupił to życiem. Na latarce są zakrwawione odciski palców Nawrockiego, musiał po uderzeniu dyrektora ją odłożyć, wziąć głowę ofiary w ręce — może był zrozpaczony tym, co zrobił — a potem ponownie chwycić latarkę.

Komisarz popił łyk kawy, dając Kani czas na ewentualny komentarz, ale prokurator w milczeniu czekał na dalszy ciąg.

— Potem przeszedł przez mur. Dla człowieka niewysportowanego rzecz trudna, ale w jego wieku i przy braku nadwagi wykonalna. Zresztą przeprowadzimy jeszcze wizję lokalną i każemy powtórzyć mu ten wyczyn. Skądś wiedział albo do-myślił się, że za murem czekają policjanci. Może zauważył wywiadowcę śledzącego go na terenie ośrodka i resztę sobie dośpiewał. Też się tego nie dowiemy.

— Myśli pan, że wariat byłby do tego zdolny? — wyraził

wątpliwość Kania.

— Myślę, że wszyscy popełniliśmy błąd, uznając, że wariat jest synonimem głupka i w efekcie nie doceniliśmy Nawrockiego. Tymczasem choroba psychiczna niekoniecznie musi oznaczać głupotę. Logice paranoików na przykład nic nie można zarzucić.

— Ale nawet będąc w pełni władz umysłowych, trudno chyba z faktu, że ktoś mnie śledzi, wysnuć wniosek, że za murem przejmie śledzenie ktoś inny — upierał się przy swoich wątpliwościach prokurator.

— Racja — zgodził się Przygodny. — Wyobrażam sobie to tak, że Nawrocki zaczął się za murem na deptającego mu po piętach policjanta, chcąc go unieszkodliwić, kiedy ten pokona mur. Policjant jednak za nim nie przyszedł, a w takiej sytuacji naprawdę nie trzeba geniusza, żeby zorientować się, że śledzący wcale tak po prostu nie odpuścił, tylko że ktoś inny przejął jego zadanie.

Komisarz popatrzył na Kanię, czy ten akceptuje to wyja-

śnienie, a kiedy z lekkiego potaknięcia głową wywnioskował, że tak, dodał:

— Zresztą nie upieram się przy tej wersji, mogło być zupeł-

nie inaczej, jednak faktem jest, że Nawrocki podszedł do Janickiego i Laszkiewicza. Nie ma śladów butów innej osoby, więc nie ulega wątpliwości, że to Nawrocki ich zabił. W tych butach, których ślady zabezpieczyliśmy na miejscu zdarzenia, zatrzymaliśmy go w mieszkaniu Żukiewicza. Bo poza tym zmienił

ubranie i umył ręce. Musiał to zrobić, bo miał na ubraniu i rę-

kach krew Denisowskiego, a zakrwawiony nie mógł liczyć na to, że Żukiewicz wpuści go do mieszkania. Podejrzewamy, że umył się i przebrał w tym samym miejscu, gdzie schował plecak i łuk, z którego strzelał do Janickiego i Laszkiewicza.

— Jaki plecak?

Komisarz powtórzył konkluzję, którą wysnuł na podstawie śladów, że Nawrocki dźwigał coś ciężkiego.

— Prawdopodobnie po zabiciu Żukiewicza nie planował

już wracać do ośrodka, tylko wybierał się dalej w świat i spakował do plecaka swoje rzeczy. Jego szafka w pokoju jest pusta. Stąd miał się w co przebrać, kiedy niespodziewanie wystąpiła taka konieczność. Wywiadowca nie widział, żeby niósł plecak, co oznacza, że zostawił go uprzednio gdzieś przy murze. Pewnie, żeby nie ryzykować przyłapania na próbie ucieczki, bo wtedy zaczęto by go dokładniej pilnować. Wyjścia o północy nie były wprawdzie dozwolone, ale złapany bez plecaka mógłby się tłumaczyć, że zachciało mu się nocnego spaceru i też o nic więcej by go nie podejrzewano.

— Macie pomysł, gdzie mógł schować ten plecak i łuk?

— Na razie nie. Laboratorium szuka jakichś wskazówek na jego ubraniu, bo tam, gdzie schował te rzeczy, musiał też spędzić resztę nocy, zanim wybrał się do Żukiewicza.

— Przydałoby się, żebyście znaleźli ten schowek. Ciężko oskarżać bez narzędzia zbrodni. Zakładając, że sąd potraktuje łuk jak pistolet, a strzały jak kule. Nie wiem, jeszcze nie mia-

łem w swojej karierze mordercy, który posłużyłby się łukiem.

— Mamy utrudnione zadanie. Pacjenci zakładów psychiatrycznych należą do tej wąskiej grupy ludności, która nie posiada komórek. Inaczej łatwo byśmy zrekonstruowali trasę, jaką przebył, sprawdzając logowanie jego komórki w stacjach bazowych.

Dopiero po sformułowaniu tego wyjaśnienia komisarz usłyszał, że tłumaczy się z własnej nieudolności. Przecież policja stawiała przed podobnymi zadaniami w czasach przed wynalezieniem telefonów komórkowych i doskonale sobie z nimi radziła. Żeby pokryć złe wrażenie, wskazał na inne okoliczności obciążające Nawrockiego:

— Nożem, którym zaatakował Żukiewicza, oskalpował też Majewskiego. Jednoznacznie potwierdzają to ślady krwi i na-skórka na ostrzu. Ponadto patolog ocenił czas zgonu posterunkowych w przedziale między dwudziestą trzecią a pierwszą w nocy, co zgadza się z porą opuszczenia ośrodka przez Nawrockiego podaną przez wywiadowcę. Małecki potwierdził

też to, czego domyśliłem się już na miejscu zabójstwa, że Janicki i Laszkiewicz zginęli od kurary. Tak jak Majewski.

Ponieważ nie jest to powszechnie dostępna i stosowana trucizna, wiąże zabójstwo Majewskiego z zabójstwem Janickiego i Laszkiewicza.

— Ale to nie dowód, jedynie poszlaka — zaproponował Kania.

— Myślę, że znalezienie resztek kurary, rośliny, z której się ją wytwarza, względnie ustalenie, skąd miał tę truciznę, to tylko kwestia czasu. Gajda z chłopakami przeczesują właśnie ośrodek.

Prokurator podniósł się z fotela i podszedł do okna. Wyjrzał na ulicę przez kraty, które miały uniemożliwiać ucieczkę przesłuchiwanym przestępcom.

— Podsumujmy. Dowody wskazują na sprawstwo Nawrockiego przy zabójstwie Denisowskiego i policjantów, nóż łączy go z Majewskim, przy próbie zabójstwa Jana Żukiewicza został złapany na gorącym uczynku. Ciąg poszlak wskazuje, że zabił również Małysiaka i Stańczyka.

— Jest jeszcze to quasi-przyznanie się do winy — uzupeł-

nił Przygodny. — Telefony do Kuriaty. Korespondują ze słowem „zemsta”, jakie napisał woskiem, mordując Stańczyka.

— Słusznie pan zauważył, quasi. Poza tym jest psychiczny, więc nawet jakby przyznał się wprost, niewiele by to wносиło. Ale jako uzupełniająca poszlaka się nadaje. Współgra z ustalonym przez nas motywem. Czy raczej ustalonym przez tego dziennikarza.

Ponieważ hipoteza Kuriaty okazała się trafna, Kania pominął określenie „zapijaczony”. Wrócił za biurko.

— Niech mi pan dorzuci chociaż jednego sąsiada, który widział, jak Nawrocki kręcił się w pobliżu mieszkania Stańczyka.

— No niestety — Przygodny rozłożył ręce w granicach dopuszczonych przez temblak.

Prokurator zabębnił palcami o blat, dopomagając sobie w ten sposób w podjęciu decyzji.

— Gdyby podejrzanym był kto inny, nie odważyłbym się wnieść aktu oskarżenia. Przy zabójstwie policjantów nie mamy narzędzia zbrodni, przy Denisowskim nie da się wykazać, że sprawca działał z zamiarem zabicia, jak się trafi łagodny sędzia, gotów to zakwalifikować nawet jako pobicie ze skutkiem śmiertelnym, Majewski nożem został oskalpowany, a nie zabity, adwokat będzie twierdził, że Nawrocki znalazł go martwego i oskalpował, a to podpada co najwyżej pod zbezczeszczenie

zwłok. Natomiast procesy poszlakowe, sam pan wie, na dwoje babka wróżyła. Poszlaki są wprawdzie mocne, układają się w logiczny ciąg, ale w ciągach bywają słabsze ogniwa, w tym przypadku to słabsze ogniwo stanowi Małysiak. Poza imieniem wpisującym go w teorię o ewangelistach nie ma nic, co łączyłoby go z Nawrockim. Żadnej kurary, żadnego woskowego napisu.

— Jest telefon Nawrockiego w dniu morderstwa do dziennikarza. I sprawdziłem: nie mamy innego niewyjaśnionego zabójstwa, którego ofiara nosiłaby imię Marek.

— Mimo wszystko. Jak mówię, w przypadku innego podejrzanego nie zdecydowałbym się na oskarżenie, bo maksymalnie uzyskałbym piętnaście lat, a za sześć morderstw każdy wyrok poniżej dożywocia byłby porażką prokuratury. Ale tutaj mamy do czynienia z chorym psychicznie, więc jest tylko kwestia zamknięcia go w strzeżonym ośrodku, bo o czasie zamknięcia i tak będą decydować lekarze. A materiał dowodowy wystarczająco potwierdza, że Nawrocki jest niebezpieczny dla otoczenia i musi być izolowany.

Komisarz przypomniał sobie wczorajsze słowa Gajdy o sprawiedliwości. Czy raczej jej braku. Już bał się tej chwili, kiedy będzie musiał przekazać rodzinom ofiar, że schwytali mordercę, ale ten zostanie ukarany tylko przeniesieniem z jednego domu wariatów do drugiego. Gdzie tu zadośćuczynienie za krzywdę?

— Nie jest pan uszczęśliwiony, że zabójcą okazał się chory psychicznie? — odczytał jego myśli Kania.

— Nie jestem — przyznał Przygodny. — Żona Janickiego... wdowa po Janickim musi powiedzieć dwojgu małym dzieciom, że nie zobaczą więcej taty. Ale nie będzie mogła im powiedzieć, że ten, kto zabił ich tatę, pójdzie za karę do wię-

zienia. Jak wytłumaczyć dziecku pojęcie „niepoczytalny”? Takiego słowa nie ma w dziecięcym słowniku.

Prokurator ponownie zabębnił palcami na blacie. Tym razem dając upust swojej nerwowości.

— Coraz łatwiej ująć przestępcę, ale coraz trudniej go ukarać — dodał komisarz. — Dawniej Nawrocki bez większych ceregieli zawisłby na szubienicy.

— Niech się pan cieszy, że u nas od kary można wymigać się tylko realną chorobą psychiczną, a nie wymyśloną na potrzeby procesu.

— Pytanie, jak długo.

— Mam nadzieję, że przynajmniej dopóki nie przejdę na emeryturę. Bo jeśli wcześniej, to przekwalifikuję się na radcę prawnego.

Kania podniósł się i obszedł biurko.

— Spójrzmy na to pozytywnie, komisarzu: nie poniesie kary, ale też nikogo więcej nie zabije. A kto wie, czy po wyeliminowaniu ewangelistów nie zaczęłyby zgłaszać jakichś pretensji do apostołów.

Dopiero mielibyśmy jatkę.

Przygodny nie mógł nie przyznać prokuratorowi racji, że apostołów było trzy razy więcej niż ewangelistów. Choć Nawrocki miałby poważne kłopoty ze znalezieniem kogoś o imieniu Judasz.

— Pożegnaj się — powiedział, też wstając. — Będę na bieżąco informował, jak tylko coś znajdziemy.

— Koniecznie.

Kania odprowadził komisarza do drzwi. W sekretariacie ja-kiś przyszczaty młodzieniec przechylał się przez biurko, niemal się na nim kładł i wyraźnie do czegoś przekonywał sekretarkę. Ale nie do tego, żeby umówiła się z nim na randkę.

— Aplikant Piwowarczyk do pana, panie prokuratorze.

Tłumaczę mu, że ma pan naradę i nie wolno przeszkadzać, ale mnie molestuje — pożaliła się.

Natręt na widok wychodzących z gabinetu mężczyzn stracił zainteresowanie sekretarką i zwrócił się w ich stronę.

— Właśnie, panie Jarku, ja do pana. Męciński mnie przysyła...

Kania wytrzeszczył na aplikanta oczy, jakby wypatrywał dżdzu.

— Kto pana przysyła?!

— Mówię przecież, Męciński. Chciał, żeby...

— Chyba prokurator Męciński — Kania przerwał młodzieńcowi, wskazując, że używa niewłaściwej formy.

— No tak, przecież mówię, że Męciński. Chciał... — aplikant nie zrozumiał intencji Kani, który poczerwieniał i nerwowym ruchem tym razem nie poprawił, a rozluźnił krawat.

— Posłuchaj, młody człowieku — przerwał mu po raz drugi. — Męciński nie jest twoim kolegą, tylko przełożonym, więc bądź łaskaw używać stosownego tytułu. Ja nie jestem twoim służącym i nie życzę sobie, żebyś zwracał się do mnie per „panie Jarku”. Tak to może mówić do mnie moja sąsiadka, którą znam od dwudziestu lat, ale nie ty. Nawet obecny tu komisarz

— Kania wskazał ręką na Przygodnego — chociaż jesteśmy w jednym wieku i współpracujemy na co dzień, używa formy

„panie prokuratorze”, a ty sobie pozwalasz na poufałości?!



Zaskoczony i speszony tym atakiem aplikant milczał.

— A teraz wrócisz do prokuratora Męcińskiego — Kania położył nacisk na słowo „prokuratora” — i poinformujesz go, że z wiadomością musi przysłać kogoś innego, bo ty zostałeś wyproszone z powodu niegrzecznego zachowania.

— Ale... — próbował zaprotestować Piwowarczyk.

— Żegnam!

Młodzieniec odwrócił się jak niepyszny.

— Nie znoszę tego — zwrócił się Kania po jego wyjściu do komisarza. — Co rusz słyszę „panie Jarku” od smarkaczy, któ-

rzy nie wynieśli z domu, że jest to forma dopuszczalna dopiero po pewnym czasie i tylko w określonych relacjach. I chyba muszę się z tym pogodzić, bo jak na siłę lansują w telewizji, że obcy ludzie mówią do siebie per „ty”, to ci smarkacze, których rodzice nie zadbali o kindersztubę, uważają „panie Jarku” za szczyt formalizmu i kultury. Ale tutaj w urzędzie jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby jakiś aplikancik pozwolił sobie na podobne spoufalanie się!

Przygodny nie odpowiedział i wzburzony prokurator dopiero wtedy dostrzegł jego zszokowaną minę.

— Stało się coś?

— Boże, ale ja byłem głupi! — Komisarz uderzył się otwartą dłonią w czoło. — On niczego nie zataił, on powiedział

to inaczej!

— Co? — zapytał Kania. — Kto?

Ale pytanie padło w próżnię, bo Przygodny wybiegł już z sekretariatu.

Taksówka przejeżdżała pośród pól, mimo że nie opuściła miasta. Pasażer nieufnie rozglądał się na boki. Nie znał tej okolicy i z początku posądzał taksówkarza o nakładanie drogi, że-by jak najwięcej wyciągnąć na kursie. Potem jednak odrzucił to posądzenie. Duże połacie miasta były przecież niezabudowane, a taksówkarz musiał myśleć, że wiezie mieszkańca Leśnicy, skoro odebrał go stamtąd z walizkami, a tym samym kogoś znającego trasę.

Dostrzegł tabliczkę z napisem „Żernicka”. Tę ulicę potrafił już mniej więcej zlokalizować. Spojrzał na zegarek — za dziesięć, góra piętnaście minut powinni być na miejscu. Nie bał się bynajmniej, że spóźni się na samolot, ale zależało mu, żeby zgłosić się do odprawy półtorej godziny przed odlotem, zgodnie z zaleceniami przewoźnika. Nie chciał się rzucać w oczy, nawet w tak drobnej sprawie, na którą normalnie nikt nie zwracał uwagi. Jak przestępca wiozący zwłoki w bagażniku samochodu i skrupulatnie przestrzegający przepisów, choć przekroczenie prędkości o 10 kilometrów na godzinę toleruje cała polska policja, a fotoradary ustawione są tak, że rejestrują tylko tych, którym noga waży

30 kilometrów ponad limit.

— Daleko pan leci? — zapytał taksówkarz.

Wzdrygnął się. Ciekawość taksówkarza wydała mu się podejrzana, bo ten dotąd się nie odzywał, a przejechali już spory kawałek. Szybko jednak przywołał się do porządku: jeśli da się na koniec zwariować, przegra, mając praktycznie wygraną w kieszeni. Policja nie miała powodu, żeby ustalać, dokąd leci, a gdyby chciała to zrobić, przepytałaby nie taksówkarza, tylko personel lotniska albo po prostu sprawdziłaby listy pasażerów.

— Do Frankfurtu.

— Nie boi się pan latać?

— Nie, czego miałbym się bać?

— Ja tam się boję — przyznał się taksówkarz. — Panicz-nie. Gdyby nie to, dawno zostawiłbym ten syf i pojechał do pracy do Angli. Bo tu, panie, bida, wszyscy dostają podwyż-

ki, tylko my, taksiarze, cienko przędziemy, coraz trudniej o kurs, bo naród tanie samochody zza granicy sprowadza, w zeszłym roku milion przywieźli, i każdy własnym jeździ. No chyba że tak jak pan teraz, na lotnisko musi pojechać, a tam za parking koszą jak za zboże, więc bardziej się opłaca wziąć taksówkę niż wóz przy lotnisku zostawiać. W Angli w tydzień bym wyciągnął tyle, co tu przez miesiąc. Szwagier nagrał mi robotę, w warsztacie, języka znać nie trzeba, tylko dryg do me-CHANIKI mieć, a ten to ja mam, panie, od małego. Szybciej nauczyłem się ojcu pomagać dłużyć w jego maluchu niż jeź-

dzić na rowerze. Ale musiałbym się telepać przez całą Europę, bo do samolotu za nic nie wsiądę.

— Ma pan aerofobię.

— Co?

— Strach przed lataniem — wyjaśnił pasażer. — Ale fo-bie można leczyć.

— E tam, nie wierzę w te psychiczne fiku-miku. To, panie, zwyczajnie nienaturalne jest i już, człowiek został stworzony do chodzenia po ziemi, a nie do latania.

Pasażer nie ciągnął dyskusji, tylko oparł się wygodniej na siedzeniu. Wrócił myślami do weekendu i uśmiechnął się pe-

łen uznania dla własnej zimnej krwi. Nie wszystko poszło zgodnie z planem, ale w krytycznych chwilach potrafił odpowiednio zareagować i w efekcie zrealizował swoje zamierzenia w stu procentach. Tak, umiejętność improwizowania była je-go dużym atutem. Dotąd wykorzystywał ją głównie do podrywania dziewczyn, z politowaniem patrząc na nieboraków, którzy podchodzili do dziewczyny z przygotowanym tekstem, a kiedy nie odpowiedziała zgodnie z ich przewidywaniami, wycofywali się czerwoni ze wstydu i upokorzenia. Tacy fraje-rzy mogli dymać te dziewczyny tylko w

swojej fantazji, on ro-bił to w realu. A teraz wydymał Przygodnego, komisarza od siedmiu boleści. Podpuścił go, podsunął przynętę na haczy-ku, a ten chapnął ją jak wygłodniały okoń. Jezus mordujący ewangelistów, nieźle wymyślił. To się nazywa umieć skorzystać z inspiracji! Gdyby ten wariat do niego nie zadzwonił, nie wpadłby na tak genialny pomysł i został przy indiańskiej oprawie, którą zastosował przy Majewskim. Też była dobra, nawet bardzo dobra — musiał sam się pochwalić — ale mia-

ła ten mankament, że nie prowadziła do konkretnego sprawcy. A tak za jego sześć trupów odpowie kto inny i sprawa zostanie odłożona ad acta. Do tego Nawrocki jest idealnym kozłem ofiarnym, nawet nie wie, co się wokół niego dzieje, nie będzie darł mordy, że jest niewinny, nie będzie najmował adwokatów, szukał dowodów swojej niewinności. Kto wie, może nawet da sobie wmówić, iż rzeczywiście zabił.

— Dojeżdżamy — powiedział taksówkarz.

Minął ostatnie domy, zatoczył łuk przed terminalem i zatrzymał się przed halą odlotów zagranicznych.

— Dwadzieścia cztery siedemdziesiąt.

Pasażer przejrzał przegródki w portfelu, miał banknot dwudziestozłotowy i pięcioletówkę, ale podał setkę. O trzydzieści groszy reszty głupio się było upominać, a chciał je dostać. Jechał wprawdzie załatwić transakcję na osiemset tysięcy, ale nikt się jeszcze nie wzbogacił, szastając pieniędzmi. Bogaci dlatego są bogaci, że oglądają każdą złotówkę przed wyda-niem. Jak ktoś tego nie umie, może zarabiać krocie, a i tak nie będzie w stanie zgromadzić większego majątku.

Wysiadł z samochodu, zabrał bagaż — miał dwie duże torby i jedną małą, wszystkie na kółkach, oraz czarną tubę służącą studentom architektury do noszenia projektów —

i zatrzasnął bagażnik, nie przejmując się tym, że taksówkarz pewnie przeklina jego skąpstwo. „Poczekasz parę godzin na następnego, to docenisz, że miałeś wypłacalnego pasażera”, pomyślał złośliwie.

Wszedł do hali odlotów. Czy raczej na ten skrawek cias-nego wrocławskiego terminalu, do którego odnosiło się to szumne określenie. Przystanął, niemile zaskoczony długą kolejką do stanowiska odprawy. Nawet jeśli teraz już nigdzie się nie śpieszył, nie miał ochoty na stanie w kolejce. Dlatego z ulgą odczytał na monitorze, że czekający odlatują Ryana-irem do jakiegoś angielskiego miasta. Angielskiego z nazwy, może było irlandzkie. Wszystko jedno — co go obchodzili fra-jerzy, którzy nie potrafili się urządzać, tylko musieli zostawiać swoje żony i dzieci, żeby zapewnić im godziwy byt. No dobrze, on nie miał żony ani dzieci, ale gdyby miał, nie utrzymywał-

by ich z pracy na zmywaku. I był z tego dumny. Od czasów prehistorycznych nic się nie zmieniło, wartość mężczyzny zależy od tego, ile potrafi przynieść do domu. Kiedyś mięsa z polowania, teraz pieniędzy. I on należał do tych warto-

ściowszych. Pieprzenie, że wszyscy ludzie są równi.

Skierował się w stronę stanowisk numer trzy i cztery, gdzie odprawiano pasażerów odlatujących do Frankfurtu. Nie żadną tanią linią dla motłochu, tylko LOT-em. Oglądanie złotówki, oglądaniem złotówki, ale pewien poziom wypadało utrzymywać. Przed nim były zaledwie dwie osoby, więc czekał

tylko chwilę na swoją kolej. Promiennie uśmiechniętej pracownicy podał paszport i wydrukowany bilet — rezerwacji dokonał przez internet — a duże torby położył po kolei na taśmociągu.

— Tylko to pan nadaje? — Krytycznym okiem spojrzała na ponadmetrową tubę.

— Mam nadzieję, że wpuści mnie pani z tą rurą do samolotu, bardzo bym jej nie chciał oddawać, boję się, że cięższe torby by ją zmasakrowały, a zawiera cenne projekty. Dla mnie w ogóle bezcenne.

— A ciężka jest?

— Leciuchna jak piórko. A przez to delikatna — i tym za-pewnieniem połączonym z uśmiechem przekonał ją.

— Niech będzie, jeśli taka krucha. Potraktuję to jako przewóz instrumentu muzycznego, ostatecznie skrzypiec też nie wrzucamy do bagaży.

— Dziękuję.

Odruchowo chciał dodać, że z wdzięczności zapraszają na kolację, ale ugryzł się w język. Miała trochę za małe cycki jak na jego wymagania, poza tym i tak nie mieliby już okazji się spotkać. Wykupił wprawdzie bilet powrotny, ale wyłącznie dla podbudowania historii, którą przygotował dla pograniczników. Nie pasował do niej ostateczny cel jego podróży, Surinam, a nawet gdyby dało się go logicznie wpleść, i tak nie kupiłby biletu w Polsce, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi taką egzotyką. Na kilka metrów przed metą musiał zachować szczególną ostrożność, głupio byłoby popełnić jakiś błąd.

Zwłaszcza że za ten błąd zapłaciłby dożywotnim więzieniem.

Odebrał kartę pokładową i spokojnym krokiem przeszedł

w stronę kontroli bagażu. Na widok mundurów zawahał się.

Czy nie lepiej wchodzić na ostatnią chwilę, jak już nie będą mieli czasu na ewentualne przeszukanie? Wahanie trwało tylko moment. Nie, przemyślał to sobie przecież w domu — mają mniej czasu, ale robią się czujniejsi, rozumując właśnie tak, jak ewentualny przemytnik czy terrorysta. To znaczy, robili-by się czujniejsi, gdyby wierzyli, że jakiś przemytnik albo terrorysta może pojawić się na tym zapyziałym lotnisku.

Położył torbę i tubę na taśmie, zdjął kurtkę i włożył ją do pojemnika razem z kluczami i komórką, po czym przeszedł

przez bramkę. Zapiszczała. Musiał się cofnąć i wyciągnąć pa-sek od spodni. Spróbował ponownie,

ale i tym razem bramka zasygnalizowała metal. Dopiero kiedy zdjął buty, przestała się upierać, że próbuje przemyścić na pokład coś, co mogłoby posłużyć za broń.

— Co pan tu ma? — funkcjonariusz wpatrywał się w monitor, nie potrafiąc zidentyfikować jakiegoś przedmiotu.

— Gdzie?

Obszedł taśmociąg i stanął obok pogranicznika. Przyjrzał

się zarysom przedmiotów wyłoniłom przez promienie rentgenowskie. Trochę go zaskoczyło, jak to wyglądała na monitorze, i chociaż sam pakował torbę, z początku nie umiał powiedzieć, co jest co. Musiał się przestawić na inne postrzeganie i dopiero wtedy rozpoznał pokazywany przez pogranicznika tłumoczek. Ugięłyby się pod nim nogi, gdyby nie dawka adrenaliny, która pojawiała się niezawodnie, kiedy jej potrzebował. Innych strach paraliżował, jemu dodawał energii niezbędnej do zażegnania niebezpieczeństwa.

— To peruka. Do charakteryzacji na starego człowieka.

Jestem scenografem i charakterizatorem, Frankfurter Theater zaprosił mnie, żebym im zrobił oprawę przedstawienia. Niby mają własne rekwizyty, ale pewnych rzeczy nie da się zastą-

pić, a ta peruka to prawdziwie artystyczny wyrób, w niej aktor nie gra, tylko się wczuwa. Mam pokazać?

Nawet nie wiedział, czy we Frankfurcie jest jakiś Frankfurter Theater, ale był pewien, że jeśli pogranicznicy nigdy o nim nie słyszeli, to w życiu się do tego nie przyznają, żeby nie wyjść na nieobytych prymitywów, i położą to na karb własnej niewiedzy.

— Nie, nie trzeba. A w tej tubie co pan ma?

— Rysunki do scenografii.

Tym razem nie zaoferował, że pokaże. Nadgorliwość mogłaby wzbudzić podejrzenia.

— Zostaw, Felek, te teatralne bzdury, obrazu masz szukać — odezwał się mundurowy stojący dwa kroki z boku, widocznie dowódca.

— Jakiego obrazu? — zainteresował się.

— Ukradziono obraz Cza... — zaczął wyjaśniać Felek.

— Zamknij się — przerwał mu ostro dowódca. — A pan niech przechodzi dalej.

Wykonał polecenie, wiwatując w duchu. Wszystko rozegrało się zgodnie z jego przewidywaniami. Nie pierwszy raz stąd leciał i nigdy jeszcze nie widział, żeby pogranicznicy przeszukali komuś bagaż. Z Wrocławia latało się wyłącznie do krajów Unii Europejskiej, a skoro obowiązywała zasada

swobodnego przepływu towarów, nie było co przemycać. Natomiast ataku terrorystycznego nikt tak naprawdę się nie bał, choć stosowano wzmożone środki bezpieczeństwa, na przykład w postaci konfiskowania butelek zawierających więcej niż sto mililitrów płynu. Ów spokój wynikał z typowo polskiego lekceważenia niebezpieczeństwa, ale był o tyle uzasadniony, że terroryści nie mogli spodziewać się większego odzewu w mediach po ataku na wrocławskie lotnisko czy samolot lecący z Wrocławia. A działalnością terrorystyczną, podobnie jak polityczną, rządzi podstawowa zasada: akcje, o których z góry wiadomo, że nie odbiją się szerokim echem w mediach, nie mają sensu.

Oczywiście to, że nigdy nie widział przeszukania, nie oznaczało, że nie są przeprowadzane. Choćby właśnie w poszukiwaniu skradzionych dzieł sztuki. Liczył się z tym i nie włożył

po prostu obrazu do tuby, tylko jego „scenografia” składała się z kilku podwójnych kart brystolu przekładanych płótnem, a jednym z tych płócien była Dama z piwoniami. Żeby obejrzyć płótno, trzeba było rozerwać brystol. Miał nadzieję, że gdyby doszło do przeszukania i funkcjonariusze chcieliby sprawdzić, jakie płótna kryją się między brystolem, protest przeciwko niszczeniu jego prac odniósłby skutek. W odwodzie miał „telefon do przyjaciela”, numer do rzekomego teatru, w którym po-twierdzono by, iż rzeczywiście we Frankfurcie czekają na jego dekoracje z utęsknieniem, a ich dewastacja będzie aktem bar-barzyństwa równoważnym z grabieżą muzeum narodowego w Bagdadzie podczas irackiej wojny.

Niemniej jednak niebezpieczeństwo przeszukania ocenił

jako minimalne, wątpił, by pogranicznicy szukali czegoś na ślepo. Ich sukcesy w wykrywaniu przemytu najprawdopodobniej opierały się na uprzednich sygnałach od policji albo wywiadu. A policję skutecznie wyprowadził w pole.

Wszedł do sklepu wolnoćowego i kupił butelkę Finlandii.

Trzeba będzie opić transakcję, kiedy w jego kieszeni znajdzie się plik banknotów euro. Waluty ostatnio wprawdzie trochę słabszej, ale za to sprzeda nie sam obraz, tylko ze skalpem Majewskiego. Z początku chciał go spalić, jednak potem doznał genialnego objawienia: z pewnością na świecie nie brakowało zboczeńców, którzy coś takiego chcieliby mieć w swojej kolekcji. Trzeba było tylko na to wpaść, bo samo znalezienie amatorów podobnych okazów nie nastręczyło żadnych trudności. Skoro przez internet porozumiewali się terroryści, faszyci i pedofile, swoje doświadczenia musieli również wymieniać zboczeni kolekcjonerzy. I nie pomylił się. Co wię-

cej, skalp z certyfikatem autentyczności w postaci wyciętego z „Kuriera” artykułu okazał się łakomym kąskiem. Bardzo łakomym. Piętnaście tysięcy euro. I pomyśleć, że rozważał je-go spalenie. Równie dobrze mógłby spalić żywą gotówkę. Tym bardziej że przemykanie skalpu wbrew pozorom było mniej ryzykowne niż przemykanie obrazu. Nie sądził, by pogranicznik, nawet wzięwszy go do ręki, rozpoznał, z czym ma do czynienia. Musiał ulec sugestii, że to specjalnie przyszykowana peruka, przeznaczona dla aktora grającego starca. Ludzki mózg rozpoznaje w nietypowych przedmiotach rzeczy, które już zna i których się spodziewa.

Przysiadł na krzeselku w poczekalni i wyciągnął książkę przeznaczoną do zabicia czasu w podróży. Wziął ze sobą Upio-ry spacerując nad Wartą Ryszarda Ćwirleja. Dawno nie czytał

tak doskonale napisanego kryminału. Zwykle tło społeczne ma-

ło go interesowało, przywiązywał większą wagę do wartkiej fabuły i logicznie skonstruowanej zagadki, ale tutaj opis komunistycznej rzeczywistości — akcja działa się w czasach późnego PRL-u — pochłonął go całkowicie. Tyle że lektura nie przynosiła żadnych pożytecznych wiadomości o współczesnych metodach pracy policji i najnowszych odkryciach pozwalających demaskować przestępców. Nie szkodzi, przekraczając kontrolę bagażu, pokonał ostatnią przeszkodę — teraz mógł czytać kryminały dla przyjemności, a nie w celach instruktażowych.

Monitor nad stanowiskiem przy wyjściu na płytę poinformował o rozpoczęciu boardingu. Większość czekających poderwała się i sformowała kolejkę, ale on wstał dopiero, kiedy kolejka skurczyła się do dwóch osób. Był ostatni i jak tylko wsiadł do autobusu mającego podwieźć pasażerów do samolotu, kierowca ruszył.

W samolocie CR7 z radością odkrył, że przypadło mu miejsce obok atrakcyjnej kobiety. Szczupłej brunetki, ale z krągłymi biodrami — którym dobrze się przyjrzał, kiedy szła przed nim w przejściu — i biustem. Twarz miała o regularnych rysach z wydatnymi ustami, jakby stworzonymi do seksu oralnego.

— Cieszę się, że będziemy współpasażerami — powiedział, kiedy odwróciła się od okna, żeby popatrzeć, kto koło niej siada. Podał jej rękę i przedstawił się. Od razu z imienia, żeby nie tworzyć niepotrzebnych barier.

— Danka. Miło mi.

Dłoń miała przyjemną w dotyku, ciepłą, ale nie spoconą, w uścisku zdecydowaną. Wyobraził sobie, że zamyka w niej jego członka i doznał erekcji.

— Tylko do Frankfurtu czy dalej? — podtrzymał rozmowę.

— Dalej, przesiadam się do Madrytu.

Czyli we Frankfurcie się nie zabawia. Spróbuje podrywu na numerka w lotniskowej toalecie. Albo jeszcze lepiej w samolotowej, nigdy tego nie robił w powietrzu, to musi być —

nomen omen — nieziemskie doznanie.

-A ty?

— Ja tylko do Frankfurtu — nie widział powodu, by informować ją, że we Frankfurcie kupuje sobie bilet do Surinamu i „baju, baju, pierdolony kraju”. — Zlecono mi oprawę przedstawienia dla frankfurckiego teatru. Jestem scenografem.

Tym razem nie użył nazwy Frankfurter Theater — ona mogła wiedzieć, że znaczy to tyle co „frankfurcki teatr”. Jak również, że scenograf i charakteryzator to dwie różne profesje. Ale pozostał przy swojej legendzie. Artyści mieli powódzenie u kobiet, a scenograf to prawie artysta. I rzeczywiście, dostrzegł w jej oczach zainteresowanie, które wyparło dotychczasową nikłą rezerwę,

spowodowaną zapewne różnicą wieku.

— Bardzo ciekawe. Ja, niestety, w klasycznych interesach do naszego hiszpańskiego kontrahenta, żeby omówić szczegóły dostaw.

— Dostaw czego?

— Płytek ceramicznych. Dystrybuujemy to na Polskę.

Umowy są już podpisane, ale parę rzeczy trzeba przypilnować na miejscu, na przykład wzorów. A że ja znam hiszpań-

ski, firma posyła mnie.

— Znasz hiszpański? — jego podziw nie był udawany. —

Skąd?

— Ze studiów. Skończyłam iberystykę. Wyobrażałam sobie, że będę po tych studiach pracować w wydawnictwie, tłumaczyć literaturę, ale rzeczywistość okazała się brutalna. Za przekłady literackie płacą takie grosze, że bez bogatego męża ani rusz. Tłumaczę więc dokumenty handlowe.

Dobrze trafił. Kobiety o niespełnionych marzeniach artystycznych łatwo ulegają twórcom, bo wydaje im się, że w ten sposób znajdują się bliżej sztuki.

Stewardesy rozpoczęły prezentację, jak zachować się w razie awarii czy niebezpieczeństwa. Chciał kontynuować rozmowę, ale spostrzegł, że owa prezentacja przykuła uwagę Danki.

— Pierwszy raz? — Od drugiego przelotu każdy pasażer przyjmował podobne instruktaże z całkowitym désintéres-ement.

— Nie, skąd? A! Masz na myśli lot samolotem. — Uśmiechnęła się, wyzywająco oblizując wargi; inteligentna, przewrotna diablica. — Tak, pierwszy raz. Do Hiszpanii jeździłam w czasie studiów, ale biedni studenci nie mogli sobie pozwolić na samolot. Wtedy jeszcze nie było tanich linii, więc tłukliśmy się pociągami. A po studiach nie miałam okazji wybrać się do Hiszpanii, dopiero teraz. Nie byłam tam całe osiem lat.

Podsumował w pamięci. Jeśli nie wzięła urlopu dziekań-

skiego, miała trzydzieści dwa lata. Trochę za dużo, jak na jego przekonania, że kobieta, która przekroczyła trzydziestkę, nie-odwołalnie się zestarzała, ale dla tej gotów był uczynić wyjątek.

Nie przeszkadzał jej w śledzeniu instruktażu, skoro chcia-

ła go wysłuchać. Kiedy leciał pierwszy raz, też z najwyższym przejęciem uczył się, jak zakładać kamizelkę ratunkową, chroniącą przed utonięciem, choć na trasie przelotu nie było żadnego morza.



Wrócił myślami do czekającej go we Frankfurcie transakcji. Nie załatwiał jej bezpośrednio z kolekcjonerem czy kolekcjonerami — nawet nie wiedział, czy obraz i skalp trafią do tej samej osoby — tylko z pośrednikiem, jakimś Gerhardem, do którego dotarł przez pewne podejrzane forum internetowe.

Wchodząc na nie oczywiście z kafejki internetowej — nie był

głupi, wiedział, że anonimowość w sieci jest iluzoryczna i bez trudu można zlokalizować komputer, z którego łączy się in-ternauta. Po nawiązaniu kontaktu poszło łatwo dzięki jego znajomości niemieckiego. Przyjaciele i rodzina pukali się w głowę, kiedy w szkole konsekwentnie wybierał niemiecki, a nie angielski — przecież to angielski jest współczesnym lingua franca, językiem, w którym mówią obywatele świata

— ale on wiedział swoje. Niemcy są bliżej Wrocławia niż Ameryka czy Anglia, a chociaż świat stał się globalną wioską, są-

siedzi zawsze będą robić między sobą interesy. I wyszło na jego. Dzięki temu, że mówił po niemiecku, dość szybko prze-

łamał zrozumiałą nieufność Gerharda. W przeciwnym razie sprawdzanie, czy nie jest policyjnym prowokatorem trwałoby znacznie dłużej. Albo transakcja w ogóle nie zostałaby zawar-ta i osiemset tysięcy przeszłoby mu koło nosa. Za Czachórskiego dostał siedemset pięćdziesiąt, liczył na więcej, ale musiał

pogodzić się z faktem, że kolekcjonerzy za skradziony obraz nie zapłacą tyle co na legalnej aukcji sztuki.

Prezentacja środków bezpieczeństwa dobiegła końca i chciał

podjąć rozmowę z Danką —jak miał zamiar posunąć ją jeszcze w samolocie, nie mógł zasypiać gruszek w popiele, przelot do Frankfurtu trwał tylko półtorej godziny — ale w głośnikach rozległ się głos kapitana:

— Miło mi powitać państwa na pokładzie samolotu linii lot-nicznych LOT. Nazywam się Janusz Dąbrowski i dowodzę zało-gą, która będzie miała przyjemność towarzyszyć państwu w locie do Frankfurtu. Niestety, nasz start trochę się opóźni z powodu drobnej usterki. Spadło ciśnienie w kabinie i musimy je wyrównać. Nie powinno to długo potrwać, nie wymaga opuszczania przez państwa samolotu, a spóźnienie bez trudności nadrobimy i wylądujemy we Frankfurcie zgodnie z rozkładem.

Kapitan zaczął powtarzać komunikat kiepską angielsz-czyzną, ale na pokładzie raczej nie było rodowitych Anglików czy Amerykanów.

Danka spojrzała na niego wystraszona.

— To coś groźnego? Boję się.

— Na ziemi żadna usterka nie jest groźna — pocieszył ją tonem starego wyjadacza.

— Ale jak coś zepsuło się na ziemi, może popsuć się też w powietrzu — zauważyła nie bez racji.

— To samolot, tu nikt nie pozwoli sobie na prowizorycz-ne usunięcie awarii. Piloci też chcą żyć i niesprawną maszyną nie polecą. A coś takiego z ciśnieniem już mi się zdarzyło, nawet gorzej, bo kazali nam wysiąść z samolotu, ale kiedy lecieliśmy, nie było już żadnych problemów.

Dostrzegł, że zaufała jego doświadczeniu i uspokoiła się.

Wszystko mu sprzyjało. Nawet awaria, dzięki której Danka mogła — w przenośni — wesprzeć się na jego ramieniu, co zwiększało jego szanse na numerka. Nawet najbardziej samo-dzielna kobieta potrzebuje męskiego ramienia, gdyż jest zwyczajnie słabsza od mężczyzny. To biologia, której feministki nie zakrzyczą, choć usilnie próbują. A życiem ludzi rządzi biologia. Przeżywa silniejszy i samice w stadzie pokrywa też najsilniejszy samiec. On o tym wiedział i zawalczył, żeby należeć do tych najsilniejszych. Wziął, co mu się należało, nie zważając na brednie o wartości każdego życia. Bo ile jest warte życie starego faceta, który spędza je na onanizowaniu się przed telewizorem i po którym nikt nie będzie płakał? Tyle samo co zniedołężniałego psa, a psa się usypia bez żadnych ceregieli.

Mniej niż korzyści, jakie jemu przyniosła śmierć tego starego dziada. Owszem, nie mógł podobnych argumentów przedstawić w przypadku Denisowskiego czy policjantów, ale trudno, walka o byt to nie jest dżentelmeńska partia krykieta, tylko krwawy bój, ofiary są nieuniknione. Zresztą policjanci mają śmierć wpisaną w ryzyko zawodowe. Jak ktoś zostaje policjantem czy żołnierzem, musi liczyć się z tym, że z którejś akcji wróci w czarnym worku.

Tak, zabił, co więcej, miał prawo zabijać. Aż dziw, że wcze-

śniej uległ sugestii takiej szmiry jak Zbrodnia i kara i tyle czasu pracował za marne grosze. Wyrzuty sumienia prowadzące do tego, że człowiek w końcu idzie na policję i wszystko z siebie wyrzuca, bo przynosi mu to ulgę. Koń by się uśmieł. Dostojew-ski opisał jakiegoś mięczaka, jakby zabójcy rekrutowali się spo-

śród mięczaków. On nie był mięczakiem, był nadczłowiekiem.

Nadczłowiekiem, który popełnił zabójstwo doskonałe. Czyli takie, którego sprawca nie tylko pozostaje niewykryty — wtedy policja w każdej chwili może wrócić do sprawy i ją rozwiązać — ale i skutecznie podsuwa organom ścigania kozła ofiarnego. A on za swojego kozła powinien dostać medal: wariat uważający się za Jezusa w roli mordercy to majstersztyk godny odnotowania w annałach. Ograł policję z taką łatwością, z jaką zwycięzca Wimbledonu wygrywa z adeptem lokalnej szkółki tenisowej.

A nawet gdyby śledczy jakimś cudem — cudem, bo inaczej nie byli w stanie — zorientowali się, co się naprawdę wydarzyło, będą mogli mu skoczyć. Pomacha im z gorącej surinamskiej pla-

ży, na której będzie popijał drinki z parasolkami w towarzystwie chętnych tuziemek, młodych,

gibkich, opalonych, niekła-piących na okrągło jęzorem jak większość Polek.

I wtedy poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Przez ten ułamek sekundy, którego potrzebował na odwrócenie głowy, łudził się, że wcale nie przegrał, że to tylko stewardesa chce mu zaproponować coś do picia, że awaria nie była jedynie pretekstem do zatrzymania samolotu. Ale ręka należała do komisarza Przygodnego.

— Pan się gdzieś wybiera, panie Ratajczyk?

# Epilog

Piotr Ratajczyk oparł ręce w kajdankach na kolanach i poprawił się na kanapie, spoglądając na pilnujących go posterunkowych Wójcika i Wojtkiewicza. Znajdowali się w mieszkaniu Małysiaka w Leśnicy. Firma taksówkarska, której numer policjanci znaleźli w komórce pielęgniarza, podała, że taksówka z jego telefonu została zamówiona właśnie pod ten adres. Przed chwilą funkcjonariusze wyciągnęli z piwnicy żół-

ty skuter. Komisarz liczył na trochę więcej dowodów, na znalezienie też łuku i kurary, dlatego kazał się wieźć tu bezpo-

średnio z lotniska razem z zatrzymanym, żeby go od razu z tymi dowodami skonfrontować. Był to oficjalny powód, bo znaleziony w bagażu skalp jednoznacznie Ratajczyka obciążał.

W przypadku obrazu pielęgniarz mógł jeszcze utrzymywać, że dostał go od Stańczyka w prezencie, ale mało kto robi prezenty z własnych włosów. Zwłaszcza razem ze skórą.

Prawdziwym powodem, dlaczego Przygodny nie odesłał

z miejsca Ratajczyka do izby zatrzymań, było to, że chciał od razu usłyszeć, czy dobrze zrekonstruował działania pielę-

gniarza, na co poświęcił parę godzin po wyjściu z prokuratury. A zależało mu również na uczestniczeniu w przeszukaniu, którego nie mogli odłożyć. Był też trzeci powód, mniej chwalebny, więc komisarz wolał się do niego nie przyznawać, nawet przed sobą samym. Ratajczyk przez tyle czasu wodził go za nos, że Przygodny odczuwał potrzebę zatriumfowania, na-cieszenia się zwycięstwem, pogwałcenia przeciwnika nie przez samo położenie na łopatki, ale przez podkreślenie zręczności, z jaką sprowadził go do parteru.

— Ja go popilnuję — powiedział do posterunkowych —

a wy pomóżcie w szukaniu. Szybciej skończymy, jak dwie pa-ry rąk zastąpią jedną niepełną.

Wójcik z Wojtkiewiczem opuścili pokój. Komisarz usiadł

przy stole naprzeciwko Ratajczyka. Przez chwilę przyglądał

się zawieszonym na ścianie za kanapą egzotycznym mieczom, dzidom i harpunom, które zapewne miały bardziej wymyślne nazwy, jak maczuga uban, tyle że kompletnie mu nieznanne.

— Jak pan się domyślił? — zapytał niemal płacząco pielę-

gniarz. Od momentu aresztowania w samolocie miał minę skrzywdzonego malca, którego starsi chłopcy wyrzucili z boiska.

— Dzięki prokuratorowi. — Przygodny rękę w gipsie uło-

żył na stole.

— Dzięki prokuratorowi?

— Kiedy prokurator Kania zrobił awanturę aplikantowi, że zwrócił się do niego per „panie Jarku”, i okraślił to wykładem na temat niestosowności tej formy, zyskującej na popularności, bo młodzi ludzie nie wnoszą z domu, że jest dopuszczalna tylko w określonych relacjach, dotarło do mnie, że pan, chociaż jest młodym człowiekiem, wbrew tym trendom mó-

wił o swoich podopiecznych po nazwisku: „pan Majewski”,

„pan Małysiak”, „pan Stańczyk”. Z jednym wyjątkiem. Kiedy zarzekał się pan, że ich nie zabił, wymienił pan wszystkich trzech z imienia. „Nie zabiłem pana Łukasza. Ani pana Marka. Ani tym bardziej pana Mateusza”. Zgrzyt dotarł do mnie już wtedy, ale nie potrafiłem określić, na czym polegał. Mia-

łem wrażenie, że pan coś przemilczał albo powiedział więcej, niż należało. Tymczasem chodziło o inne sformułowanie. Dlaczego nagle użył pan imion? Bo chciał nam wskazać, że imiona ofiar stanowią klucz do rozwiązania zagadki, naprowadzić na teorię, że morduje wariat uważający się za Jezusa. Muszę przyznać, że wskazówka była nienachalna, dyskretna, inteligentnie wpleciona w przesłuchanie, wyglądająca na absolutnie spontaniczne wykrzyknienie. Ktoś mniej bystry próbowałby ustawić te imiona we właściwej kolejności i od razu by się zdradził, bo dlaczego najpierw zaprzeczać zabójstwu, o które się nie jest podejrzanym, a dopiero na końcu temu właściwemu?

— Musiałem, cholera, was podprowadzić — zirytował się Ratajczyk. — Czepialiście się mnie i nie łapaliście, że to wszystko ma coś wspólnego z religią, choć przy Stańczyku dałem wam całą scenografię!

Komisarz nie chciał ujawniać, że podprowadzenie nic nie dało, że wówczas nie skojarzył tych trzech imion z ewangelistami, skojarzył je dopiero Kuriata. Ale dziennikarz miał więcej danych, poza tym liczył się ostateczny wynik, a w ostatecznym rozrachunku policja okazała się mądrzejsza od przestępcy, więc chwilowe dołki intelektualne naprawdę nie miały znaczenia.

— Jak mieliśmy załapać, kiedy nie mógł się pan zdecydować, jakiego mordercę chce nam sprzedać? Najpierw fascyna-ta kultury indiańskiej, a potem obłąkanego Jezusa. Powiem panu, że ten brak konsekwencji bardziej pana zgubił niż owo językowe odsłonięcie się. Bo ono było tylko lontem, który zgasł-

by, nie wyrządzając szkód, gdyby u jego końca nie było beczki prochu w postaci tej niekonsekwencji. No cóż, życie wymaga modyfikacji planów, ale niekonsekwencja przynosi czasami tragiczne skutki. Bo od początku ta teoria nie pasowała mi do za-bójstwa Majewskiego. Powinienem od razu ją odrzucić, ale trafił pan na dobry moment: po latach rutyny człowiek z chę-

cią wita nietypową sprawę, taką, o której będzie mógł opowiadać wnukom, a że dodatkowo miałem rodzinne kłopoty, więc ciekawa sprawa niejako mi je rekompensowała. Uwierzyłem w ten schemat doboru ofiar, bo chciałem weń uwierzyć. Choć muszę przyznać, że odkąd zdecydował się pan działać

według tego scenariusza, przemyślnie utwierdzał pan nas w przekonaniu o jego prawdziwości. W sumie miał pan pecha, że Nawrocki zadzwonił do pana dopiero po zamordowaniu Małysiaka, a nie wcześniej.

Ratajczyk uniósł lekko głowę.

— Co? Skąd pan wie, kiedy Nawrocki do mnie zadzwonił?

— Sprawdziłem bil ingi pozostałych rozmów wychodzą-

cych z ośrodka. Wcześniej poprzestaliśmy na ustaleniu, skąd dzwonił do dziennikarza „Kurier”, i to był błąd wynikający z założenia, że Nawrocki dzwonił do gazety, żeby pochwalić się swoim czynem. Bo do gazety dzwoniłby każdy normalny morderca szukający rozgłosu. Ale Nawrocki przecież nie jest normalny. Nie dzwonił do kogoś konkretnego, tylko wybierał numery na chybił trafił. Albo z głowy, albo któ-

re gdzieś zobaczył, na przykład w stopce redakcyjnej „Kuriera”. Sprawdziliśmy, że raz omyłkowo podano tam komórkę Kuriaty zamiast numeru do działu kryminalnego.

Komisarz dostrzegł wśród zgromadzonej przez Małysiaka broni sztylet o cieniutkim ostrzu, sięgnął po niego i podrapał

się pod gipsem.

— Znacznie jednak ciekawsze od ustalenia, że Nawrocki zadzwonił również do pana, było ustalenie, że pewien młody blondyn, bardzo przystojny i bardzo szarmancki, wyciągnął

od pracownicy Orange, niemogącej oprzeć się jego urokowi, do kogo należy numer, z którego do niego telefonowano, oraz pozostałe numery, na jakie dzwonił Nawrocki. Nawiasem mówiąc, blondyn po uzyskaniu tych informacji więcej się do pracownicy nie odezwał, choć wcześniej twierdził, że na jej widok serce topnieje mu jak sople lodu w tropikalnym słoń-

cu i po raz pierwszy w życiu pragnie znaleźć się w słodkich pętach małżeńskiej niewoli. Skąd pan bierze te idiotyczne po-równania?

— Idiotyczne, nieidiotyczne, grunt, że działają.

— Fakt — przyznał komisarz. — Narobił pan więc dziewczynie nadziei na małżeństwo, czego mile nie wspomina...

Mam zacytować, jak pana nazwała?

— Nie trzeba — mruknął Ratajczyk.

— Tak myślałem. Dzięki tym fałszywym nadziejom ustalił pan, do kogo jeszcze dzwonił Nawrocki. Miał pan chyba z tym trochę kłopotu, bo telefon nie jest prywatny, tylko ośrodkowy i korzystają z niego też inni pacjenci, ale pewnie przyjął pan założenie, że Nawrocki korzystał z telefonu o

podobnych porach. Zwykle ludzkie działania są zaskakująco regularne i schematyczne, tym bardziej w przypadku osób chorych psychicznie, którym ta systematyczność daje poczucie bezpieczeństwa. Mając wykształcenie medyczne, doskonale pan o tym wie. A słusznie się pan domyślił, że nie był jedyną osobą, do której zadzwonił Nawrocki, bo nie miał on żadnego powodu, żeby dzwonić akurat do pana...

— Jak to nie miał? Opiekowałem się nim na praktyce.

— Wcale nie, ale do tego przejdę za chwilę. Po telefonie Nawrockiego uznał pan, że zesłała go opatrzność. Facet bredził o ukaraniu ewangelistów, a pańskie ofiary nosiły imiona Mateusz i Marek. Co więcej, miał pan wśród podopiecznych Łukasza i Jana. Dało się z tego skonstruować piękną historię: jeden z wcześniejszych pacjentów, uważający się za Jezusa, po-dąża tropem pielęgniarza i morduje mu podopiecznych według imiennego klucza. To wyjaśniało, dlaczego przewija się pan przy kolejnych morderstwach. Teraz wystarczyło pociągnąć temat, żeby zrzucić winę na Nawrockiego. Teoretycznie mógł

pan zamordować dowolnego Łukasza, ale właśnie tylko teoretycznie, bo trudno zamordować całkiem obcego człowieka, nie znając jego zwyczajów ani warunków, w jakich żyje. A podczas uprzedniej obserwacji mógłby pan zostać dostrzeżony, albo w ogóle w czasie zabójstwa, i nie byłby pan w stanie wyjaśnić, dlaczego kręcił się przy ofierze. Nie, wbrew pozorom wybiera-nie na ofiary własnych podopiecznych było bezpieczniejsze.

Ratajczyk pokręcił tylko w milczeniu głową, co można by-

ło zinterpretować albo jako sprzeciw wobec twierdzeń komisarza, albo niezadowolenie, że ten zdemaskował misternie przeprowadzoną operację.

— Zresztą może zabójstwo Stańczyka planował pan już wcześniej, chcąc zdobyć obraz. Nie wiem i pewnie mi pan tego nie zdradzi, czy telefon Nawrockiego wpisał się w pana plany, czy je zainspirował i dopiero wtedy zaczął się pan rozglądać, jak zyskać na śmierci profesora. Morderstwo tylko dla wrobienia Nawrockiego człowiek pańskiego pokroju uznałby pewnie za czyste marnotrawstwo. Nie dziedziczył pan nic po Stańczyku, ale namawianie go, żeby zmienił testament było-by nieskuteczne — Stańczyk dobrze rozumiał się ze swoimi synami — a przede wszystkim ryzykowne. Z trzeciej ofiary, na której by się pan wzbogacił, naprawdę trudno byłoby się wyłgać. Ale profesor posiadał cenny obraz, z którego wartości nie zdawał sobie sprawy. Tymczasem pan się nim zainteresował i ustalił, że Dama z piwoniami jest warta masę pieniędzy.

Ale ta chciwość też pana zgubiła. Bo oględziny miejsca zbrodni wskazywały na dwa sprzeczne motywy.

— Nie myślałem, że odkrycie zaginięcia obrazu — wy-jaśnił Ratajczyk. — Rodzina też nie wiedziała, że Stańczyk ma coś wartościowego, a nikt poza nim nie orientował się w jego kolekcji. Jak zauważyliście, że czegoś brakuje?

— Aspirant zwrócił na ten obraz uwagę, kiedy sprawdzał

u Stańczyka pańskie alibi w sprawie Małysiaka — coś w tym jest, że dzieła mistrzów przyciągają wzrok — a kiedy zabezpieczaliśmy ślady, spostrzegłem, że w miejscu, gdzie wisiał, znajduje się coś innego.

— Pech — zachnął się Ratajczyk.

— Nazwałbym to inaczej — nie zgodził się komisarz. —

Nieważne. Nadał pan morderstwu Stańczyka religijną oprawę, ale to mogło nie wystarczyć, bo podobnej oprawy nie było przy zabójstwie Majewskiego ani Małysiaka. Te trzy morderstwa łączyła pana osoba, a nie religijny wydźwięk. Musiał pan jakoś naprowadzić policję na teorię ewangelistów. Właśnie szukając sposobu, sprawdził pan, do kogo jeszcze zadzwonił

Nawrocki, bo miał pan nadzieję, że którąś z tych osób uda się w tym celu wykorzystać.

— Przecież sam pan twierdził, że starałem się naprowadzić policję, wymieniając podczas przesłuchania wszystkich trzech z imienia.

— Nie sądzę, żeby tę wypowiedź pan zaplanował, zadzia-

łał pan spontanicznie, nadarzyła się okazja, więc trzeba ją było wykorzystać. Ale tylko jako dodatek do właściwego planu. Odkrył pan, że Nawrocki dodzwonił się również do dziennikarza piszącego o tych morderstwach. Śledził pan jego artykuły, relację o indiańskim zabójcy znaleźliśmy nawet w pańskim bagażu.

— I rozumiem, że jakoś naprowadziłem Kuriatę na tę teorię? Ciekawe jak?

— Nie. Zdał się pan na jego inteligencję i naturalne u dziennikarza dążenie do szukania sensacji. Morderstwo jest dobrym materiałem na artykuł, ale seria morderstw o niebo lepszym, a seria morderstw według religijnego klucza to marzenie życia każdego reportera kryminalnego. Skoro panu po telefonie Nawrockiego nasunął się pomysł z ewangelistami, czemu nie miałby się nasunąć Kuriacie? Tak pan rozumował.

Pański mózg był nastawiony na stworzenie sprytnej obudowy morderstwa, a mózg Kuriaty na odkrycie nietypowej obudowy.

— Chyba pan przekombinował. Mogłem zwyczajnie wysłać na policję anonim i napisać o tej teori .

— Domyślam się, że rozważał pan tę opcję, ale musiał ją odrzucić. Zdał pan sobie sprawę, że będziemy się zastanawiać, kto jest anonimem i dlaczego do nas napisał. Kto, nie w sensie danych personalnych, tylko jaką rolę pełni w całej sprawie. I do-szlibyśmy do tego samego wniosku co pan: nikt mający taką wiedzę nie miałby interesu w wysłaniu anonimu, tylko prawdziwy morderca starający się skierować nas na fałszywy trop.

Przygodny przestał się drapać, odłożył sztylet i założył

nogę na nogę.



— Zabijając Stańczyka — podjął — dał pan Kuriacie kolejny element puzzli, licząc, że dostrzeże cały obraz. I tak się stało.

Kuriata odłożył napisanie artykułu na ten temat w oczekiwaniu na finał, ale podzielił się z nami swoim odkryciem, więc o tym, że my wiemy, dowiedział się pan nie z prasy, tylko ode mnie, kiedy wyjawilem, że obawiamy się o życie pańskiego podopiecznego o imieniu Jan. Kiedy dodatkowo zapytałem, czy ma pan pacjenta uważającego się za Jezusa, nie było wątpliwości, że połknęliśmy haczyk i mógł pan przystąpić do realizacji ostatniego etapu.

— Panie komisarzu — w drzwiach stanął Gajda. — Jesteśmy gotowi.

— Dobrze, odeślij ludzi i daj mi jeszcze parę minut.

— Zaczekam na dole. — Aspirant przyjął rozkaz i wycofał się z pokoju.

— Wystąpiła pewna drobna przeszkoda — kontynuował

Przygodny. — Zlokalizował pan ośrodek, z którego dzwonił wariat, ale nie wiedział pan, że jest tam więcej Jezusów, bo nigdy pan w nim nie był na praktyce. Sprawdziliśmy to w dokumentacji zakładu, też poniewczasie, ale na tym etapie śledztwa, kiedy ośrodek znalazł się w naszym obiektywie, miał pan już status świadka, a nie podejrzanego. Kiedy zabrałem pana na okazanie, pojawiło się niebezpieczeństwo, że któryś z pracowników albo dyrektor będzie pewien, że żaden Ratajczyk nigdy u nich nie odbywał praktyki. Wymyślił pan bajeczkę, że jako no-wicjusz starał się schodzić wszystkim z oczu. Bajeczka przeszła. Kolejnym problemem było, którego Jezusa wskazać. Nie wiedział pan przecież, który dzwonił, a próba rozpoznania go po głosie ujawniłaby, że swojego rzekomego podopiecznego nigdy wcześniej nie widział pan na oczy. Ale zorientował się pan, że tak naprawdę nie ma większego znaczenia, kto dzwonił. I na dobrą sprawę wcale nie wiemy, czy rzeczywiście był to Nawrocki. Natomiast rozmnożenie Jezusów dawało panu pole manewru. Bo mógł pan wskazać dowolnego w odpowiednim wieku i o odpowiedniej posturze fizycznej. Gdyby był tylko jeden pacjent uważający się za Jezusa i okazałby się nim zniedołężnia-

ły, ledwie chodzący staruszek, pański plan by nie wypalił.

Komisarz przerwał, bo zagłuszyło go nieprzytomne ujadanie psa na dworze. Wstał, żeby zamknąć okno.

— Po dokonaniu wyboru pozostawało już tylko wrobić Nawrockiego, tak żebyśmy złapali go na gorącym uczynku.

— Przecież złapaliście go na gorącym uczynku! — Ratajczyk zmienił taktykę i wbrew wcześniejszym uwagom, z któ-

rych jednoznacznie wynikało, że przyznaje się do dokonania zabójstw, na nowo próbował przerzucić winę na obłąkanego.

— Jak napadł z nożem na Żukiewicza. Poza tym na rękach miał krew dyrektora, a ślady jego butów, tylko jego ślady, prowadziły od muru do samochodu policjantów.

— Pytanie, skąd pan o tym wie — przyłapał Ratajczyka Przygodny.

Pielęgniarski nic nie odrzekł.

— Ano stąd, że to pan zabił Denisowskiego i policjantów

— wyręczył go komisarz. — Nawrocki nie miał powodu, żeby buszować po nocy w gabinecie dyrektora. Natomiast pan chciał się zapoznać z jego kartą choroby, żeby więcej się o nim dowiedzieć i na tej podstawie obmyślić, jak go podejść i namó-

wić do wyjścia z ośrodka, a później skłonić do odwiedzenia Zukiewicza. Na swoje nieszczęście Denisowski wszedł w nocy po coś do gabinetu, przyłapał pana i okupił to życiem.

— Nie chciałem go zabić, tylko ogłuszyć — Ratajczyk starał się pomniejszyć swoją winę.

— Nieprawda. Obrażenia wskazują, że został zaatakowany od przodu, a to oznacza, że pana widział. Nie był pan zamaskowany, bo nie spodziewał się, że ktokolwiek zajrzy w noc do gabinetu, zresztą zamaskowany wystraszyłby pan tylko Nawrockiego, a nie namówił do czegokolwiek. Ogłuszenie nic nie dawało, bo jak tylko Denisowski by się ocknął, zaalarmowałby policję, a pan trafiłby za kratki i to wcale nie za włamanie do ośrodka.

— A jak pan wyjaśni, że ślady moich butów nie prowadzą do policjantów? — Ratajczyk nie tyle zaprzeczał, że zabił

Janickiego i Laszkiewicza, co był ciekaw, czy komisarz domy-

ślił się, jak to zrobił.

— Bardzo prosto. Nawrocki nie miał żadnego plecaka schowanego koło muru, jak wcześniej przyjęliśmy, nie miał za-pasowych rzeczy, nie musiał się przebierać, bo jego ubranie wcale nie było zbryzgane krwią. Pomazał pan mu tylko rękę krwią Denisowskiego i wetknął latarkę, żeby zostawił na niej zakrwawione odciski palców. Powiniennem być się od razu te-go domyślić. Zinterpretowałem jednak te odciski pod przyjętą teorię, że mordercą jest Nawrocki. Nie mogły powstać w chwili zabójstwa, bo krew nie mogła opryskać wtedy uchwytu latarki, skoro przesłaniała go ręka zadająca ciosy. Wymyśliłem więc, że zrozpaczony swoim czynem Nawrocki dotykał zakrwawionego dyrektora, a potem z powrotem chwycił latarkę. Na-ciągane, ale tak niestety działa ludzki mózg, że potrafi dopasować fakty do przyjętej z góry teorii.

Przygodny pomyślał, że policjantowi z wieloletnim sta-

żem ta właściwość ludzkiego mózgu powinna być doskonale znana i nie świadczy o nim dobrze, że wpada w takie pułapki.

— Po zostawieniu latarki z odciskami palców Nawrockiego w gabinecie, skłonił go pan, żeby poszedł do muru. Nie mógł mu pan towarzyszyć, żeby nie zostać zdemaskowanym przez policjanta pilnującego w parku, bo oczywiście zorientował się pan, gdzie rozstawiliśmy posterunki. Słyszał

pan, jak zlecam funkcjonariuszom pilnowanie mieszkania Żukiewicza w oczekiwaniu na wizytę Nawrockiego, i musiał mieć świadomość, że znając podejrzanego i wiedząc, gdzie się znajduje, nie tylko będziemy oczekiwać go w docelowym miejscu, ale też śledzić od punktu wyjścia. Kiedy Nawrocki podszedł do muru, pan już na nim siedział i go wciągnął. On sam nie dałby rady sforsować muru, na co też zamknąłem oczy. Podobnie jak na fakt, że wcześniej nie było przy murze śladów, a gdyby Nawrocki opuścił tamtą drogą ośrodek, żeby zabić Stańczyka, musia-

łyby tam jeszcze być, kiedy z dyrektorem dokonywaliśmy inspekcji. Tak więc czekał pan na Nawrockiego na murze, zapewne z naciągniętym łukiem — policjant pilnujący w parku miał zginąć, gdyby śledził go do końca, ale na swoje szczęście w pewnym momencie uznał, że kieruje się on do miejsca, w którym uszkodzony jest drut, i przekazał kolegom, żeby przejęli obserwację — nałożył jego buty, podszedł do policjantów i zabił ich jak Majewskiego strzałami zatrutymi kurarą.

Następnie wrócił pan po Nawrockiego i wziął go na barana.

Dlatego myśleliśmy, że Nawrocki niósł ciężki plecak, na co wskazywały najpierw głębokie ślady, a potem także analiza linii chodu. Człowiek dźwigający większy ciężar inaczej stawia kroki niż normalnie. Ale rzeczy Nawrockiego, które zabrał pan z ośrodka — bez nich pewnie nie chciał iść — nie ważyły tyle, żeby aż tak pogłębić ślady. I dzięki temu, że wziął

pan Nawrockiego na barana, były ślady tylko jednej osoby na interesującej nas trasie. Pan musiał nadejść po murze, co wymagało pewnie niemałych umiejętności ekwilibrystycznych, no ale jest pan wysportowanym człowiekiem.

— Ciekawe tylko, że tego wszystkiego nie zaobserwował

tajniak, którego nasadziliście, żeby mnie śledził.

— Bo go pan wykiwał, wyszedł pan z domu inną bramą.

Pewnie dostał się pan do niej po dachu, bo przejścia między piwnicami są zamurowane.

— A jak namówiłem Nawrockiego, żeby zaatakował Żukiewicza? Rozumiem, że można kogoś namówić, żeby podszedł

do muru, ale jak skłonić rzekomo nieagresywnego wariata, żeby rzucił się na człowieka z nożem?

Przygodny poszczypał się w podbródek.

— Przyznam, że długo się nad tym zastanawiałem i nic nie wymyśliłem, musiałem dopiero wziąć Żukiewicza w obroty i jeszcze raz bardzo szczegółowo go przesłuchać. Kazałem mu zdać relację z całego zdarzenia dosłownie sekunda po sekundzie. A kiedy odsiałem jego emocje, dotarłem do faktów: Nawrocki wcale go nie zaatakował, tylko zwyczajnie podał mu nóż. Pewnie z takim poleceniem go pan posłał, doskonale wiedząc, że Żukiewicz to histeryk, do tego histeryk uprzedzony, że grozi mu niebezpieczeństwo. Wzywałby policjantów, gdyby tylko Nawrocki pogroził mu palcem, a co dopiero na widok noża. Pan wiedział, że policjanci pilnują w środku — nie by-

to ich na zewnątrz, gdzie powinni być, więc łatwo się pan do-myślił, że są w mieszkaniu — i dyskretnie sprawdził to podczas rutynowej wizyty u Żukiewicza, która wypadła w piątek. Posterunkowy, przychodząc Żukiewiczowi z pomocą, miał w ty-le głowy, że przybywa z odsieczą za późno, bo najpierw zasnął, a potem zbierał się po kolizji z drzwiami, i musi działać błyskawicznie, rzucił się więc na Nawrockiego, nie dostrzegając, że ten tak naprawdę nóż tylko trzyma w ręku i na nikogo się nim nie zamierza. Gdyby Nawrocki rzeczywiście chciał zamordować Żukiewicza, miał na to dosyć czasu, a rumor roz-walanych drzwi powinien skłonić do ucieczki, tymczasem on cierpliwie czekał, aż Żukiewicz przyjmie od niego prezent. Nóż, którym pan wcześniej oskalpował Majewskiego.

Ratajczyk nie zaprzeczył ani nie potwierdził, a w jego oczach pojawiło się coś hardego. Szok spowodowany aresztowaniem minął, rezygnację wyparła wola walki.

— Nie będę z panem gadał, chcę adwokata.

— Adwokat nic panu nie pomoże. Za sześć trupów dożywocie ma pan jak w banku.

— Nie udowodnicie mi. Na te opowiadki, jak to nosiłem Nawrockiego i wkładałem jego buty nie macie cienia dowodu.

A on pańskich wymysłów nie potwierdzi. Albo potwierdzi, dodając, że to samo gotowa jest powiedzieć jego mamusia, czyli Przenajświętsza Panienska. — Ratajczyk uśmiechnął się szyderczo. — Dokładnie się nie orientuję, ale zeznania psychicznych nie są chyba w sądzie mocnym dowodem.

Komisarz nie przejął się tym oporem.

— Buty Nawrockiego są już w laboratorium, a że Nawrocki nosi jeden numer mniejszy niż pan, przypuszczalnie znajdziemy w nich jakieś nitki z pańskich skarpetek. Poza tym policjanci zginęli od kurary tak jak Majewski, a wzięwszy pod uwagę, że to w pana posiadaniu jest jego skalp, co jednoznacznie dowodzi, kto go zamordował, kurara w połączeniu z tymi nitkami daje wystarczająco mocny ciąg poszlak, by skazać pana za zabójstwo policjantów. Skąd miał pan kurarę?

Pielęgniarz nie odpowiedział na pytanie, nie zamierzał

w najmniejszym stopniu ułatwiać policji pracy.

— Zapomina pan, że na czas zabójstwa Majewskiego mam alibi. I Stańczyka też.

— Na czas zabójstwa Stańczyka już nie. Krynicky dał się złamać, kiedy aspirant pokazał mu, że mamy dowody, które jednoznacznie pana obciążają. Wdzięczność za uratowanie życia nie sięgała tak daleko, by gotów był odpowiadać za współ-

udział. Muszę przyznać, że starannie dobrał pan osobę, która miała zapewnić panu fałszywe alibi. Pieniądze nie dają żadnej gwarancji, że przekupiony dotrzyma swoich zobowiązań, wystarczy, że ktoś inny zaoferuje więcej, niekoniecznie w postaci żywej gotówki. Na kimś, kogo wyciągnęliśmy z wody, kiedy się topił, bo na środku jeziora chwycił go skurcz, można polegać.

Ratajczyk przygasł. Znajomość tej historii dowodziła, że komisarz nie blefuje i Krynicki rzeczywiście przestał go kryć.

Przygodny postanowił wykorzystać zdobyte pole.

— Jak zmusił pan Stańczyka, żeby wziął udział w tej religijnej maskaradzie? Ma pan pistolet?

— Pistolet? Nie. Wystarczył nóż. I groźba, że potnę jego obrazy.

— A Ewangelię otworzył pan na opisie narodzin Jezusa, bo był to fragment, o który Nawrocki, w roli Jezusa, mógł mieć pretensje?

— Co? — zdziwienie pielęgniarsza nie było udawane. —

Dlaczego? Otworzyłem na Ewangeli Łukasza, żeby pokazać, że chodzi o trzeciego ewangelistę.

Ratajczyk nie zaliczał się do historyków amatorów.

— Ale w przypadku Majewskiego nikt nie ujawni, że mam fałszywe alibi, bo jest prawdziwe. — Pielęgniarsza nie walczył

już o uniewinnienie, tylko o łagodniejszy wyrok. — Więc jak mogłem go zabić, jeśli nie było mnie na miejscu zabójstwa?

— Dobre pytanie. Od tego pytania, nie, czy pan zabił, tylko, jak to zrobił, powinienem być wyjść od samego początku.

A najpóźniej przy zabójstwie Małysiaka. Można przypadkowo wzbogacić się na jednym morderstwie, ale nie na dwóch.

— Nie miałem interesu, żeby zabijać Małysiaka — zaprotestował Ratajczyk. — Mieszkanie dostałbym tak czy tak, wystarczyło zaczekać.

— Niekoniecznie — sprzeciwił się Przygodny. — Może nie chciał pan czekać, a może nie mógł. Pewna spontaniczność mordu — choć zachował pan dużą przytomność umysłu, zasłaniając się parasolem — wskazywałaby, że raczej to drugie. Zakładam, że Małysiak uległ namowom wnuczki i postanowił zamienić mieszkanie na dwa mniejsze. Albo w ogóle zapisał je panu w chwili rozżalenia, ochłonął i chciał się wycofać.

Żeby temu zapobiec, musiał pan działać szybko i bez szczegółowego planu.

Komisarz wstał i zaczął się przechadzać.

— Nieźle pan nas potem wyrolował z tym mieszkaniem

— w jego głosie zabrzmiała nuta podziwu. — Szukaliśmy na Inowrocławskiej i nic tam nie znaleźliśmy, a pan na bezczelnego przeniósł się tutaj, choć lokal formalnie nie stanowi jeszcze pana

własności. I pewnie nie wpadlibyśmy na to, gdzie urządził pan sobie kryjówkę, gdyby nie zamówił pan stąd taksówki na lotnisko.

— A skąd wiedzieliście, że wylatuję do Frankfurtu?

— Myślę, że wybierał się pan w znacznie odleglejsze rejon-y. Do kraju, z którym Polska nie ma umowy o ekstradycji.

A namierzyliśmy pana w ten sposób, że zlokalizowaliśmy pa-na komórkę. Logowanie w stacjach bazowych wskazało, że przesuwa się w stronę lotniska. Wystarczyło sprawdzić, dokąd ma pan bilet, i poprosić kontrolę lotu o wstrzymanie startu do naszego przyjazdu, oczywiście bez ujawniania pasażerom prawdziwego powodu.

— To się kupy nie trzyma, co pan mówi. Twierdzi pan, że zabiłem Majewskiego dla tych sześciuset tysięcy, a Małysiaka dla mieszkania, a potem miałbym uciekać, zostawiając tutaj cały ten majątek?

— Panie Ratajczyk, chyba wystarczająco udowodniłem pa-nu, że nie jestem idiotą. Jaki problem, po założeniu sobie już konta bankowego w nowym miejscu, przelać na nie przez internet pieniądze z polskiego rachunku? Co więcej, to jest jedyne możliwe i sensowne rozwiązanie. W znakomitej większości krajów nie zdoła pan założyć konta w banku na odległość, nawet w innym kraju unijnym nie otworzy pan rachunku zdalnie z Polski, mimo że teoretycznie w Unii obowiązuje powszechna dostępność usług. Wiem, bo próbowałem, handluję trochę na Al ego, to znaczy moja żona — Przygodny nie chciał się przyznawać do swojego wstydlivego hobby — i ma sporo klientów z Niemiec, planowała więc założyć sobie konto w niemieckim banku, żeby ułatwić im płatności, i okazało się, że drogą pocztową ani przez internet się nie da, musi stawić się osobiście.

Wożenie gotówki ze sobą to też kiepski pomysł. Na zewnętrznej granicy Unii kontrola byłaby znacznie bardziej dokładna i takie pieniądze mogłyby wzbudzić zainteresowanie. Nie mó-

więc o tym, że można paść ofiarą kieszonkowców.

W tej kwestii komisarz zrezygnował z powoływania się na własne doświadczenia.

— Aha. Mieszkanie też miałem zamiar przelać?

— W pewnym sensie tak. Domyślam się, że zostawił pan jakiemuś adwokatowi pełnomocnictwo, żeby załatwił wszelkie formalności związane z dziedziczeniem, a jeśli trzeba reprezentował pana w procesie z Ewą Małysiak, gdyby ta nie chcia-

ła odpuścić, po czym sprzedał mieszkanie, kolekcję broni też, i przelał panu należność.

Przygodny podszedł do gabloty, w której Małysiak przechowywał część okazów swojej kolekcji. Jego zainteresowanie wzbudziła broń składająca się z długiego drzewca, wydłużonego grotu i pary bocznych liści w kształcie półksiężyca i tulei.

Tabliczka pod eksponatem informowała, że jest to partyzana.

Komisarz już miał się odwrócić od gabloty, kiedy jego wzrok ześliznął się na kuszę.

— Kusza!

— Co? — Ratajczyk poruszył się niespokojnie.

— Kusza! — Przygodny wiedział już, jak pielęgniarz dokonał pierwszego morderstwa. — Pan nie strzelił do Majewskiego z łuku, tylko z kuszy!

— Niech panu nawet będzie, że z armaty. Nie mogłem z niczego strzelić, bo mnie u Majewskiego w tym czasie w ogó-

le nie było.

— Zgadza się. Ale kuszy w przeciwieństwie do łuku nie trzeba trzymać w rękach. Można ją naciągnąć i zostawić na-ciągniętą, łuku nie. A skoro da się zostawić ją naciągniętą, to można ją umocować na jakimś stojaku i skonstruować mechanizm zwalniający cięciwę. Prosta sprawa. Wystarczy taki czasomierz do zapalania i gaszenia światła, mający wprowadzać w błąd ewentualnych złodziei, kiedy mieszkanie stoi puste, który uruchomi dźwignię zwalniającą spust kuszy.

Komisarz otworzył gablotę.

— No tak. Przecież Majewski był związany. Na co było go wiązać, jeśli miał pan strzelać do niego z łuku? Wiązanie w peł-

ni naturalnie wpisało się w tę indiańską inscenizację, więc nawet się nad nim nie zastanawialiśmy, tymczasem miało wymiar całkiem praktyczny. Musiał pan unieruchomić Majewskiego, żeby nie uciekł przed ustawionej konstrukcji. I mechanizm zwolnił spust dokładnie wtedy, kiedy obrywał pan manto w pubie.

Przygodny przypomniał sobie rozmowę z aspirantem na temat zachowania Ratajczyka po bójce.

— Prośbę, żeby nie wzywać policji, zinterpretowaliśmy na pana korzyść, uznaliśmy, że nie wywołał pan awantury dla zapewnienia sobie alibi, bo trudno sobie wyobrazić lepsze alibi niż potwierdzone przez funkcjonariuszy policji, a pan dobrowolnie z tego zrezygnował. Tymczasem pan musiał wrócić do mieszkania Majewskiego, żeby zdemontować całą konstrukcję. Przesłuchania w komisariacie mogły potrwać, zresztą w tej awanturze nie był pan bez winy i gdyby trafili się złośliwi policjanci, istniało ryzyko, na które nie mógł pan sobie pozwolić, że zatrzymają pana na czterdzieści osiem godzin.

Gdyby zwłoki Majewskiego zostały odkryte przed usunięciem kuszy, pańskie alibi nie byłoby warte funta kłaków. A tylko ono ratowało pana przed oskarżeniem o zabójstwo, bo wokół

Majewskiego nie było innych ludzi. Co bardzo sprytnie pan podkreślał. Paradoksalnie odsuwając w ten sposób od siebie podejrzenia, bo prawdziwy zabójca powinien raczej starać się wskazać nam inne osoby, które miałyby możliwość i powód zabicia Majewskiego. A pan wręcz demonstracyjnie oświadczał: tylko ja wchodzę w grę, ale mam żelazne alibi.

— Bo mam. Jak jesteście tacy mądrzy, że potraficie namierzyć człowieka po komórce, to łatwo sprawdzicie, że po awanturze w pubie poszedłem prosto do domu.

— Już sprawdziliśmy. I daliśmy się na to nabrać. Owszem, poszedł pan do domu, zostawił tam komórkę i pojechał na Wrońskiego.

— A gdzie są ślady tego stojaka? Bo jeśli dopiero teraz pan na to wpadł, to znaczy, że nie znaleźliście żadnych śladów, a na ile orientuję się we współczesnej kryminalistyce, ślady ustawienia takiej konstrukcji musielibyście znaleźć!

Pielęgniarski miał rację. Musiało to być coś w rodzaju sta-tywu fotograficznego, tyle że znacznie cięższego, żeby nie przewróciło się wskutek odrzutu po strzale, bo to groziło odłamaniem jakichś elementów, a co za tym idzie znalezieniem ich przez techników. A ślady ciężkiej konstrukcji w pobliżu zwłok, która na dodatek po zabójstwie zniknęła, na pewno nie zostałyby przeoczone czy zlekceważone.

Komisarz, starając się rozwikłać tę zagadkę, przywołał

przed oczy scenerię pokoju po zamordowaniu Majewskiego i próbował znaleźć w niej coś, co potwierdzałoby jego hipotezę, coś, co odstawałoby od normy. Ale nic takiego tam nie było, poza oczywiście związanym martwym człowiekiem siedzącym na fotelu ustawionym nieco z boku, pod szafą. Zaraz. Dlaczego nie na środku? Środek pozostawał pusty, a w tej sytuacji Ratajczyk machinalnie powinien ustawić fotel tak, żeby znajdował się w centrum. Skoro tego nie zrobił, musiał mieć jakiś konkretny powód. Co było na środku? Lampa!

— Pan nie ustawił tej konstrukcji. Pan ją powiesił. Na ha-ku od lampy. Przy pana wzroście można dosięgnąć z tapczanu. To nie był stojak tylko sznur, a raczej jakaś sieć, żeby kuszę umocować w poziomie. Pewnie obciążył pan całą konstrukcję, żeby po strzale nie rozkołysała się i nie uderzyła Majewskiego, bo to zostawiłoby ślady. Kiedy było po wszystkim, ściągnął ją pan, powiesił z powrotem lampę, a technicy nie mieli żadnych przesłanek, żeby szukać pod sufitem.

Przygodny wyjął kuszę z gabloty i dokładniej się jej przyjrzał.

— Niech mnie kule... Pan nie użył jakiejś kuszy. Pan użył

tej kuszy. Tu na spuście są wyraźne rysy.

Wyciągnął broń w stronę Ratajczyka, jakby chciał pokazać mu zadrapania i ponieważ zreflektował się, że zamazuje ewentualne odciski palców pielęgniarskiego. Choć ten był chyba na tyle rozsądny, że kuszą posługiwał się w rękawiczkach.

— Jakby pan miał jakieś pojęcie o kuszach, to wiedział-

by pan, że z kuszy strzela się bełtami, strzały z łuku się nie nadają, są za lekkie.

— Widzę, że za to pan ma doskonałe pojęcie o kuszach —



zauważył z przekąsem Przygodny. — Za lekkie, mówi pan...

no to wystarczyło ustawić kuszę odpowiednio blisko, żeby strzała nie zaczęła fikać koziołków. Zresztą z pewnością przeprowadził pan wcześniej próby, czy to się da zrobić.

Ratajczyk nie potwierdził domniemań komisarza, tylko popatrzył w stronę drzwi, zza których nie dochodziły żadne odgłosy, a potem odwrócił głowę, kierując wzrok na ścianę za kanapą. Poderwał się, chwycił za wiszącą tam dzidę i ruszył

na Przygodnego.

Gdyby był w pełni sprawny, komisarz bez większego trudu poradziłby sobie z tym atakiem, gdyż kajdanki ograniczały napastnikowi możliwość manewrowania bronią. Złamana ręka ograniczała jednak i jego ruchliwość.

Na wyciągnięcie pistoletu było za późno, podobnie jak na sprawdzenie, skoro już znajdował się w sytuacji zagrożenia, czy potrafi strzelać lewą ręką. Na pomoc nie miał co liczyć, Ratajczyk patrząc na drzwi, upewnił się, że nikt w mieszkaniu nie został.

Nie mógł dopuścić do walki wręcz. Pielęgniarz, atakując złamana ręką, mógłby uzyskać przewagę, bo Przygodny musiał-

by walczyć nie tylko z młodszym przeciwnikiem, ale i z bólem.

Odruchowe cofnięcie ręki pod wpływem bólu otworzyłoby napastnikowi drogę do odebrania mu pistoletu.

Komisarz w ułamku sekundy wyzwolił zagipsowaną rękę z temblaka, wymierzona w niego dzidę podbił kuszą, po czym walnął na odlew gipsem, celując w środek twarzy pielęgniarza. Chrząst pękającego gipsu i kruszonych zębów zlał się w jeden dźwięk, a białe odłamki zalała krew ze zmiażdżonej twarzy. Napastnik zwałił się bez przytomności na podłogę.

Przygodny też był bliski zemdlenia, miał wrażenie, jakby ktoś wrywał mu kawałkami żywe ciało. Zrozumiał, że czeka go składanie kości i kolejne sześć tygodni z ręką na temblaku.

**Koniec.**

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)